

4



Kto nie szanuje książek postępuje
jak wróg oświaty i uszczupla bo-
gactwo duchowe swego narodu.
Chroń więc książkę przed wszel-
kiem zniszczeniem.

POLSKA
LITERATURA WSPÓŁCZESNA

I



5748/4d.

ANTONI POTOCKI



POLSKA LITERATURA WSPÓŁCZESNA

CZĘŚĆ I

KULT ZBIOROWOŚCI

1860—1890

Tegoż autora poprzednio wydano:

Marya Konopnicka. Szkic literacki. Lwów	Rb . k
Szkice i wrażenia literackie. Lwów	— 60
— Treść: H. Sienkiewicz. — Wł. St. Reymont. — Ig. Dąbrowski. — St. Żeromski. — W. Sieroszewski. — W. Tetmajer. — J. Kasprówicz. — A. Lange.	2 —
Stanisław Wyspiański. Studium literackie. Lwów.	



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911



BGZs 41956



41956

884(091)

cyf. 884(091) „Pozycjonizm”

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

Za najgubniejsze w dziedzinie naszego życia duchowego uważam zjawisko ustawicznego rwania się jego ciągłości. Rozrywa jej wątek zarówno ślepy cios wypadków historycznych, zbyt często i brutalnie rozdzierających jeden jakiś ciąg czasu na urwane, krótkotrwałe strzępy — rozrywa ją dalej na zbyt zamknięte w sobie, więziennym murem jedna od drugiej odosobnione, nie mogące sobie samym starczyć dzielnice, podział terytoryalny — rozrywa ją wreszcie brak wielkich wspólnych ognisk i organów, których zadaniem jest w oświeconej społeczności czuwać nad właściwą i szybką wymianą poszczególnych odnóg życia i twórczości, nauki i sztuki — nad ich rzetelną wzajemnością.

Rwie się boleśnie wątek naszych własnych wewnętrznych przeobrażeń — rwie się nieludzko i związek ich z przeobrażeniami całej ludzkości. Pomiedzy zaś takie *disiecta membra* duchowej jedności narodu — wślizguje się ohydny pasożyt zdziczenia.

I patrzemy oto na upokarzające poniżenie, gdy nawet te dziedziny, które z istoty swej powinny być właśnie drogą przy mierza i ustanowieniem ciągłości bytu duchowego — jak historia sztuki lub literatury — stają się dzikiem polem popisów dla harcówników fałszu i nieuctwa, niesumienności i przesądu. Mściwość względem przeszłości, szamańskie jakieś odgadywanie jutra, obwieszczanie nieomylnych objawień dnia dzisiejszego, na wieczność obowiązujących — wypełniają dziś zgiełkiem nieznośnym dziedzinę naszych poglądów na dzieło wspólne wielu

pokoleń polskiej twórczości. Wrzaskliwy impet niesnasek dziennikarskich i dziennikarskich uwielbień wdziera się na karty dzieł, mających być historycznym komentarzem najdroższej nam sprawy twórczej, tej, która »wyniknęła z głębokich skrytości i tajemnych wzruszeń« naszych, tej właśnie, która »obraz roztraconego jestestwa narodu ukazuje w zwierciadlanem przezroczu« (Mochnecki), by naród zleczyć i odrodzić!

Książka więc, którą w świat puszczam, jest przede wszystkim wyrazem potrzeby własnej duszy autora, by nawiązać owe potargane wątki i przypomnieć je innym — cała też powstaje z tej wewnętrznej potrzeby jedności i pragnie stać się jej świadectwem przeciwko fałszywemu świadectwu chwili.

Taki jest punkt wyjścia tej pracy — a w stosunku do potrzeb czasu jej świadoma siebie racya bytu.

KSIĘGA I.

1860—1870.

ROZDZIAŁ I.

Uwagi wstępne.

1. Wszelką pracę należałoby właściwie zaczynać przypomnieniem, że istotnym jej przedmiotem jest zawsze — c z ł o w i e k. Rzecz to zakrawająca na ogólnik.

Wszak wiemy, że po przez filozofię czy historię, estetykę czy ekonomię — zdążamy zawsze do jedynej wiedzy zwycięskiej, którą jest znajomość człowieka. Jednakowoż dążność udzielna, autonomiczna każdej nauki, z biegiem czasu zdaje się zacierać świadomość tego założenia i doprowadza zbyt często do zatrażenia tego poczucia.

Stąd powstają scholastyczne i nierozwiązalne spory o t. z. granice jednej a drugiej dziedziny. Stąd potrzeba osobnej, szczególnej definicyi te granice określającej.

Tymczasem jasną jest rzeczą, iż granic takich między jednym a drugim obszarem zjawisk, których wspólnym terenem jest żywa istota człowieka — niema. Może być tylko mowa o ogniskach, nie zaś o granicach każdego danego obszaru władz i czynności człowieczych.

Dlatego to usuniemy tu z góry na bok spór metodyczny o to, jak dalece sięgają granice literatury i które to mianowicie dziedziny twórczości mają być zaliczone do niej?

Jak zwolna literatura przechodzi na ukrainach swoich w naukę, sztukę, pedagogię, filozofię, politykę lub wreszcie w czyn dziejowy — nie nasza to sprawa, natomiast wiemy, że

wszystkie te pierwiastki (i wiele innych) egzystencji ludzkiej, mają w niej swój wyraz. Odbija się więc w niej religia — owa tęsknota za wiecznością, filozofia — echo wszechbytu w duszy, sztuki plastyczne — stwarzające świat na obraz i podobieństwo twórcy, muzyka — wsłuchana w rytm wiecznych przeobrażeń, doktryny — ferment rzeczywistości, nauka — próba panowania bez przymusu, oświata — kanalizacja ducha, historia — stojąca na straży jedności istnienia, polityka — złamany ster społeczeństw, reformy — fale bijące o skalny brzeg przeżytków, rewolucje — kruszące je... Gdzież kres, jakież »granice« wzaajemności i wpływów na owym morzu zjawisk, których krystalizacją w słowie jest — literatura?

Powtarzam — granic niema — jest tylko ich ognisko wiecznie ruchome człowiek i tego ogniska krystalizacja — dokonane dzieło.

Człowiek żywy i dokonane dzieło — oto dwa bieguny, o które wspiera się oś badań nad sztuką czy literaturą — zaznaczem w historycznym ujęciu tych badań wykazanie stosunku podwójnego tych czynników w zestawieniu z przeszłością i współczesnością.

One to stanowią poezję — kształtującą siłę bytu ludzkiego.

2. Niema dziś mowy o możliwości ujęcia treści i formy literatury w jakąkolwiek formułę badania. Wszystkie próby klasyfikacji, określenia cech stałych i obowiązujących, podziału na okresy i t. p. zawiodły, ujawniając bezsilność swoją wobec dzieła sztuki. Geniusz tu jest prawodawcą, indywidualność — za każdym razem jedyną samą sobie formułą. Otóż pierwszy jest nieznanem ustosunkowaniem władz twórczych, druga zaś — nierozkładalnym wyrazem żywej jedności człowieka i dzieła.

Świat dantejski, świat szekspirowski, świat mickiewiczowski, uczucie bajroniczne, rodzaj Heinego, ton Norwida, nastrój Poego — nie mają innych kluczy rozumienia, jak Dante, Szekspir, Mickiewicz, Bajron, Heine, Norwid lub Poe.

Księgi i rozdziały dziejów sztuki i literatury te a nie inne powinny nosić tytuły. Miara wzajemnej zależności dzieł, kolei ich wyniesienia się w duchu, wzajemnego względem siebie wa-

loru — jest właściwą miarą twórczości. Reszta jest rusztowaniem, które nam ma służyć li tylko do zbliżenia się ku dziełom, lecz może być każdej chwili uprzątniętem — systematy zaś wszystkie, ujmujące tę żywą treść w martwe formuły, są tylko po prostu optycznym złudzeniem chwili, stojącej na sądzie rzeczy wieczystych.

Dlatego też, przejętemu do głębi zrozumieniem tej prawdy umysłowi, obrzydzeniem i nieufnością są narzucane formuły i klasyfikacje, gdyż one podają w najlepszym razie bądź rodową cechę indywidualności, tę, którą ona sama w sobie uznała, za jakąś klamrę z zewnątrz ją uciskającą, bądź też po prostu stosują się do tego, co już jest lekturą nie literaturą, kunsztem nie sztuką i skąd boski pierwiastek różnicy uleciał, ustępując miejsca niewolniczemu podobieństwu. (Stwierdźmy raz na zawsze, że nawet tam, gdzie w porównaniu dzieł lub twórców zatrzymujemy się na ich podobieństwach — i tam nawet w gruncie rzeczy obchodzą nas tylko ich różnice i że gdyby tych nie było naprawdę — nie czynilibyśmy t. z. porównania).

Uwagi powyższe mają na względzie wyjaśnienie metody, którą się posługuje ta książka.

Wychodząc zawsze z badania dokonanego dzieła, z którym nierozzerwalnie wiąże się istota jego twórcy, pragniemy li tylko dać rzetelny wyraz indywidualnościom twórczym każdej doby. Rzeczą już wtórną będzie wyliczenie objawów z twórczością pozostających w pokrewieństwie przez naśladownictwo lub tożsamość cech. Uszanowując zaś w ten sposób ów nierozkładalny i niepoznawalny poza samym sobą pierwiastek indywidualności twórczej — małą wagę przyznamy wszelkim ugrupowaniom i klasyfikacyom, które nam samym wydadzą się potrzebnymi dla ułatwienia wykładu lub względów mnemonicznych. Natomiast — zawsze stojąc na gruncie indywidualności twórczej, jako właściwego kryterium w dziele sztuki i literatury — tem baczniejszą uwagę zwrócimy na rodową wspólność dzieł i autorów — na powinowactwa ich z wyboru, jawiące się w kolei czasów.

Za rękojmię jednolitości metody posłuży nam ściśle przestrzeganie pokoleniowego następstwa grup i jednostek pracujących dla literatury oraz następstwa dokonanych dzieł.

3. Znakomity badacz literatury francuskiej (F. Brunetière), przystępując do kapitalnej swej pracy o rozwoju liryki — wytknął brak we francuskiej literaturze trzech lub czterech zasadniczych prac przygotowawczych, bez których nie można zbudować właściwej jej historii.

Iluż prac takich brakuje nam, gdzie niemal bohaterskim wysiłkiem, a od tak niedawna musimy zdobywać piędź po piędzi całą tę dziedzinę. Wiek dziewiętnasty dotąd nieopracowany — a nawet sam polski tak zwany Romantyzm czeka na swoją monografię. Żaden zresztą z rodzajów literackich nie został dotąd w monografii ujęty, a to poczynając od pamiętnikarstwa polskiego i kończąc na historii poezji lub sceny. Żadna z dzielnic rozczłonkowanej dziedziny polskiej nie ma również własnego opracowania, zaledwie ułamkami czasów i twórczości zaprzatając (w Galicyi lub Poznańskiem) paru swych historyografów. Praca nad metodami historii lub teorii literatury poza kilku przyczynkami o znaczeniu raczej pedagogicznem niż filozoficznem — w załączku. Niemasz wreszcie słowników biograficznych dla oryentowania się w żywotach autorskich, że sama ich chronologia nie zawsze jest ustalona, a w każdym razie rozproszona po czasopismach, biografiach i wprost metrykach kościelnych. Trzebaż dodawać, że nie mniejszy chaos panuje w dziedzinach ościennych literaturze — jak n. p. w historii sztuki lub historii wewnętrznej (kultury)?

W tych warunkach człowiek sumienny musi uznać się za zasadniczo nieuprawnionego do kształtowania t. z. syntezy, o ile, rzecz prosta, synteza ta niema być jedynie — fałszem, podanym w formie ogólników.

Jeśli więc poprzednio starałem się ostrzec przed tą tandetą »syntez« ze stanowiska zasadniczego, podnosząc, że z istoty własnej zjawisko estetyczne najmniej nadaje się do klasyfikacji i uogólnień, z istoty swej największą wartość dla ogółu ma wtedy, gdy ogół je poznaje w jego najczystszej, najmniej spaczzonej doktryną formie — to tutaj wracamy do tej samej konieczności jeszcze i ze względów wprost a priori narzuconych uczciwości autorskiej. Tembardziej musimy się wystrzegać tego łamania dzieł i indywidualności kołem doktryny — im ta doktryna spoczywa na kruchszych podstawach, im bardziej z braku

uporządkowania i prac przygotowawczych jest po prostu czemś zgola dowolnem — jest wynikiem »działania przypadku na chaos« — niczem więcej.

4. Więc raz jeszcze: człowiek żywy — twórca i krystalizacya jego — dokonane dzieło — oto jedyne pewniki historii literatury.

A obraz jej — to powieść ducha niepożytego, snująca się niewyczerpanym wątkiem, to nawiązująca nić »wnętrznego przypomnienia« (Mochnacki), starganą przed wiekami, to wplatająca między pasma zwątlone — nowe niebywalej świetności, to wreszcie w niedostrzegalnej odmianie przygotowująca ogrom potężnych przeobrażeń.

Tworzywo z tworów i twórców, gdzie twórca — wątkiem, a dzieło — wzorem, tworzywo — z którego czas »dzierga bóstwu suknię żywą« (Goethe).

Najsumienniejsza myśl tylko zbliżyć się winna do tej cudownej tkaniny, gdzie splełany gąszcz wątków — to włókna dusz wybranych, a przebogata wzorzystość dzieł — to ich krystalizacya, gdzie jedno z drugim w »nierozplątanem będąc pokrewieństwie« (Norwid), stwarza zapewne jakąś syntezę wiekui-stego piękna, jakąś »polską organiczną syntezę piękna« (Kra-siński), której jednak jedyną formułą — jest właśnie ona sama.

Twórca i dzieło — rodowy, pokoleniami idący pochod istnień indywidualnych i kolejną czasu postępująca ich krystalizacya — boski pierwiastek różnicy, we wszystkich pokrewieństwach obecny — oto założenie obrazu. Bezwzględna uczciwość w przedstawianiu tego, co człowiek i dzieło ma z tego pierwiastku — oto wykonanie.

Widzenie dantejskie olbrzymiego pochodu indywidualności — tych wielkich Niepodzielnych, kształtujących ducha ludzkiego na obraz i podobieństwo swoje — oto wymarzony cel.

Nie możemy dziś kusić się, powtarzam, o syntezę, ani nawet o wyczerpującą opisowość latopisu — możemy jednak słubować pracy zupełną uczciwość.

5. Rok 1863, który przyjmujemy za datę początkową tej pracy, po części ulegając przed rozpoczęciem jej jeszcze dość rozpowszechnionej opinii, po części zaś utrzymując ją potem ze względów na własny dokonany układ materiału — nie jest momentem, mającym w historii naszej twórczości znaczenie bezpośrednie i stanowcze. Około tej daty nie grupuje się żadna konstelacja znamiennych utworów literatury polskiej, żaden zresztą z powstałych później a mających donioślejsze znaczenie — nie jest wyrazem tego straszego roku.

To, co naród w tej dacie przeżył bólem, ujściem krwi lub wreszcie ruiną — to wszystko bezwątpienia, wraz z tylu innymi wpływami, zaważyło na późniejszym kształtowaniu się warunków naszego bytu — nie było jednak, powtarzam, i nie jest punktem wyjścia w polskiej twórczości. Wykładnikiem znaczenia roku 63-go nie będzie w przyszłości ból i porażka pokoleń, które go przeżyły, lecz raczej zniesienie pańszczyzny, które przez wyzwolenie milionów ludu do nowego życia — tejże przyszłości zgotowało i dzisiaj już dającą się wyraźnie stwierdzić — żywotność.

Jeżeli zresztą po wysłuchaniu spowiedzi z wrażeń ludzi, którzy rok ten przeżyli, zwrócimy się do świadectwa dziejów narodu — to z łatwością zrozumiemy, dlaczego tak było i tak być musiało.

Datami najbardziej przełomowymi w dziejach tych są bezwątpienia lata, rozciągające się między rokiem 1830, 1846 i 1848. Wtedy to załamała się rozpaczliwie wiara pokoleń w moc polskiej samopomocy orężnej, w moc rychłą spadkobiercy narodowych tradycji — ludu, w moc czynników idealnych zachodu.

Czasy te uważam za właściwy czyściec duszy polskiej — stokroć nawet bardziej, niż czasy porozbiorowe, gdy szlakiem napoleońskim błąkała się ciągle nadzieja, a żyła jeszcze w szlacheckiej całej tradycyja różnych »opresyi« i najazdów, z których toni jednak rzeczpospolita zawsze wypływała.

Zapytywano nieraz, dlaczego rozbiór Polski nie wydał żadnego wybuchu polskiego patriotyzmu w sztuce i poezyi? — Zapewne nie dlatego, by nie było patriotów, lecz bodaj czy nie dlatego, że dla swawolnej myśli szlacheckiej ten rozbiór to był jeszcze jeden najazd, jedna opresya, jedno *interregnum* — skąd

Polska w każdej chwili wyjść miała z »Piastem« lub z »pretendentem« na czele. Wszakże był i Piastów nawet wybór gotowy w Familii, a czyż »cesarz«, jako pretendent, nie był wart — Kondeusza? Z Mickiewicza nawet całkowitą treść bólu i siły wy dobył rok 1830!

Tu oto pogrzebano ostatecznie symbol ów a i organ całkowitej władzy narodu — państwo. Tu więc poczęto moc jego przyszlą budować na innej podstawie — na ludzie i na idei. Rok zaś 1846 i 1848 zaprzeczyły rychłości tych czynników — jednych na zawsze kierując na drogę kompromisu, innych łamiąc moralnie, jeszcze innych zamykając w zaczarowanym kole nadziei przeciw nadziei — wielu wreszcie wskazując ogromny mozół przyszłości jako jedyną, choć twardą i bolesną drogę odrodzenia.

Każdy z przerzucenia kilkudziesięciu życiorysów i zestawienia (kilkudziesięciu) najdonioślejszych utworów polskiej literatury zdobędzie niezłomną pewność, że tu między 1830 a 1848 ustaliły się wszystkie — literalnie wszystkie — ostoje naszego życia i naszej twórczości dotychczasowej. Tu powstał nawet jedyny ów utwór poetycki, który zazwyczaj wiążemy z pojęciem roku 1863 — jedyna może prócz religijnych po *Bogu Rodzicy* pieśń zbiorowa narodu — *Chorał* Ujejskiego.

Pokolenia, które przeżyły tamte lata, musiały stworzyć osnowę przyszłości duchowej Polski. Musiały — gdyż to właśnie było jedynie możliwem w epoce stwierdzeniem żywotności narodu — ta zaś, wiemy to, została stwierdzoną.

I w istocie: zarówno polska koncepcya Romantyzmu — tak zgoła inna od zachodniej —, jak pierwsza próba przyswojenia sobie filozofii, jak utrwalenie podstaw naukowego myślenia jeśli nie pracy, jak potężny zwrot do historii i nauk społecznych, jak rozwój zwierciadła głupstwa i rozumu czasów — powieści, jak wreszcie decydujący krok programów politycznych i nawet decydujący zwrot ku sztukom — wszystko to, wszystko stworzyło pokolenie, które bądź przeżyło całą pełnię osobiście, bądź męźniejszą świadomość ukształtowało ostatecznie między 1830 a 1848 rokiem. Wszakże rok 1863 już nawet pod względem programów politycznych był tylko obrazem walki i rozterki programów od tamtej daty gotowych, nie zaś powstawa-

niem nowych. I rzecz znamienita — po roku 1863 — potoczył się dalej w całym bogactwie swych wątków ów kłęb splecionych prac narodowych, rozpoczętych przed laty trzydziestu, a żadne tam pasmo nie było przerwane, żadne nowe nie przybyło na razie. Wszakże nie zerwała się bynajmniej nawet nie konspiracyi, a nawet ugoda nie była nowością dla polskiego żywota, dla twórczości zaś ani żywot z romantyzmu czerpany, ani zaprzeczanie praw do życia romantyzmowi nie było czem innym, jak dalszym ciągiem sprawy, zdawna wszczętej przed sumieniem narodu.

W książce tej będziemy nieraz mieli sposobność w szczególności powrócić do sądu wydanego tu ogólnie, teraz zaś pośpieszamy zastrzec się przeciwko jeszcze jednemu równie niesłusznemu jak przelomowość r. 63-go wniosкови.

Oto utartym ogólnikiem stało się powtarzanie opinii, że po roku 1830 cały twórczy duch narodu wyemigrował na obczyzną, kraj zaś tu żył nieledwie życiem roślinnym i że wreszcie życie to zgola poczęło się wyczerpywać gdzieś właśnie około roku 1863.

Otóż tak bynajmniej nie było. Duch twórczy narodu — cokolwiek wiemy o proroczej i wprost cudownej potędze poezji Mickiewicza i Słowackiego — nie opuścił wraz z nimi kraju. Owszem, on nawet zasilając się prorocstwem tych najświetniejszych w kraju tym współpracował z nimi na miarę niezwykłą, odrodzeniową. Duch ów twórczy — powtórzmy to znowu — dźwigał niestrudzenie od roku 1830 do 1860 (i potem) instytucje kultury polskiej, organizował wymianę myśli, stwarzając nowy, niekiedy wzorowy wprost organ jej, prasę. On fundował naukę i filozofię polską, on rozpoczynał żmudne gromadzenie monumentów polskiego bytu i historyczną ich krytykę — on się bratał z gminem i wybranymi, ze wsią i miastem w powieści, chleb codzienny niosącej milionom, on wreszcie w bolesnej rozterce dusz streszczał poetycką treść chwili — że zaś my potem nalepiwszy na poetów tej epoki ryczałtowy napis »cyganeryi« nie wiemy i dotąd, jakie tam leżą skarby ducha i sumienia, że nie umiemy zestawić we współrzednym szeregu kilkudziesięciu znakomitych nazwisk polskiej nauki, filozofii, kultury między 40 a 60 rokiem, że nie umiemy między 50

a 60 rokiem wyliczyć kilkunastu arcydzieł naszej powieści, że pracę historyków polskich, dokonaną między 50 a 70 lekce sobie ważymy, bo jej nie znamy (nie lekcewał jej Wyspiański), że nie czytamy wytwornych a świetnych krytyk literackich między 40 a 60 napisanych, że nie znamy życiorysów naszych malarzy, nie znamy dat i organicznej myśli powstania najpoważniejszych naszych czasopism przed 63-cim założonych, jak zresztą nie znamy ich nieprzebranej treści, że wreszcie na ogół nie trawimy nigdy całkowitej wartości naszych ludzi, naszych epok, a boskiej świetności uświęconej w zestawieniu »trójcy« Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego używamy w znacznej mierze po to — by ich blaskiem przygasić blask przed nimi, z nimi i po nich bijących z Polski promieni, a siebie ich pracą rozgrzeszyć z własnej pracy — to wszakże nie może być argumentem »pustki« lat »przejęciowych«, bezmyślnie powtarzającej się echem w pustych mózgownicach, po których istotnie trzeba nam jaknajprędzej — przejść, przejść do wielkiej, rzetelnej a wprost nieoszacowanej pracy nad wiekiem XIX takim, jakim był w istocie a nie w urojeniu płytkoduszków i samograjków.

Dwa powyższe zastrzeżenia z natury swej, że opierają się raczej na materyale z przed r. 1863 i porównaniu jego z twórczością późniejszą — nie mogą być w tej książce przedmiotem dowodzeń wyczerpujących. Dlatego właśnie przytaczam je z góry — tymczasem jako własną opinię, z którą każdy uczyni co mu się podoba.

Nie chciałbym jednak wywołać nieporozumień. Nie znaczy to bynajmniej bym przeoczył wielką miarę boleści, którą te lata odmierzyły Polsce.

Nie zaprzeczam również ich wpływu na dalsze rozwijanie się warunków pracy i twórczości w Polsce, zwłaszcza tam, gdzie inne czynniki wpływ tych lat spotęgowały.

Chodzi mi jedynie o ustalenie ich stosunku do samej tej twórczości w dobie bezpośrednio następującej po katastrofie: ani jej pierwiastki ani tych stosunek wzajemny zmianie nie uległy.

Po dawnemu więc założeniu romantyzmu naszego — w jego specyficznym polskim rozumieniu i rozwinięciu — są terenem wszystkich starć i przeobrażeń. Tak samo działo się między

rokiem 30 a 63-im. Po dawnemu dziedziną, która najbujniej rozkwita twórczością, jest powieść — tak działo się już między 48 a 60 rokiem. Po dawnemu towarzyszy jej potężna praca dokoła wiedzy historycznej — praca, będąca osią i lat poprzednich. Po dawnemu życie duchowe Polski idzie koleją przez różne ogniska kraju, gdy żadne z nich nie ma warunków utrzymania na stałe całej miary jego żywotności. Więc lata, które następują po 63-im, będą znowu rodzajem dyalogu prac i wpływów, prowadzonego z przerwami między Krakowem, Lwowem i Warszawą. Gdy zaś w każdym z tych środowisk szybkie i stanowcze zmiany spowodują nowe ukształtowanie się pojęć i wyobrażeń — będzie nam się zdawało w optycznym złudzeniu, że to ciągle rozwój »następstw« roku 63 go.

To kolejne przenoszenie się punktu ciężkości kultury polskiej, a przynajmniej jej prac najbardziej w każdej danej chwili ogół obchodzących — znamy w całym ciągu w. XIX. Jest to jakby ciąg sejmów i sejmików literackich lub naukowych, które raz obierają za siedlisko Wilno, to znowu przenoszą się za granicę, to zasilają dopływem nowych sił Poznań, to się gromadzą w skarb wiedzy i pracy w Krakowie, to ze Lwowa rozsyłają szybkie wici na pospolite ruszenie dusz, to wreszcie długo nie mogąc wybuchnąć jasnym ogniem tlą się w popiołach stołecznej Warszawy. Teraz — po roku 63-im — spostrzeżemy, iż z natury rzeczy Kraków stanie się na szereg lat oparciem pracy narodowej; że, dalej, Warszawa odpowie mu natychmiast, gdy jako tako ogromadzi rozproszone siły, że znowu potem ustąpi głosu Krakowowi, nie mogąc w swej więziennej cieśni rozmotać całego bogactwa wątków odrodzonej twórczości, że wreszcie, gdy dokona tego znowu Kraków — zarody nowego życia poczną stamtąd wsiewać się w całą Polskę i naraz wszędzie ujrzymy bujną ruń ich wschodów.

A z tego toku kolejnych rozkwitów terytoryalnych — ustanowi się większa niż w latach poprzednich jedność życia duchowego na całym obszarze Rzeczypospolitej, aż w końcu w. XIX — od stu niemal lat po raz pierwszy — stwierdzimy radośnie, że żadne z ważniejszych ognisk tego życia nie oświeca nas z obczyzny — że wszystkie ploną tu w pośród nas.

Polska duchowa i Polska terytoryalna utworzą jednym ży-

ciem żyjącą całość, jak kiedy krew brocząca raną przestanie broczyć i ustanowi się jej zbawczy obrót we wracającym do życia organizmie.

Spostrzeżemy więc dalej, że był istotnie najwyższy czas, by tak się stało. Gdyż oto w następstwie działania wielu potężnych czynników od powstania Kościuszkowskiego do uwłaszczenia włościan, od powołania ongiś do życia mieszczan polskich do stanięcia na jego widowni własną mocą zastępu robotników — wszystkie warstwy narodu poruszyły się do głębi, wszystkie chciwie i coraz silniej prężą się ku jego słonecznej jaśni, szląc w przyszłość gońce własnych mocy. Żarliwe lub mgliste pojęcie ludu-idei — przyobleka się w ciało ludu-potęgi — staje się zaś właśnie w chwili tego bujnego na całej ziemi posiewu twórczości polskiej, której żadne ziarno nie pada dziś po za granicami jej, jakgdyby potężna wola jakaś skupiła zarody wszystkie na siew dla tej »chwili osobliwej« (Wyspiański) przeobrażenia ludu w — naród.

Takie jest mniej więcej ogólne ukształtowanie się szranków twórczości polskiej między 63-im a dobą obecną.

Stwierdzeniem ich na początku chcę uczynić czytelnika współpracownikiem dalszych wywodów, gdyż bądź zgadzając się, bądź nie na tak założone zarysy tła — świadomie względnie do tych założeń będzie rozważał fakty i dzieła — jedyne argumenty.

O ile więc około 63-go roku przeważają, zdaniem mojem, podobieństwa z dawnymi (od 48) laty tak, że mimo przeraźliwego bólu jego — lata następne są tylko dalszym ciągiem poprzednich — o tyle na schyłku wieku wśród gromadzącego się zasobu prac, wśród wyczerpania ich założeń, dojścia do ich ostatecznych konsekwencji, wskutek wreszcie działania ościennych literaturze i sztuce, a znanych i nieznanym nam polskich i obcych wpływów — ustalają się znaczne różnice w indywidualnym tej twórczości wyrazie.

Najbujniejszym tej odrębności po epoce romantyzmu rozkwitem są lata zamykające wiek ubiegły i otwierające dziesięciolecie obecne.

6. Nim zaś przejdziemy do właściwej treści tej książki — zwróćmy tu jeszcze uwagę na pewien fakt, będący jednym z najpotężniejszych a zbyt mało zazwyczaj badanych czynników tej zmiany. Czynnikiem tym jest kolej przeżywania dawnych i występowania nowych pokoleń.

Otóż jeśli zapewne bez trudu zgodzimy się, że najpotężniejszym w wieku XIX było pokolenie wielkich romantyków naszych, które niemal całe przyszło na świat w ostatnich latach XVIII i pierwszych latach XIX wieku, że dalej ostateczną meta jego życiowych i historycznych przeobrażeń były lata 1830—1848 — lata kiedy wchodzili w »wiek męski — wiek kłęski« — to zgodzimy się również, że pokolenia w ślad po nich postępujące najsilniej też były poddane ich wpływowi. Nie chodzi tu o podobieństwo lub różnicę w znaczeniu logicznego i przekonaniowego przeciwstawiania się lub tożsamości. Chodzi o organiczną potęgę ich twórczości, narzucającą się z taką mocą swoim czasom, dającą im taki ogrom dokonanego dzieła do przetrwania, utrzymującego je pod takim tyranicznym czarem swej wymowy, czucia i myślenia, że nawet sami ich przeciwnicy musieli, wprost musieli żyć z nich, obracać się w kole ich myśli i walczyć nawet z nimi — ich argumentami. Dlatego to, jak mniemam, pokolenia, które pod ich bezpośrednim wpływem ukształtowały młodość swoją lub męskość, poniosły ten wpływ do mogiły przez wiek męski i starczy. Otóż w tem właśnie położeniu byli ludzie wchodzący z młodości w wiek męski około roku 1863. I nigdy oni — powtarzam to — czy sami się mienili przeciwnikami czy wykonawcami testamentu Romantyzmu — z pod wpływu jego całkowicie się nie wylamali, na zawsze do końca życia pozostali w kolisku jego twórczych założeń, ustanawiając tem samem ciągłość twórczą lat przed i po 63-im następujących.

Różnice zaczęły kielkować — choć bardzo słabo — dopiero w pokoleniu późniejszym tych mianowicie, którzy przeżyli rok 63-ci dziećmi, nie pamiętając już tyranii dusz epoki Romantyzmu a z tradycją jego mało obeznani. Lecz ci właśnie nie stanowili o charakterze przejścia i wyraz swój poczęli znajdować gdzieś między 70 a 80 rokiem dopiero. Młodszy ich rówieśnicy — ludzie z następnego lat dziesiątka, wzrosli zatem w ko-

lisku wpływów i tradycji nowych — romantyzm mając już wprost jako historyczną kategorię poznania narodowego, nie zaś wpływ żywy. Oni też pierwsi — ani przeciwstawiający się mu, ani w jasyrze jego postępujący bezwiednie — mieli pierwszą sposobność przetrwania tego wpływu wprawdzie duchem, nim się w życie wszczepił. Chwilą ich wypowiedzenia się były lata 1880—1890. Ostatnie wreszcie już zgola popowstańcze pokolenie, dojrzewając na schyłku wieku w atmosferze wolnej wymiany poglądów i krzyżowania się wszystkich krytyk — zdołało skryształizować w dzieła pewne zgola nowe w stosunku do panujących dotąd cechy indywidualne. Bystre i ważne zmiany dzieła u nas społeczeństwo w tym bezlitośnie bystrym biegu wypadków już nie na owe biblijne trzydziestolecia — lecz na dziesięciolecia niemal odrębnego rodowo dojrzewania. Dziesięcioleciami niemal wyraźnie układają się grupy rówieśników (szkoła wspólna) — z różnych ugrupowań społecznych w Polsce może najściślejsze, najorganiczniejsze — owe »przyjacielskie i rówieśne kola« od Mickiewicza i Zana, od Wilnian i Kamieńczan, od Belwederczyków rytm swój biorące.

U progu tej epoki dopiero pada pokolenie Mickiewiczowskie. Starsi i młodszy jego współcześni wymierają około r. 1860. Tak ze starszych Lelewel (1786—1861), Morawski (1785—1861), Korzeniowski (1797—1863). Z rówieśników jego Wiszniewski (1794—1865), Chodźko (1794—1861), Rzewuski (1791—1866), Skarbek (1792—1866). Że ludzie tej daty bynajmniej mimo podszłego wieku nie stracili nawet bezpośredniej, osobistej energii i wpływu do ostatka — o tem wiemy, znając bodaj rolę Rzewuskiego lub Korzeniowskiego, odegraną w przededniu śmierci a powstania. A przecież jeszcze do młodszych rówieśników Mickiewiczowskiego pokolenia należą Towiański (1799—1878), Domeyko (1799—1899), Goszczyński (1801—1876), Zaleski (1802—1886), Odyniec (1804—1885), Chodźko Al. (1804—1891), Supiński (1804—1893), a wreszcie dwaj ludzie, odgrywający tak poważną rolę w roku 63-im: Andrzej Zamoyski (1800—1874) i Aleksander Wielopolski (1803—1878)! Ci wszyscy przeżyli nawet znacznie rok powstania, często występując czynnie i kierowniczo w jego losach. Jeżeli zważymy, że żaden z wielkiej trójcy poetów naszych nie dożył starości, to tembardziej zrozumiemy, że

rówieśne im pokolenia długo jeszcze po nich zasilają pracę narodu. Z czasów więc Słowackiego występują czynnie po roku 63-im starsi, jak Bielowski (1806—1876), Kremer (1806—1875), Wójcicki (1807—1878), Libelt (1807—1875), Pol (1807—1872), Trentowski (1807—1869), — lub rówieśnicy jak Szyrmer (1809—1886), Siemieński (1809—1878), G. Zieliński (1809—1881), Leszek Borkowski (1810—1893) — lub młodszy o rok lub parę, jak Tyszyński (1811—1880), Szokalski (1811—1891) i wielu innych. Tu znowu w roku 1812 przybywają rówieśnicy Krasińskiego jak Kraszewski (1812—1887), Cieszkowski (1814—1894), Kalinka (1816—1888), Szajnocha (1818—1868) i wielu, wielu innych wprost już kierujących ruchem umysłowym między 60 a 70 rokiem. Oto więc właściwie nie wyszliśmy jeszcze z epoki rówieśników romantyzmu — a już jesteśmy wśród współczesności¹⁾. Oto więc dopiero kilkanaście lat upływa, odkąd pokolenia datujące od początku wieku, a rówieśne epoce wielkiego wrzenia dusz, męźniejące pod ciosem zdarzeń lat 1830—1848, kształtujące się pod najbezpośredniejszym wpływem przemian samego romantyzmu, a raczej same tych przemian materiały i świadectwo — zstąpiły do grobu. Wśród nich nazwiska najczynniejszych sprawców kolei życia duchowego w Polsce w chwili powstania i zaraz po niem: Kraszewski, Szajnocha, Tyszyński, Siemieński, Kalinka, Cieszkowski, Bielowski, Pol, Zamoyski, Wielopolski.

Jeżeli zaś rzucimy okiem po dalszem następstwie pokoleń — to przekonamy się, że początek wieku i schyłek jego łączy zaiste nieprzerwany ciąg bezpośredniego współpracownictwa, że mniej i więcej czynna i osobista obecność tych, których przesadnie zwykle odsuwamy w jakąś mglistą dal — piastuje bardziej niżby się nam zdawało ducha pokoleń nowych.

Chodzi mi tu bardzo o to stwierdzenie faktu, że prócz »rządu umarłych nad żywymi« głębiej, dłużej i wszechstronniej niżby się nam zdawało zachodzą ze sobą w związek żywy dalekie pokolenia narodu.

¹⁾ Urywamy tu zestawienia, odsyłając czytelnika do przypisów, w których podamy zestawienia chronologiczne lat życia pisarzy pracujących między 1864 a 1907 a przedewszystkiem — kolej i współczesność dokonanych w tym okresie najwybitniejszych prac.

7. Fakt ten wyjaśnia nie jedno może pozorne »odstępstwo«, nie jedno »opóźnienie się«, nie jedną zależność i zaprzeczy łatwości, z jaką się to wkopuje słupy urojonych granic i okresów, o które potem niepotrzebnie nabija sobie guza nasza filozofia literacka.

Naiwna prostolinijność »psychologii« nowych i najnowszych prądów, powtarzamy, musi ustąpić raz przed sumiennem dociekaniem związków żywotnych myśli narodowej. Do tego zaś krokiem niezbędnym będzie dokładne i wyczerpujące zbadanie kwestyi t. z. pokoleń — ich narodzin, wzrostu i przeżywania się w społeczności i tysiącnych z niemi związanych objawów wpływu, naśladownictwa, przeciwstawienia się — tych niezliczonych kręgów na powierzchni życia duchowego, gdy je zwłaszcza jedno z tych pokoleń do głębi poruszy.

Wtedy znów i ogrom pracy twórczej lub kulturalnej, dokonany przez jedno takie pokolenie w zespole starszych i młodszych rówieśników, wyda nam się wyraźniej tem czem jest: większym cudem, cudowniejszym ogromem ducha — i godniej może własną małość — to źródło łatwych historyzofii — znieść potrafimy.

We wstępie do tej pracy wspomniałem o zdziczeniu pewnem literackich stosunków. Czyż nie jest zdziczeniem to usuwanie »starych« z obrazów współczesności? Tak dzicy swoich »starych«, gdy im zawadzają — po prostu mordują. My ich niekiedy usiłujemy zamordować milczeniem lub fałszywym świadectwem znaczenia ich dla niedorzecznej, barbarzyńskiej uciechy pokazania czegoś »zupełnie nowego«, dla stworzenia »okresu«, gdzie była może tylko zmyłka chwilowa, dla roztoczenia pawiego ogona samochwalstwa i nasycenia wyzwolenczej, parweniuszowskiej pychy, zelganego samorodztwa!

Pójdziemy tu zgola innym torem: ni »rządu umarłych«, ni współpracy »starych« się nie zaprzemy. Miłośnie czujem związek wszystkich pokoleń narodu stwarzających, nie wstydząc się powinowactwa z niemi w boju czy uległości okazanego. Nie straszne nam podobieństwa, bo one boskich różnic pokoleń nie zacierają, jeno są tłem, na którym one tem potężniej kształtującą moc swoją objawiają.

Nie ułękniemy się pozorów »wsteczności« zarówno jak po-

sądzeń o »rewolucyjność«, jedno i drugie kładąc między bajki. Świeci nam błoga myśl, że w kraju duchów — »niemasz pożegnania« — gdyż wiemy niezłomnie, że tradycya tem tylko żywa, że przyszłość piastuje, a przyszłość przeszłością tylko wyodrębnia się z chaosu.

Jest to zapewne jedyna synteza, o której snąć nie wolno zapominać żadnemu — historykowi. Literatura nie jest anegdotą, by mieć początek i zakończenie, a w tem może jeszcze pointę przysmaczoną do rodzaju słuchaczów. Ona jest wielką, bolesną improwizacją z ducha narodu, fragmentem tylko odbitą w tej kropki mózgu badacza.

O tem trzeba pamiętać i pychę własnej myśli uciszyć, by choć ten fragment myśli dziejowej odbić bez skrzywień.

ROZDZIAŁ II.

Historja jako kształtujący czynnik okresu.

8. Kiedy wypadki roku 1863—4 brutalną jak topór katowski przemocą faktu przecięły na czas pewien ciągłość życia Warszawy i Litwy — Kraków, nie po raz pierwszy w stuleciu, stał się jego ucieczką i wyrazem. Nie do nas tu należy historyografia narodowych i politycznych klęsk, rozpoczętych branką w Warszawie, a przez rządy Murawiewa na Litwie, przez tępienie polskości w szkołach, przez kaźnie i konfiskaty, przez systematyczną rusyfikację i mechaniczne wyciskanie Polaków zewsząd gdzie mogli znaleźć chleb i oparcie, przez cenzurę i system szpiegowski, przez imigrację wreszcie żywiołu wrogiego, mających doprowadzić w niewiele lat do zrównania z ziemią polskiej tradycyi. Nie będziemy tu kusili się o łatwy laur grozy, pastwiąc się przypomnieniem tych pastwien nad człowieczą duszą. Wszak dość, gdy historia z całego tego okresu zapamięta okrzyk ówczesnego wyraziciela systemu zastosowanego do Polski a zarazem najwyższego w kraju przewodnika młodzieży Apuchtina: »Ja pierwszy wraziłem nóż w serce Polski!«...

Tak się poczynał siódmy lat dziesiątek w Warszawie. Zobaczymy zresztą na swoim miejscu, że Warszawa bardzo krótko była ogłuszona wypadkami i wraz poczęła zbierać siły do walki. Tymczasem jednak usta miała zamknięte i omdlałe ręce — naród zaś wyraz swój każdodzienny znaleźć musiał. I znalazł go w krakowskiem ognisku.

Te same czynniki, które wyludniły Warszawę — napełniły Kraków tłumem przybyszów z różnych okolic kraju — emigracja w małej tylko części pociągnęła ludzi, a tem samem ruch krakowski stawał się zarzewiem pracy powszechnej. Owszem: teraz wracano do Krakowa nawet z emigracji.

Jakież były warunki polskości w Krakowie i Galicji oraz cechy naczelné ich życia?

Przedewszystkiem jakiegokolwiek koleje przechodził liberalizm austriacki w konwulsjach musu porodzony — w z g l ę d n a s w o b o d a była tu rajem w porównaniu z więzienną atmosferą Warszawy. Skromne początki założonego w 1857 Towarzystwa Naukowego, które miało się stać potem Akademią, pierwsza katedra polska na wszechnicy Jagiellońskiej lub pierwsze w r. 1860 publikacje roczników Towarzystwa byłyby niczem, gdyby nie zasób prac już poprzednio dokonanych i nie rękojmia w reformie państwowej dana, że swobody wzrosną i wzrosną z niemi organy narodowego bytu.

Kiedy więc w roku 1866 widzimy spolszczenie wszystkich katedr wszechnicy, a wślad zatem rozwój instytucji autonomicznych i taką w ciągu lat kilkunastu pracę na gruncie kulturalnym, jaką znały chyba dotąd jedne Stany Zjednoczone, gdy z dziewiczej gleby kształtowały swoją przyszłość — to zrozumiemy, jak tam życie kipieć musiało i jaka ogromna potrzeba ludzi odpowiadała tej rozszerzającej się sferze swobód, i jak znów szybko w ogniu czynu musiały te indywidualności ludzkie męźnieć i krystalizować się.

Ogromny szereg ludzi, których dziś jeszcze nie znamy z imienia nawet, lub których co gorsza znamy tylko z waśni politycznych i partyjnych charakterystyk, przesunął się owemi czasami przed oczyma współczesnych.

9. Wszakże z natury rzeczy ludzie ci kupili się dokoła tych, którzy już coś dokonali, już zdołali stwierdzić, że istnieją. Byliż to ludzie nowi, których dopiero chwila ostatnia wyprowadziła na widownię? Bynajmniej. Ognisko krakowskie pracowało już od dawna: tylko że teraz czasy wymagały coraz większej wydajności, a reforma pracy ich miała nadać znaczenie prak-

tyczne, nieraz naginając w tym celu przedtem już urobione indywidualności.

Kierunek pracy zdawna niejako zastrzeżony przez warunki — najpierw emigracji, potem Krakowowi — była to historia. Podłoże historyczne myśli było jak wiemy także jedną z organicznych cech polskiego romantyzmu — tu w Krakowie wszystko sprzyjało jego wybudaniu.

W szeregu najświetniejszych nazwisk krakowskich i galicyjskich z tej doby niepodobna, licząc jednym tchem, nie wyliczyć przedewszystkiem plejady historyków: Szajnocha, Kalinka, Szujski, Helcel, Tarnowski, Siemieński, Bielowski. Historycznym też będzie kierunek prac estetyków w pokrewieństwie z ogniskiem krakowskim zostających, jak Kremer lub Klaczko, historyczną jest powieść święcąca w tej chwili właśnie tryumf w Kaczkowskim, historyografie tradycji sanockich, historyczny pierwiastek wyrazi się potężnie w sztuce plastycznej przez Grotgera, Kossaka i Matejkę, historyczne wreszcie zabarwienie chętnie przybiera poezya tej chwili i tego skupienia ludzi, czy to w dramacie, czy w próbach eposu — nawet w lirycie.

Chwila ta jest tryumfem historii — historia zaś dla narodu, któremu oto zaprzeczono prawa do bytu — jest pocieszycielką i dumą, jest owym pokarmem, którym on się odżywi, ssąc go bodaj z piersi swej córki królewskiej, poezyi. Myśl tę, palladium romantyzmu, ziścił pod strażą Wawelu pracujący duch narodu — dając mu w chwili odrętwienia ten mocny trunk dziejowych prawd, w klęskach i zwycięstwach trawiony.

I tu jest zdarzona sposobność, by zrozumieć, jakim to żywym cudem wiąże się poezya z nauką — dłaczego w obrębie twórczości narodowej zawodzą wszelkie klasyfikacje — uczają żywi ludzie i dokonane dzieła. Nie dlatego historia wchodzi w obręb literatury w tych latach, że Szajnocha pisał swe szkice historyczne z prawdziwie poetyckim rozmachem lub że Szujski historyk pisał także dramaty, lecz dlatego, że w momencie tym pomiędzy twórczością polską a pracą historyczną była taka w z a j e m n o ś ć, takie wewnętrzne sprzężenie się i życie, które nie daje nam możliwości wprost pomyślenia Matejki bez Szujskiego, jak Szujskiego bez poetów romantycznych, Szajnochy bez wpływu Mickiewiczowskiego, twórczości powieścio-

pisarzy naszych historycznych bez Szajnochy lub Kubali. Oto jest najbardziej może podstawowe prawo poezji »będącej przełaniem prawdy w postać piękności« (Wiszniewski) — prawo wzajemności, zadzierzgamącej węzeł swój na żywym człowieku-twórcy, by się wyrazić — w dokonaniem dziele.

Takich to wpływów i prądów odnośnie do twórczości polskiej był rękojmą Kraków owoczesny. A tok tej pracy historycznej, biorącej jak nadmienilem początek swój we wspólnem z Romantyzmem źródle i przez romantyzmu polską historyzofię wprowadzony na drogę krytyki historycznej ani się tu na 63-im roku załamał, ani od niego się datował. Sprzyjały mu już i pierwiej swoboda badań, dostęp do archiwów, obfitość pomników, pamiątek i wspomnień, przeżytki starodawnego życia dochowane najdłużej wśród podgórskiej szlachty — teraz zaś wzmagaly historyczny krytycyzm potrzeby reformy i polityki, malowidlu zaś historycznemu dodawała bodźca — klęska w zaborze rosyjskim.

10. Szajnocha pierwszy może jeśli nie stworzył to podniósł tak wysoko rodzaj zwany szkicem historycznym, gdy od roku 1849 do śmierci nie ustawał w opracowywaniu tematów takich, jak *Bolesław Chrobry*, *Święta Kinga*, *Powieść o niewoli na Wschodzie*, *Urazy królewiat polskich*, *Walgieryz Wdały* i tylu innych, których uzbierało się przed jego śmiercią (1869) cztery tomy. W szkicach tych, jak potem w *Jadwidze i Jagielle* (1855—1860) i w *Dwóch latach dziejów naszych* (1865—68) dał Szajnocha istic matejkowskie wzory malowidła historycznego, a nagromadził skarb tematów, spostrzeżeń, uogólnień i szczegółów, z którego czerpano potem obficie i w sztuce, i w literaturze. Podobnie zaś jak działalność Szajnochy, sięgająca na dziesięć lat przed rok 60 i na dziesięć lat po nim — podobnie całe to dwudziestolecie wypełnia wogóle zasługa krakowskich i galicyjskich prac historycznych. Podobnież Helcel, Muczkowski przyczyniają się do ugruntowania wiedzy historycznej, podobnie Bielowski — krew z krwi romantyk i poeta — przygotowuje lub wydaje między 1860 a 70 *Monumenta Poloniae historica* — podobnież Henryk Szmitt drukuje po pismach galicyjskich mnóstwo

historycznych szkiców. Lecz największe bezsprzecznie znaczenie w latach nas obchodzących — przynajmniej dla ogółu polskiego — mają prace W. Kalinki i J. Szujskiego. Szujskiego czterotomowe opracowanie dziejów polskich przyszło tak w porę (1862—66) dla tego ogółu, jak żadna może książka z tego okresu. Była zaś książka ta pisana przez człowieka we wszech miar niepospolitego, o wielkim umyśle i ogromnym temperamentie, jak właśnie trzeba było dla historyi polskiej w zarysie ogólnym, gdzie jedno drugiemu wśród trudności metody, nieopracowanego materiału, palących zagadnień chwili musiało być oparciem.

A był jeszcze Szujski w owej chwili popularny wśród szerokich warstw — jako poeta pełen gorącego uczucia patryotycznego, jako bojownik i obrońca ukochanej ogółowi idei demokratycznej, a w r. 1865 w słynnej polemice o uczestników powstania z Pawłem Popielem — jako rzecznik ich wartości.

Podobnie zresztą jak Szajnocha nie ustawał Szujski do śmierci w opracowywaniu szkiców historycznych, szerząc dalej ten macaulayowski przewodnik wpływu. W mnóstwie tych szkiców, jak *Cecora i Chocim*, *Tadeusz Rejtan*, *Trzecia żona Zygmunta Augusta*, *Sejmy za Zygmunta Augusta*, *Odrodzenie i Reformacya* i tylu innych odnajdujemy wraz poetę i badacza, polityka i dramaturga, który umie wyzyskać szczegół, sytuację, tekst dla zbudowania całości jędrnej, pobudzającej do krytyki lub marzenia — a zawsze do miłosnego wpatrywania się w runy przeszłości i odczytywania z nich przestrogi lub nadziei na przyszłość.

Nie piszemy tu wyczerpującej charakterystyki Szujskiego, mniemając że tej żadną miarą w obrazie literatury zamknąć niepodobna, jak znów literackiego nawet jego wpływu nie zamierzamy mierzyć wartością jego utworów wierszem lub dla sceny pisanych, znowuż mniemając, że ona wybiega znacznie poza te utwory. Wszakże trudno wprost, pisząc o takim »żywym człowieku«, bodaj nie zdumieć się przez kilka wierszy nad ogromem pracy, ogromem żywotności! Bo dla Szujskiego pracą nie stanowiskiem była katedra historyi, którą objął w r. 1869 na wszechnicy Jagiellońskiej, jak również pracą nie godnością sekretaryat, który objął od założenia Akademii (1873). Rozwinięła zaś Akademia, jak wiemy, niestrudzoną działalność, gdy

w ciągu lat dwudziestu od założenia wydała czterysta kilkadziesiąt tomów, pomiędzy którymi *Acta Historica*, *Atlas geograficzny Galicyi*, *Monumenta Mediae aevi*, *Lud Kolberga*, *Scriptores rerum Polonicarum...*

Trzeba było być żywym, t. j. twórczym człowiekiem, by w natłoku tych prac, pojmowanych zawsze sumiennie, stać się równocześnie duszą stronnictwa, radą przyjaciół, podporą pisma, posłem na sejm, dramaturgiem.

Szczegół znamieny i charakterystyczny: jakiegokolwiek dalsze koleje przechodzić będą w opinii ogółu ci niezwykli ludzie, którzy niebawem wytworzą pod godłem Stańczyka potężne stronnictwo polityczne — każdy z nich zaczynał od tego, że był wyrazem dążeń i umiłowań całego ogółu polskiego. Był to fundament wpływu ich, a więzienia i kondemnaty, starcia i polemiki, których zawsze polskość była osią, nie mało blasku dodawały słowom późniejszych i już mniej kochanych rektorów a prezesów... Każdy z nich, powtarzamy, w pierw w dobrej był zgodzie, nim się potem z opinią poróżnił.

Występujący obok Szujskiego, choć od niego starszy W. Kalinka jeszcze przed rokiem 60-ym podbił sobie opinię druzgocącą krytyką rządów austriackich w Galicyi, pełnemi werwy atakami na zaśniedziałość społeczeństwa — prowadząc zaś w Paryżu wraz z J. Klaczką wyborne pismo *Wiadomości Polskie* (1856—1860) zaprawił się ostatecznie do późniejszej swej roli. Otóż i Kalinka, podobnie jak Szujski, bynajmniej nie zamierzający na początku stać się historykiem — wkracza ostatecznie w jej dziedzinę. Już przedtem prace jego publicystyczne raczej, jak *Galicya i Kraków* (1853) ujęte są w ramy historyczne — na drogę zaś źródłowych prac historycznych wstępuje stanowczo, gdy ogłasza *Ostatnie lata Stanisława Augusta* (1868), przygotowując swe dwie późniejsze prace *Polityka dworu austriackiego wobec konstytucyi 3-go maja* (1873) i pomnikowy *Sejm Czteroletni* (od 1879—1888). Ogromem pracy, potęgą talentów, niepożytą żywotnością i wszczępieniem się swoją historyczną krytyką w palące zagadnienia życia współczesnego — ta trójca pisarzy: Szajnocha, Kalinka, Szujski — staje na czele nietylko politycznych przemian swej grupy, nietylko historycznych prac pokolenia, lecz zgoła duchowego życia Polski w tych krwawych

i bolesnych latach. Bił od nich duch mocy i męstwa, zapowiedź niosący czasom przyszłym — zapowiedź woli i skupienia, zapowiedź cnót organizatorskich, dla rozbitków tak pożądaną. Oni też stanowią istotnie ton bohaterski swojej grupy — podobno wybiegający wysoko ponad jej wartość i znaczenie.

Wpływ tych trzech znakomitych działaczy i pisarzy przy pomyślnym składzie warunków, wobec potrzeb uniwersytetów wreszcie polskich Krakowa i Lwowa, wobec pomyślnego rozwoju instytucji takich jak Akademia lub Ossolineum szerzy się i zestokrotnia znajdując liczne zastępy wyrazicieli swoich i pracowników.

11. Gdybyśmy tu chcieli w cząstce wyrazić wartość tego prądu historycznego, którego Kraków w tej dobie jest źródłem — musielibyśmy skreślić obszerną monografię przedmiotu. Wszakże tu współcześnie skupiają się prace prócz wymienionych — wielu jeszcze pisarzy przygodnych a partyzantów pełnych werwy, esseistów subtelnych i wytwornych, erudyków i starożytników zagłębiających się w specjalizacji, zręcznych a dobrze na historii zaprawionych statystów i polityków, publicystów i agitatorów. Sama zaś plejada tych nazwisk ku przypomnieniu podana, jest najświetniejszą kartą polskiej nauki współczesnego okresu. Oto ich ciąg nieprzerwany od Bielowskiego i Szajnochy, od Szujskiego i Kalinki, od Helcla i Morawskiego wiodący aż do dni naszych: Walewski, Piekosiński, Wojciechowski, Liske, Kętrzyński, Szmitt, Zakrzewski, Balzer, Semkowicz, Ulanowski, Finkel, Bobrzyński, Kubala, Lewicki, Smolka, Abraham, Dembiński i t. d., i t. d.

Jest to zaś tylko jedna strona, jeden nurt — prawda że najpotężniejszy — prądu historycznego.

Drugim — niemniej żywotnym a dla ogółu polskiego zbawiennym była praca galicyjskich pisarzy na polu historii i literatury i sztuki.

I tu trzeba zacząć od przypomnienia dawnych zasług często tych samych ludzi — około wydobycia i oświecenia np. dawnych arcydzieł — jak dajmy na to ustalenie wartości i autorstwa *Wojny Chocimskiej* Potockiego, dokonane przez te-

goż Szajnochę. Wypłynęłyby też niekiedy dość dla ogółu niespodziewanie nazwiska poetów takich jak Pol, np. tam, gdzie chodziło o pierwsze jakieś uświadomienie ogółu o znaczeniu i istocie sztuk plastycznych.

Nie mamy tu czasu na tego rodzaju przyczynki i zaledwie wskazać możemy na kilka najgłówniejszych wpływów.

Otóż wszelkie znanstwo literatury rozpoczyna się od krytycznych wydań autorów i rzetelnego rozwoju bibliografii. W jednym i drugim kierunku Kraków położył niespożyte zasługi. W dziedzinie zaś bibliografii europejską, pomnikową swoją pracę w tych właśnie latach budował Karol Estreicher. Jakkolwiek początek druku tej kapitalnej pracy przypada na czas znacznie późniejszy (1873—91) to niezliczoną ilość rozpraw wstępnych, przyczynków, sprostowań wtedy już (1860—1870) Estreicher rozrzucał po pismach i był po prostu sam jeden opatrnościowym jakimś warunkiem pracy dla całego szeregu historyków i esseistów.

Tylko dzięki jemu stały się później możliwe coraz bardziej wyczerpujące, metodyczne prace z tego zakresu — zapewne aż do znakomitej, niedawno ukończonej specjalizacji historycznej, którą jest bibliografia historyczna L. Finkla.

Kto nie zna uczucia czci i trwogi, biorąc do ręki poźółkłą starą książkę, świstek lub pismo bezimienne, w którym bije może jakieś najpiękniejsze serce epoki, kto nie odczuwa potrzeby oparcia sądu swojego o czasach i ludziach na uszanowaniu ich własnego świadectwa — ten może nie zrozumieć zapału, jakiego historyk literatury doznaje wobec tysięcy kolumn, zapelnionych przez Estreichera tytułami, wariantami, datami, wykazami treści, wskazówkami o cenie lub honorarium autorskiem, zestawieniami literatury przedmiotu i t. p.

Lecz historia literatury wie co zawdzięcza pomnikowemu wydawnictwu Bibliografii Polskiej: zawdzięcza rękojmię wkroczenia w niedalekiej już przyszłości na tory rzetelnej umiejętności historycznej.

Znajomość dzieła drukowanego i skryptów danego autora, szczegółów jego korespondencji, dokumentów, biografii prowadzi do najcenniejszego, u nas zaś niestety jeszcze tak rzadkiego rodzaju historii literatury — do monografii.

Na tem znów polu niespożyta jest zasługa Antoniego Małeckiego, który w roku 1866—7 ogłosił we Lwowie pierwszą na taką skalę pracę p. t. *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki*.

Mniejsza dziś o konieczne zresztą różnice w stanowisku, które względem poety zajął w swej pracy autor, a tem, z którego czci w Królu-Duchu przewodnika swego cała Młoda Polska. Małeckiemu jednak zawsze będziemy mieli do zawdzięczenia pierwszy autentyczny zarys poety i w pracy, i w wydaniu pism, i w cudownych listach do matki nakreślony. Od tej też daty zacznie się coraz bliższe docieranie pokoleń do ducha poezji Słowackiego i dzieło Małeckiego tem samem staje się jednym ze zwrotnych momentów naszej kultury literackiej.

Inny autor kulturze tej niosący nie małe wspomnienie, choć nie oparty o granit nauki, jak Małecki — to subtelny, ruchliwy, wytworny krytyk i esseista Lucyan Siemiński. Ten znowu należy do tej grupy najściślej ze sobą w Krakowie związanych działaczy, którzy wszystkim swoim przemianom politycznym zdolali dać grunt zasługi osobistej i dokonanej pracy w dziedzinie nauki i poezji. W dobie, która nas zajmuje, Siemiński zdawna już fejtysta *Czasu*, poeta, tłumacz pieśni serbskich, tłumacz Odyssei, tłumacz poezji Michała Anioła — daje jeden po drugim swe najświetniejsze »portrety literackie«, pomiędzy którymi grupa z *Obozu klasyków* pozostanie perłą pogodnej, potocznej a trafnej charakterystyki literackiej. Był to zapewne pierwszy, a podobno najautentyczniejszy z typu fejtysty literackiego, wyborny *causeur*, niezawodny zaszczepca oglady i smaku, choćbyśmy w nim nie szukali głębi, a więc mimo prac donioślejszych tematem (o Kościuszcze n. p.), które podejmował także — wpływający i przechodzący do historii przedewszystkiem opanowaniem i zrozumieniem formy szkicu historyczno-literackiego.

A wreszcie obok i wspólnie z tymi starszymi po części nauczycielami, po części współpracownikami swymi, żywa i charakterystyczna postać Stanisława Tarnowskiego. Umysł bystry i ruchliwy, przytem wierny własnym przekonaniom aż do zaciekłości, organizacya najszcześliwiej uposażona do pracy i wpływu — usta rwące się do słowa, pióro —

do polemiki, energia — do działalności bezpośredniej, organizatorskiej, pedagogicznej, politycznej — byle bliżej, byle skuteczniej wyrazić i poprzeć to, co uzna za swoją prawdę. W odczytach i prelekcjach, przemówieniach okolicznościowych, krytykach i szkicach, w publicystyce jawnej lub ukrytej, od roku wreszcie 1869 z katedry — szerzył Tarnowski, dyalektyk nieporównany, swe poglądy. Nie tu je oceniamy w szczegółowej wartości zdań, lecz tu miejsce stwierdzić, że jakikolwiek miały podkład filozoficzny, obyczajowy czy polityczny — wyrażało się w nich zawsze najgorętsze umiłowanie przedmiotu i zawsze mogły te wystąpienia za wzór służyć temperamentom leniwym i ociężałym, jak to się walczy o to, co się raz za swoją sprawę uznało.

Mieliśmy już tu niejednokrotnie sposobność zaznaczyć, że w grupie tych talentów i prac między 1860 a 70 rokiem wypowiedziających się na tle lub za sprawą krakowskiego ogniska — jest wielka różnorodność dróg i dochodzeń, których najwspólniejszą cechą — historyczne podłoże myśli. Wiemy, że każdy z nich przechodzi charakterystyczne przemiany i przeobrażenia żywego człowieka już to przenosząc się z jednej dziedziny badań do drugiej, już dzieląc się między naukę a poezję, autorstwo a działalność polityczną, dziennikarstwo a pedagogikę. Prawie każdy z tych umysłów przebywa kryzys przekonaniowy — częstokroć przekreślając całą jakąś pracę żywota, by się oddać nowej.

Ferment tu się czuje potężny, odbijający nagły tok przemian dziejowych i szybkie narastanie nowych potrzeb, nowych sfer twórczych.

Ciekawy pod tym względem zwrot przebywa J. Klaczko — ongi za czasów jeszcze chłopięcych obiecujący poeta, cudowne dziecko w Wilnie po-mickiewiczowskim — potem głośny w publicystyce europejskiej polemista i pisarz polityczny, teraz zaciekły i wcale nie lekceważony przeciwnik nowej pruskiej polityki, docierający w swych świetnych studyach do jasnowidzenia wszystkich jej następstw już w 1865. Otóż w tym właśnie czasie, zaraz niemal po szkicach dyplomatycznych Klaczko wraca do ulubionej zdawna dziedziny i zaniechawszy polityki — oddaje się sztuce. I stanie się to znowu na tle — historii. Owo-

cem tej zmiany będą *Wieczory Florenckie* — pierwszy wkład polski w historii sztuki europejskiej. Książka ukaże się znacznie później i jako przekład tylko. Lecz w tem pospolitem ruszeniu umysłów tej grupy ludzi — a Klaczko zżył się z nią od czasów *Wiadomości Polskich* Kalinki na zawsze — czyż zwrot nie wysoce charakterystyczny? Tak czy owak ku badaniu historycznemu nagina się wszelki umysł wybrany tej chwili — po prostu nikt tworzyć i myśleć w polityce i sztuce, literaturze i dziennikarstwie nie jest mocen, jak właśnie kategoriami historycznymi.

Zda się, że dziennikarstwo samo przybierze cechę historyczności, choć nic a nic nie traci swego żądła w rześzystych polemikach chwili. Na historycznej wszakże zaprawie wyrobi się jeden z najwplywowszych dziennikarzy okresu i grupy Stanisław Koźmian. Działo się to zapewne dlatego, że dziennikarz tego pokroju idzie ślad w ślad za tymi, co historię stwarzają, jak właśnie szedł Klaczko i Koźmian w nienawistne ślady Bismarcka.

12. Historia ogarnia nas ze wszystkich stron, historia jest żywiołem chwili — jest w atmosferze. Funkcja tworzy organ. Otóż potężny tok przemian polskiego i europejskiego życia, wśród których trwoga i troska o przyszłość ludzką stała się jak w żadnej epoce, a u nas jak w żadnym narodzie — »funkcją« stałą dusz żywych — musiał stworzyć ten organ swój w badaniu historycznym, szukającym klucza i zrozumienia, prawdy i nadziei czasów. Przeczul tę potrzebę romantyzm polski — który przeczul wszystkie przemiany przyszłości — i na te tory pchnął potężnym rozmachem swej twórczości myśl narodową — bynajmniej nie gwoli samej tylko barwności obrazów lub egzaltacji uczuć.

Nie będziemy już tu przytaczali setnych faktów, z których każdy niesie świadectwo duchowi tego czasu. Nie policzymy wszystkich wydawnictw historycznych, które n. p. jak wydanie całkowite Lelewela przedsięwzięte w Poznaniu przez Żupańskiego, w tej właśnie dobie zasilaly nurt badań historycznych; wszystkich opracowań, przekładów i wydań tekstów, jak

n. p. pomnikowe wydanie Długosza w przekładzie Mecherzyńskiego, a sumptem Przeździeckiego dźwignięte w Krakowie; wszystkich wędrówek historyczno-archeologicznych, przedsięwziętych po Galicyi, Ukrainie lub z okazji tysiąclecia piastowskiego do gniazda lechickiego narodu (Łepkowski, Przeździecki, Łuszczkiewicz). Na podłożu historycznym rozwijało się kaznodziejstwo śladem Kajsiwicza skoro nie Skargi — na podłożu historycznym rozsnuwał się wątek myśli ekonomicznej śladem Supińskiego. Tu i w tej dobie wyrasta ze skryptów własnych i opracowania Bielowskiego — postać hetmana nad hetmany Żółkiewskiego; tu się gromadzi potężna charakterystyka Bolesławów; tu materyał do postaci takich jak Bogusław Radziwiłł, do momentów takich jak potop kłęsk i wypłynięcie z nich arki rzeczypospolitej w dobie Jana Kazimierza — a godzina uważnego przejrzenia Estreichera wystarczy do nagromadzenia tytułów i faktów, które obrazowi powyżej skreślonej *furia historica* dadzą perspektywy i tysiącznych szczegółów.

Nam tu chodziło o sumienne okazanie tego momentu twórczości lat między 60 a 70 zawartych.

Wbrew powtarzanym za często mdłym ogólnikom o zaścioju i upadku literatury polskiej w tym momencie — znaleźliśmy przebudny rozkwit jej niestargany i owszem spotęgowany wypadkami, a wiążący się organicznie z tradycją literacką najświetniejszych lat minionych. Wszak mówimy o literaturze polskiej, nie zaś warszawskiej lub poznańskiej? Otóż w tych latach tu ona się wypowiada. Tu znaleźliśmy ton chwili i więcej, bo wyjaśnienie wielu późniejszych uzależnień i przemian w polskiej twórczości.

Powyzszy rzut oka na ognisko krakowskie i na potężny związek jego pracy to właśnie ma na względzie.

Takiej pracy, takiego szeregu stanowczych, dokonanych dzieł, takiego mocnego tonu nie godzi się dziś dla przebrzmiałej a choćby i rozbrzmiewającej waśni partyjnej spychać do rubryki kwaśnych wzmianek o »naukowym stanowisku szkoły krakowskiej«, w owe wątpliwe szranki »przyczynków«, gdzie to się zazwyczaj »wymierza sprawiedliwość« petitem i chronologią.

Tu nie o »szkołę krakowską« i jej znaczenie w historii chodzi. Nie chodzi również o wyłapanie wszystkich osobistych,

politycznych, społecznych i t. p. konjunktur o zasługach czy winach wyżej wymienionych ludzi. Chodzi li tylko o ich stanowisko w literaturze. Otóż jest ono w epoce tej — przewodnie, twórcze — i przez to należy do jej pewników, choćby cała ich działalność poza literaturą ulegała najgrubszym wątpliwościom i zaprzeczeniom.

Tu właśnie przemawia poezja tej doby t. j. jej żywa i czynna siła kształtująca.

Rozpęd jej rzuca nawet tych urodzonych badaczy na tradycyjne od Romantyzmu pole dramatu historycznego: Malecki daje *List żelazny*, Kubala *Glińskiego*, a Bełcikowski *Adamem Tarłą*, Szujski zaś *Zborowskimi* rozpoczynają szereg swych historycznych dramatów.

Oto więc nie wyszliśmy jeszcze z obrębu jednego dziesięciolecia literatury polskiej po-powstaniowej doby, nie przekroczyliśmy jeszcze niemal murów Krakowa w paru razach tylko powołując się na lwowskich uczonych — a stanął przed nami dostojny poczet dzieł dokonanych niemałego dla ducha polskiego znaczenia — pokoleniom całym chleb powszedni.

Może li więc być mowa o jakimś szczególnem zatrzymaniu się twórczości polskiej na tej drodze — jeśli, rzecz prosta, o polskiej w ogólności myśli mówimy, nie zaś o jakiejś poszczególnej a chwilowo dotkniętej grupie ludzi?

Nie po raz pierwszy nacisk kładę na tę ciągłość i bujność pracy duchowej w tym okresie. Gdyż z przeoczenia to jej właśnie, z niedoceny tego wkładu w skarbie powszechnym wpływają oplakane małostkowości, zdrobniała skala sądu, partykularyzm i prywata, wreszcie wierutny a krzycząco niesprawiedliwy fałsz w ustalaniu perspektywy wpływów i znaczenia, który popełniają historycy od Chmielowskiego począwszy.

Lecz co było ongi w chwili gdy z pola walki niemal Chmielowski pisał swe karty *Literatury lat 20* — przeoczeniem zaślepionego walką zapaśnika — to u innych staje się rozmyślnym fałszerstwem — więc występkiem. Czyż można wiecznie usprawiedliwiać je zgrozą wobec »zacofania« Stańczyków a gorliwośćią w służbie »postępu«? I dla »sympatii« politycznych czy społecznych pozbawiać się wprost możliwości zrozumienia najdonioślejszych objawów twórczości polskiej od Kraszewskiego do

Sienkiewicza, od Sienkiewicza do Wyspiańskiego? Mniemam, iż za wszelką cenę należy unikać nieporozumień w rzeczach tej wagi. Nie chcę ja tu dowieść, jakoby Kraków i pisarze tu zgrupowani zmonopolizowali byli zmysł historyczny, zasługę dziejopisarską lub poczucie doniosłości krytyki historycznej, jakoby oni jedni tylko i to właśnie w Krakowie byli organem instynktu samozachowawczego narodu i wykonawcami przekazanego w testamencie romantyzmu ukazania w zwierciadle dziejów »jedności roztraconego jestestwa narodowego«. I owszem: znam i pojedyncze usiłowania osamotnionych nieraz w wędrówkach na Rusi i Podolu badaczy, takich jak Rolle lub Jabłonowski, wiem o ważnej pracy historycznej Hubego w Petersburgu, o wielkiej zasłudze jedyne go monografisty literatury w Poznańskim K. Jarochońskiego — o usiłowaniach wreszcie skutecznych uczonych historyków warszawskich (przeważnie późniejszych), o których znajdziemy inną sposobność mówienia — jak Plebański, Świeżawski, Korzon, Pawiński, Smoleński i inni. Nie chodzi tu o uszczuplanie nieczyich zasług. Lecz tylko Kraków i Galicya mogły się były i zdobyły na stworzenie odpowiedniego ogniska, w którym wszystkie pierwiastki badania historycznego rozgorzały wraz i stworzyły spław potężny, mogący służyć już nie naukowym tylko lecz twórczym potrzebom czasu. Że zaś nie przypuszczam, by »warunki« same tworzyły dzieła, bez wpływu ludzi i geniuszu, że wreszcie wiem, iż Szajnocha czy Szujski, Kalinka czy Klaczko nie tylko materiałem lecz i dziełem dokonaniem stoją w tej polskiej twórczości — że w krakowskiej grupie widzę po prostu pierwsze twórcze zerwanie się ducha naszego w dobie 63-go i lat następnych, więc dlatego od nich zaczynam — jak zaczęła od nich historia.

Tu właśnie tu — nie zaś w drugorzędnej na tę chwilę twórczości wierszowanej żywie poezya czasu. Tu, nie zaś w powtarzanych rymach Pola, omdlełej twórczości Ujejskiego, rozterki i słabości pełnej niedoli innych. Tu — i jeszcze w tej purpurowej odnodze twórczości polskiej, którą jest Matejko — w tej żywotności niepożytego temperamentu, którym jest Kossak, w tej jedynej apoteozie godnej »ognia wonnego i rozbitej czary« ofiarnych dusz roku 63-go — którą jest Grottger.

We wskroś historycznej plastyce polskiej wyraża

się w tej dobie to wszystko co Romantyzm wskazał — uczuciem, w historycznej prozie wszystko czego rozkazał szukać w dziejach — sumieniem.

A pomiędzy jedną i drugą zespół wzajemności jest tak wielki, że kto czyta Szajnochę ten widzi Grunwald — kto patrzy w Rejtana — ten poznaje ducha historyków jego, kto żyje z Kossakiem ten jakby szedł szlakiem tysiącznych szkiców i ech obyczajowych szlachetczyzny, kto cierpi z Grottgerem — ten przeżywa rozłam ducha, który przeżyli najszlachetniejsi z tej przedziwnie bujnej, rogatej grupy — polskiej w każdym calu — aż do błędu.

13. Czegoż oni szukali w dramacie dziejów polskich? Wszakże odpowiedzieć na to, że szukali ojczyzny — to zbyt ogólna dążność czasów od 1830 roku, by nią jakąś grupę wyróżnić. Mniemam, że jeśli mowa o grupie krakowskiej w ściślejszem rozumieniu, o ludziach takich jak Szajnocha, Szujski, Kalinka, Tarnowski, Koźmian — a obok nich wielu jeszcze działaczy ściśle politycznych od Dunajewskiego i Popiela począwszy — to wszystkie ich poszukiwania i roztrząsania historyczne, obracające się w kręgach winy i zasługi narodowej, poszukiwały przedewszystkiem — siły.

Poszukiwanie siły, poszukiwanie potęgi, któraby zapewniła zwycięstwo, mocy zdolnej skruszyć więzy i przywrócić dziejom narodowym świetność — poszukiwaniu jej bądź w instynktach najtrwalszych narodu (bohaterstwo), bądź w warstwach jego najmocniejszych (lud) jest, jak wiemy dziś, treścią właściwą Romantyzmu. »Rząd dusz«, o który woła Mickiewicz, »duch wieczny rewolucjonista«, przebóstwiający światy choćby przez morza krwi Słowackiego, anioł rodowy Krasińskiego, strzegący posłannictwa Polski — są to ostateczne wyniki tych poszukiwań w wyrazie poetyckim.

Otóż nie czego innego szukali historycy tego okresu, skupieni pod Wawelem. Szukali mocy, potęgi, siły mniemając że w fatalnem ścieraniu się żywiołów bytu narodowego, tworzącem dzieje — ślad, wskazówka, przepowiednia będzie najwyraźniej wyjawiona.

Znaleźliż takie słowo-klucz tłumaczące przeszłość a zarazem otwierające zwycięską przyszłość?

Odpowiedź na to znajdzie się nie w literaturze, lecz w samych dziejach, a wszystko cobyśmy w ocenie ich słowa pod tym względem powiedzieli będzie tylko naszym widzimisię.

Zasluga ich w tem przedewszystkiem, że szukali tej siły — siły, a już nie wzruszenia, siły — a nie upajania się bólem lub nadzieją. To mężne stanowisko pozwalało im na wiele odwagi. Odwagą było mówić w onczas rzeczy gorzkie i prawdziwe z dziejowym nawet dokumentem w ręku. Odwagą było wprowadzanie pojęcia winy tam, gdzie nasza miłość własna wolałaby widzieć tylko — fatalność lub winy cudze.

Czy Szajnocha przesadza, gdy we wspaniałych obrazach maluje nam przedziwną zniewieściałość obyczajów ongi rycerskich w dwóch latach pamiętnych 1646 i 1648? Czy przesadza Szujski wypowiadając swe gorzkie prawdy dziejowe? Czy Kalinka nie zbyt daleko idzie w oskarżaniu zarówno obrońców jak przeciwników konstytucji 3-go Maja?

Są to pytania, na które odpowiada krytyka historyczna.

Historja zaś literatury musi podnieść tę potęgę i odwagę oskarżeń, to wgrzyzanie się sercem w wątek historii polskiej — zawsze żadne znalezienia mocy i ostoi, zawsze pamiętające o swem poszukiwaniu siły — jako czynniki zapładniające, podnoszące twórczość narodową, przygotowujące teren dla starcia nowych opinii, ukazania się nowych syntez, form, dzieł twórczych.

Tak jest: pojęcie siły, szukanie mocy — to warunek zasadniczy nierozpierzchnięcia się uczuć i chęci w liryzm i jęki — to rękojmia, że w duszach coś wiąże się w węzeł sforny i tęgi — że nie w wylewie tkliwości, lecz w starciu dramatu nowa droga przeobrażeń polskich.

Z przebogatej puścizny naszej historyzofii romantycznej krakowskie prace tego okresu czerpią dowoli. I inaczej być nie mogło.

Gdy jednak wypadnie wskazać bliższe źródło tych natchnień (metodę wyrabiała historyzofia francuska i niemiecka epoki) — znowuż z naszego stanowiska, ze stanowiska związku tej odnogi twórczości z innymi, kierowniczymi — to bez waha-

nia jako sprawcę najbliższego ich wskażemy — K r a s i ń s k i e g o.

Od chwili starcia się ze Słowackim z powodu *Psalmów* — starcia się, któremu tak donośnie zawtórował rok 46-y — Krasiński coraz mniej był poetą w znaczeniu artysty, coraz bardziej w każdym jego utworze tkwi jądro historyzofii. Dużo z niej wyraziło się w ostatnich dwóch *Psalmach*, w *Niedokończonym poemacie*, *Dniu Dzisiejszym* i w *Ostatnim*. Bardzo wiele niewątpliwie wsiąkło i przeniknęło do filozoficznej myśli polskiej tamtego okresu — przez pośrednictwo duchowo bratniej pracy Cieszkowskiego w *Ojcie nasz* — lecz niemało zapewne odnajdzie się z jego pojmowania dramatu dziejów polskich w historykach grupy krakowskiej. Sam on przechodził kryzysy i ewolucje ostateczne w latach między 1846 a śmiercią własną w przededniu nowego powstania (1859), których śladem są wymienione wyżej i inne drobniejsze utwory. Ostatnim był z wielkiej trójcy romantycznej, z której Mickiewicz zamilkł oddawna lubo świecił z oddalenia ideałem potężnej woli samodoskonalenia się. Od Słowackiego oddzielała przyszłych historyków przepaść jego własnego polotu (bo nie demokracja, dla wielu z nich zrazu — przekonanie własne) — Krasiński stał najbliżej, był myślą swoją najbardziej zawieszony na rubieży historii a chwili obecnej.

I stanowisko jego względem wiary (wierność dla Rzymu), względem powołanej zdaniem jego w dziejach do przewodnictwa warstwy (szlachta i rody) — z jednej strony, z drugiej zaś stanowisko do rewolucji i spisków jako środków działania (bezwzględne ich potępienie) — zgadzało się w znacznym stopniu z ostatecznymi przeobrażeniami krakowskiej grupy.

Poetą ich był Krasiński nie w tem znaczeniu by gasił świetność poetycką Słowackiego, mądrością ich nie w tem znaczeniu by zaćmiewał mądrość narodową Mickiewicza, lecz że żywy człowiek, do ostatnich chwil współcierpiący, współradzący z epoką, że umysł zdyscyplinowany w tej właśnie tradycji rodów i kościoła, która była i ich dyscypliną — potężnie wsparł ich własnym natchnieniem i zasilł własną mądrością. Tym to — najpóźniejszym — swym konarem romantyzm wszczepił się w sam rdzeń poglądów grupy krakowskiej. A tak spełnia się,

cośmy zaznaczyli, że nawet walcząc z romantyzmem okres ten używać będzie broni w ogniu romantyzmu hartowanej!

Nie możemy tu wchodzić w rozbiór poszczególnych przejawów wyrażonej wyżej zależności. Świadectwo ich wszakże świadome znajdujemy w roztrząsaniach prof. Tarnowskiego, który czy to mówiąc o Szujskim lub Kalince, czy kreśląc charakterystykę Krasińskiego lub Słowackiego, czy wreszcie mówiąc od siebie i wypowiadając już własne opinie — zależność tę historyzofii grupy krakowskiej od Krasińskiego stwierdza aż nadto wyraźnie. Zapewne jak tylko wyraźnie i ściśle zespolić się mogą dusze w niewoli (dnia dzisiejszego, walki stronnicej) z duszą wyzwoloną poety.

Natomiast, nim przejdziemy do dalszych lat, nim zakończymy na razie ten pobieżny przegląd tego podwakość historycznego momentu przejścia między przed a popowstaniowym okresem — musimy na jedną jeszcze okoliczność zwrócić uwagę.

14. Proza historyczna jest spadkobierczynią tradycji romantyzmu i pod innym jeszcze, zgoła nie najmniejszym w literaturze, względem. Oto, uprzedzając powieść, proza ta przejęła w siebie żar i rytm języka romantyków — zapaliła się ich uczuciem, rozbarwiła ich barwami, wzięła w siebie raz dramatyczny ruch *Mazepy* — to znowu potoczystą dostojną obrazowość *Pana Tadeusza* — zgoła w dziełach Szajnochy, Kalinki, Szujskiego, Tarnowskiego, Kubali postąpiła tym ogromnym krokiem naprzód, którym uwarunkowało się późniejsze odnowienie stylu belletrystyki polskiej datujące od Sienkiewicza. Podrabianie autentyczności tekstów Rzewuskiego lub Chodźki, zasłyszane archaizmy Kaczkowskiego, dziennikarska nieco sprawność Kraszewskiego same nie usprawiedliwiają późniejszego rozkwitu prozy polskiej w powieści. Bez *Jagielły* i *Jadwigi*, bez *Dziejów*, bez niezliczonych *Szkiców* historyków krakowskich, bez ich wreszcie prozy mówionej i pisanej, improwzowanej lub cyzelowanej — niemasz przejścia między cudownym językiem wielkich romantyków przez staromodną ociężałość o pół wieku nawet późniejszych powieściopisarzy naszych do prozy, która dziś już jest powszechną.

Kto pragnie przekonać się o ich wartości niech porównywa bodaj sanockie opowiadania Kaczkowskiego z jego powieściami obyczajowymi z tejże epoki. Jak tam, gdzie autor nie idzie za żywą staropolszczyzną mowa jego wikła się, jak brzmi ociężale, jaka jest nie stara lecz wprost staromodna! To samo z powieściami Kraszewskiego przed a po roku 63-im. To samo w całej niemal prozie polskiej tej epoki. Ale proszę przeczytać fragment z *Dwóch lat dziejów* lub *Jagielły*, jeden szkic Szujskiego, Tarnowskiego mowę lub żarliwe wywody Kalinki, nie mówiąc już o przebarwnych późniejszych obrazach Kubali — tu oto słyszymy wyraźnie jak gra echo genialnego odnowienia rytmu języka, które dał nam Romantyzm. Tędy po raz pierwszy język ów w poezji zdawna płomieniem i blaskami świetny, wyzwolony z pęt konwencyonalnej składni, obrazowy gdy trzeba, gdy trzeba muzyczny — staje się językiem potocznym, prozą, językiem literackim.

Raz jeszcze zgotowane drogi przyszłym zwycięstwom wielu pisarzy polskich.

Tak rozwijała się formuła przeobrażeń i wpływów grupy krakowskiej w dziedzinie właściwej literatury. Takie są łączniki wiążące ją z jednej strony z tradycją twórczą romantyzmu, z drugiej — z nową twórczością pokolenia w znaczeniu bezpośredniego związku treści i formy.

Lecz zarówno punkt wyjścia tej historycznej pracy, jak warunki społeczne i polityczne, wśród których się ona rozwijała obok tych bezpośrednio literackich związków i wpływów — wysuwały inne — życiowe — które znowu kolei miały się stać punktem wyjścia dla nowych prądów i nowych przeobrażeń.

15. Grupa historyków i działaczy krakowskich na schyłku tych lat (1860—1870) znalazła się u steru władzy odrodzonej Galicyi — szeroki miała więc przed sobą zakres działania. Uposażona w talenty, siły fachowe, środki materyalne i związki rodowe — nie dziwnego że potężnie mogła zagarnąć w swe ręce wpływy nie tylko literackie. Po kolei więc pod rząd jej szły instytucje krajowe, teki ministeryalne, dygnitarstwa, uniwersytet i akademia, teatr, ważne organy prasy. Trzeba przyznać, że

w każdym z tych zakresów działo wiele. Akademia, jak wiemy, w ciągu lat niespełna dwudziestu wydała 472 tomy wydawnictw pomnikowych i rozgałęziła się stosunkami po kraju i zagranicą. W prasie organ główny grupy, a potem stronnictwa *Czas* — (od 1848) stanowi do dnia dzisiejszego nie przecięgnięty przez żaden dziennik krajowy wzór pisma kulturze i polityce poświęconego. Teatr nawet wzięty w opiekę przez ludzi zamiłowanych i znawców sztuki rozwinął się wysoko, umożliwiając w ten sposób przyszły rozkwit dramaturgii polskiej.

Grupa krakowska starała się i nawiązywała stosunki w Poznaniu i w Warszawie. W tej ostatniej *Biblioteka warszawska* jest w tych latach jej najbliższą, drukuje prace krakowskich historyków (tu już w 62 Szajnocha dawał swoje *Dwa lata dziejów*), wysoko stara się utrzymać swój poziom literacki.

Dwa te pisma *Czas* i *Biblioteka warszawska* są bezwątpienia najstarszymi ogniskami polskiej kultury literackiej w ciągu drugiej połowy XIX wieku.

Im wszakże bardziej szerzył się wpływ krakowskiej pracy, im wielostronniej wiązała się ona z życiem — tem nieuchronniej ostrze owej krytyki historycznej zwracać się musiało przeciwko współczesności, aż zgoła niemal opuściwszy dziedzinę dziejów — całe się obróciło ku sferze działalności społecznej i politycznej.

Historyzofia przeradzała się coraz wyraźniej w sztukę rządzenia, mądrość dziejowa — w tak zwaną mądrość polityczną, temperament i żar uczuć ogólnopolski — w zaciętość starć partyjnych, w zapaśnictwo polityczne. Organy grupy *Czas* i nowo powstały (1865) *Przegląd Polski* zdobią się zapewne dalej pracami historyków i bardziej niż inne pisma polskie są odzwierciedleniem troski o kulturę literacką lub artystyczną — lecz przedewszystkiem są bojowymi organami partyi.

Przegląd Polski rozpoczyna druk zbiorowej pracy Szujskiego, Koźmiana, Tarnowskiego, która ukazując się w 1869 r. jako *Teka Stańczyka* — może dla nas służyć za literacką datę ostatecznej krystalizacji kierunku.

W *Tece Stańczyka* pogłosy Kraszińskiego przedziwnie sprzęgają się z małostkami chwili bieżącej, historyzofia z polityką i dziennikarstwem. Właściwie ten atak kilku mocnych lu-

dzi na klasyczne zboczenia i wady parlamentaryzmu — na przekupstwo, prywatę, agitatorstwo, płytkość menterów politycznych — nie wzruszałby nas dzisiaj nad miarę, gdyby nie rozmach z jakim to zrobiono — rozmach przekraczający granice zwykłej parlamentarnej polemiki.

Bo oto widzimy, że przewijają się tu na tle mało ciekawego Tygryswa (Lwowa) — wśród ciżby licznych Ignorancuszów, pułkowników Pawiów, kobiet politycznych Aldon — figury takie jak Brutusik, Pankracy — epizody takie jak parafrazy Słowackiego — aluzje takie jak do wieszczki Ezechiela... Egzaltowana królewianka może nie jest pomysłem rozumnym w świeżej żałobie wspomnień, Liberyusz Bankrutowicz może nie koniecznie należeć do obozu krakowskiemu przeciwnego — ale ostatecznie wiemy, że tacy byli i są wszędzie, że niejedyn gadacz polityczny istotnie »potęgą płuc« nie ducha dochodzi nie do ideału, ale właśnie do »zrobienia majątku i zamieszkania w Wiedniu«...

Lecz Pankracy i Brutus, Słowacki i Ujejski wiedzeni między Aldony i Pawie, Ignorancusz i Bankrutowicze — to straszny zgrzyt! Czujemy instynktem, że tu już nie z historyzofią, ba nawet nie z polityką w znaczeniu kierowniczym, ogólnem mamy do czynienia — lecz z zacieklą wojną stronnicy, z tym charakterystycznym *vogue la galerè!* z jakim się na teren walki o władzę rzuca prawdę i nieprawdę, i to co się wie napewno, i to o czem się ma wątpliwości byle — zwyciężyć. Czujemy, że się dzieje krzywda jakaś duchowi. Coś się tu niedowolnym gestem samowoli przesądza z rzeczy w sumieniu wieków jeszcze nie osądzonych. Coś z naszych sumień głębi woła — nie pozwalam! A to już nie o *liberum conspiro* sprawa — lecz o dostojną wolność duchów, których jak jeńców skruszonych żaden tryumfalny wóz polityczny — nie powiedzie.

I zwyciężyli: stańczycy-partya zwyciężyli stańczyków-historyzozofów. To znaczy, iż wskutek walki o władzę polityczną, która istotnie została przy nich, nie posunęli się dalej po drodze, która ich wiodła do objęcia nad społecznością — władzy moralnej. Mniemam — i to jest zapewne najtragiczniejszy moment w przeobrażeniach tej grupy — że przegrana ich w tem zwycięstwie jest głębszą, niżby się zdawało. Oto — nieprzebie-

ranie w środkach duchowych dla zapewnienia sobie władzy do-
rażnej, ta pogładowa lekcya polityki dana społeczeństwu w tej
formie zlekceważenia — zdyskredytowała i opóźniła w tem
społeczeństwie najukochańszą ideę samej ich historyozofii —
ideę silnego rządu i władzy silnej jako podstawy
przyszłego odrodzenia. Wiele lat upłynie nim nowa
grupa ludzi pokusi się w Polsce o takie samo zagarnięcie wła-
dzy, a wtedy jeszcze przykład dawny stańczyków zostanie im
rzucony w oczy, jako najcięższy zarzut.

Tu nic nie pomogą frazesy o tych, »którzy się niczego
nie nauczyli i niczego nie zapomnieli«. *Teka Stańczyka* i obrót
spraw po niej jest punktem zwrotnym, od którego opinia, po-
czynająca na razie oswajać się z twardą koniecznością podda-
nia się dyscyplinie mocnej władzy, wytworzenia w sobie jej
organu, choćby za cenę pewnych ustępstw z polskiej koncep-
cyi wolności, — cofnęła się znowu za szranki jej, zapominając
na razie czego się była »nauczyła« bodaj z *Dziejów* Szuj-
skiego i Kalinki *Sejmu*...

Nie wytaczamy tu procesu o *polityczną* wartość akcyi
stańczyków. Wszakże politycznie oni zwyciężyli, a dochodzenie
czy gdyby nie byli zwyciężyli, byłoby lepiej czy gorzej — uwa-
żam za czcze i dziecinne. Chodzi o to nie jak zwyciężyli, ale
raczej o to jak przegrali przed sumieniem ogółu. Otóż mnie-
mam, że nie konieczny kompromis z klerem (bez którego zwy-
ciężyć nie mogli), nie obrócenie się energiczne przeciwko spis-
kom (bez tego nie zdobyliby zaufania rządu), nie energiczne
wystąpienie przeciwko opozycyi galicyjskiej (ta przecież sama
wyrazem doskonałości nie była) — zraziło do nich tę opinię
daleko poza granicami Galicyi, lecz owo pomieszanie imion naj-
droższych narodowi z imionami wątpliwej wartości, pomieszanie
natchnień bólu i miłości z »prawdami« polemik politycznych,
owo wciągnięcie na rynek parlamentarny tych wartości, może
nieprzydatnych polityce, lecz sumieniu narodowemu pamiętnych
i drogich, owo rozstrzygnięcie arbitralne wątpliwości najgłębiej
w sumieniu naszym przytomnych i przed i długo jeszcze po
możliwych tu »zwycięstwach« wyborezych, politycznych i par-
lamentarnych, które odnieść możemy. Spór Słowackiego z Kra-
sińskim, chylenie się Mickiewicza z *Trybuny Ludów* do sta-

nowiska Słowackiego — to nie argumenty za lub przeciw
rządom takim lub innym. To są zawsze żywe cząstki ich ge-
niuszków, które tylko w związku ze swemi całościami i całością
dziejów polskich rozważane być mogą. Brutusów i Pankracych,
Ezechielow i Dejanirę należało zostawić literaturze i historyi,
nie wciągając ich do partyjnych sporów. Oni zbyt dużo waga
w sumieniu i najmisterniejszą tkaninę rozumu politycznego wagą
swoją — przedziurawią. Grupa krakowska nie może tu zasłonić
się przykładem »kobiety politycznej Aldony«, że ta również
wciągała naszych wielkich w swe małostki i cytowała ich
»wiersze« w swojej »prozie«. Z Aldoną — to jest tylko głup-
stwo, z Szujskim i Tarnowskim — to wina.

Mniemam, że odwrócenie się ogromnej większości opinii od
stańczyków — coraz wyraźniejsze w latach następnych —
w tym właśnie ich geście zlekceważenia, którym była
Teka Stańczyka, ma swój początek.

A tak poszukiwacze mocy, potęgi, siły, któraby w rzecz-
pospolitą naszych dobrych chęci wwiódła pożądaną naprawę
właśnie gdy dotarli do swojego rozumienia tych poszukiwanych
wartości w idei silnej władzy — wtedy właśnie utracili
lub tracić poczęli wpływ na opinię, — nazbyt nierozważnie
przeciwstawiając tę ideę rządu politycznego — idei rządu dusz...
W tem ich tragizm prawdziwy.

Wszelako ten właśnie moment przelomowy wpływu (nie
pracy) grupy krakowskiej staje się, jak zobaczymy, w przy-
szłości punktem wyjścia nowej niezmiernie ciekawej ewolucyi
twórczej, opartej na ponownem a głębszem niż dotąd rozważe-
niu właściwej historyozofii naszych wielkich romantyków. Lecz
stanie się to znacznie później. Tu jeszcze jedna uwaga ciśnie
się pod pióro: czy to co zraziło opinię zarówno do grupy kra-
kowskiej, jak i do polityki Wielopolskiego — czy to co się
w nich przeciwstawiało sentymentalizmowi i nierządowi polskich
dobrych chęci — tym dwom wadom polskiego geniuszu od nie-
pamiętnych czasów — czy samo to nie było w znacznej mierze
echem wady również historycznej — nieukróconej samowoli kró-
lewiał, zaślepiających się pychą własnej arbitralności urodzo-
nych oligarchów?

Zarzuca Stańczyk współczesnym, że u rokoszan rzeczypo-

spolitej polskiej także miłość ojczyzny była zawsze na ustach — a królewiczy, czy zawsze nie brali także zbyt wiele na swą odpowiedzialność, nawet wtedy gdy na kresach zasłaniając ojczyznę czynili to na własną rękę?

Mniemam, że opinia, której spóźnionym zresztą i niezupełnym wyrazem była *Teka Nieczui* Kaczkowskiego (1883), wszystko to odczuła.

A tak nad nową przemianą prastarej waśni polskiej po dawnemu wśród krańcowości i rozpierzchnień świeciło jedno tylko najstalsze światło przewodnie, najnieomylniejsza z historyzofii naszych — mickiewiczowska praca nad stworzeniem prawdziwie nowego człowieka, dorastającego w duchu dopełnienia wielkich zadań historycznych.

Prawdziwie — bardzo wiele z »romantyzmu« ostawało się i wskutek działania grupy krakowskiej i wbrew temu!

Dalszy zaś tok naszych przemian tembardziej wiązać się musiał — w węzeł dramatu.

Poznamy niebawem nowe *dramatis personae*.

ROZDZIAŁ III.

Powieść i prasa wyrazem potrzeb zbiorowych.

16. »Strach tu zajrzeć!« — pisze o Galicyi tych lat Kraśzewski. — »Czas z kropidłem, *Gazeta Narodowa* ze ścierką, *Dziennik Ławowski* z wiechciem na drągu, *Dziennik Polski* z trzcina o złotej gałce, *Unia* z tonsurą, *Kraj* z swym aparatem topograficznym, *Szczutek* z tabakierką pełną ciemierzycy, *Dyabeł* z ożogiem, *Przegląd Polski* z błazeńską czapką i dzwonekami stańczykowskimi — wszystko to miota się, nawołuje do porządku, laje, pluje, krzyczy, bije...«

Tak w dosadnym szkicu powieściopisarza odbija się wstępujące w swe prawa »szóste mocarstwo« — prasa.

Gdyby zarys nasz mógł objąć wszystkie sfery kulturalnej i niekulturalnej żywotności ówczesnego społeczeństwa — charakterystyka prasy musiałaby w nim zająć bardzo poczesne miejsce. Jest to w istocie chwila, w której wyraża ona w pospolitem ruszeniu pism zbiorowych, kwartalnych, miesięcznych, tygodników, dzienników, świstków i efemeryd całą mnogość czynników życiowych, całą rozbieżność prądów i opinii. Raz wraz powstają grona, grupy, redakcyje, mające wreszcie oświecić społeczeństwo, wytknąć drogi, podać ton chwili. Upadają jedne usiłowania — już znów się kupią nowe grona i grupy — właśnie jak maski dokoła Konrada, zabiegając dokoła ducha narodu. Odczuć go, odgadnąć go, pchnąć go do czynu — natchnąć go, samym z niego natchnienia zaczerpnąć — wszystko to krzyżuje się

w atmosferze tych czasów i wre, i kipi, i pryska pianą lub ukropem.

Kształtujące się do politycznego życia stronnictwa starają się stworzyć sobie organy to w Tygrysowie owym w wiecznej opozycji z Krakowem będącym, to pod samymi »okopami św. Trójcy« — w Krakowie. Padają hasła ludu, demokracji, postępu, pracy u podstaw, wolnej myśli — odpowiadają im sygnaturki ultramontanizmu, klaskanie podolskiego harapu, wreszcie naprawdę zgrane głosy z jedyne go rządne go obozu — stańczyków. Dawne waśni klasyków i romantyków, niedawne białych i czerwonych, wieczne — młodych i starych — coraz wyraźniej w szrankach prasy, polityki i działalności społecznej przybierają charakterystyczną dla naszej doby formę walk »zacołańców« z »postępowcami«.

Gdybyśmy poszli śladem niestrudzonego zbieracza »dokumentów« Chmielowskiego — odkrylibyśmy w tem pospolitem ruszeniu pierwszych lat galicyjskiego samorządu — wszystkie zasadnicze formy tego konfliktu. Od cytat z Mickiewicza i Słowackiego usprawiedliwiających »postęp« — do cytat z Krasieńskiego — usprawiedliwiających »zacołanie« — od przekładów i streszczeń z »pozytywistów« francuskich i niemieckich, od powoływania się na »siłę i materję« — do podręczników klerykalno-filozoficznych, kazań przeciwko nowej filozofii i filozofii nowych kaznodziejów. Znaleźlibyśmy wszystkie hasła »pracy organicznej« wyrażone w naczelných artykułach pism, wszystkie napaści na »romantyzm« jako na wyraz rozigranej »wyobraźni« i nieokielznanego »uczucia« — znaleźlibyśmy słowem cały ów nieprzetrawiony ferment nowych warunków życia, nowych wpływów zachodu, który odnajdziemy w kilka lat potem — w Warszawie pozytywistów.

Prasa stała się już w istocie odbiciem chwili bieżącej — współczynnikiem jej przemian. Chwila i prasa przeciwstawiają się utracyuszowsko rozrzutną wszechstronnością — temu co wieczne i jedyne. Potrzeby chwili i potrzeby prasy poczną w tym okresie oddziaływać coraz potężniej nawet na — twórczość. Jeśli n. p. około roku 1830 polemika romantyków i klasyków wybiega na łamy owoczesnych pism — to jednak bynajmniej nie znaczy to by pisma owe w Polsce odgrywały rolę

kierowniczą i ogniskową, jak w okresie obecnym. Długo jeszcze społeczność szlachecka oswajała się ze znaczeniem i doniosłością prasy, czytując swe »dzienniki« raz na miesiąc wychodzące, leniwie oplacając »noworoczniki«, w których literacko sejmikowały prowincye Polski w dobie romantyzmu — aż bystry nurt demokratyzacyi Europy, nagle wypadki idące w coraz bardziej nerwowem tempie, wzrastająca zależność wzajemna rynków wytworzyły właściwą podstawę dla »szóstego mocarstwa«. Gdy zaś podstawa ta raz stanęła, gdy i u nas prasa przebyła stadya rozwoju wiodące do groszowego pisma, gdy przy piśmie-ognisku ukazała się liczba-potęga w postaci tysięcy prenumeratorów — wówczas żeglujący na morzu czernidła arkusz bibuły stawać się począł coraz potężniejszym i samodzielniejszym organem życia epoki.

W roku 1830 wszystkie razem pisma warszawskie w liczbie 23 posiadały 2820 prenumeratorów — w roku 1862 cyfra prenumeratorów ogółu pism warszawskich waha się między 20—25 tysiącami — wszakże to w tej chwili pismo poważne po raz pierwszy dosięga tu cyfry 7500 abonentów (*Gazeta Kraszewskiego*) — rzecz nieznaną przedtem w dziejach naszej prasy!

W Galicyi, gdzie warunki policyjne nie kępowały tak prasy, jak w Królestwie, rozwój jest uderzający: »całe pokolenia literatów rozpoczynały prawie zawsze od pracy w *Rozmaitościach* lub w *Gazecie Lwowskiej*« (*Estreicher*). Obraz zaś literatury Chmielowskiego, który jak wiemy jest w połowie obrazem starć polemicznych w prasie owoczesnej — gromadzi aż nadto materiału, byśmy wiedzieli, że pod względem politycznym, społecznym, naukowym nawet działo się tak samo; całe również pokolenia działaczy na tych polach zaczynają (i kończą często) — w prasie.

Zastrzegamy się tu na wstępie, że zjawisko, w którem czynnik liczby odgrywa decydującą rolę — nie może być w żadnym razie jakimś miernikiem wartości twórczych. Prasa jest jak statystyka: każdy argument znajdzie tu swoją — cyfrę. Nie pójdziemy więc torem Chmielowskiego wykonywającego pracę Danaid, gdy stara się podać ogół opinii prasowych tego okresu. Mógł zapewne Julian Bartoszewicz przeczytać »wszystkie dzienniki XVIII stulecia« — ale szaleństwem byłoby

w obrazie literatury kusić się o wyczerpanie nawet główniejszych przemian i obrotów całej prasy polskiej w drugiej połowie XIX wieku — szaleństwem wreszcie zgoła bezowocnym. Wiemy o tem, że roczniki pism tworzą złudne kopalnie »bogactw«, że ich przewodnictwo jest drogą wśród chaosu i że wyczerpać w jakimś rozdziale »przyczynki« tam leżące pokładami — jest niepodobieństwem.

Nie o to też tutaj idzie. Lecz pragnąc nakreślić szranki, w których myśl i twórczość pracują w tej dobie — niepodobna na wstępie nie stwierdzić tej wzrastającej od połowy wieku potęgi prasy. Prawdziwie aforyzmem tej epoki mogłoby być »prasa — to potęga«. A przytem, mimo wszelkich zastrzeżeń co do samej istoty pisma jako czegoś z zasady nie-estetycznego, nie-twórczego — trudno nie dostrzec, że i pod tym względem w drugiej połowie wieku prasa przebywa niezmiernie ciekawe przeobrażenia. Coraz częściej mianowicie powstają pisma mające jeśli tak rzec wolno — duszę. Wszelakie *Rozmaitości*, *Wiadomości*, *Merkuryusze*, *Gazety* nabierają tu niekiedy cech tak organicznej jednolitości, mają tak odrębną fizyonomię, że po prostu stają się jakby utworami istniejącymi samodzielnie. Może jakieś misteryum twórczości zbiorowej, wielkiego anonimatu dusz współwyznawczych kryje się pod bibułą »szóstego mocarstwa« i wзира ku nam stamtąd od czasu do czasu nową formą współpracy? Bo wszakże obok wielkich interesów dziennikarskich obrachowanych na ogłoszenia i magazynów nowości operujących towarem sensacyi — istnieją pisma-ogniska, niemal pisma-indywidualna, które wprost jak osoby, jak pisarze mają swój styl, ideję, formę — słowem duszę.

Niejednokrotnie poznamy w toku tych uwag ogniska takie zbiorowej twórczości, gdzie współobcowanie pewnej grupy wytwarza nowy i potężny czynnik, gdzie praca ich nie jest prostą sumą prac poszczególnych autorów, lecz jak w *Czasie*, *Przeglądzie Tygodniowym*, *Głosie*, *Życiu* krakowskiem — wytwarza niemal nowy walor twórczy.

W rozdziale poprzednim starałem się wyrazić jak kierowniczym i potężnym czynnikiem przeobrażeń naszych była idea zbiorowości, idea wzajemnej solidarności dusz ujawniona w formie prądu historycznego. Zara-

zem nie trudno tam było dociec i nawiązać prąd ten do głównego nurtu twórczego XIX stulecia — do romantyzmu, który w najistotniejszej swej głębi był poetyckiem stwierdzeniem tejże idei zbiorowości.

Tutaj — gdy mowa o wręcz przeciwnym czynniku — o wpływie chwili — widzimy, że chwila ta jest podług sił swoich znowuż współpracownicą tamtej siły — że chwila ta, tworząc swój wyraz w prasie, w niej zaś dążąc do skupień organicznych, współwyznawczych — daje znowuż potężne wspomnienie zbiorowości.

Tak jest: niepoliczone polemiki prasy nie dzielą, lecz łączą społeczność, wytwarzając w niej świadomość związków i zależności, dopomagając jej ślepyim przy urodzeniu siłom do zespołu w potężnych akordach celów i środków jawnych a wspólnych.

Zarazem zważmy, że taka rola prasy w społeczności zaledwie dwie swoje grupy (szlachta, kler) jako tako poddającej dyscyplinie zbiorowej — jest tem większą im bardziej tej społeczności zależy na szybkim przeprowadzeniu tej dyscypliny wśród wszystkich swych z chaosu powstających sfer społecznych. Niech się nikomu nie zdaje, że bawimy się tu w socyologię: owszem nie spuszcza my ani na chwilę z oka literatury i twórczości i mniemamy właśnie, że one to *przede-wszystkiem* miały — jak to się okaże w drugiej części tej pracy — najrychlej i najgłębiej skorzystać na tem ostatecznym rozwinięciu i wyczerpaniu formuły zbiorowości, postawionej przez romantyzm jako *palladium* twórczej nawet pracy, a dążącej do zupełnego wyrazu i osiagającej go — właśnie w ostatniem pięćdziesięcioleciu.

Dlatego to wskazaliśmy tu i na rolę prasy jako wyrazi- cielki chwili, podnosząc w niej ten kierowniczy czynnik zbiorowości, coraz wszechstronniej i głębiej organizujący się wśród nas, a tem samem na razie potężnie wpływający na sam rodzaj literatury.

Nie trudno w istocie zauważyć, że prasa niezależnie od tego że sama dochodzi niekiedy do owych utworów zbiorowych, jak *Głos* lub *Życie*, na ogół wpływa niezmiernie na ustalenie się pewnych rodzajów twórczości — niekiedy nawet wprost stwarza nowe rodzaje.

Przykładem takiego »rodzaju« zawdzięczającego byt swój prasie jest — fejteton — przeobrażenie satyrycznego pisma z XVIII stulecia dokonane li tylko pod ciśnieniem wielu atmosfer prasy.

Zobaczmy jaką rolę odegra fejteton w Galicyi — zwłaszcza zaś w latach 1870—90 w Warszawie, gdy inne jeszcze przyczyny rozwiną całą wartość tej formy.

Na razie jednak (1860—70) nierównie ważniejszy wpływ ma prasa na rozwielenianie się innego rodzaju literackiego — wszechobecnej w tej dobie powieści.

17. Byłoby zapewne zuchwalstwem twierdzić, że powieść, to dziennikarstwo poezyi, wogóle byt swój zawdzięcza prasie. Rozwój jej jednak jako formy panującej, zarówno na Zachodzie, jak u nas — przypada ściśle na okres rozwoju prasy. A to tak dalece, że wiek XVIII widzi tryumf powieści nasamprzód w Anglii — tam właśnie gdzie prasa staje się najwcześniej potęgą, potem, gdy się ta ostatnia rozwija we wrzeniu rewolucyjnym — we Francyi, gdzie już do końca XIX wieku panuje wyraźnie, ulegając wraz z prasą znamienym przeobrażeniom.

U nas rozwija się powieść przebudnie między 1848 a 1860 rokiem — również w chwili pierwszych zdobyczy prasowych. Wraz z prasą zaś staje się formą panującą w latach 1860—1890.

Pod datą r. 1860 Estreicher liczy około 30-stu powieściopisarzy pracujących w samej Galicyi i dla jej przeważnie wydawnictw. Królestwo i Litwa dostarczają znacznie więcej — mniej jednak jeśli zważymy stosunek do ogólnej cyfry ludności. (Znowu powołujemy się na cyfry, nieodzowny współczynnik zbiorowości). Za powieść wydawcy pism płacą i płacą podług świadectwa epoki — dobrze. Już nie »sztuczke na kamizelkę« dostaje autor za powieść, przyjętą w piśmie, lecz tysiące złp. t. j. zdobywa sobie samodzielne utrzymanie. Publiczność powieści żąda, redakcyje je — stwarzają. W Galicyi piszą je od połowy wieku lub przedtem Zacharjasiewicz, Łoziński, Dzierzkowski, Morawski, Łobeski, Bielawski, Dulski, Dobrzański, Cieszewski, Pomorzońska, Goczalkowska — i wreszcie tryumfator rodzaju — Kaczkowski, który sam jeden w dziesięcioleciu

1850—1860 dał 11 swych najlepszych utworów, rozrzuconych po fejtetonach pism galicyjskich, poczynając od *Czasu*.

Chyba tylko sprawa reform w Polsce zajmuje tak umysł jak powieść w tej chwili. Powieść ma przywilej pobudzania do głosu i wymiany zdań. Z powodu Kaczkowskiego przemawiają: historyk Szajnocha, esteta Siemieński, archeolog Łepkowski, polityk Koźmian — a dalej Kondratowicz, Pietkiewicz, Odyniec, Grabowski, Zawadzki, Dzierzkowski, Marcinkowski, Lewestam, Tyszyński, Pilat, Bartoszewicz, Kraszewski!... Widzimy, że krytycy zawodowi są tu w mniejszości, gdyż wszyscy mówić chcą o zjawisku nowej polskiej żywotności — zaś powieściopisarze odpowiedzą na powieść — powieściami — aż rozpocznie się niebywałe przedtem krążenie pierwiastków twórczych, ideowych, uczuciowych po całym obszarze rzeczypospolitej dusz polskich. Wehikułem ich, jak mówią malarze o tej kropelce oleju, która przewozi po płótnie żdźbła farby, jest — powieść. Protektorką powieści — prasa. Jedno i drugie tryumfuje w małej Galicyi, a z całego obszaru Polski rekrutuje swe siły. Tak niedawno jeszcze zamilki Tarsza (Grabowski) (1863), Rzewuskiego (1866) jaśnie-wielmożny talent i ciemne jak tabaka w rogu przesady jeszcze żywią we wszystkich wspomnieniach. Głębokie dziwactwa Szyrmera, serdeczne gawędziarstwo Chodźki — to nieumilkłe wczoraj. Korzeniowski, największy artysta-kompozytor epoki żyje jeszcze († 1863) — a już obok tych starszych — młodszy zastępem całym wchodzi na łamy pism — więc T. T. Jeż, rozwijający się Zacharjasiewicz, Pietkiewicz (Adam Pług), obaj dający najlepsze rzeczy właśnie między 1860 a 70, Paulina Wilkońska, Sadowska (Zbigniew), Walerya Marrené-Morzowska, Marya Ilnicka, Przyborowski, Bałucki, Wołody Skiba (Sabowski) i wielu innych.

Zaraz po roku 63-im przybywają nowe a znakomite siły powieściopisarskie w Orzeszkowej i Lamie, którzy już w następnym dziesięcioleciu (1870—1880) połączą się w nową plejadę najświetniejszych talentów od Sienkiewicza i Prusa do Reymonta i Żeromskiego prowadzącą.

Jest to więc zupełna, nieprzerwana ciągłość rozwoju na przestrzeni pół wieku zgromadzająca poczet współpracowników

niezwykle liczny, często doborowy, niekiedy niezastąpiony dla tej epoki żadną inną formą twórczości.

Belletrystykę uprawia się w tym okresie wszelkimi sposobami: fachowo i na ochotnika (rzadki poeta nie pisze powieści), przez starych i młodych, przez współpracownictwo kobiece tu w literaturze najliczniejsze, przez klasyczną formę powieści, najmiłą podobno sercu czytelnika i wydawcy, jak przez jej różne surogaty (fejleton, wspomnienia) i krystalizacje (nowela).

Przy końcu tego okresu (1896) wyszczególnia Chmielowski 354 pisma, wychodzące po polsku. Otóż zapewne połowa z nich zasadniczo lub dodatkowo korzysta ze wsparcia belletrystyki i jej przetworów. Więc znowu »cyfra« jawi się tuż przy zjawisku (jak w prasie) jako rękojmia zbiorowości: »Le journalisme mène à tout — à condition d'en sortir« — mówi jeden z jego twórców (Villemessant). Otóż jednym z takich »wyjść« z dziennikarstwa przez wspólną potrzebę chwili prowadzającym do literatury — jest powieść!

Zastanawiając się cokolwiek głębiej nad racją bytu powieści — formy w twórczości poetyckiej w przeważnej mierze przejściowej i niepełnej — znajdziemy niewątpliwie to samo podłoże zjawiska, co i dla prasy. Demokratyzacja społeczeństwa — znalezienie się współczynnika liczby obok wszelkiej wartości — oto punkt wyjścia. Pogańskie »bogactwo« życia, a raczej jego współczesna bazarowość — niemożność przeżycia własnego tysiącznych jego przeobrażeń i doświadczeń — oto droga wspólna.

Niekiedy, gdy przeobrażenie sięga naprawdę głębi istoty ludzkiej — jawi się powieść — dzieło sztuki. Częściej — to tylko chaos fragmentów i załączków, niesiony prądem czasu, właśnie jak owe pół-uskrzydłone nasionka roślinne. Wegetacja bujna, wciskająca się wszędzie, wracająca, choć pokonana, powtarzająca się w tysiącnej skali dla tysiącznych potrzeb — oto charakter powieści. Siła jej niemal powiedziełby można paradoksalnie — w jej słabości estetycznej, w tem jej ciąglem stawaniu się, w tej łatwości rozprzegania i sprzęgania coraz to nowych pierwiastków, które przecież jest przeciwne dziełu artystycznemu, gdzie raz sprzęgnięte pierwiastki żyją nieśmiertelnie i bez zmiany.

Ale za to — jakież nieporównany wykładnik dla wszystkiego, co się jeszcze staje a nie stało, co się kojarzy z chaosu w jakąś jedność, co błądzi i szuka i oczy otwiera — jaki słowem pomost między przepaściami dla wszelkiej ludzkiej zbirowości, nim ona się uporządkuje o tyle, by mogła sobie pozwolić na zbytek — jednostki!

Otóż tej swojej misji powieść polska ani na jedno mgnienie oka nie przestała pełnić od chwili ukazania się, przez czas popowstaniowy aż do dni naszych.

Dlatego to musimy poznać jej przemiany i związek zarówno z wiecznym słowem sztuki jak z ruchomą potęgą społeczności. A gdy szarlatanizmem byłoby kusić się o wyczerpanie poszczególnych utworów powieściowych, autorów nawet tych lat, podobnie niewykonalnym jak streszczenie prasy — zatrzymajmy się na razie na dziele i pisarzu, który sam w sobie jest niemal instytucją, prądem i okresem, który wszystko odbija i wszystko zapładnia niebywałym geniuszem żywotności podobny do samego społeczeństwa — poznajmy naprawdę Kraszewskiego.

18. Ten ogrom pracy i zasługi, któremu na imię J. I. Kraszewski, przez trzy ćwierci stulecia karmiący rzesze niewyczerpanym zasobem, nie czekał zapewne na naszą charakterystykę. Podobnie jak on sam czytał *wszystko* i pisał o *wszystkiem*, tak można powiedzieć, że *wszyscy* napisali o nim *wszystko*, co było do napisania. Jeden to zresztą z niewielu współczesnych pisarzy, który doczekał się własnej wszechstronnej monografii: w niej niez mordowany Chmielowski objeżdża go dookoła, jak turysta nie mający odwagi wejść na szczyt objeżdża górę dla lepszego jej poznania... Za życia doczekał się wszystkich holdów i tryumfów, jakie pisarzowi polskiemu przypaść mogą w dziale. Gościł go Kraków w roku jubileuszowym (1879) z przepychem Wierzyńkowych czasów — uczciła go młodzież i najdalsze kresy kraju. Najgłębsze bodaj zrozumienie jego wypowiedział najdumniejszy umysł współczesny: Świętochowski, gdy nie bawiąc się w łatwe ogólniki o ilości i jakości pracy — w samym ogromie jej stwierdził pierwiastek geniuszu.

Nie zamierzamy więc tutaj i my dać obrazu że tak powiem wszystkiego Kraszewskiego. Pragniemy tylko w całości jego przemian wskazać najgłębiej tkwiące i dosadnie wyrażone powinowactwa jego z czasem, gdyż pod tym względem prawdziwie jest Kraszewski wprost opatrnościową postacią. Nigdy prądy stulecia, płynąc przez serca jego wyrazieli, nie zostawiały wyraźniejszych śladów. Jest Kraszewski, jak skała, mierzająca każdej chwili głęb' naszej fali życiowej — a która zarazem zawsze nad poziomem nurtu cokolwiek góruje.

Wiemy skąd ta szeroka rzeka prac wypłynęła: ze szczerych źródeł wielkiej epoki romantyzmu, zasilając się z młodości dopływem tradycji wileńskich, niewygasłych tam technię najpiękniejszego z przyjacielskich a rówieśnych kół Młodej Polski.

Lata męskie (1830—1848) romantyzmu zastały i Kraszewskiego w wieku męskim. Rówieśnik Krasińskiego przeżył najpóźniejsze przemiany ducha i losu polskiego, a tem się przede wszystkim różnił od wielkiego pokolenia romantyków, że w zupełnym domatorstwie pędząc życie, nie wychylając się wcale (do 1858) poza obręb Wołynia, Litwy, Królestwa — zrósł się nie z ogólnym bólem czasów, lecz z każdym niejako poszczególnym włókmem lat i zdarzeń. Objężdżał oto w swej litewskiej »kalamaszce« włości i dzierżawy tego życia, jako uczciwy wódz, czuwający nad włością. Rozległa włość i jasnopańska — ale ileż razy i na ilu miejscach — opuszczona...

Tam zawsze i wszędzie Kraszewski brał się do naprawy.

I urastał z tego zrastania się z nagłacemi potrzebami miejscowemi — jak rósł naród. Około roku 1860 — to już wielki pan na trzydziestoletnim skarbie pracy. Trudno wprost zliczyć jej koleje. Podejmował Kraszewski sam jeden — encyklopedye (Słownik artystyczny) — w powieści rozwijał się wespół z powieścią europejską — od Hoffmanna i Jean Paul'a zaczynając — przechodząc przez wpływy Balzaka, Hugo, Dumasa, Gaboriau, Freytaga — aż do romansu »doświadczalnego«... Był historykiem-wydawcą i historykiem-monografistą — był poetą i dramaturgiem — był jednym z najświetniejszych krytyków literackich i esseistów, jakich mieliśmy (1840—1860), a jeszcze w dobie najpłytszego sądu nad romantyzmem, dawał sędziom

najlepszą odprawę (1875). Był znawcą i miłośnikiem sztuk plastycznych, zostawiając między innymi cenny swój Baedeker z podróży (1858—1864).

W chwili, gdy rozpoczynamy ten okres, Kraszewski właśnie był dziennikarzem, pierwszym jak nadmieniliśmy tryumfatorzem wśród pism warszawskich ze świetnie postawioną *Gazetą*. Nie trzeba dodawać, że zapisywał w niej sam nie mało działów — w naczelnych zaś artykułach dawał wyraz właśnie temu wszystkiemu, co sformułowano jako »pracę organiczną, pracę u podstaw«, a co o ile nie jest programem politycznym tylko *stanem* społeczeństwa stałym — nigdy nie przestanie być podstawą jego bytu.

Zwracano niejednokrotnie uwagę że Kraszewski miał przekonania chwiejne. Właściwie w tej epoce chwiał się grunt pod nogami i ci co byli w grunt ojczysty na miejscu wrośnięci — chwiali się wszyscy. Nie chwiał się może jeden tylko Wielopolski, ale ten wyrastał nie ze społeczeństwa, jeno ze swej samowoli pańskiej. Jeżeli zaś porównamy chwianie się Kraszewskiego z cenzurą Pola, którą sam wykonywał nad swemi wierszami, z nawróceniem się Siemińskiego, kryzysami Szujskiego, Kłaczki, Kalinki, z niewyraźną fizyonomią Szyrmera lub Korzeniowskiego, z ciemnym warcholstwem Rzewuskiego — to znów tak bardzo on się nie odmienił. W każdym razie okres chwiania się Kraszewskiego przypada głównie na znacznie wcześniejsze lata wpływu Rzewuskiego i *Tygodnika Petersburskiego*. Przecież — jak wszyscy — i on już po roku 1848 zapędzą się tak dalece w idealizowanie szlachty, że niemal jej winy w stosunku do ludu całkiem zmazuje, zwałając je na oficjalistów i służbę.

Bogdaj to był symbol! Wtedy naprawdę zgodzić by się można, że taka »służba« wielkich panów nabroiła u nas tyle co oni — tchórzostwem ducha, lokajstwem instynktów wspierając tamtych zuchwalstwo i pychę Kazuści na usługach j. w. klientów, ekonomowie batożący, gdy pan się skrzywił, administratorowie niesumienni, wygodne pisarczyki, znajdujące »teorię« na usprawiedliwienie smutnej »praktyki« — ci zawinili nie mało...

Lecz chwianie się Kraszewskiego w dobie powstaniowej

było zawsze wyrazem najsumienniejszego odczucia życiowych trudności i niepodobieństw. Miał bo w naturze swojej tę gospodarską rozważność, której trudno stanowić niechybnie, gdy wszystko naokół chybia. Chłopcem będąc pisał w jakiejś balladzie: »Tak powiadają. Ja temu nie wierzę, Jednakże idąc — odmawiam pacierze«. Takim został w istocie.

Ale niemylny głos jeśli mu nie zawsze wskazał drogę wyboru — zawsze go wołał tam, gdzie praca była najpotrzebniejsza.

Przez kilka pierwszych lat doby powstaniowej Kraszewski czuje, wie, że trzeba dopomóc ogółowi w rachunku sumienia — i wraz z prostotą do tego się bierze. Jako Bolesławita daje teraz cały szereg utworów powieściowych: *Dziecię Starego miasta*, *Szpieg*, *Czerwona Para*, *My i oni* — to bolesne roztrząsanie przyczyn i skutków, walk i klęsk minionej chwili. Nawet *Oni* nie wystąpią tu jedynie jako zwierzęta (niezwykle odczucie nihilizmu duszy rosyjskiej świetnie skreślone w Artemjewie w *My i Oni*: jakby przecucie psychologii okazanej na dłoni przez Andrejewa i Mereżkowskiego), nawet *Nam* i wtedy nie waha się wyrazić gorzkich prawd. Chaotyczny stan dusz, ekstatyczność i poryw jednych, — głucha rozpacz, i rachunek z nią nieuchronnej klęski — drugich — wszystko to przedstawi Kraszewski wiernie. Nie wyda sądu, bo to nie jego sprawa, lecz zgromadzi materiał i dopomoże do ukształtowania się sądu w sumieniach. Powieści Bolesławity wraz z powieściami Elpidona (Bałuckiego) i kilka prac w rodzaju *Czerwonej Czapki* Zacharjasiewicza stanowią dla dusz prostych pokarm tej chwili bolesnej, nie dając bólowi stężeć w martwicę.

Zresztą pisze już teraz stale wiele innych utworów dając niekiedy do dziesięciu tomów pracy rocznie: więc pisze świetne drobiazgi jak *Półdyablę weneckie*, powieści społeczne jak *Morituri i Resurrecturi*, echem włoskich wędrówek żywe szkice, — daje *Rzym za Nerona* jedną z najlepszych w zwięzłości kompozycyjnej pracę, przenikniętą głębokim spokojem wiary w zwycięstwo zwyciężonych — przepyszna rzecz rodzajową *Z dziennika starego dziada...*

Lecz to nie wystarcza czuwającemu w głębi jego sumienia *daimonion* zbiorowości.

Oto w tej dobie rozkwitania prasy — on sam chce być jej organem, bo tak — mniema — najłatwiej poruszy sumienia. Nie dość że należy do różnych pism galicyjskich jako ich kierownik honorowy lub czynny współpracownik: w *Haśle* (1864), w *Przeglądzie Powszechnym* M. Pawlikowskiego (1867), w *Dzienniku Literackim* (1867) — lecz sam z Drezna, gdzie osiadł na stałe, rozpoczyna pracę rocznikową pod charakterystycznym tytułem *Rachunków* (1867—1869). *Rachunki* są po prostu piśmem wypełnianem przez jednego pisarza. Daje więc w nich przegląd wszystkich zaborów i emigracyi pod wszystkimi względami, roztrząsając dziennikarstwo, literaturę, sztukę i zatrzymując się nad obfitą rubryką mogił.

Znajdzie się tu wszystko czem chwila żyła: więc sprawa Barbary Ubryk, wystawa paryska z 1867, zamach Berezowskiego, kąpiel kokoty w szampanie i balowanie w Warszawie, rachunek uczniów w Szkole Głównej (1270 w r. 1867), protest Polaków w Poznańskim, rola Kantaka i pierwsze starcia z Bismarckiem. Ale już po nad wszystko roztoczy swą opiekę rachmistrz nad Jaśnie wielmożną Galicyą jak ją nazywa. Ta jawi mu się w barwach zapewne przesadnie ciemnych, jeśliby mówiąc o Galicyi myśleć o jej wybranych. Zapewne jednak nie wiele mija się z prawdą gdy twierdzi, że jakiś szlachcic pytał: — Kto to ten Lelewel? Napada na ciemną zaskorupiałość umysłów szlachty podolskiej, godzi w fanatyzm, ubolewa nad nikłością objawów duchowej swobody.

Ani myślę dowodzić, że jego sądy zawsze trafne. Przytoczyłbym sam sporo fałszywych z różnych dziedzin jak n. p.: »Nikt nie był mniej zdolnym od Słowackiego stworzyć dramat i tragedję narodową« i dalej: — »jako dramata, jako poemata niektóre przesłiczne ale nie — nasze«. Zapewne też przeceniał trochę zachwalony pożytek pruskiej gospodarki »wzorowej« w Poznańskim, a nie doceniał jej głęboko przeciwpolskich wpływów, gdy wołał: »niech będzie pochwalony rząd pruski i panowanie brandeburskie«. Pamiętajmy wreszcie fatalny »Sąd nad Matejką« za — *Rejtana!*...

Zgodzę się również, gdy Tarnowski z zapiekłym w duszy zalewał stwierdza iż zbyt ciężko oskarżając tych, których uważał Kraszewski za swych wrogów politycznych — nie zawsze ma potrzebnej wagi dowody, że ich wręcz nie ma czasami.

Natomiast pomimo tych błędów i braków nie zgodzę się z Chmielowskim, że *Rachunki* były przedsięwzięciem chybionem.

Bynajmniej. Ani błędy, ani to że zaniechał Kraszewski ich prowadzenia nie świadczy, że były chybione. Owszem: znakomicie one przeprowadzały ideę jedności życia polskiego, właśnie najbardziej zachwianą przez nowe represye i nawet cokolwiek przez rozwój spraw i stosunków lokalnych w każdej dzielnicy. Z *Rachunków*, które szły do kraju tajną drogą, jak i powieści Bolesławity — i zapadłe a pod terrorem trzymane kąty Litwy i Wołynia wyczytywały tę ideę jedności i tysiączne jej szczegóły. A były tam i karty świetne i piękne, jak wiele w dziale *Mogił*, skąd szły światłe sądy o ludziach i pracach, jak n. p. o Grottgerze lub o Rzewuskim.

Rzecz prosta, że to się utrzymać długo nie mogło, lecz w tym czasie te trzy roczniki stanowiły dużo — przejście to było zbawienne.

Kiedy zaś sam Kraszewski woła iż »szaleństwem jest z miłości dla umarłego w jednym z nim zamykać się grobie«, to słowo takie z pod pióra, które przewędrowało samo szukając życia wszystkie historyczne dziedziny jego w Polsce — nie jest żadną abdykacją ani odstępstwem. Jest tem'czem jest: n a w o l y w a n i e m d o ż y w o t n o ś c i.

Kraszewski jak wiemy sam był w dawniejszych latach jednym z tych, którzy twórczością i przykładem wprowadzali i powieść, i poezję i badania krytyczne na drogę historii. Współtwórca romantycznego poglądu w wielkiej epoce (*Poeta i świat* w 1839) — jeden z pierwszych również poddał umysł dyscyplinie filozoficznej, poczynając jak wszyscy wówczas od ubóstwiania Hegla. Rozwijał się wraz ze stuleciem przez całe niemal stulecie — stąd przy ogromnej pracy ogromna różnica stanowisk, poglądów, przemian.

Lecz można o nim powiedzieć, że cokolwiek tworzył, ule-

gając potrzebie społecznej — wszędzie mógł się powołać na własne raz już przebyte doświadczenie. Kiedy więc w latach obecnych powraca do powieści historycznej, zasilony potężnie pracami krakowskich historyków — to zdawna już sam autor historycznych dramatów, powieści, szkiców, monografii był na tej drodze. Przedstawiał po kolei tematy i postaci Twardowskiego, Halszki z Ostroga, Stańczyka, Kordeckiego — malował wiek oświecenia w *Dyable*, cofał się w pogańską przeszłość Litwy — teraz zaś postanowił objąć całość dziejów polskich w szeregu powieści, nie wyrzekając się zresztą monografii jak trzy tomy *Polski w czasie trzech rozbiorów*, wydawania pamiętników i t. d.

I oto znowu w chwili kiedy Kaczkowski już zamilkł na długo, a Sienkiewicz nie myślał jeszcze o swej pracy »ku podniesieniu serca« podjętej — Kraszewski starzec 60-letni rozpoczyna swój olbrzymi cykl historyczny, którego początek w *Starej Baśni*, treść w kilkudziesięciu obrazach z całej historii polskiej zaczerpniętych, zakończenie zaś organiczne, choć przed początkiem napisane — w powieściach Bolesławity.

Któż dzisiaj wgryzać się będzie w tę powieściową historję Polski? Kto będzie się wczytywał w *Masława* i w *Lubonie*, w *Braci zamartwychwstańców* i w *Petrka Własta*, w *Historję o Januszu Korczaku*, *Króla Chłopów*, *Jelita*, *Orbekę* — w powieści fantastyczne i kronikarskie, w liczne epizody Radziwiłłowskie i w cykl powieści saskich, w szereg utworów godzących w wiek oświecenia, grzechy hetmańskie, sprawy banickie, boje krzyżackie, stosunki literackie z epoki Stanisławowskiej i w sto innych tematów, które zna dziś już tylko — bibliografia.

My dziś jesteśmy zasypani takim bogactwem tych rekonstrukcyi dziejowych, tak jesteśmy ich syci, a tak rozkapryszeni odmianą świetnych talentów — ale wtedy był ktoś, kto te powieści wchłonał, idąc bacznie za ich ciągiem. Był to — ogół polski.

Jeżeli dla znawstwa krytycznego mają najwyższą wartość *Stara Baśń*, *Historja o Januszu*, *Ongi*, *Hrabina Cosel*, *Brühl*, *Ostatnie chwile Księcia Wojewody* — wreszcie *Rzym za Nerona*, *My i oni* — to dla ogółu ma wartość największą to właśnie, że Kraszewski w istocie objął całość dziejów polskich. W ten

bowiem sposób on zawsze trafiał w czyjąś rozbudzoną ciekawość, zawsze wypełniał czyjąś lukę, zawsze był dla kogoś potrzebny...

Trzeba pamiętać, że równocześnie z tą ogromną biblioteką historyczną ofiarowywał Kraszewski równie niewyczerpany zasób powieści obyczajowej. Od fantastycznych opowieści z czasów wileńskich nigdy i tej dziedziny nie opuszczał. *Poeta i świat*, widoki wielotomowej *Latarni Czarnoksiężskiej* były mu początkiem. Potem towarzyszył wszystkim powikłaniom życiowym ogółu przez pół wieku, rozplątując je cierpliwie, dla wszystkich sfer społecznych mając równe »psychologiczne współczucie«. Dziś nie ratujemy się w naszych wątpliwościach *Powieścią bez tytułu* ani *Sfinksem*, *Dziećmi wieku* lub *Niebieskimi migdałami* — gdyż tu znowu inny zastęp autorów wyręczył tego, który przez lata sam jeden potrzebom tym radził. Ale pozostanie faktem, za mało może uwzględnianym, że Kraszewski w powieści obyczajowej, w dyagnozie życia duchowego różnych chwil drugiej połowy wieku był najbieglejszym, najgłębszym i najwszechstronniejszym jej znawcą i dał obyczajowej powieści poziom psychologiczny przedtem nieosiągnięty.

A kiedy nam się zdaje że już wyczerpaliśmy bodaj ogólne uwagi z tym fenomenem stawania się związane — latwoby dowieść żeśmy nawet nie w połowie drogi.

Jest jednak jeszcze pewien zakres twórczości, gdzie Kraszewski ma chlubną kartę. Powieści jego takie jak *Historia kołka w płocie*, *Chata za wsią*, *Ostap Bondarczuk*, *Budnik*, *Ułana* sięgające również epoki pierwszego zwrotu przez romantyzm do ludu — niosły ton ów nie tracąc z siły aż do chwili gdy znowuż inny zastęp pisarzy — już w naszych czasach — dobywa ton głębszy, bo wreszcie z samej ludowej głębi dobyty.

Jeżeli uczynimy wśród kilkuset powieści Kraszewskiego uważny przegląd, to okaże się że naogół jest to najżywo-
niejszy powieściopisarz od roku 1830-go, gdyż żaden z rówieśników jego, a niewielu z młodszych może wykazać w czytelnictwie ogółu taki szereg utworów nie tracących czytelników w ciągu lat 50—60. Kraszewskiego dziś

jeszcze czytają nie jako dokument literacki przy studiach nad historią literatury, nie jako kaprys archaicznego nastroju, lecz po prostu jak się czyta w czytelniach autorów, z którymi się ma dużo wspólnego.

Rzewuski przewyższał go w postaciach Soplidy lub w scenach *Listopada* kontuszową zamaszystością rysunku, Chodźko był niezrównanej serdeczności gawędziarzem w *Podaniach litewskich*, Kaczkowski niewątpliwie najświetniejsze w powieści stworzył historyczne malowidło, dziś jeszcze w zestawieniu z Sienkiewiczem zgola nie pobladłe — lecz oni wszyscy już tylko fragmentem swej twórczości, tym nierozkładalnym pierwiastkiem indywidualności są obecni wśród współczesnych. Z jednych czytamy urywki, z innych — wybrane utwory. Jeden tylko Korzeniowski, lecz znów ściśle w zakresie powieści rodzajowej, pozostaje klasykiem naszego powieściopisarstwa w całej swej twórczości. Ale to jest pisarz o takiej potędze architekttoniki artystycznej, jakich wogóle niewielu ma sam ten rodzaj (belletrystyka) w literaturze powszechnej.

Kraszewski zaś jest niejako objęciem wszystkich tych stanowisk — z każdym z nich nie jednym, lecz całą seryą utworów może się zmierzyć i jeszcze wyczerpanym nie będzie. Przewyższy zaś wszystkich — żywością, owem zrośnięciem się ze społecznością, genialnie całym życiem stwierdzoną zdolnością wzrostu i stawania się.

Prawdziwie o nim można powiedzieć, że odszedł wtedy, kiedy stał się — zastępem sił twórczych w społeczności pracujących.

Mówiąc o żywym do ostatka niemal omawianego okresu (1887) człowieku — nie mogliśmy zachować chronologicznej ścisłości w stosunku do lat, które nas tu obecnie zajmują głównie (1860—70).

Wyodrębniliśmy zresztą pewne grupy wpływów i utworów Kraszewskiego, które ściśle odnieść do nich należy, tu zaś zastrzegamy, że przy zainteresowaniu się nie słabnącem aż do jubileuszu (1879) jego postacią — właściwie wszystko co napisał i dawniej nie przestawało oddziaływać, nie stawało się nigdy przekreśloną pozycją. Owszem: mnogie zbiorowe wydawnictwa podawały ogółowi Kraszewskiego ciągle jako wartość żywą,

związek między pisarzem a ogółem jest ciągle wszechstronny, gdy n. p. piętnastotomowe wydawnictwo jubileuszowe należało do najpoczytniejszych ksiązek biblioteki polskiej.

Lecz wypada nam teraz skreślić w kilku słowach stanowisko Kraszewskiego względem literatury w ściślejszem rozumieniu t. j. jej twórczej i kształtującej roli.

Podobnie jak wszystko, co żywotne w tej epoce, wpływa i twórczość Kraszewskiego ze źródła polskiego romantyzmu. Aż nadto wyraźnie widzimy w najpobieżniejszym nawet zarysie, że w twórczości swojej pozostaje on wierny tej organicznej idei romantyzmu, którą był przyrmat zbiorowości, narodu nawet w dziele sztuki, w dziele indywidualnej twórczości.

Że wiąże się następnie jego twórczość wielorako co do metod pisarskich z metodami romantyzmu, że z mnogich pierwiastków, które romantyzm uznał i wprowadził (podanie, lud), korzysta obficie — to wiemy również. Dociera wreszcie podobnie jak romantyzm do historycznego wątku, jako tej nici przewodniej, której z rąk puszczać nie należy.

Niezmiernie długi żywot literacki Kraszewskiego umożliwia natomiast wyraźną krystalizację pewnego zasadniczego rysu w nim, a raczej całej budowy jego osobowości twórczej, w czem oczywiście głównie przejawia się jego wartość. Oto wychodząc ongi z jednego z romantycznych założeń rozdziału jaki istnieje między twórcą a otoczeniem (*Poeta i świat*) — Kraszewski stwierdza wręcz przeciwnie całem swem życiem — związek tych czynników w tej dobie polskiego bytu.

Dzieje się zaś to za sprawą nie powiem pewnego obniżenia poziomu twórcy, nie abdykacji jego w sfery oportunistu lub kompromisu, jak się to zdarzy innym, lecz dzięki właśnie rozpostarciu się zakresu twórczości na ogół spraw życiowych narodu. To rozpostarcie, a nie obniżenie, stanowi najcharakterystyczniejszy rys Kraszewskiego. Zarazem zaś jest ono po raz pierwszy jawioną zapowiedzią rodzaju przemian samego romantyzmu w dobie obecnej, które to przemiany stanowią właściwą treść okresu i tej książki.

Tu artyzm jednostki, sama jej wola twórcza jest wiecznie poddana zwierzchnictwu idei życia zbiorowego, potrzeb pilnych, bratania się z ogółem.

I Kraszewski przeżywa sam we własnej egzystencji (w stylu nawet własnym) jedną z najciekawszych chwil naszego stawa n i a s i ę — tę mianowicie gdy ogół ten przestawał być Jaśnie Wielmożną oligarchią dworów i dworków, stawał się zaś z wolna ową coraz szerszą Szeroką Publicznością dzisiejszą. Na Kraszewskim widać ten obrót autorski od czasów, gdy mówiąc naród myślało się szlachta, gdy pisarz wyraźnie wiedział, że książka jego o tyle trafi do serc, o ile trafi pod modrzewiowe stropy — do czasów, gdy pisarz staje przed bezimienną, szarą rzeszą tłumów t. z. inteligencji.

Więc coś z dawnych blasków i barw zagasa bezpowrotnie — jak zagaśły kontuszowe karmazyny na ciemnej czamarce powstańca — życie zatracą samowolny przezuchwały kontur szlachecki — rozgości się jakaś szarość i frásobliwość na twarzach przybladłych a i mniej »rasowych« — a zmiany te przedziwnie odbijają się i na twórczości Kraszewskiego i nie tylko jego.

Lecz on będzie najzupełniejszym ich wyrazem w tej dobie własnego stawania się, wrastając w stawanie się »szerokiej publiczności« — narodem.

19. Po Korzeniowskim, Kaczkowskim i Kraszewskim niezbyt wiele pozostawało powieści polskiej do stworzenia. Jeśli chodzi o rodzaje powieści, to trzech wymienieni znają je literalnie wszystkie: fantastyczną, ludową, historyczną, obyczajową, autobiograficzną, pamiętnikarską i t. p. Jeśli idzie o powieść samą jako rodzaj twórczości — to kompozycją niepodobną przewyższyć Korzeniowskiego, bo jest doskonałą, malowniczą werwą i charakterystyką Kaczkowskiego, rozległością zaś obszaru, swadą i proteuszową zdolnością przemian — Kraszewskiego. A pamiętajmy o poprzednich lub rówieśnych im Rzewuskim, Chodźce, Grabowskim, Szyrmerze.

Pozostawała zatem powieści polskiej coraz wyraźniej do pełnienia ta powinność, która, jak to zaznaczyliśmy raz już, ją wywołała, rozwinęła i uczyniła panującą wraz z dziennikarstwem i przez dziennikarstwo formą literacką okresu — służba powszechna około kultury ogółu.

Prawdziwie, rzadko kiedy jakiś rodzaj literacki pełni swą rolę społeczną z takim poczuciem i oddaniem jej świadomem siebie, jak powieść polska w tych i następnych latach.

I w tem, jak wiemy, była spadkobierczynią romantyzmu naszego. W tem, jeśli nie w zakresie talentów, powieść nasza nie słabnie ani na chwilę.

Gdy śmierć odbiera głos jednym (Rzewuski, Grabowski, Korzeniowski) na wstępie do tego okresu, gdy inni, jak Kaczkowski na długie lata przerywają twórczość, by potem iść o lepsze z — wnukami — obok Kraszewskiego bez wytchnienia pracują J. Zacharjasiewicz, T. T. Jeż, Wł. Łoziński, M. Bałucki, K. Suffczyński, A. Pług (Pietkiewicz), A. Wilczyński, Jan Lam, W. Marrené (Morzkowska), M. Ilnicka, M. Sadowska (Zbigniew) — a wymieniamy tylko tych, których w tych latach (1860 - 70) uważać można za wypowiadające się całkowicie lub przynajmniej skryształizowane zupełnie indywidualności.

Przedewszystkiem więc duch czasu — przez tradycję romantyzmu, grupę krakowską, świetne powodzenie Kaczkowskiego stwierdzony — zasila powieść nieustannie dopływem historycznym. Prawie wszyscy bodaj chwilowo z tego wątku czerpią — niektórzy się w nim zamykają.

Więc starzejący się wcześniej niż inni J. Zacharjasiewicz daje w tym kierunku *Marka Poraja*, *Tajny fundusz*, *Chleb bez soli*, *Noc królewską*, *Czerwoną czapkę* (1869), *Świętego Jura* — powieści te docierają zazwyczaj do współczesności, lecz snują się z wątku historycznego i o historyczną wierność obrazu są dbale najbardziej.

Gdy równocześnie przechodzi do powieści w ściślejszem rozumieniu obyczajowej — odzywa się tem silniej ton charakterystyczny wszystkich tego okresu powieści — tendencyjność. Będzie więc gromił (już wtedy!) sprzedawczyków ziemi w Poznańskim, gorączkę spekulacyjną, niedoleństwo społeczne, prywatę drapującą się w zasługę służby publicznej i t. d., i t. d. Rozwijające się życie parlamentarne, polityka bismarckowska, zatargi w słowiańszczyźnie, budzenie się ludu, powstawanie przemysłu — wszystko, to wszystko, co odbija dziennikar-

stwo tych lat — odbije i powieść tak Zacharjasiewicza, jak innych.

W zobrazowaniu stosunków rusińskich pozostanie Zacharjasiewicz jednym z najlepszych znawców rzeczy (*Święty Jur*) — innej zaś wartości, jak wartość dokumentu przez trafność obserwacyi i charakterystyki powieści jego sztuce nie przysporzą. Gdy zaś pochyłony wiekiem straci ostrość wzroku — powstanie jeszcze długi szereg utworów z nałogu i potrzeby pisanych, które już jednak w innym okresie będą przeżytkiem i powtórzeniem tego, co tu się raz skryształizowało.

Obok Zacharyasiewicza wspomnieć tu należy K. Suffczyńskiego (Bodzantowicz), który nie wyszedł nigdy poza te lata i poza więźność w Galicyi szeregiem obrazów historyczno-wojackich utrwalając tradycję konfederatów i legionistów. Chyba tylko z popularnego tytułu jednego z nich (*Zawsze oni*) pamiętny jeszcze ogółowi.

Wśród galicyjskiego również, wartkiem życiem żyjącego społeczeństwa, rozpoczyna swą powieściową działalność M. Bałucki. Spotkamy się z nim gdzieindziej i w okresie nieco późniejszym. Tu stwierdzamy wyraźną ową historyczną lub społeczną, zawsze tendencyjną dążność i jego jak i innych. W *Starych i młodych* (1866), w *Przebudzonych* (1864) (jako Elpidon) Bałucki zbliża się do Bolesławity. Jak on, jeden z pierwszych cuci odrętwiałe w strasznym roku serca i w wątek półhistorii wplata idealne porywy młodości, gorętsze technienia. Te dwie zwłaszcza powieści pozostaną znowuż dokumentem i w odczuciu młodzieży na tamten moment mają wartość równą powieściom Bolesławity. A trzeba przyznać na ogół, że odczucie młodzieży polskiej nie było nigdy wielką zaletą naszej powieści. Od *Szalonej* Kraszewskiego do Witolda (*Nad Niemnem*) Orzeszkowej niezbyt wiele równej wartości wczucia się naliczymy fragmentów. Więcej już szczęścia miała młodzież polska do historyografów jej figlarstwa i kawalarstwa...

Za tym wstępem półhistorycznym nastąpił szereg obyczajowych powieści Bałuckiego, przenoszący nas w inne lata.

Walery Łoziński, którego główna działalność wkroczyła ze świetnem powodzeniem na pole właściwej historii

(sztuki, obyczajów polskich) rozpoczyna powieść obyczajową, by przejść potem do historycznej — wcześniej czy później to nieuchronne w tym okresie.

20. Lecz niewątpliwie najgłębszym nabytkiem powieściopisarstwa polskiego w chwili tej jest praca Z. Miłkowskiego (T. T. Jeź).

Nie wychodzimy z nim bynajmniej poza owe wykreślone raz szranki powieści historycznej, pół-historycznej lub tendencyjno-obyczajowej. Ale w szrankach staje indywidualność krzepka, samobytna, jednolita.

Cechą Jeża jest przedewszystkiem, że to — nie literat. Jest jakaś bezpośredniość, naiwność w jego twardej prozie rąbanej, żołnierskiej, która sprawia, że nie czujemy tu tendencji, choć jej pełno, bo się zjawia nie w postaci morału, lecz samej indywidualności pisarza. Stąd bliżej Jeżowi, staremu wojownikowi, do młodych niż wielu; bliżej nawet do współczesnego rozumienia sztuki, niż wielu piszącym od wczoraj. A jak zobaczymy to w przyszłości żywotność polskich rogatych dusz sprawia ten cud zbliżenia i z innymi (Kaczkowski, Dygasiński).

Dawne to już były lata, gdy Jeź przerabiał się bez prężności pałaszem, by z Polski pójść w świat — drogą kampanii węgierskiej. Otóż teraz tą samą krzyżową sztuką rąbiąc piórem — z powrotem siedł ze świata do Polski — drogą powieści.

On wiersza jednego przez cały żywot nie napisał, by świadomie nie kierował jego ostrza przeciwko tej lub innej wrogiej dobru pospolitemu rzeczy.

To miał w ruchu pióra, jak stary żołnierz w każdym ruchu ma — marsowatość. To podbijało mu serca.

Przytem zwiedził i przeżył Jeź świat niemal od Ukrainy przez Balkany i Węgry do Szwajcaryi — po drodze zaś znalazł — Słowiańszczyznę. Tu o jej walki, o wiecznie żywy poryw swobody wśród *Uskoków* (1869), o naiwne bohaterstwo *Haram-Baszów* serbskich, o *Zarnice* lepszej doli oparł żołnierskie swe symbole dla polskiego czytelnika. A i znowu, że to

nie literat pisał, lecz kawał wojaka, więc »symbol« jego wrzał zarazem bezpośredniością braterstwa obozowego z tamtymi, mało Polsce znanymi, pobratymcami. (Prócz niezbyt popularnych usiłowań »szkoły czerwonoruskiej« z. J. D-Borkowskim na czele, mało kto się u nas tem do ostatnich lat zajmował). Gdy zaś obok tej wojacko-słowiańską skalą mierzonych historyczności wydobły się w autorze *Wnuka Chorążego* pierwiastki szlachecko-demokratyczne w temperamentcie, ludowe w sferze, którą przedstawiał rad — Jeź musiał stanąć w szeregu czytanych przez całą młodzież polską autorów.

Tędy właśnie wracał do Polski i zbliżał się do sztuki.

Toteż jakkolwiek jeden to z najstarszych powieściopisarzy i jako taki już skryształizowany całkowicie w tych latach — temperamentem, wpływem, duchem Jeź spokrewni się z grupą znacznie późniejszą (*Głosu warszawskiego*) — na schyłku wieku.

Nie zatroszczymy się tutaj o to czy Jeź stoi »wyżej« czy »niżej« od tego lub innego autora. On ma przedewszystkiem swój ton własny, osobliwy, więc stoi na równi — ze sztuką. Rozszerzył przytem zakres powieściarstwa polskiego podbojem nowej dziedziny (Słowiańszczyzny) — stoi więc na poziomie — kultury. I wreszcie w obrębie swoim i w swoim tonie jest tak bezpretensjonalnie szczery i prosty, a tak zrośnięty z myślą o przyszłości narodu, jak niewielu z pośród piszących w romantycznej dobie — tu więc stoi na równi z — sumieniem zbiorowości.

Nie należy również nazbyt lekce sobie ważyć i właściwej formy Jeża. Jest ona staroświecka — nigdy nie będzie staromodna, bo Jeź jest szczerym odłamkiem całego świata dawno-polskiego, nie zaś tej lub innej — mody. Świat zaś, do którego należał — to świat pisarzy, nie literatów, dla których zawsze ideałem był »realizm« nie doktrynerski, lecz żywiołowy taki, jak go jeszcze pan Pasek charakteryzuje: »Realista jakiś — prawdę matkę im w oczy rżnie!«

I w istocie powieść T. T. Jeża jest w znacznym stopniu odmianą powieści pamiętnikarskiej, w znaczeniu przeżytego dokumentu.

21. Powieść obyczajowa z podkładem zawsze obowiązującej tendencji zasilala się w tym czasie jeszcze wielu drugorzędniemi piórami. Z tych dość żywo, zwłaszcza prowincyi, utkwila w pamięci powieść A. P i e t k i e w i c z a (A. Pług) p. t. *Oficyaliści* (1867). Drobnoszlachecki demokratyzm autora przypadał do smaku takiemuż, naradzającemu się czytelnictwu.

Wśród kobiet piszących w tej dobie powieści jak poetki M. Sadowska, M. Ilnicka nie błysnął żaden talent równy późniejszym Orzeszkowej, Konopnickiej. Najbliżej nich stanęła zapaloną dyalektyką ideowości, swobody obyczajów, praw niewieścich Walerya Marrené (Morzkowska), dając najlepszą swoją pracę w *Januarym*, zespalając się potem cennymi przyczynkami z historii literatury (O t. z. cyganeryi warszawskiej) z pracą kulturalną epoki.

Wśród przeredzonych szeregów polskiej humorystyki pracuje dalej autor *Kłopotów starego komendanta* Albert Wilczyński, nie dając zresztą nic nowego temu rodzajowi. Natomiast staje tu odrazu — od pierwszej bodaj pracy najwyżej — znakomity satyryk Jan Lam.

Z nim znowu wracamy w mrowiące się formami przejściowemi, postaciami przeżytków mrowisko galicyjskie. Niewyczerpany skarb zaśniedziałości szlacheckiej, małomiasteczkowych intryg, czesko-rusińsko-niemieckiej biurokracyi, malowniczo-brudnego żydostwa — retorta wszelkiego rodzaju doświadczeń i systemów politycznych austriackiego parlamentaryzmu, przytułek i ostoja urzędowego klerykalizmu — słowem prawdziwa na sposób austriacki arka z polska zagospodarowana — Galicya musiała stać się w końcu materiałem dla humorysty.

Lam czerpie z tej nieprzebranej obfitości ze swobodą zadomowionego człowieka, który sam rosnąc i dojrzewając w pewnej sferze zna ją na wylot i nie skończyłby nigdy, raz zacząwszy, różańca jej tysiąca i jednej śmieszności. Niezrównany dla tematu styl »konceptowo-namiestnicki«, którym Lam pisze swe kroniki galicyjskie, najzupełniej wyraża istotę ich bohaterów z nieprzeplaconym Wenclem Precliczkim na czele.

Niezależnie od późniejszych powieści jak *Głowy do poloty*, *Idealiści*, *Dziwne karyery* — pozostanie Lam w literaturze polskiej na zawsze autorem *Wielkiego świata Capowic* (1869) oraz twórcą świetnej efemerydy dziennikarskiej, zwanej kroniką.

Tej nowej stosunkowo formy, która, jak zobaczymy, rozwinię się jeszcze i zajmie w dziennikarstwie przodujące stanowisko, formy przez którą różne dawne *Miscelanea*, *Rozmaitości*, *Mieszaniny*, *Rachunki* i t. p. zindywidualizują się i wejdą do literatury jako nowy rodzaj — Lam jest u nas jednym z pierwszych rzeczników i zarazem bodaj czy nie najświetniejszym przedstawicielem jej odmiany humorystycznej. O ileż świetniejsze są jego kroniki od fejletonów słynnych z poprzedniego lat dziesiątka Niewiarowskiego, a i w przyszłości rubaszny humor Bolesława Prusa nie dorówna ich werwie karykaturalnej. Zebrane razem (1874) stanowią dziś *testimonium paupertatis* czasów i ludzi chłostą objętych.

Nie ma nigdy Lam dość epitetów dla Galicyi za jej charakterystyczne wady! Na tę Beocyę, Milicyę, Chaocyę, Golicę w nierozzerwalnym ślubie trwającą z Głodomoryą i Landweryą — Lam zieje z mitraliezy swych conceptów bez przerwy przez cały krótki, lecz energiczny okres swej twórczości, nie przepuszczając arystokracji i demokracji, ani »straży pożarnej« stańczyków, ani emisaryuszom zasady »liberum conspiro«, rażąc bezlitośnie a skutecznie przedziwną menażeryę typów z administracyi, atakując wszelki przejaw pospolitactwa, hipokryzyi, karyerowiczowstwa, służalczości, fanfaronady. Zrywa się niekiedy może nazbyt porywczo na kreślenie pół-historyi swoich czasów, bez należytej perspektywy, nie mogąc wobec wszystkich objawów zająć należnego stanowiska. Lecz tam, gdzie objaw nie przerasta miary światłego i uczciwego człowieka — jest niezrównany w wytropieniu i okazaniu karykatyry obywatela, urzędnika, działacza.

Cały zaś Lam — kronikami i najlepszą powieścią (*Wielki świat Capowic*), zgola rodzajem, który przedstawia, skryształizował się w dobie, o której tu szczegółowiej mówimy.

22. Dalsze wybieranie trzecio lub zgoła podrzędnych autorów w dziale powieści nie przysporzy nam materiału do poznania tych lat.

Stwierdziłszy na poprzednim zarysie sił i talentów, sfer i prądów wyraz swój znajdujących w tym kierunku, że powieść między 1860—70, zasiliwszy się znakomicie nowym dopływem prądu historycznego, przez dziennikarstwo zaś stając się formą panującą w poczytności ogółu — jest w rodzajach swych i aspiracjach wierną kontynuatorką ruchu lat poprzednich (1848—1863). Po utworach takich, jak *Listopad*, *Zamek krakowski*, *Obrazy litewskie*, *Chata za wsią* (1853), *Dyabeł* (1855), *Garbaty* (1853), *Tadeusz Bezimienny* (1852), *Krewni* (1857), *Ostatni z Nieczujów* (1853—55), *Podania litewskie* (1852—60), *Powieść bez tytułu*, *Dziwożona* (1855), *Rozbitek* (1861), *Wasył Hołub* (1858) — idą już po 63-im nieprzerwaną koleją: *My i oni*, *Szpieg*, *Stara Baśń*, *Hrabina Cosel*, *Brühl*, *Starzy i młodzi*, *Uskoki*, *Święty Jur*, *Rzym za Nerona*, *Orbeka*, *Szandor Kowacz*, *Historja o prapradziadku*, *Oficyalista*, *Wielki świat Capowic*.

Uwielokrotniony w dziennikarstwie plon powieściowy staje się coraz obfitszym — i to bez żadnej przerwy — coraz szersze obejmuje dziedziny (plemienne, stanowe), coraz znacniejszą liczbę zatrudnia pracowników. Zawsze dwie moce kształtują tę produkcję: prąd historyczny i prąd obyczajowy. Na rubieży tej pierwszej mocy daje kultura powieściowa w związku z badaniem historycznym tak świetny i popularny w tej epoce rodzaj szkicu historycznego — gdy zaś w zakresie spraw obyczajowych coraz bliżej przez prasę dociera do chwili bieżącej — wytwarza znowu drugą swą inkarnację na rubieży dziennikarstwa — kronikę czyli fejleton.

Szkic historyczny, powieść historyczna i obyczajowa oraz kronika czyli fejleton — oto formy współpochodne i współzależne, a panujące, ulubione w tych latach.

Związek i wzajemność tych form są tak powszechne i charakterystyczne, że stanowią niejako atmosferę okresu, żywiol, w którym, nie krępując się różnicą, najswobodniej poruszają się najwybitniejsi pisarze, przerzucając się od jednej formy do drugiej.

Prasa — teren wszystkich tych przeobrażeń — sprzyja z istoty swej, nigdy niesytej nowości, szczegółów i efektu, takiemu stanowi rzeczy.

Prawdziwie, nie z pomieszania rodzajów lub braku »metody«
połączyłem tu w jedną całość notatki o prasie i powieści. Najbardziej zbliżająca się do literatury forma pracy zbiorowej (prasa) i najbardziej zbiorowości dostępna forma twórczości artystycznej (powieść) zbliżają się do siebie i wprost jedna w drugą przechodzą (fejleton).

Najluźniejszy ze wszystkich kształtów indywidualnych, kształt powieści — surogat raczej wszystkich rodzajów, a nie rodzaj odrębny, służy świadomie i bezwiednie sprawie wzajemnej wymiany wpływów w społeczności, rozszerza skalę jej doświadczeń, jest istotnym zbiornikiem zbiorowości.

Prasa mu daje niemilknący wtór, potęguje i rozmnaża, w razie potrzeby — stwarza wprost całe łamy »belletrystyki«, gromadzi dla niej materiał.

Im bardziej »szeroka publiczność«
władnie poczytnością prasy i powieści — tem bardziej jedna i druga demokratyzują się zarówno w poziomie formy, jak we wszechstronności obszaru zjawisk, nad którymi stałą roztaczają opiekę. Im potężniejsze ze starcia interesów i opinii wytwarza się w społeczności życie moralne — tem silniej tendencją odzwierciedla się to w powieści. Że zaś po kolei przychodzą do głosu wszystkie siły i słabości społeczne — powieść tego wszystkiego jest wyrazem.

I prasa również. Obok tytułów powieści, które w tym okresie zaprzatają ogół — należy wymienić i tytuły pism, które tu szczególnie się rozwijają lub powstają.

Tygodnik Ilustrowany (1859), *Kłosa* (1865) z nowych — *Biblioteka warszawska*, *Czas*, *Dziennik literacki* z dawnych — mają niemal taką fizjonomię jak powieść współczesna. *Tygodnik Ilustrowany* n. p. w 4—5 pierwszych rocznikach jest po prostu łącznikiem wszelkiej historyczności, jak znów *Czas* bojowym odbiciem tendencji politycznej i społecznej, jak *Przegląd Polski* i *Biblioteka warszawska* odbijają charakter naukowo-historyczny momentu, pierwszy z zabarwieniem politycznym, druga bardziej akademickim, kulturalnym.

Nie małym dowodem ruchu i żywotności tych lat jest

w istocie fakt, że tu właśnie utrwała się i powstaje na całym obszarze ziem polskich prasa współczesna.

Pominąwszy więc efemerydy krajowe i zagraniczne, jak *Ojczyzna*, *Gmina*, *Wiara*, *Ognisko*, *Świt*, *Głos* (Kaczkowskiego), *Hasło* (Kraszewskiego) i t. p. — pominąwszy zdawna utrwalone pisma jak *Kuryer* lub *Gazeta warszawska* w Warszawie, jak *Czas* w Krakowie, *Dziennik literacki* we Lwowie, jak *Biblioteka warszawska* i kilka innych — powstają teraz t. j. zaraz po r. 1863 *Bluszcz*, *Opiekun domowy*, *Kuryer Codzienny*, *Przegląd Polski* (1865), *Kłosa* (1869); rozwijają się w ostatecznej formie i na szeregi lat utrwalają byt swój tak ważne dla szerokiego ogółu placówki jak *Dziennik Poznański* (1859), *Gazeta Polska* (1858), *Tygodnik Ilustrowany* (1860). Co traci w tych latach na żywotności ogół polski w Poznańskim — to zdobywa *Katolik* (1868) Miarki na Śląsku, w Cieszynie utrwalona *Gwiazdka Cieszyńska*, w Toruniu *Gazeta Toruńska* (1867). Wreszcie w roku 1867 powstaje również organ A. Wiślickiego *Przegląd Tygodniowy warszawski*, mający w następstwie dziesięcioleciu odegrać wybitną rolę kulturalną. Zgoła, jak z zestawienia powyższego widzimy, w tych właśnie latach powstaje prasa nowoczesna o tej już fizjonomii, którą znamy do ostatnich lat wieku XIX-go.

I ścisły zespół, zupełna wzajemność prasy i powieści stanęło się istnym chlebem powszednim ogółu — coraz »szerszego« t. j. kształtującego się nie z jednej już, lecz ze wszystkich warstw społeczeństwa.

Akord tej sprawy żywotnej stawania się nowoczesnego społeczeństwa dominuje nad twórczością okresu. W tysiącu »powieści« wypełniających te lata jest on wszystkim: treścią i formą. Tak jest: i formą, gdyż fala życia zbiorowego potężniejszą jest od jednostek i czyni z nich swoje narzędzia w najluźniejszym kształcie artystycznym — często tak niemal bezosobistym jak łamy dziennika — oddającym nieprzetrawione w indywidualności echa zgiełku życia zbiorowego. Szczęśliwi, którzy jak Kraszewski są sami jego całokształtnem objęciem, jak Jeż twardą indywidualnością zrosną się z jednym jego konarem, jak Lam o władną jakąś jego dziedziną.

Dobrze dla sztuki, że z chaosu przygotowawczego tych objawów kształtującej się zbiorowości ocali nieco rzetelnych

dokumentów i ukształtuje choć takie nabytki jak szkic historyczny i fejleton, wyzwalające z nicości przejścia bądź co bądź pewien kształt indywidualny.

Otóż więc i tu, w tym zakresie zbiorowości, podporządkującym sobie wszelką twórczość — pełni się dalej jedno z zasadniczych przykazań romantyzmu — choć szarość dnia powszedniego, w którym ten chleb »stawania się« zaczyna, odbiera mu wszelki blask.

Lecz na tym fermentie rozrasta się nieprzerwanie — polska zbiorowość.

ROZDZIAŁ IV.

Poezya.

23. »Dziwnem zrządzeniem zjawiła się pośród nas taka poezya! Pierworodna, nienaśladowana, rodzima, majestatyczna.

Wyniknęła li z głębokich skrytości i tajemnych wzruszeń? Cóż oznajmuje?

Odrodzenie się na duchu«.

Temi proroczymi słowy wita Mochnacki twórczość polską dziewiętnastego stulecia. Kładę je tu, jako drogą pamiątkę jasnowidztwa krytycznego, ku własnej i czytających przestrodze. Jeszcze bowiem (1830) nie objawiła się była w potędze swej niezmiernej myśl twórcza, nazwana później polskim romantyzmem, jeszcze *Pan Tadeusz* był pomysłem, *Improwizacya* nie istniała, dwudziestoletni Słowacki nie marzył nawet o *Królu-Duchu*, a Krasiński, wyrostek, klecił powieści niby historyczne — gdy twierdzenie takie już było — prawdą!

Jakiż to ogrom odpowiedzialności, widnokrąg jaki czekał na tę twórczość, gdy u jej progów niemal prawdą były takie słowa! Zarazem, jakże każdy porachunek późniejszej każdej doby myśli polskiej — wysoki probierz jej wartościom musi przeciwstawiać!

»Terazniejsza poetycka nasza literatura — mówi dalej Mochnacki — jest tak polska i tak pierwotowna, jak nigdy literatura poetycka w Rzymie ani tak rzymską, ani tak pierwotowną nie była... Dzisiejsza poezya polska wyraża myśli i ideje dziewięt-

nastego wieku; oddaje cześć miejscowym pamiątkom; natchnienie swoje zasila podaniem i wiarą ludu, tej nawzajem niosąc wspomóżenie«.

Proste to słowa, a najgłębiej ujmujące w potrójny węzeł uzależnień ludzkość, naród i lud.

Cóż bowiem najpiękniejszego widzi myśliciel w człowieku społecznym?

»Oto tęsknicę na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienistą myślą z ciasnego koła, z okresu jednostki, egoizmu, samolubstwa — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielny całej natury porządku — w tej harmonii, tej cudotwornej tonice całego świata!...«

Płomienne linie tej wymowy serca nie wykreślają w nieskończoność dróg, po których od zwycięstwa do zwycięstwa miał się iść cud polskiego romantyzmu?

Król-Duch w nich przepowiedziany i to rozszerzenie dziedzictwa myśli polskiej, które rubież jej oznaczyła od tej chwili nie nie ciaśniej od rubieży twórczości wszechludzkiej.

Jasnowidzenie pięknego umysłu krytyka u progu stojące jasnowidzeń polskiej twórczości — oto pierwsze słupy wytyczne przeobrażeń wieku — oto miara wartości, o której mamy pamiętać, mówiąc o poezyi.

Im bardziej się wglębiamy myślą w tę chwilę zapowiednią twórczości narodowej, tem bujność jej, żywotność, dostojność wyżej nam czoła podnosi.

Akord zupełny krytyki i twórczości — od początku umiającym patrzeć i słyszeć podany za ton przyszłości!

Niech nikogo nie dziwi, że aż tak daleko wstecz sięgam na wstępie do roztrząśnienia bieżącego dorobku literatury polskiej. Niewymownie błogo znaleźć tak zupełny ton zespołu, lecz nad wszystko — zbawiennie. Probierz musi być godnym sprawy, w której ma być użyty.

Proroctwa i jasnowidzenia Mochnackiego dają tak pełną, męską miarę myśli, że, by ją osiągnąć, musielibyśmy cały romantyzm polski przypomnieć: tu w kilku kroplach podserdecz-

nej mądrości znajdujemy jego odbicie. Jak dostojnie on stoi na straży związku narodu z dziejami powszechnymi: »Naród polski po wszystkie czasy swego związku społecznego zachodził w historię Europy«.

Jakim mocnym tonem stwierdza myśl żywą epoki, a podobno najbardziej polską myśl naszej całej twórczości, gdy mówi: »Kto nie jest obywatelem kraju czyli innemi słowy, kto będąc osobą, jednostką nie pojmuje siebie zarazem w pospolitej rzeczy, w związku społecznym — tego uznanie we własnym jestestwie ani godziwe, ani doskonale być nie może«.

Jak on umie nawiązać »nić wewnętrznego przypomnienia« między dawnymi a młodszymi laty, jak on wie, że romantyzm polski narodowi »obraz roztraconego jestestwa« ukaże w zwierciadlanem przezroczu »żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą ognistą, jak płomień wzniecił, rozpalił«. Wie, że romantyzm musiał ukochać wyobraźnię i fantazyę gminu dlatego »że w prostym sercu najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty«. Wie jakie skarby potraciła twórczość narodowa od zamierzchłych epok piastowych, a które poezya ma dziedzictwu narodowemu przywrócić. Wie, że dla całkowitego ukształtowania się sumienia narodowego — potrzebne były polskiej poezyi nawet »dzikie, leśne serca« kozaczyzny: »Żadną miarą — tej hajdamackiej czerni z literatury polskiej wypłaszać nie powinniśmy«. Wie, że żywioł poezyi jest »owocem życia i nawzajem rodzi życia owoce«. — »Żadnego niemasz martwego misterstwa, niemasz martwej umiejętności. Wszystko się w duchu wszczyna, dzieje mocą ducha i do ducha zmierza«. Prawdziwie może o sobie powiedzieć: »nie jestem rozbieraczem plodów cudzego dowcipu« — może się bowiem czuć — współtwórcą samej twórczości.

Myśl o samouznaniu się w poezyi jestestwa narodowego, na której iście stoi to pismo krytyczne, myśl nieomylna, jasna, czuwająca rozsnuwa się tu tysiącem związków i wskazań wśród otworzystych widnokręgów filozofii i wiedzy, historii i polityki, przeszłości i przyszłości.

Kto zaś wie, jakie to właśnie rwanie się tych wszystkich wątków jest wieczną tragedią polskiego bytu duchowego —

ten zrozumie dlaczego zatrzymuję się tak długo przy tym wielkim inicjatorze naszego krytycyzmu.

Słowo jego przebogatę, echem starej polszczyzny rozgłosne, a już snycerstwu i barwom młodej poezyi podatne kładę tu dla przypomnienia związków, o których poszczególnie mówić nie czas, które wszakże wyczuwać trzeba, wstępując w jakikolwiek późniejszy okres polskiej literatury. Oto on miał taką już koncepcyę polskiego »romantyzmu« w zaraniu jego. Wiedział, że romantyzm ten nie będzie bynajmniej w Polsce jakimś misternem wyosobliwieniem indywidualnych talentów, lecz prometejskim spotęgowaniem jestestwa narodowego w poezyi, prorocstwem ideału powszechność narodową z powszechnością ludzką w jedno królestwo Ducha kojarzającym. On to wiedział już w tedy — a my, po spełnieniu się pracy wielkiego pokolenia polskich »romantyków«, my pod ich gwiazdami usianym firmamentem ich łaską dotąd żywi — myżbyśmy mniej o tem wiedzieć mieli?... Zapominamy — potrosze zapominamy, czem jest ta spuścizna, zapominamy choć nawet obchodzimy wielkie jej święta.

Jakiś topór stalowy zdarzeń raz wraz przecina wątek jedności polskiej i odrąbane jej odnogi boleśnie i obłudnie drgają, nim się zrosną ponownie z żywą treścią jestestwa narodowego. Nim zaś ta krwawa rana się zasklepi — błąd mamy naszą świadomość i znieprawia prawdę naszych wartości. To dlatego trzeba sobie przypominać o ich rzetelnem szacowaniu.

»Śmiałym krokiem dalej jeszcze winniśmy postąpić: od gustu i imaginacyi do myśli i rozumowań umiejętności, od piękności w poezyi i sztuce do prawdy w tej bogatej wspólniejszej naturze, która nas otacza. Nie poymuemy jej cudzem rozumieniem!«

Tu przytacza Goethego i Nowalisa jako przykłady zbawienego wpływu przyrody na twórczość. Zachęca do rozwijania filozofii. »Wyrwawszy się z niemowlęctwa estetycznego — czyż nazawsze pozostać mamy w niemowlęctwie filozoficznym?«

»Dla nas potrzeba także żywej życiem naszym umiejętności takiej, jaką nas obdarzyć może filozofia naszego jestestwa, filozofia języka polskiego, wreszcie, że tak powiem, filozofia temperamentu i konstytucyi narodowego geniuszu, narodowego ducha«.

Stale powraca do tej myśli, że na nic się nie zdało za kimś powtarzać nauki, filizofii lub innych wskazań: »Naukę trzeba mieć w sobie, w środku, i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność«. To samo w potężnym akordzie wyrazi potem Norwid w słowach: »Naród kaźden sam za siebie winien całą pańszczyznę swą odrabiać«.

Na świetnych kartach (120—139) podaje rozbiór historycznego wątku i znaczenia jego dla rozwoju poezji rodzimej. Opis Bolesława »w domu drewnianym«, prasłowian, bojarów z dziłkami leśnemi sercami odważnych, bitnych, pancernych, szkic »tułacza w kapicy mniszey«, wskazanie na postać Łokietka — toż są nieocenione jasnowiedzenia krytyka w przyszłości naszej poezji czytające. »Najbardziej zaś w literaturze poetyckiej przecięty został związek z przeszłością« woła o okresie wieku oświeconego i pseudo-klasyków. »Ta literatura wywołała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnię wyciągnioną, która myślą przeszłości nie była«. — »Polak myślący przyszedł do uznania samego siebie, ale nie w swoim jestestwie«. Barwy tej literatury nazywa z mineralogii barwami »naleciałemi«.

24. Ale dość. Nie wśród twórców, lecz u ich glossatora, nie po rozkwitnięciu w pełną *rosa mistica*, lecz gdy pączkiem jeszcze była poezja romantyczna — wzięliśmy jej platoński iście obraz powyższy i postawiliśmy ku przypomnieniu wspólnemu, na wstępie do powieści o dalszych losach poetyckiej twórczości.

Po cóż ciągle powtarzamy, że sztuka jest wieczna, jeśli kaźden »okres« jej ma zaprzeczać poprzedniemu?

I jak pogodzić niemilknący hymn na cześć naszych wielkich poetów, ze śmieszną pretensją, którą wielu żywi do lat 1860—70, że tam się nie znaleźli poeci równi, ba, nawet jeszcze »więksi«; tacy, coby poprzednich »zakasowali«?

Jest prawdziwie zbyt dużo ubóstwa myśli w stereotypowym wyrzekaniu naszym, że »około i po roku 60-ym« — poezja polska zbladła i zmalała, że »wielkim ojcom zabrakło wielkich synów« i t. p.

Trzebaż wyjaśniać co się około lat tych działo naprawdę w duszach prawych synów poezji?

Oto dla nich wielcy ojcowie bynajmniej jeszcze nie byli pomarli.

Mieliśmy już niejednokrotnie sposobność wykazania przejścia najżywotniejszych pierwiastków romantyzmu w różne dziedziny literatury. Zaznaczaliśmy też że ta literatura po prostu w znacznej mierze stoi jeszcze pracą ich rówieśników lub młodszych towarzyszy. Przypominaliśmy wreszcie, że żyją wśród społeczeństwa Zaleski, Goszczyński, Brzozowski, Siemieński, Norwid, Ujejski, Poł, Lenartowicz — krew z krwi i kość z kości współtwórcy romantyzmu. Rozwija się wreszcie i uzupełnia ustawicznie sama spuścizna największych, nie odrazu przecież w całej głębi znana. Wydania pośmiertne Mickiewicza nawet (znanego najlepiej) przynieść miały bardzo ważne uzupełnienie dawnych (proza publicystyczna); Krasiński przez pół tylko znany — ze Słowackiego nie znany *Król Duch* i precudowne *Listy*, i tyle fragmentów, dramatów! Prawie jak od żywych iść miały ku nam jeszcze długie lata ich coraz nowe, uzupełniające objawienia — przedzierając się przez owe przedziwnie marne ich wydania, błędne, niekompletne, ułamkowe!...

Tylko jakaś granicząca z ubóstwem ducha lekkomyślność mogłaby tu stawiać żądanie by Poezja w te dni piętrzyła już nowe arcydzieła obok tamtych jeszcze nie całkiem z chaosu twórczego wylonionych!

Lecz sztuka jest sumienna: ona kłamać nie umie. Ona na całym obszarze polskiej twórczości wiedziała, że Dzieło owo — żyje i staje się wpośród nas. I poczucie to sumienne, w głębi kaźdego poety obecne, jest dla nas wyjaśnieniem stokroć bliższym prawdy od różnych przygnębień, upadków i t. p. — faktu, że zarówno starsi jak młodszy poeci okresu mniej mówią, mniej dają, niżby z nich kaźden dać mógł, gdyby dzieło romantyzmu polskiego było naprawdę — obumarłe. Nie, nikt z nich romantyzmu naszego w owych dniach nie »żegnał« — jakożby się rozstać mógł z podstawą własnego ducha? Że walczyły w najlepszych duszach różne tegoż romantyzmu moce, jak aniołowie na jakubowej drabinie, to było tem potężniejszym stwierdzeniem — jak bardzo był wpośród nas żywy!

Troska o polską duszę zbiorową, w romantyzmie zrodzona, jak i samo pojęcie tej duszy — jej przecucie, wypełniała po dawnemu serca, a twórczość po dawnemu ssąc z dziejów porzepienie — sięgała w przyszłość narodową.

Podobnie jednak jak każdy Największy, po rzuceniu rysów Dzieła, chodzi koło jego drobnych szczegółów — choć wielkość i całość w nim żywie — podobnie twórczość cała tej epoki, dokoła potężnej budowli zbiorowych natchnień romantyzmu, zabiegać miała teraz przez lata o tysiączne uzupełnienia i stosowania.

(Widzieliśmy już jak przez badanie historyczne, powieść, prasę nawet — pewne twórcze założenia romantyzmu stawały się taką właśnie sztuką stosowaną). Po części odbije się to i na samej poezji. Po części, gdyż co było na razie jeszcze do zdobycia czystą twórczością — tego również nie zaniechano.

A ogół? Trzeba i tu zaniechać ogólników. Gdy porównamy lata środkowe wieku (1850—70) i ich rozumienie i przeniknięcie się poezją romantyczną z dzisiejszym — to niewątpliwie na naszą korzyść wypadnie rachuba. Ależ cześć dla »wieszczów«, jeśli ją mierzyć będziemy od chwili objawienia się ich arcydzieł, wzrastała stale. I lata 1860—70 pod tym względem wyższe są od poprzednich — przez wymierzenie bez porównania większej sprawiedliwości Słowackiemu (Małecki) i Krasieńskiemu (Szkoła krakowska).

Rozumienie, zagłębianie się, zgoła kult romantyzmu postąpiły znacznie — choćby nam się dziś zdawało, w świetle dzisiejszego kultu, że to bardzo za mało. Ależ nie trzeba zapominać, że pierwiej nawet Mickiewicz, cóż dopiero Słowacki i Krasieński, dla ogółu byli poetami jak inni — byli często panem Mickiewiczem, rozwichrzonym Julkiem, hrabią pisującym wiersze. Kult ich dojrzał wraz z ich rozumieniem i lata, o których mowa, przygotowywały jedno przez drugie.

Tak ustanowiwszy zasadę stosunku twórców i ogółu do tradycji naszych wielkich poetów — możemy teraz wskazać i na inne współczynniki losów poezji w tych latach.

Co do twórców nasamprzód. Niewątpliwie iż »wielki ojciec« jest zawsze w pewnej mierze hamulcem wlotów syna. Poezja też romantyczna mogła być nim się stać podwójnie. Po pierw-

sze — stopniem nieprześcignionym doskonałości artystycznej swoich arcydzieł. Mniemamy n. p., że nietylko następcom Słowackiego, ale i jemu samemu byłoby trudno przez lat szeregi napisać »coś lepszego« po napisaniu *Króla Ducha...*

Romantyzm stworzył język i architektonikę poezji polskiej — miałaby tak marnie je stworzyć, by wnet było co przebudowywać?

I tu — w samej stopie doskonałości artystycznej — był hamulec dla twórców czy to współczesnych czy wraz po nich następujących. Zobaczymy niebawem, że jednak i pod tym względem poeci okresu zrobili niezmiernie dużo, w stosunku do tego co wogóle zrobić było można. Przypomnę na razie tylko imiona Norwida, Asnyka, Sowińskiego. Poezja zaś uczyniła jeszcze więcej: oto przekroczyła szranki wiersza, by znaleźć swemu Słowu nowy Żywot. Przypomnę znowuż tylko parę imion: Grottger, Matejko, Kossak. Lecz o tem — później.

Drugim hamulcem twórczości indywidualnej narzuconym przez romantyzm było owo przespołeczniczenie jednostki, które legło w podstawie poetyckiego ideału.

Prawdziwie ów geniusz gatunku, powoływany przez filozofię (Schopenhauer) dla wyjaśnienia najbardziej osobistych, jak miłość, spraw naszych — tu święcił tryumf najwyższy.

Obiit Gustavus — natus est Conradus — oto punkt wyjścia wielkiego romantyzmu polskiego. Gustaw — to pierwiastek osobisty, Konrad — to zbiorowość jako najwyższa instancja duszy — tworzenia.

To był zapewne ów granit, który tęsknotom ogólnym w Polsce rzucił romantyzm pod stopy. To była ta potrzeba najszersza, najgłębsza stającej się społeczności — narodu, budującego sobie w niewoli — duszę!

I nikt, żaden twórca w sumieniu swoim nie rozgrzeszał się z tego kanonu! Jeden Słowacki zdołał — nie zrzekając się go zresztą ani na chwilę — czuć się jednak bosko wolnym. Jeden Norwid zdobywał sobie — jeszcze raz nie znosząc go — nowe, sobie właściwe, jego rozumienie.

Inni na tej rubieży — społecznego a osobistego powołania — łamali sobie skrzydła, padali, nawet wyrodniali, lecz nigdy zakonu ustanowionego nie złamali.

Geniusz gatunku święcił tryumf. Cierpiały dusze osobne, by powszechna tem cierpieniem rosła, by jej, stającej się, nie nie ujęło jednej skry światła, jednego okrucu woli.

Gwoli przyszłości i rozszerzenia się wspólnej ojczyzny — cierpieli i sami ojcowie. Lecz zakon trwał i zwyciężał — i tak było trzeba.

Więc i ten zakon zbiorowości, piękna narodowego — narodowej jedności mógł stawać i stawał granitową przegrodą twórczości osobistej. Tu znowu szukajmy przyczyn osamotnienia jednych, przedwczesnych dla duszy zbiorowej, smutku innych, pełniących powinność nie w tej doskonałej swobodzie ducha, co jej prawodawcy.

Gdy teraz na losy poezji naszej wśród ogółu polskiego spojrzymy z tej wysokości (jej własnej) i takie szranki oczyma ducha ujrzymy dla jej przeobrażeń — to sąd nasz o latach 1860—70 wypaść musi inaczej niż zwyczajnie.

O śmierci lub wyrodnieniu jej, ani nawet o małości — mówić już nie potrzebujemy. O zubożeniu dla niej ogółu — również, bo to są nieporozumienia zbyt bliskiej latom tamtym i krótkowzrocznej krytyki, bo to są wkońcu nedorzeczne, rozkapryszone wymagania stawiane latom, gdzie pracują — wieki.

Będziemy mówili o jej pracy twórczej.

25. Kształtująca czynność poezji polega bynajmniej nie na samem tylko wydobywaniu z duszy ludzkiej jej nowych (utajonych) pierwiastków — lecz w równej mierze na ich nowem kojarzeniu

Obie te czynności wezbrane potężnie stanowiły treść wielkiej poezji romantycznej, dając ów wspaniały akord zaimprovizowanej w prometejskich zarysach duszy narodu.

Całe śródmieście nasze (1850—70) wypełnia początek pracy dokoła tego dziedzictwa, pomnażania jego i porządkowania na ustawę społeczeństwa. Będzie to zresztą treścią i lat dalszych aż do schyłku XIX stulecia dla twórców, dla społeczeństwa całego — i potem.

Przytoczone wyżej proroctwo Mochnackiego — wskazuje nam olbrzymie szranki tej pracy. Wielka poezja nasza wpro-

wadziła w nie wszystkie narodowe moce — cała późniejsza twórczość jest jakoby kolejną wzajemnych ustosunkowań tych mocy i żywego zbiorowiska polskiego.

A prace te są tak powikłane i uwzajemnione, że bezdusność tylko rozerwać może ich związki, czy to z powołującą je do życia mocą romantyzmu, czy z pępowną tradycją, czy z łonem bolesnem samej społeczności.

Poezja — czuje to do głębi, stawia swe kroki ostrożnie i świadomie strzeże związków. Gdzie się zaczyna praca kulturalna, gdzie kończy się praca twórcza? Kiedy poeta przemawia przez akt życia zbiorowego, kiedy ono, nieme, przemawia ustami poety?

Najtrudniej odgraniczać w epoce gdy sztuka sama świadomie staje na służbie zbiorowości, a kiedy stawanie się w życiu takiego dzieła, jak dusza narodu, samo jest — aktem twórczym.

Wszakże rzuciwszy okiem po szeregu pracowników tych lat — najwyraźniej i przedewszystkiem spostrzeżemy — kontynuację poczętego Dzieła. Nikt tu z tonu swego nie wypada, nie staje z dawnym sobą ani z tem co czcił — w sprzeczności.

Zatarg poglądów (Słowacki przeciw Krasińskiemu) musiał być i dawniej w łonie samego Romantyzmu. Staną więc i tu naprzeciwko siebie pewne kierunki jak n. p. Ujejski przeciw Polowi, Asnyk przeciw Szkole krakowskiej. Ale ciągłość jest nieprzerwana w pracy. Nie zaprzeczają sobie najstarsi — ani Goszczyński teraz (1869) dający swe *Posłanie do Polski*, napisane dawniej, ani Zaleski zawsze ten sam w *Wieszczem Oratorjum* (1866), a pracujący przez pół wieku nad *Złotą Dumą* i *Potrzebą Zbaraską* potwierdzającemi całą duszy twórczość, by wreszcie w pośmiertnem dziele (1891) stanąć przed społecznością tą samą śpiewającą wizją szerokiej ukraińskiej Polski, jak ongi.

Nie zaprzeczy sobie, choć w trwogach posmutnieje Pol. Starzeje się on zapewne — starzeje się jak cała szlachetczyzna, lecz ani mniej, ani więcej. Szereg utworów Pola z tej doby, więc *Stryjanka* (1861), *Z wyprawy wiedeńskiej* (1861), *Legendy*, *Rok myśliwca*, *Kilka kart z krwawego rocznika* (1864), *Pieśń o domu naszym* (1866) — to potwierdzenie dawnego Pola. Skończy, jak zaczął, *Ostatnią pieśnią Januszową*, a ton jedności ongi podany

w *Pieśni o ziemi naszej* — teraz poda w *Pieśni o Domu*, jako hasło dla życia polskiego, by dokoła tego ogniska skupiło nie-naruszoną jedność obyczaju.

Żywioł Polski plemiennej i rodowej, szlacheckiej i etnograficznej, jak był dawniej oparciem Zaleskiego i Pola — tak nim być nie przestaje. Podobnież w *Posłaniu do Polski* ten sam to Goszczyński z epoki Towiańskiego, który nieokielznaną ongi żywiołowość swoją poddał mistycznym żarom i zadumie dusznej.

Lenartowicz, który się skryształizował na progu tych lat (*Lirenka* 1855 — *Nowa Lirenka* 1859) nie zaprzeczy sobie również, pracując (1856—70) nad motywami, które połączy w *Album Włoskie* i cykl *Ze starych zbroic*. Rozwinie w nich tylko swój zmysł malowniczości, który dawniej już wyraził w odczuciu mazurskiego pejzażu. Zmorski — krótki już gość tych czasów († 1867) tula się po dawnemu duszą i ciałem po Słowiańszczyźnie i państwie legendy, nie inny, jakim go uczyniła tragedia własnej duszy. Podobni w tem do niego Wolski i Niewiarowski pracują oddawna już zrzekłszy się nadziei prześcignięcia potężnego lotu wielkich poprzedników i rezygnacya ich poetycka (nie zaś wyczerpanie) datują od innych lat i innych przyczyn, niż rzekoma przełomowość literatury roku 63. Zresztą pierwszy *Domkiem przy ulicy Gołębiej* (1859), drugi działalnością kronikarską zajmują bardzo wybitne stanowiska w ewolucyi literackiej tych czasów.

To zaś co i w Zmorskim, i w Niewiarowskim, i w Wolskim, i w Dziekońskim (którego nawet śmierć przedwczesną zbyt usłużna krytyka radaby zapisała na karb tych »niewdzięcznych dla poezyi« lat, gdyby nie to że umarł w... 1855) — łąmało się, skarżyło i nie znalazło wyrazu — to *daimonion* utajone sztuki, o którym później będziemy mówili. — to właśnie i w tych latach stanowi przebogata, potężna, niezłomną pracę Norwida. Norwid od czasu ustanowienia swej ewangelii sztuki (*Promethidion* 1851) ani piędzi swej dumnej a samotnej dziedziny nie ustąpił wpływowi żadnym, czasom żadnym. Nie tu miejsce na całkowitą charakterystykę Mojżesza sztuki Polski, gdyż począł się kiedyindziej i kiedyindziej został zrozumiany. Lecz stwierdzić należy że w tych latach śródwiecza nie ustaje twórczość jego ani na chwilę, a w latach bliżej nas obchodzących

daje Norwid wspaniałą wykład Słowackiego (1860), cykl *Vade mecum* (1860—1866), przepiękną prozę jak *Fortepian Szopena* (1864), wspaniałą pieśń *O wolności Słowa* (1869), *Filozofię wojny* (po franc. 1871) i inne. Czy dlatego, że rzeczy te były nam nieznane do zarania XX-go stulecia mamy oskarżać twórczość lat ubiegłych?

Niewolno tu wreszcie pominąć poetyckiej pracy Józefa Szujskiego. Czem ona jest w stosunku do całokształtu jego ogromnej działalności? Wypoczynkiem czy jej ostatecznym stwierdzeniem? Ani jednym ani drugim — jest towarzyszącym dziełu głównemu Szujskiego akompaniamentem uczuć i refleksyi.

W poezyi jego odsłaniają się nam nie dalsze może perspektywy tej wielkiej i bogatej duszy, lecz jej szczere patos wewnętrzny — żarliwość jej tłumiona i ustawiczne kłębienie się myśli dokoła jednej nadziei, jednej troski, jednego umiłowania. Nie łagodzi jego wiecznie nateżonej pracy słodki zmysł piękna: nigdy się on z rozdzwięków i grozy własnych zaciekań dziejowych nie otrząśnie, nigdy o nich nie zapomni — dla chwili piękna. We fragmentach i dramatach — jak *Maryna Mnischówna* lub *Śmierć Władysława IV*, w satyrach, w lirykach ulotnych i wierszach przygodnych — zawsze ta sama troska dziejowa, wprost niemożność oderwania wzroku od grozy i fatalności, upadków, rozłamów, błędów. I on jeszcze znajdzie czas na przyswojenie kilku najcenniejszych pierwiastków wszechludzkich, tłumacząc Ajschylosa (*Persów*, *Prometeusza*), Arystofanesa (*Ptaków*, *Rycerzy*). Ale i ten wybór znamieny: i tu nie szuka kojącego piękna harmonii, lecz brata się z temperamentem bujnym, z tragizmem pierwotnym, groźnym. Zgodzić się można z najlepszym znawcą Szujskiego (Tarnowskim), że on najbardziej przypomina z wielkich naszych poetów Krasińskiego. To jest ta sama bezsenność troski nad przepaścistą głębią błędów narodowych zawisłej — lecz której już u Szujskiego nie złagodzi nigdy żaden sen bodaj groźny, lecz piękny. On nazbyt czuwa, nazbyt jest zawsze mężem stanu — Krasiński często, a on już niemal zawsze utożsamia naród z — państwem, a nie jest nigdy dość uniesionym wizją własną — poetą.

Ciągłość pracy twórczej lat tych występuje z uderzającą siłą u dwóch jeszcze poetów, których ogół wiąże najściślej z tym okresem. Mówię o Ujejskim i Sowińskim.

26. Kiedy przed wielu laty, w najmroczniejszej chwili stulecia (1846) *Jeremi*, »sługa ludu — syn ziemi natchniony — wyłeciał nad obłoki gdyby ptak zraniony« by wianiem swych skrzydeł zmagać się ze zbrodnią — ujrzał wówczas że »nikt bólem nie władał — kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał«.

Wtedy to wielki ból zawodu — mocą poezyi — przetworzył w kształtującą żywot przeciw nadziei biblijną żarliwość.

Krwawy nóż 46-go zranił go w samą pierś, lecz z młodzieńczej piersi nie wydarł wiary. Szczęśliwy — tę ranę zleczył cudotwórczym wpływem żywych proroków: na męski los sposobił go Mickiewicz, błogosławiącą dłoń położył mu Słowacki na czoło, pełne marzeń. Wracał od nich w krwawy dom jako syn prawy wielkich ojców, który niemylnem czuciem wiedziony sam spełnił z siebie ich przykazanie. Wracał czysty i spokojny, by się z tym skarbem ducha nigdy nie rozstawać.

Pomiędzy Słowem romantyzmu a pierwszymi jego wyznawcami — stawał Ujejski, zakładnik poezyi w krwawym boju życia.

Tę czystość barankową i przepowiedzianą wierność niósł poeta przez całe życie, aż rok 63-ci rozbrzmiał jego *Chorałem* — pierwszą po *Bogu rodzicy* narodową pieśnią.

Niewiele mamy tak potężnych świadectw dla poręczenia ciągłości jakiegoś kultu, jak losy tej pieśni *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej* przez pół wieku nam powszechnej powiernicy.

Urodzona w 46-ym, uświęcona błogosławieństwem żywym proroków, wybuchająca z piersi bezbronnych tłumów warszawskich w roku Ofiary, stanowiąca moment najszlachetniejszego wzruszenia w każdym domu polskim w długie lata potem — ta pieśń ma losy najpotężniejszych hymnów, najżarliwszych psalmów.

Czemże mógł być dalszy żywot poety, który pieśń taką stworzył, jeśli nie potwierdzeniem siebie samego — a razem istoty uczuć narodowych — aż do śmierci?

Po roku 63-cim Ujejski nie napisze nic nad nią potężniejszego — napisze dalszy ciąg *Skarg Jeremiego*, tak jak wszystko

co napisał było również »Dalszym ciągiem« koncepcyi romantycznej.

Ow ton rzewnie odbity rozdźwięku między cudem nieustającym przyrody a nieustającą zbrodnią bytu, który również wydobył ongi gdy pisał: »Poglądam w niebo — a niebo ciche, Patrę na ziemię — a ziemia śpi« — ową łączność swego natchnienia z natchnieniem innej dziedziny sztuki — muzyki — czy to w *Chorale* napisanym pod wpływem melodyi Nikorowicza, czy to w przekładach Szopena — będzie wysnuwał dalej.

W publicystycznym boju ze stańczykami, w zatargu z Połem jeszcze bardziej — może tracić miarę i poczucie słuszności, oślepiiony kurzawą starcia. Ale tu w poezyi, w jawieniu danych mu kształtujących sił pogodnej ofiary, mądrej litości, psalmodyi uczuć — nie chybi nigdy i nigdy się nie zmieni.

Czy napisze jakieś równe poprzednim dzieło przed śmiercią? — Wszystko co napisał zrasta się w jedno Dzieło — my tylko w miarę potrzeby bierzemy zeń ten lub ów werset.

Druga część *Skarg Jeremiego* (1865), Zbiorowe wydanie pism (1866) — wszystko to razem i w całości zaświadcza nam o nieugasłej sile tych samych kształtujących potęg poety.

O wpływie zaś Ujejskiego wprost dziwnie tu mówić, gdyż w zbiorowej polskiej liryce — to najwyższy ton stulecia, dotąd nie przebrzmiały; w twórczości zaś wielu poetów — cały obecny do schyłku wieku (Konopnicka). O związku zaś jego z najgłębszą estetyczną przemianą twórczości polskiej będziemy jeszcze mówili.

27. Jeśli Ujejski dał wyraz najzupełniejszy pierwiastkom śpiewnej rozlewności liryzmu polskiego, którą po raz pierwszy może ujawnił był Bohdan Zaleski, to znów widzę niezmiernie ciekawe uzupełnienie tonu Goszczyńskiego — w twórczości Leonarda Sowińskiego.

Sowiński należy również do tych, którzy tworzą przez ciąg całego śródwieczia aż w dzień dzisiejszy sięgając pracą i życiem.

Duch to płomienny, rwący się wiecznie z własnego łożyska, przekraczający wybuchami — granice własnych sił.

Duch przeschlachtetny, nieugięty, nieskłonny żadnemu ustę-

stwu — stąd w wyrazie szorstki, chropawy — jeden z tych co zbytnią »gładkość« wiersza i myśli pokonują.

War ukraińskiej nieokiełznanej krwi burzy się w nim i podnurtowuje niecierpliwie nietylko więzienne mury narodowego bytu, ale i to inne więzienie — zakres poznania ludzkiego — radby zdruzgotał. Wszystko niemal co stworzył nosi na sobie cechę tej szlachetnej gwałtowności — a wszystko począł lub nawet skryształizował w latach 1857—1873 — latach najbujniejszej i wszechstronnej pracy. Od włoskich więc motywów artystycznych (1857) przechodzi do *Satyry* (1859), *Widziadeł* (1859), do fragmentów dramatycznych *Z życia* (1860), do *Fragmentów powieści* (1862—69), do tragedyi *Na Ukrainie* (1873), do filozoficznej rozprawy o *Słowie Bytu* (1871). Cały się w tych latach i pracach wyraża, to zaś co zbierał w wydaniu poezyi przedśmiertnem p. t. *O zmroku* (1885) — było już tylko okruczem w stosunku do poprzedniej twórczości.

Porywczy powstaniec w pieśni, w życiu, w filozofii — technieniem płomiennem palący w popiół wszelką »kurzawę brudną bożego domu« — Sowiński prawy »romantyk« zespoleniem się w »uczuciu i fantazyi« ze zbiorową — przeczuwaną — duszą narodu — wypowiedział był więcej, niż współcześni mogli zeń wziąć.

Wzięli wszakże cześć dla takich »tragicznych rozłamów« ducha, choć je nieraz niespokojnie i nieufnie i przedtem i potem (Chmielowski, Grabowski) ze wszystkich stron oglądali, badając czyli prawdziwie to »postępowy« romantyk, czy dość »panuje« ten poeta nad »formą«...

Co do przyszłości — to należy Sowiński do tych autorów, których wraz z grupą *Cechu Głupców* i *Cyganeryi warszawskiej* poznać będziemy musieli, by, rozpoczętego od ekshumacyi Norwida zagłębiania się w treść spotwarzoną śródwieczna w należytą cześć dokonać.

Tu stwierdzmy raz jeszcze, że należy on do tych, którzy formę i treść istoty człowieczej raczej rozprzęgną, raczej odładnią, jeśli jej nie zdołają uczynić harmonijnie piękną i żywotną — nie godzą się zaś nigdy z żadnym kompromisem zdawkowej ładności w sztuce, zdawkowego układu w sumieniu. Sowiński zaś pragnął nie nie uroniwszy z przykazań wielkiego

romantyzmu — na miarę tę zrozumieć i osądzić życie bieżące. W formie swej pragnął nie idąc za żadną formą gotową, by najgenialniej objawioną, — wypowiedzieć się całkowicie, bez nieporozumień, bez ogródek artystycznych ni stylowych.

Oba dążenia przetrwają znacznie dłużej, niż tysiące »skończonych utworów«.

28. Pol i Lenartowicz, Ujejski i Sowiński — w bardzo odrębnej skali każdy — są jednak razem wyrazicielami sentymentów polskiej zbiorowości z tych lat. Gdybyśmy zaś ściśle chcieli określić jakiej to mianowicie grupy społecznej byli wyrazem w treści swej liryki, to oczywiście zatrzymalibyśmy się na szlachcie, jako na wspólnem jej podłożu.

Pol wyraża ją całym składem swej krzyżową sztuką rąbaną poezyi; Lenartowicz daje pierwiastek sielski; Ujejski znamionuje najwyższy wzlot człowieczeństwa, najdalej sięgające poczucie narodowe, do którego szlachetczyzna polska w chwilach uniesienia była zdolną; Sowiński streszcza tragiczną rozterkę najbujniejszych z pośród ogółu szlacheckiego temperamentów na rubieży nowych form życia i myśli stwarzających sobie nową istotę moralną.

Ale żadnego z nich bez znajomości szlacheckiego składu życia, wsi polskiej, a raczej polskiego dworu, bez znajomości tych dworów i dworków tradycyi, rzewnych i śmiesznych, dodatnich a ujemnych stron ich — niepodobna zrozumieć. Szlachta, jako kasta i zorganizowana ongi potęga społeczna, zapewne nie poznałaby siebie w tych utworach, jak już nie poznawała się — ba, nawet w *Panu Tadeuszu*. Ale bo też sfera ta ulegała sama bystrym i stanowczym zmianom, rozpraszając się po miastach i po świecie, chwytając się poza rolę i żołnierką coraz innych trybów bytowania, pozbywając się stroju i przesądów, przekształcając dawną rodowość w rodzinne wspomnienia, dawne panowanie faktyczne — w szlachecki temperament, dawną butę herbową — w pewną niezrozumiałą dla innych odmianę szlachetności... Po miastach pełno już było szlachciców bez spe-randy, familiantów bez rodziny, herbowych bez tarczy — a czarmarkowy typ Powstańca — dokonał pierwszy dzieła zbliżenia

się ku sobie różnych stanów i tędy pierwsze fale rozbitej na strumieniu szlachecczyzny zmieszały się z wzbierającymi nurtami narodowego ogółu.

Poeci uczuć zbiorowych tym właśnie grupom — szlacheckiej i tej nowo ze szlachecczyzny powstającej inteligencji, jej cech jeszcze pełnej — dawali przedewszystkiem wyraz.

Obok wymienionych wyżej, których ton brzmiał najdośćniej i zawsze z silnym wtórem rysów indywidualnych, należałoby tu wymienić jeszcze nie mały szereg pisarzy, mniej lub więcej wyrażających ten sam ferment społeczny. Jak sama sprawa przekształcania się szlachecczyzny w społeczność nowożytną, tak i wyraziciele jej wypełnią cały przebieg w. XIX, a mniemam iż jedno i drugie domagają się od historii naszej kultury opracowania monograficznego ułatwiającego nam wreszcie możliwość oryentowania się wśród objawów i autorów, z którymi często nie wiemy co czynić wobec zmienionej z gruntu psychyki człowieka nowoczesnego i form twórczości.

Tu więc prócz autorów współczesnych, jak przedwcześnie zmarły Ernest Buława (Wład. Tarnowski) autor *Poczyi Studenta* (1865) i kilku dramatów, jak Julian z Poradowa (Elżbieta Bośniacka) autorka do dziś popularnej *Obrony Częstochowy*, jak Włodzimierz Zagórski znany jako Chochlik — Garybaldezyk, piosenkarz, humorysta, satyryk — rodzaj »rebajły« poetycznego, jak Rodoć (M. Biernacki) zwłaszcza z epoki przekładów *Berangera*, późniejszy satyryk popularny — należałoby już właściwie wymienić i późniejszych jak Aureli Urbański, Wojciech Dzieduszycki, Kazimierz Gliński, Włodzimierz Stebelski, Włodzimierz Wysocki, Kazimierz Laskowski, W. Gąsiorowski, Józef Kościelski i wielu, wielu tych odradzających w pseudomorfozie poetyckiej ten sam od pół wieku gest poźegnalny szlachecczyzny.

29. Jednakże twórczość poetycka tych lat bynajmniej nie wyczerpuje się tym tonem liryki zbiorowej. Jakkolwiek tradycya wielkiego romantyzmu, z której ton ów pochodzi, najpotężniej parla w kierunku takich właśnie zbiorowych ukształtowań ducha, na tle cech i wspólnot narodowych, to jednak zasiała była

i inne zarodki w glebę twórczości naszej. Prawdziwie — więcej we wszechświecie nawet naszych romantyków Polski, niż w ich Polsce — świata.

Lecz oni to umieli potężnie wyrażać na miarę zawsze człowieczą. Po nich — zasklepienie się w ściśle narodowych granicach duszy polskiej mogło się stać niebezpieczeństwem — dla niej samej.

Na szczęście dopływ pierwiastków wszechludzkich — więc zarówno w odrębności ras, jak różnaitości doświadczeń społecznych, jak wreszcie z indywidualnych krystalizacyi płynący nie przestał nas zasilać od połowy wieku XIX.

Takie znaczenie miał i ów »bajronizm« Mickiewicza lub Słowackiego, i poddanie się dyscyplinie Dantego w Krasińskim. Kiedy tacy jak Kochanowski, Mickiewicz lub Słowacki tłomaczą *Psalmy*, *Czajld-Harolda* lub *Księcia Niezlomnego* — rozumiemy, iż zdobywają dla siebie i dla swej społeczności wiekuiste pierwiastki człowieczeństwa — z owej różnicy ras, społeczeństw i indywidualuów wykrzesane.

Otóż całe śródwiecze nasze wypełnia potężny ruch przyswajania literaturze polskiej tych różnepochodnych pierwiastków i wiele najlepszych sił naszych w tym właśnie ruchu dało kwiat swej wartości.

Najdostojniejsi tu biorą się do t. z. tłumaczenia i przyswajają duszy polskiej bądź zapomocą przekładu, bądź przeróbki myśl i formę wszechludzką.

Po prostu niema prawie poety w tych latach — mówię o wybitniejszych — którzyby tej pracy nie podejmowali w poczuciu palącej potrzeby rozszerzenia naszych horyzontów.

Na czele tych przezornych gospodarzy, spraszających wielkich gości na święto przyszłego odrodzenia narodu, postawić należy niestrudzoną pracę Lucjana Siemieńskiego. Tu właśnie, tu w gromadzeniu skrzętnem pokłosa z niw wszechludzkich nie ma on sobie równego w tych latach. Olbrzymia erudycya pozwalała mu swobodnie przerzucać się od *Odysei* do *Fioretti* św. Franciszka, od *Horacego* do *Sagi Skandynawskiej*, od *Trubadurów* do *Pieśni serbskich i tużyckich*. Wszędzie przekład jego ma wartość jeśli nie dzieła sztuki, to sumiennego dokumentu — w *Odach* Horacego dosięga szczytu zjednoczenia się

tłomacza z twórcą, w *Odysei* przez szereg długi lat (1845—74) opracowywanej zdumiewa skalą ukrytego w tym pisarzu daru językowego, płynąc szczerym, szerokim, homerycznym nieraz nurtem.

Zapewne niemasz może w literaturze świata »przekładu« równego *Psalmom* Kochanowskiego miary. Nie odważymy się obok nich postawić nawet Mickiewicza i Słowackiego. Lecz poza tymi trzema Siemieński staje w równi z takimi jak Stanisławski, Porębowicz, Miriam i dla swego czasu jest — nieprześcignionym. I snuje tę pracę bez przerwy, bo trzebaż dodać i doktorów mistycznych, i perską *Szach-Nameh*, i mnóstwo innych ulotnych (pieśni bretońskie) prac do szeregu tych kapitalnych. Prawdziwie nie *Trąby w Dnieprze* były zasługą Siemieńskiego w poezji polskiej, lecz właśnie i praca i koncepcja sama wysoka, kulturalna — tłumacza poetyckiego.

Nie możemy tu kusić się o wyczerpanie bibliograficzne pracy przekładowej w latach tych niezmiernie w Polsce obfitej. Wszakże przetłumaczono tragików greckich (Węclewski, Kaszewski), Szekspira (Kozmian, Ulrych, Paszkowski), Goethego (Jenike, Krajewski) — sięgano do literatury skandynawskiej (Grajnert, Wiernikowski) i podań ras Kaukazu, do pieśniarstwa ukraińskiego, bałkańskiego (Siemieński, Zmorski), przekładano sprawnie wybitne nowości dramatu i poezji francuskiej, przyswojono poezję Anglików od Szkoły jezior do Dickensa.

Wtedy już przedstawiano publiczności warszawskiej, niechętnie rozumiejącej, Poego (Faleński w *Bibl. Warsz.* 1861).

Jest więc to dalszy ciąg pracy od roku 1850 szeroko prowadzonej w Polsce — ciekawy zwrot, w romantyce europejskiej, dokonany już oddawna, u nas zaś będący niejako koniecznym uzupełnieniem koncepcji swojskiego romantyzmu. Najdostojniejsi tu wspomagają ogół pracowników: wszakże nawet Norwid, rozważający w zadumie, we własnej swej głębi rodzące się Słowo, tłumaczy fragmenty *Odysei* (1870). Dla niektórych zaś takie pławienie się w oceanie wszechludzkiej formy i myśli — jest pro prostu żywiołem własnej twórczości. Do takich należy przede wszystkim Felicjan (F. Faleński).

30. Patryarcha to dzisiejszych pokoleń poetyckich, dzisiejszych licznie rozmnożonych zbieraczy pokłosa wschodu i zachodu, od lat przeszło 50-ciu świadczący chlubnie spotwarzonym latom śródmiecza. Jest on jakgdyby sam jeden zastępstwem w literaturze polskiej tego, co we francuskiej dała grupa Parnasu. Różnorodniejszą też, pełniejszą od każdego z tamtej grupy jest jego praca gdy znaleźć tu można tony od Lecomte de Lisle'a do Heredyi, od de Banville'a niemal do Moréas'a.

Faleński, by najściślej określić jego poetycką erudycję, czytał wszystko. Wszystko, rozumiem, co czytać w poezji wszechświatowej warto. Stąd tłumaczenia jego nie zamykają się wcale żadnym obrębem, jak chyba złotą apollinią obręczą piękna. Meandry zaś jego twórczości dałyby ujarzmione w jakiś wzór graficzny — obraz tej samej linii, którą przebiegła w ciągu wieków — sztuka.

Bo to nie jest li tylko erudycja literacka: to poszukiwanie wieczne przeczystej atmosfery najbardziej skończonego kształtu, najprostszego doskonałością symbolu — to, powtarzam, droga jeśli nie sztuki w jej twórczym porywie, to zawsze znawstwa i upojenia estetycznego.

W taki to świat wprowadza Faleński czytelnika od pierwszego zbiorku poezji, który wydał (1857).

Znanyż to już poezji polskiej świat? — Zapewne, jeśli mowa o tej, która okiem słońca ogarnęła ludzkości całej ogromy. Zapewne, jeśli mowa o erudytach i smakoszach literackich, których przecież od wolteryńskich panów do takich jak Siemieński znawców mieliśmy w tym wieku — kilku lub kilkunastu. Ale wszakże dla najlepiej nawet czującego ogółu polskiego to jest świat zgoła nowej wiedzy estetycznej. A przedewszystkiem co jest tu promieniem światła obszary jej ukazującym? Znaliśmy — i obficie — i psalm hebrajski, i ton biblijny, i ton grecki, i średniowieczny ukazywane nam najczęściej w przewodnim promieniu przenośni poetyckiej dla podniesienia naszego zbiorowego stanu uczuć. Bywało tak i ze wschodnią powieścią, i z Termopilami, i z Maratonem, i z Izajaszem, i z Psalmistą.

Otóż tu prowadzi nas poeta wśród tych kształtów — dla nich samych. Promień jego wiedzy estetycznej nie jest rozpalony uczuciem — on jest raczej jak ramię cyrkla zimny i nie-

zmienny wiedzą, lecz uczy nas jak cyrkiel niewyczerpanego bogactwa kształtu krystalizacji ducha ludzkiego, przedziwnej owej geometrii w harmonii piękna wszechczasów obecnej. Przytem nie żąda Felicyan od współczesnych tego olbrzymiego zrozumienia całości, którem tchnie *Promethidion* Norwida. On daje im samo owo apollińskie mijanie rytmów i kształtów, a w niem ujawnia treść po treści myty i symbole, harmonie i wcielenia światem sztuki od niepamiętnych czasów płynące.

Niekiedy w tej nazbyt doskonałej wędrówce — wędrowiec sam zdradza w poecie swe ludzkie, w człowieku — polskie pochodzenie. Czyni to jednak aż nazbyt dyskretnie, nigdy nie natrętny polskością lub osobą. Niekiedy tylko — jak szermierz na olimpijskich igrzyskach stałą swych ściegów, tak on nie bez półuśmiechu zadowolenia, zupełną nienagannością swej formy błysnie przed oczyma — widza. Właściwie on w istocie pragnie w Polsce widzów dla swej sztuki — dla sztuki. Pragnie i zapowiada, kształtuje i przyspiesza tych, którzy dla sztuki przez poezję będą mieli oczy otwarte, niezależnie od stopnia osiągniętej korzyści narodowej.

Wszystko to wyraża twórczość Felicyana, krystalizującą się już w tych latach w zbiorze *Z ponad mogił* (1870), *Świstkach Sylena* (1876), by potem w *Meandrach* (1892), szeregu dramatów, przekładach uzupełniać miarę artystycznej kultury.

Kunst wiersza stanowi u Faleńskiego już nie formę dla wyrażenia myśli, kult piękna już nie sposobność do przeprowadzenia tej czy innej doskonałości dusznej — one są po prostu atmosferą, w której żyje i żyć chce, spokojny zresztą zawsze o to, że tak żadnej z istotnych świętości narodu czy ludzkości — nie zdradzi.

Jest Felicyan jak skarbnik koronnego skarbu w królewskim jego przepychu rozkochany, przymnażający mu blasku miłowaniem własnych oczu, że nie dadzą umrzeć najdrobniejszemu turkusowi piękna, skarbnik wierny, kunstem pewny, a wierzący spokojnie, że wszystek ten bezcenny skarbiec gdy przyjdzie czas zda się na gody zakłętej królowny. Dziś oto cieszy nim oczy czekający na nie — smutny człowiek.

31. Musimy tu koniecznie zanotować pewien objaw, w tych właśnie latach po raz pierwszy ujawniony w poezji polskiej.

Chcę mówić o wzajemności sztuki i literatury, tutaj po raz pierwszy ugruntowanej w tonie coraz potężniej kształtującej się polskiej plastyki.

Od dawna już łaknęła dusza polska takiego zespołu.

Przeczuwali go wprost Mickiewicz i Słowacki, obaj tyle nadziei pokładając w »pocziwym Stańskim« (Wojciechu Stattlerze), którego jednak *Machabeusze* nie ziściły krasnej i złocistej jak ikona wizji malarstwa polskiego Słowackiego. Oddawna już przepych barwy Słowackiego i niemylny kształt Mickiewicza zwiastowały tę nową potrzebę. Pielęgnowała ją zresztą zawsze tradycyjnie i świadomie literatura polska. Kraszewski ze zwykłą swą wszechstronnością pielęgnował wszelki pierwiastek »artystowski« od niepamiętnych lat: zachęcał, zabiegał, wyjaśniał, oświecał — w powieściach, rozprawach, podróżach, słownikach rozsypując skarb opieki i wiadomości o sztuce. Grabowski, jeden z najciekawszych może swych tomików — cały wypełnił troskliwym pielęgowaniem nikłych początków polskiego malarstwa. Wincenty Pol, znakomity znawca kraju i miłośnik przyrody, objaśniał co to jest i jakie ma znaczenie pejzaż. Norwid ujął w jedną całość tę wiedzę radosną mającej się narodzić sztuki polskiej — i przelamał się nią jak oplatkiem z rzeszą polską w wigilię śródmiejkową..

Lecz wszystko to nie znajdowało jeszcze wyrazu w twórczości samej. A niekiedy nawet jeszcze padały słowa przestrogi, jak owe Klaczki zapowiedzi, że sztuka w Polsce to tylko dla »Słowian« — kult »Słowa«, że my »hiperborejczycy« — nie zrodzimy tego, co tylko »słońce italskie« rodzi (1857). Był to zresztą jedyny głos sprzeczny całemu przecuciu poezji polskiej. Jednak czasy pierwszego urzeczywistnienia zbliżały się. Rzeczą jest pouczającą śledzić to istne wyciąganie się ku sztuce ramion naszych. Oto więc znowu Kraszewski daje całą historię sztuki włoskiej (1858—64); oto Korzeniowski dociera do stanów kontemplacji i upojenia w nowelach poświęconych sztuce, i stwarza próby psychologii artysty; oto Pol zatapia się w kontemplacji dzieła Wita Stwosza. Przecucie sztuki tętni w wierszach *Cyganeryi warszawskiej*. Taki Sowiński nawet ma

chwile, gdy uciszy w duchu wszelką burzę zapatrzony w madonny Fra Angelica i Rafaela. Taki Ujejski wreszcie jakoby na potwierdzenie norwidowych słów że od grobu Szopena rozsnują się w Polsce promienie rozumienia sztuki — staje z niesłychaną u nas formą akompaniamentu słowami — muzyce! Faleński wreszcie w wyraźnym podkreśleniu kunsztu w budowie strofy, w rytmie jej melodyi, w plastyce jej środków — w całej wreszcie jak wiemy atmosferze swej twórczości — zbliża się do typu odrodzeniowego.

A wszystko to są zapowiedne znaki mocy, wydobywającej się na jawę. Oto więc wreszcie po próbach tyłu staje malarstwo polskie odrazu w jednym dziesięcioleciu dając Grottgera i Matejkę, Kossaka i Brandta — to jest jakgdyby całej skali naszego rozumienia estetycznego potężne wspomnienie.

I tu właśnie od razu wyjawi się wyżej zaznaczona wzajemność sztuki i literatury — przez poezję.

Twórczość Grottgera — ta przynajmniej, która go uczyniła malarzem narodowym, a więc *Lituania, Polonia, Warszawa, Sybir* i *Wojna* — cała zamyka się w tych właśnie latach (1860—67). Rok 1867 widzi równoczesny tryumf *Skargi* i *Rejtana* Matejki, *Lituanii* i *Wojny* Grottgera na Wystawie paryskiej.

I gdy ci dwaj stają się odrazu tłumaczami narodowych, najszczytniej pomyślanych koncepcji — Kossak i Brandt śpieszą z wyrażeniem wszystkiego, co przechowało się jeszcze żywą grą temperamentów, zmysłów i wspomnień ze szlachetczyzny.

Tego dawniej nie było. To była nowość — potężna — siódmego lat dziesiątka. Odtąd to po raz pierwszy poetą narodowego zbiorowiska mógł stać się malarz, gdy tylekroć uznano, że jedynym wyrazem roku 63-go był Grottger. Należałoby również dodać, że jedynym na odpowiednią modłę wyrazicielem prądu historycznego w sztuce był znowuż — Matejko.

Otóż jeśli tak poczynął czuć ogół polski, to o ileż potężniej czuli to sami twórcy — zarówno malarze jak pisarze, a zawsze — poeci?

Poezya to — tu znowuż nieprzerwana, organicznie zrośnięta z romantyzmem polskim — święciła swój tryumf. Zadzierzgnął się potężny węzeł wzajemności między nią a plastyką

polską: nowe zwycięstwo kształtującego duszę zbiorową geniuszu gatunku.

My wszakże, jeśli tu zatrzymujemy się nad zjawiskiem tem (którego dawna scholastyczna metoda nie przyjęłaby w rozdział traktujący o — poezji) to zrozumiejmyż całą jego dla twórczości poetyckiej doniosłość.

Oto narodzona plastyka polska, stając się jednym z jej organów, rozszerzała niewątpliwie jej skalę o wszystkie pierwiastki wzrokowe — a za tym zmysłem »co kochać przymusza« tem skuteczniej wiodła rozumienie ogółu w nowe światy. Zarazem jednak dla twórców Słowa było to jakby zwolnienie z pewnych zakresów czucia i myśli — jakby przejęcie części ich dotychczasowej służby, by oni tem wolniej szybowali w bezkresach twórczych. Tak przecudownie uwzajemnia się dzieło nadzmysłowej mnemoniki w zmysłach poczętej sztuki.

Zamknijmy więc ten nawias malarski stwierdzeniem, że ogół polski odrazu doniosłość nowego pierwiastku żywotnego usankcyonował. Cykle Grottgerowskie, obrazy Matejki stały się dobytkiem powszechnym, bez którego niepodobna dziś pomyśleć inteligencji polskiej — to niemal jej herb. Odrazu też dokoła nich zawiązały się gorące dysputy, ów sławny *Sąd nad Matejką*, w którym Tarnowski i Kraszewski odegrali taką rolę — komentatorstwo całe życia, prasy, opinii, pośmiertna adoracya Grottgera, jak to zwyczajnie i t. p.

Lecz węzeł się zadzierzgnął i z poezji wysnuty w plastykę z kolei z plastyki prowadził nurt nowych wpływów ku literaturze.

Jakiż to był wpływ? Odpowiedź na to nawinie się nam nie w jednym objawie w przyszłości, gdy sztuka wogóle stanie się podłożem wielu zjawisk literackich. Tu wskazałbym przede wszystkim na wpływ niejako oczyszczający, który malarstwo zdaniem mojem wywarło na literaturę polską. Oto ono zgasiło w niej na razie nałóg bylejakiego wizjonerstwa, nazbyt w wierszach zwłaszcza naszych rozpanoszonego. Odebrało niejako tę już męczącą nas funkcję śnienia Słowu — oddając co plastyczne — plastyce.

Sny twórcze poezji naszej stały się może znowu czystsze, mniej niewolnicze w sileniu się o fantasmagoryę kształtu, wstyd-

liwsze, sumienniejsze wobec niego? Powiadam: »może«, lecz głęboko jestem przeświadczony że tak było; że odtąd zdobywa poezja nasza znowu coś z tego, co tak cudownie streściło się w wierszu Mickiewicza o »wodzie wielkiej i czystej« — jakąś głębszą, mniej zmaconą przypadkowością barw i płataniną kształtów zwierciadlaność. Zdobyła zapewne, poczęła zdobywać głębszą kulturę plastyczną, lecz zarazem i głębszy lot ideowy.

Wyrazem zaś takiej przemiany miała się stać twórczość Adama Asnyka.

32. Oto jest imię, w którym streściło się wszystko, co pochylający się ku końcowi swemu wiek XIX miał w tych latach do oddania przez poetę — nowoczesnemu człowiekowi.

Jakkolwiek wysoko wyniósł sąd krytyki zasługę poetycką Asnyka — nie zdaje mi się, by domierzył mu całą sprawiedliwość. Są rzeczy niezmiernej dla losów duszy polskiej doniosłości, które się w nim ostatecznie rozwiązują, są inne, które on pierwszy łączy w żywą całość. A jedno i drugie stanowi organiczną jedność o tak szlachetnym zarysie, że przybiera wprost kształt jakiegoś wzoru.

Czemże jest poeta, jeśli nie za każdym wcieleniem nową próbą jakiegoś wzoru człowieczeństwa?

Asnyk jest pierwszą próbą harmonijnie rozwiązaną nowoczesnego idealisty — idealisty bez złudzeń, jeśli wolno tak powiedzieć.

Nazywano go poetą okresu pozytywizmu.

Nic fałszywszego od tego tytułu, jeśli wogóle mieszczące się w nim przeciwieństwo nie jest po prostu absurdem.

Inni zresztą pisarze, jak to zobaczymy, staną bliżej i dodatnich i ujemnych cech tej krótkotrwałej odmiany. Asnyk zaś jak wyprzedza t. z. pozytywizm datami swej poetyckiej kryształizacji, tak znów daleko wybiega poza jego ciasne granice lotem własnej indywidualności. Mógłżeby inaczej być — poetą t. j. duchem, obdarzonym mocą kształtowania dusz żywych?

W tempie uderzającego skrócenia od bardzo wczesnej młodości przeżywa Asnyk najbardziej stanowcze przemiany swoje. W dwudziestym roku jest poetą z pełną teką utworów (choć

ich nie drukuje), z ukształceniem zanoszącem się na całość encyklopedyczną o niepoślednim poziomie, ze znajomością literatur obcych. Wcześniej też przeżywa niepowrotne chwile osobistych uczuciowych dramatów — miłość nieszczęśliwą, stratę ukochanej i niezwyklej matki. Wraz z całą młodzieżą Królestwa przebiega bystrą a bolesną skalę od spisków do wygnania prowadzącej walki, podczas której sprawa w powstańczych województwach ważne misje. Krótko również wędruje szlakiem dawnych emigracji po Szwajcaryi, Niemczech, Włoszech — a jak większość tej nowej fali z Łożyska rodzimego wyrzuconych — wraca nie do jednego z jej dawnych ognisk, lecz do — Galicyi już w roku 1867.

Jest w losach tych, w skróceniu niejako powtarzających gest najlepszej części pokolenia (z tych, którzy ocaleli) — przedziwna bystrość dojrzewania — zarazem zwiastowniczy jakiś przebieg, który warto zapamiętać.

Nie wojak to dawny, obozowy — lecz chwilowy rycerz pół-bezbronny: powstaniec; nie tułacz bezdomny i beznadziejny lat ubiegłych, lecz turysta raczej dla zrównoważenia i uleczenia zbolalej duszy, odbywający krótką, pełną rozmyślań wędrowkę; nie prorok więc, nie wieszcz, nie płomienisty mesjasz nieodkrytych światów — lecz myśliciel, poeta, zrównoważony człowiek idealny, świat doczesny ogarniający mądrym, zadumanem okiem.

Że ważą się w nim i do równowagi dochodzą pierwiastki dojrzewającego w tych latach pokolenia — o tem świadczy każda strofa jego krystalicznie przezroczych liryk. W tem tkwi znaczenie jego poezyi.

Wszystkie duchowe koleje Asnyka są równie charakterystyczne i znamienne.

Encyklopedyczność jego, oparta na wiedzy przyrodniczej — będzie znamieniem ukształcenia nowoczesnego. Jego skierowanie się do zagadnień społecznych — to również kierownicza dążność czasów. Gdy z tych właśnie pierwiastków poczęty obudzi się ruch w Galicyi — Asnyk stanie w pierwszych jego szeregach, przechodząc znowu przez charakterystyczne etapy publicysty, posła, współredaktora wolnomyślnego organu (*Nowej Reformy* 1881). Możliwość układając życiorys Asnyka stworzyć istny wi-

zerunek idealnego człowieka w rozumieniu tych czasów. Tak, czujemy to, on jest ukształtowany z tych samych pierwiastków, z których powstała owa cała nowa warstwa — inteligencja.

Mniemam, że jesteśmy już tutaj bliżsi typu, który Asnyk wyraził, niż gdy mowa była o »pozytywizmie«.

Takim jest podłoże poety i pokolenia. Lecz nie tu koniec tych zapowiednich znaków.

Jest Asnyk jednym z pierwszych (Norwid i w tem ubiegł był na wiele lat wszystkich) w całym tym poetyckim pochodzie dochodzącym aż do tej chwili, którego zrozumienie jest nieodłączne od zrozumienia — Słowackiego. Asnyk, wykładający *Króla-Ducha* i dramaty, zagłębiający się w ton i sztukę liryki Słowackiego dla wydobycia tonu własnego — to znowu gest poetycki naszych czasów. W Asnyku kult Słowackiego otwiera tę nową kartę poezji, na której zapisały się wszystkie jej dzisiejsze imiona.

Kult ten pochodzi nie z rozważania tej lub innej grupy piękności lub potęg, przemawiających przez Słowackiego, lecz po prostu z uwłaszczenia się niejako na tej spuściźnie, jako na zupełnym, całkowitem dziedzictwie poetyckiej przyszłości naszej. To już nie naśladownictwo — to uznana konieczność, to żywioł nowy naszej twórczości, zawsze odtąd w niej obecny.

I oto z tak sprzęgniętych, wspólnych rodzajowo z pokoleniem »inteligencji«, lecz zestrojonych na skalę poety pierwiastków wyłania się coraz wyraźniej ów typ, który Asnyk ucieleśnia w polskiej poezji — typ poety-intelektualisty.

Pomiędzy nazbyt schematyczną twórczością filozofa uprawiającego poezję Sully-Proudhomme'a, a nazbyt marzycielską naukowością poety uprawiającego filozofię Guyau — czasy nasze wydały nieskończony szereg postaci kojarzących w różnej skali te dwa światy. Z polskich wcieleń tej równowagi ducha nowoczesnego może najbliższym Guyau stał Maryan Bohusz (J. K. Potocki) najbliższym Sullego — Asnyk. Mniemam wszakże, że nie gwoli szowinizmowi, lecz prawdzie należy stwierdzić, że nigdzie na zachodzie ani poetycki, ani filozoficzny podkład tego idealizmu nie dał piękniejszych zespołów, jak dwa wyżej wymienione polskie. Głęb' cierpień narodowych, wzlot romantyzmu polskiego sprawiły to w duszach naszych »intelektualistów«

typu Maryana Bohusza lub Asnyka. Asnyk więc z a p o w i a d a w ten sposób losy duchowe pokolenia i zarazem stwarza w swej twórczości ich niedościgły poetycki wzór.

Od chwili, w której Asnyk począł rozrzucać po pismach swe poezje (1864) — do ukazania się dwóch pierwszych tomów (1869—1872) — ustanawia się w zupełności wzór ten przepiękny, którego dalsze tomy (1881, 1894) już tylko przejdą pewniejszym, kunsztowniejszym rylcem myśli i arcyzmu.

Nie torturujemy tu ani żywotów, ani utworów pisarzy w przygodnych parodiach biografii i w »streszczeniach«. A mniej niż ktokolwiek operacyi streszczenia może być poddany Asnyk. Zaczem wolimy bez streszczeń podać to co nam się wydaje tajemnicą jego harmonii.

Bo naczelną, podstawową cechą tej twórczości jest właśnie — osiągnięta za cenę rezygnacyi harmonia. Nie Musset i nie Heine to, choć podzwania na schwał kaduceuszem szyderstwa, choć smutek zna do głębi. Ale nazbyt właśnie głęboki to smutek, a wreszcie niemal zupełnie wyzuty z tej zmysłowej rozterki, którą zna przedewszystkiem Musset, poeta miłosnych zerwań i wyczerpań. Nie Heine, choć szydzi, bo zna świętość, przed którą tylko modlić się umie kornie — przekazaną w zbiorowem cierpieniu i wizji proroczej ojczyzny. Ani więc pęknięcie smutku ani pęknięcie szyderstwa — nie idą w Asnyku aż do głębi jestestwa poetyckiego. Oba są dość powierzchowne, bo fundament zbiorowego ideału — nieruszony.

Powtarzam: cechą Asnyka jest rezygnacya. Ból osobisty i ból zbiorowy, więziennosc istnienia narodowego i więziennosc czło wieczej niemocy, granice poznania i granice woli — poznał, zmierzył i przeżył ten zadumany wędrowiec. Lecz bezsilność miotania się wydała mu się czemś zbyt małym wobec ogromów cierpień i zagadek wśród których zawisł duch: zanurzył się cały w krynicznej kąpeli rozmyślania i zamarzył się nad ową jej powierzchnią »wielką i czystą« odbijającą przemijający w wiekiuistych powrotach kształt zjawisk. Prawdziwie — jeden to z niewielu, który w tych czasach w istocie duchem zawisł nad głębiami, a źrenice jego powtórzyły potem iudaeorum ich ogromny spokój.

Wszystko co dać może estetyka myśli — wiec dwa zwier



ciadlaność niezmaconą rozterką zmysłów, więc rytm ów falujący zaduma, więc krystaliczną czystość abstrakcyi, więc ogromny firmament zjawisk, które duch ogarnąć zdoła, mierząc świat wzrokiem myśli, wreszcie to co przez tę przedziwną geometryę duchowych pomiarów ustanawia się w nas pogodną równowagą, że nawet ginący świat — nie wszystek umiera, więc wreszcie przez to poczucie i kosmiczne jeśli nie panteistyczne zespolenie się z Tajemnicą — wszystko to poezya Asnyka zawarła w sobie jako zespół żywy i jednolity.

Tak do ostatecznych swych krańców przeprowadzony intelektualizm staje się — śpiewająca, eurytmii pełną, mądrością. Jest w nim ta władza zadumy i myślenia jakby oczyszczającym rzeczony ziemskie z nadmiaru przekrwionej materii technieniem wieczności. On wszystko rozumie. On rozumie nawet Tatry, nawet lud — Heraklesa. Lecz on nawet Tatry i lud rozbierze z treści materyjalnej, wraźniowej i ukaże ich potęgę jako w atmosferze zenitów ścięte — kryształy.

W tej właśnie atmosferze żyje jego — poezya.

A uczucie? — On je do głębi — rozumie.

Nie w znaczeniu pedantyzmu mówimy tu o rozumieniu Asnyka, wszakże znamy jego wdzięk niewymuszony w mąlowaniu arabesków uczuciowych, ową z dziewiczością graniczącą jego subtelność. Znamy i ogół cały zna i ów męski mocny ton, gdy ocknąwszy się z zadumy, Asnyk — postanawia. Wówczas w takt marszu sfornego w przyszłość tętni jego rytm. Znamy wreszcie smutek towarzyszący mu nieomal zawsze i wszędzie. Więc nie o pedancką oschłość go posądzamy, jeno o niezwykle stopień przeświadczenia we wszystkim co czuje.

Rozum, gdy staje się mądrością, jest może jedynym szlachetnym przewodnikiem rezygnacyi, która przecież inaczej jest zawsze formą — kompromisu.

Nie dziwimy się że pokolenia, które po prostu żyć — żyć w dosłownem znaczeniu wyrazu nie mogły, jak za cenę kompromisu — że pokolenia te — współczesne — zarówno u nas jak na zachodzie — intelektualizm (to jest życie w mózgu) musiały wprost jako ostatnią twierdzę zagrożonej wolności bytu obrać sobie na długie lata nagromadzania sił do nowych, przy-

szłych walk — o życie całkowite, pełne — w godnem ludzkości ujęciu wyrazu.

Takie losy dojrzewania, jakie poznaliśmy w Asnyku — przez tory narodowych zdarzeń, gdy osiągnęły najwyższy ton rezygnacyi z życia na rzecz myśli — dla przyszłych zwycięstw ducha, te wreszcie nieruszone w nim, lecz owszem rozkwitłe tradycje kultu zbiorowości pojętej pojowaniem Słowackiego — osiągnęły nietylko w poezyi jego równowagę filozoficzną, lecz jak wiemy, doskonały swój wyraz artystyczny.

Ścichający w akordach zadumy zgiełk dusznej rozterki — wyraził się w doskonałej, jak muszla morska, pełnej poszumów strofie. Nieskazitelna forma nie znalazła w nim nigdy innej słabości, jak gdy niekiedy zamiast krótkich przykazań mądrości dawała przydługi tok rozumowania.

Zresztą sam wdzięk myśli chroni go najczęściej od tego błędu, a niemniej wytworna, światła kultura estetyczna. Nie jest Asnyk bynajmniej esteta w nowoczesnem rozumieniu, ani tem mniej w rozumieniu norwidowskim — jest po prostu — artystą o wielkiej kulturze. To cośmy mówili poprzednio (32) o wzajemnianiu się w polskiej poezyi coraz ściślejszem kultury plastycznej i muzycznej, ideowej i uczuciowej — to właśnie w Asnyku ma swój idealny żywy wyraz dla całego okresu. On nie ilustruje muzyki wierszem, ani obrazu nie wzmacnia słowem — ale doświadczenie, kulturę muzyczną lub malarską ma w oku i w uchu, gdy szkicuje epizod, postać, kwiat lub gdy buduje strofę albo pieśń. I wszystek świat stworzony przez Asnyka ma nie tyle rumianą barwę życia, ile raczej w kryształach myśli odbity ów brząsk różany zjawień sztuki, załamujący się po wielekroć razy w rytmicznych perspektywach objętego duchem kosmosu.

Wreszcie język Asnyka — instrument z wirtuozowstwem nastrojony, skroś nowoczesny w budowie, słownictwie, urobiony do cieniowania myśli, oczyszczony z wyrażen nadto mglistych, z frazeologii i patetyczności, wytwornie prosty, subtelny, zupełnie muzyczny — jest pierwszą na taką skalę podjętą i przeprowadzoną próbą zastosowania olbrzymiej, orkiestralnej spuścizny językowej wielkich romantyków (Słowacki) do usiłowań indywidualnych. Język ten ma też samą cechę, co cała

indywidualność Asnyka: oto on obejmuje mowę nowoczesnego człowieka w skali nieomal rzekłbym — potocznej. Ani wiesz-czenie, ani słowo zakonu, ani prorocstwo, ani ekstaza — lecz wymiana myśli, obcowanie, biesiada wspólna dusz — oto ton jego.

Ton ów stanie się odtąd na długi szereg lat, bo aż do końca wieku XIX charakterystycznym dla języka poezji polskiej.

Przeprowadził go Asnyk — wszyscy go przejęli.

Gdybyśmy tu w jednym obrazie — gdyż nie czas na szczególne uzasadnienie — chcieli wyrazić, co się przez i od Asnyka głównie stało z mową romantyków polskich, tobyśmy powiedzieli, że oto potężny w pianach i tęczach bijący wodospad został skanalizowany tutaj dla równego po całym obszarze ducha rozprowadzenia źródlanej fali: odtąd płynie ona całą siecią srebrzystych nurtów sięgając tak szeroko, z jak wysoka bił ongi jej nurt rodzicielski.

Na Asnyku, osiagającym niewątpliwie najwyższy ton poezji ściśle poromantycznej wieku XIX-go zakończyć musimy przegląd jej losów w latach 1860—70. Jego myśląca liryka — to ostateczny rezultat przeobrażeń i dojrzań, o których w toku poprzednim wspominaliśmy. Jego równowaga oparta o wszechstronną kulturę ducha — to najtrwalszy, najdalej w przyszłość żywotną sięgająca wskazówka poezji tej doby. Jego szlachetne, pełne godności synowstwo wobec ojców romantyzmu — to najdosłójniejszy sposób objęcia ich wielkiego nieziszczalnego na razie, lecz i nieziszczalnego dziedzictwa. Ton jego — to skala duchowego życia pokolenia, które — by nie wykipiało, jak uchodząca z rany krew a nie spodłalo w kompromisach — miało tylko tę jedną drogę wolną: kult myśli.

Język jego, strofa jego — to jedyna na razie możliwa stała interpretacja tego, co dotąd było wybuchem geniuszów — objęcie z nich w posiadanie powszechne, potoczne wszystkiego co objąć było można skalą powszechności, uszlachetnionej całą kulturą piękną i myśli.

I jeszcze raz zważmy, że wszystko to razem zmieściło się w liryce, gdy na inne formy twórcze brakowało sił.

I to jest również cechą charakterystyczną poezji tych lat: najdosłójniejszą jej formą od Ujejskiego do Asnyka pozosta- nie — liryka.

33. Raczej więc dla pamięci, że i ten wątek raz zadzierzgnięty (przez Słowackiego) — nigdy się już nie zerwał zupełnie w naszej literaturze — dorzucmy słów kilka o dramacie w tych latach.

Literatura sceniczna wymaga niewątpliwie jednego bodaj warunku dla rozwoju swego: swobody sceny. Mniejsza już o stopień doskonałości środków scenicznych, lecz bez tej elementarnej swobody wystawiania dzieł swoich i obcych samo tylko literackie uprawianie dramatu — rozkwitu jego nigdzie i nigdy nie sprowadziło.

Niestety — w Polsce była w tych latach jedna tylko scena — krakowska — dająca warunki tej swobody i to jedynie w porównaniu z zupełną niewolą takiej n. p. Warszawy. W Krakowie też ześrodkowuje się w tych latach i jeszcze długo potem cały ruch dramatyczny.

Wspominaliśmy już poprzednio (12.) o historycznym kierunku dramaturgii tych czasów w Szujskim i Bełcikowskim naj-silniej objawionym. Szekspir i Szyller — mniej Wiktor Hugo — są autorami dramatycznymi podającymi wzór tej pracy. Dramaturgia Słowackiego z wpływów rodzimych oczywiście wywrze się z czasem najpotężniej; lecz na razie nie jest ani dość znana, ani rozumiana. Jednak i tu zaznaczyć trzeba usiłowania dyrektora teatru krakowskiego, Koźmiana, po raz pierwszy na polskiej scenie dającego cały cykl przedstawień Słowackiego.

Obok kierunku historycznego w którym pójdzie jeszcze niebawem Rapacki Wincenty — rozwija się już w tych latach dramat i komedia obyczajowa, gdzie wzorów dostarcza Musset i Augier, Dumas i Scribe, Sardou wreszcie — najmniej zaś zrównoważony Korzeniowski lub kontuszowy Fredro.

Zaznaczą więc, że cały szereg przyszłych komedyopisarzy więc Balucki, Błiziński, Chęciński, Koziębrodzki, Lubowski, Sarnecki, Zalewski — zaczyna w tych latach zawód sceniczny. Rozwój jednak ich działalności przypada na lata następne i żaden z nich nie daje tu dzieł decydujących.

Jeden tylko Józef Narzyski, przedwcześnie umiera- rający, nie rozwinię dalek talentu, który zapowiadał się tu w utworach takich jak *Niekomiczna komedia* (1863), *Epidemia* (1871), *Pozytywni* (1872) — w powikłanym i przeciążonym bo-

gactwem materiału wątku satyryczno-obyczajowym, w obserwacji ciężkiej może, lecz głębszej zwiastując komedyopisarza na szerszą skalę.

Jeden tylko Fredro - syn całkowicie krystalizuje swój rodzaj w tych latach, gdy od 1865 do 72 daje wzory tyle razy potem niedościgniętej komedyo-farsy polskiej w *Drzemce pana Prospera*, *Consilium Facultatis*, *Posażnej jedynaczce* i innych.

Lecz na ogół lata te dla dramaturgii polskiej mają wyraźnie charakter przygotowawczy. Wyraża się to zarówno w licznych naraz w wielu rodzajach poczynaniach jak przedewszystkiem w działalności kierowników sceny krakowskiej.

Po pracowitej dyrekcyi Skorupki teatr poprowadzi Koźmian — tłumacz i czciciel Szekspira. Kultura literacka sceny polskiej wzrosnie z nim do niebywałego przedtem poziomu. Repertuar wystąpi na plan pierwszy. Teatr dający Szekspira i Szyllera z pietyzmem, w poprawnym języku, nie dorywczo, lecz z wyraźnym zamiarem podniesienia stopy dramatycznej wymagań ogółu — stanie się tegoż ogółu prawdziwym wychowawcą. Wielką również zasługą Koźmiana będzie wystawienie szeregu utworów Słowackiego. Powstanie bodaj po raz pierwszy tradycja sceniczna i to wywodząca się jak widzimy od najświetniejszych potęg sceny światowej i swojskiej.

Nie w realizacji więc lecz w kierunku pracy leży wartość tych lat dla dramatu polskiego. Gdy po latach kilkunastu teatr krakowski przejdzie w ręce powołane (Pawlikowskiego) — tradycję Koźmiana wzbogaci wielki rozmach usiłowań samostannych, lecz już ta tradycja sama oznaczy wysoką miarę, od której każdy będzie musiał zaczynać. Dla autorów zaś polskich odtąd właśnie otwarły się perspektywy i na sztukę dramatyczną w europejskim rozumieniu i na możliwość urzeczywistnień własnych zamiarów bodaj na jednej ze scen.

ROZDZIAŁ V.

Uwagi ogólne.

34. Jakkolwiek zarys powyższy zjawisk literackich w latach bezpośrednio zrośniętych z powstaniem sam jest tylko streszczeniem ich przebiegu, nie zaś zupełnym tegoż obrazem, to jednak dla porozumienia się z czytelnikiem muszę i to streszczenie raz jeszcze streścić w kilku ostatecznych ujęciach.

Przedewszystkiem więc stanęły te lata jako protest potężny przeciwko bałamuctwu płytkiej a niestety częstej opinii, jakoby tu się coś zerwało z wątku narodowej twórczości, jakoby one się czegoś z niej zaparły lub coś uroniły.

Oto bowiem uczciwe a uważne zestawienie dzieł i dat uczy nas, że wręcz przeciwnie lata te są nieprzerwanym dalszym ciągiem prac twórczych i kulturalnych wszczętych w literaturze polskiej w epoce wielkiego romantyzmu. Zarówno kierunek historyczny myśli polskiej poszukujący mocy, jak dążność powieści i prasy do objęcia całokształtu społecznego naszych przemian, jak wreszcie skryształizowana zwłaszcza w poezyi, a przy pomocy plastyki, dążność do kultury estetycznej i wszechstronnej równowagi duchowej świadczą tu o niepotar-ganej sile tych związków.

Przeciwieństwa same jak stwierdziliśmy — są również dalszym ciągiem i rozwojem antagonizmów formy i idei wyrażonych w Krasińskim lub Słowackim i pod ich też duchową opieką

szukają sobie wyrazu. Idea wreszcie przewodnia polskiego romantyzmu: stawianie wszelkiego zjawiska twórczego przed ostateczną instancją ideału narodo-
wego — leży w podstawie całej pracy tych jak i następnych lat.

Lata te przymnażają nowych dzieł niemałej wartości, kształtujących przyszłe pokolenia od Szujskiego i Szajnochy do Faleńskiego i Asnyka. Jeżeli zaś krótkość okresu, który wogóle wyodrębniliśmy dla tem dobitniejszego ukazania nie prostracyi właśnie lecz przedziwnej żywotności, nie rozerwania lecz ciągłości żywota polskiego — zestawimy z wszechstronnością, głębią, wagą jego prac — to może raz na zawsze zaprzestaniemy wreszcie łatwych biadań, gnuśnych potępiań i ogólnikowych sądów, na które cierpi dziś wielu. Wszakże to w określeniu literatury tych lat (Feldmana) wyczytać dziś jeszcze możemy takie ckliwo-sentymentalne, na ogólnikach i zamilczeniach oparte »pożegnanie romantyzmu«, które mogłoby snąć posłużyć raczej za temat do walczyka, ale nigdy za rozdział polskiej literatury!

Gdybyż raz wreszcie zwalczyć można tę stronniczość, to nieuctwo, ten doktryneryzm, za sprawą których legnie się ów ciemny błąd napiętnowany przez historyka (Brücknera) jakoby »literatura polska powstawała zawsze na nowo niby kilkoma zawodami«.

Gdybyż powyższe nie uprzedzające kolei lat zestawienia wątku i ciągłości naszych prac raz wreszcie przekonały że to właśnie nie one się rwa, lecz że rwać je bezdusznie uczy stronniczość, nieuctwo, doktryneryzm.

Wykazały nam te zestawienia dalej, jak intensywnie pracowały te krótkie lata wplatając w pasmo dawnych (n. p. historycznych) tradycyi twórczych nowe a świetne: kulturę wszechstronną literacką (przekłady), wzajemność naradzającej się sztuki i rozwijającej się zdawna poezyi (31—32). Wykazały wreszcie jak twórczość, kształtująca formy wyrażania pierwiastków żywych, czy to przez wydobywanie nowych, czy przez związywanie dawnych w nowem uwzajemnieniu — utrwała tu nowe rodzaje literackie (fejleton, szkic historyczny), rozwija dawne (powieść), znajduje doskonaly wyraz pewnych zakresów piękna (estetyka myśli), doprowadza panującą w óródwieczu całym formę poezyi

(lirykę) do najharmonijniejszego wyrażenia stanu duszy nowocześnie-
cznego człowieka, jak wreszcie pielęgnując i pomnażając dziedzictwo języka czy to przez kult tradycyi (Słowackiego) czy przez kunszt własny (Faleński, Asnyk) — oddaje go nam na użytek potoczny poezyi całego schyłku wieku, podnosząc tem skalę wymagań powszechnych.

Sumiennosc również nakazuje wyznaczyć, że i losy tej poezyi wśród ogółu w latach tych bynajmniej nie zubożały. Owszem: teraz dopiero — staraniem tych lat — docierać zaczyna do powszechności polskiej znajomość i głębsze rozumienie wielkich romantyków: tu właśnie początek wzrastającego odtąd ich kultu. Obok zaś nich zarówno wielka popularność Pola wśród szlachetczyzny, którą wyrażał, jak Ujejskiego wśród całego społeczeństwa, jak Asnyka wśród ogółu inteligencji — świadczą o tem, że poezya nie umierała, choć mordowało ją pokątnie wielu... wierszokletów.

Całość zaś tych objawów pełnych woli życia, świadomej siebie energii, nadziei niezachwianych, choć skąpanych w krwi i smutku — podobnie jak wyrażała ciągłość dzieła twórczego literatury z przeszłości w przyszłość utrwaloną, tak też stawała się literaturą okresu, współpracownictwem umarłych i żywych, starych i młodych, łącząc w niewygasające dynastye szeregi ich prac.

Gdy wreszcie spytamy siebie, czy te różnorodne objawy, dzieła, prace, formy odpowiadały w społeczności jakiejś jej żywotnej grupie (o całej wiemy, że się dopiero zwolna zrasta) — to odpowiemy, że odpowiadały właśnie przemianie szlachetczyzny polskiej w tę tymczasową z »szerokiej publiczności« kształtującą się reprezentację narodu, którą jest — inteligentny ogół współczesny.

Tyle co do związków i uwzajemnień literatury polskiej z własną jej tradycją i rodzimem podłożem życia. Mnieman, iż nie tu nie pozwala na lekkomyślny pesymizm, na wyrzekania płone na temat zerwanych związków, potarganych tradycyi.

Co zaś do stosunku polskiej twórczości do ogólnego stanu literatury na zachodzie wspominaliśmy tu o nim w różnych poszczególnych wypadkach kilkakrotnie. Nie uległ on zmianie również. Jeżeli mowa o stopniu baczności naszej kultury lite-

rackiej to zapewne we względzie bieżącej literatury zachodu pozostawia on wiele do życzenia.

Krystalizujące się n. p. we Francji ówczesnej i właśnie w tych latach przemiany (Goncourtowie, Flaubert, Baudelaire) — nie znajdują, pomimo niemałej swej doniosłości dla sztuki, wyrazu w ówczesnej naszej literaturze. Zwracano już na to kilkakrotnie uwagę, że owych kilkunastu lat różnicy między dojrzewaniem pewnych objawów u nas a na zachodzie — jeszcześmy dotąd nie wyrównali. Spotykamy się jednak w poprzednich a co ważniejsza i w następnych latach z tyloma przeoczeniami naszego życia w zestawieniu z życiem ogólnoludzkim, że to nie stanowi bynajmniej o jakiejś niższości, nieżywotności lat, o których mówimy obecnie.

Jeżeli jednak nie o aktualną łączność z zachodem, lecz o tę głębszą wszechludzką chodzić nam będzie — to wiemy już z obfitości, wartości i wyboru przekładów, że chwila ta jest bardzo pomyślną kontynuacją pracy lat poprzednich.

Kulturze polskiej brakowało i brakuje dotąd wielu tonów zasadniczych dorobku ogólnoludzkiego. Pokolenie więc, które bodaj zaniedbując nieco związków chwili sięga w swej pracy do owych pierwiastków (Dante, Szekspir, Goethe) — kulturze tej przysparza niemało.

Nie o tem tu jednak chcemy mówić.

Chcemy raczej stwierdzić, że ociągając się mniej lub więcej, bieg naszej twórczości w tych latach jak i dawniej jak wreszcie i w przyszłości, jakkolwiek potężnie kształtują go tradycje rodzime, jakkolwiek despotycznie narzucają się mu osobliwe warunki polityczne — jest jednak w ogólnym swym zarysie obrazem tych samych właśnie przemian, które przechodzi zachód, nie zaś wynikiem ostatniej daty historycznej — powstania. Że następnie, akordem jest w stosunku do zachodniej nasza twórczość nie zaś jej powtórzeniem, a to dlatego, iż poczynając od romantyzmu znalazła na lat szeregi ton własny.

Tonu tego brzmienie staraliśmy się pokrótce przypomnieć z założeń romantyzmu ujętych przez Mochnackiego. Istotę jego, jak wiemy, stanowi owo poszukiwanie dostojnego kształtu jestestwa narodowego — ów kult zbiorowości wyposażony niebywałą potęgą uczucia i stanowiący ostateczne kryterium

wszelkiego u nas poczynania. Jedność, ciągłość i wszechstronność tego stanowiska poręcza samoistność zjawisk naszego życia twórczego w zestawieniu z zachodem. Współmierność zaś samych przemian literackich, głównych obrotów myśli twórczej u nas i na zachodzie poręcza znów szereg niezbitych faktów.

Tak więc ów znamieny kierunek historyczny, cechujący te i poprzednie lata nietylko u nas, lecz w całej Europie był ocknięciem się zmysłu organicznego społeczeństw po niwelacyjnym działaniu abstrakcji i doktryneryzmu rewolucyjnego. Jeśli więc Matejko lub Grottger, Szajnocha lub Szujski wyrażają go u nas — to czynią to podobnie jak Delacroix i Delaroche, Kaulbach, Mentzel lub Wilkie dla całego malarstwa, jak Guizot i Henryk Martin, Mommsen, Ranke i Niebuhr dla całej historii.

Gdy powieść nasza i prasa dążą do stania się panującymi formami piśmiennictwa, gdy szkic i fejleton, powieść historyczna i obyczajowa rozmnażają się i utrwalają u nas — to samo zjawisko spotykamy na zachodzie.

Gdy potem spostrzeżemy, że zarówno historia, jak powieść prowadzą przez poszukiwanie mocy i odczucie kształtu społecznego do polityki i zagadnień społecznych u nas — będzie to ten sam gest, który przez nie myśl ludzka wykonała — wszędzie.

Gdy wreszcie naczelną kierowniczą władzą dusz twórczych — poezya — rozwinie się u nas w zestrojoną z kulturą myśli i piękna, a przepojoną smutkiem i rezygnacją — lirykę — bezsilnie kusząc się o stworzenie tragedii, choć zdawałoby się że nie brak jej wątku dokoła — to samo właśnie dzieje się w średwieczu twórczości zachodnio-europejskiej, gdzie także po dobie idealnych wieszczów nastąpiła doba żmudnych urzeczywistnień.

Stwierdzamy więc: akordu polskiej twórczości z zachodnią w tej dobie popowstaniowej nie zrywamy, jak nie zerwaliśmy wątku rodzimości. Natomiast zarówno u nas jak na zachodzie postrzegamy od średwiecza zjawisko uszczególnień i urzeczywistnień w całej literaturze, następujące po dobie uogólnień i idealizacji poetyckich.

Lata o których mowa są tego zjawiska kontynuacją i utrwaleniem.

35. Tu wreszcie pora na stwierdzenie jeszcze jednego faktu już nie w literaturze samej, lecz w życiu kulturalnym narodu mającego najdonioślejsze znaczenie.

Na wszystkie dawne klęski narodowe od rozbiorów do 1830 r. ogół polski odpowiadał zazwyczaj — emigracją.

Nie będziemy wdawali się w rozważanie wszystkich dodatnich i ujemnych stron tego objawu. Emigracje nasze były bezwątpienia ogniskami o wielostronnem znaczeniu, o potężnym wpływie — niekiedy nawet nietylko w narodowym, lecz i międzynarodowym życiu. W fakcie tym słusznie czy niesłusznie upatrujemy zazwyczaj równoważnik strat, które przecież przez ubywanie sił tyłu z pracy na gruncie kraj ponosić musiał.

Rozumiemy wreszcie, że warunki doskonałej swobody ducha i wielkiej kultury, wśród których emigracje te rozwijały się — potęgowały niezmiernie ich twórczość i — zwłaszcza gdy mowa o genialnych jednostkach — wydawały plon zbawienny dla narodu.

Był bowiem jeden dantejskiej miary czynnik — ten, na który wskazał Mickiewicz — tęsknota — najpotężniejszy zapewne w wielkiem dziele kształtowania się duszy polskiej. Że zaś za ojczyzną, jak oni na wygnaniu, tak w kraju w więzieniu tęsknił również ogół cały — więc stawała się ta wspólna tęsknota wielką przewodniczką natchnień w kraju, gdy na wygnaniu była ich — źródłem.

Od kiedy jednak zostały rzucone zarysy owej ojczyzny w dziele polskiej romantyki — doniosłość emigracji, jak łatwo zrozumieć poczęła maleć. Trzebaż było tę Utęsknioną — urzeczywistnić. To właśnie znowu pierwszy wyraził Mickiewicz w latach gdy w milczeniu przedewszystkiem urzeczywistniał ją w sobie.

Mniemam że to milczenie mickiewiczowskie jest właśnie tym czynnikiem, który postać jego wyniósł ponad wszystkie inne sławy poetyckie naszej literatury.

Lecz należało teraz by kraj odpowiedział temu potężnemu gestowi samostworzenia mickiewiczowskiego — gestem również potężnym.

Trzeba było by stał się, zrosł się wszystkimi członkami społeczności w ową wyprorokowaną jedność — w naród.

Wiemy, że sprawa jest w toku, przekroczywszy rubież nowego stulecia, a docierając siłą faktu do wszystkich warstw społecznych — siłą zaś tej właśnie powszechności — do świadomości wszystkich jednostek. Otóż krótkie lata, których pobieżny zarys poznaliśmy, miały w tym względzie niezmierną doniosłość.

One to ustanowiły nowy obyczaj — zatamowały niejako ów dawny odpływ emigracyjny, owszem, gotując powrót i tych, którzy dawniej kraj opuścili — powrót żywym ważniejszym od nich niekiedy — zmarłym.

Lata te zdecydowały o utrwaleniu się żywotnych pierwiastków w kraju, o tem, że nurt życia naszego nie miał już odtąd wytryskać bolesną improwizacją, wyrrywającą się w niebiosy z rodzimego łożyska, lecz miał w niem płynąć bodaj rozlewając się nieraz po mieliznach, bodaj często ginąc gdzieś na pozór w głuchej podziemnej ciemności. To przyniósł rok 63-ci i lata z nim zrosnięte.

Pierwszym zapewne powodem tej zmiany było to — że romantyzm polski już dokonał swego dzieła: tchnął tęsknotę swoją w ducha narodu. Drugim — to, że warstwy narodu rozrastając się, zachodząc w coraz głębsze związki wzajemne, komplikując i pomnażając skarb swego bytowania — nie tak już luźno przylegały do siebie, lecz w istocie w świadomości i bezwiednie poczęły się zrastać w całość.

Trzecim wreszcie, że jakąś przecie rękojmię bezpieczeństwa dawała bodaj jedna dzielnica pracy narodowej. To też jak wiemy w Galicyi, dokoła dwóch ośrodków Lwowa i Krakowa zawiązały się liczne obozowiska i konfederacje żywiołów, które dawnymi laty poszłyby w świat — na emigrację. Owszem: jeszcze z emigracji teraz Galicya ściągając będzie ludzi (Goszczyński) — zatrzyma falę płynącą z Królestwa (Asnyk). Wogóle zaś tu skupi się ostatecznie liczniejszy poczet imion tej doby: Szajnocha, Kalinka, Szujski, Tarnowski, Małecki, Siemiński, Koźmian, Estreicher, Bełcikowski, Bałucki, Lam, Zacharjasiewicz, Ujejski, Pol, Asnyk i tylu, tylu innych.

W roku 1866 Kraszewski żali się w *Rachunkach* że »pisma wydawane na emigracji nietylko nie obudzają ciekawości w kraju (z wyjątkiem może Moskwy, bo je surowo zakazuje) ale raczej wstręt i nieufność«.

Pomińmy »wstręt«, lecz uznajmy »nieufność«.

Tak jest: naród poczynał mieć nieufność wogóle do wszystkich nie upelnomocnionych pełnomocników swoich, gdyż po prostu żywiłowo czuł, że sam tu na miejscu sobą i przez siebie musi sprawę swego życia i śmierci załatwiać. Nastawał czas urzeczywistnień.

Samodzielnie, choćby nawet błędnie i niezdarnie, bo się dotąd nie nauczył być narodem, ale musiał tę powinność pełnić. »Naród każdy sam za siebie całą swą pańszczyznę odrobić musi« (Norwid). Z pod tego prawa niemasz wyłamania się, a lata, które niosą takie zrozumienie — gotują przyszłość.

Zaczem stajemy tu właśnie przed owym obrazem pospolitego ruszenia sił, które się wydać nieraz może ich — pomieszaniem. Historycy — posłują, uczeni — zakładają warsztaty, poeci — przedzierzgają się w publicystów — rozpoczyna się praca żmudna, powszednia, często w swych przejściach poziomych — odrażająca. A cała ta gmatwanina wysilków i starć — bezmiłosnemu oku jakże łatwo wydać się może bezduszną!

Gdy historia obróci swe ostrze ku — polityce, powieść — ku kwestyom społecznym, poezya sama na orle swego pióra nasadzi stalówki dla orki dziennikarskiej, jakże trudno będzie odróżnić zdobycze urzeczywistnienia od strat idealizacyi, jak trudno będzie zrozumieć co jest koniecznym przejściem do wyższych szczebli życia, co grzechem i błędem przeciw niemu. Zresztą błąd w istocie czyha na rozdrożach takiej realizacyi: »Błądzi mąż póki wspina się do celu« (Goethe).

To wszystko odbiła właśnie literatura tych lat i taką na przyszłość ustanowiła — w wykonaniu rozkazu wieszczów romantycznych — powszechną powinność. A przełamało się to tutaj po raz pierwszy. Były dotąd zazwyczaj dwie społeczności polskie: emigracya i kraj. Teraz miała być jedna. Prawdziwie o tem ani na chwilę nie należy zapominać, przechodząc do lat następnych, tak pełnych potu i zgiełku pracy.

To pracować w nas zaczął teraz zatrzymane raz na zawsze lub powrócone fermenty, dawniej pod niebiosą wynoszące lot sztucznej owej społeczności emigracyjnej — teraz zstępujące do głębi urzeczywistnień społeczności żywej.

Możnaż się inaczej odrodzić?

KSIĘGA II.

1870—1880.

ROZDZIAŁ VI.

Prąd naukowy na zachodzie a u nas.

36. Scharakteryzowane w poprzednich rozdziałach prace i przemiany bynajmniej nie wyczerpują owego nawet prowizorycznego dziesięciolecia, między 1860 a 1870 zawartego.

Współ z prądem historycznym, równie jak on korzeniami sięgając w przeszłość, kształtuje się inna jeszcze dyscyplina duchowa dla rozrastającej się polskiej społeczności.

Poznaliśmy w Asnyku poetycki jej wyraz przedtem, nim leniwsza od poezji myśl zbiorowa zdołała jako tako wydobyć i skojarzyć w pewną całość jej pierwiastki.

Jakkolwiek w toku przyszłych wywodów będziemy musieli poczynić liczne zastrzeżenia i uzupełnienia, to wszakże na razie jako podstawę tej nowej dyscypliny dla myśli zbiorowej i twórczej, jako czynnik kształtujący i kierowniczy w całej obszernej dziedzinie zjawisk literatury i życia wymienimy — **dą ż n o ś ć n a u k o w ą**.

Niemasz może bardziej stanowczego dowodu ciągłości naszych przemian duchowych i współmierności z życiem zachodu z drugiej strony — jak właśnie dążność ta coraz wszechstronniej i despotyczniej w umysłowości ogółu zapanowująca. Już w prądzie historycznym, mimo złudne pozory szczególniejszej jakiejś polskości lub wyjątkowości jego przyczyn — wyraźnie mogliśmy odnaleźć literalnie ten sam pęd ducha, który i na

zachodzie całym powołał rozkwit historyzmu od Guizota i Micheleta do Taine'a i Fustel de Coulanges'a prowadzący. Teraz zaś — w objawach powszechnego garnięcia się ogółu do wiedzy, do naukowych metod — odnajdziemy również taki dalszy ciąg przemian zachodnich. Różnice wyrażą się, jak zwykle, w kilkunastoletnim spóźnieniu się objawów, w płytszem i leniwszem tempie przeobrażeń.

W zorganizowanych po wielkiej rewolucyi i po okresie politycznych i społecznych reform Francyi i Niemczech — na całym zgoła obszarze zachodu, stanowiącym niejako jeden wielki teren tryumfu nowych warstw i nowych instytucyi — prąd naukowości w życiu i literaturze był li tylko odbiciem się i skryształizowaniem potężnych doświadczeń wiedzy, przemysłu, gospodarki — był po prostu formułą wieńczącą okres świetnych wynalazków, pionierskich zapasów z przyrodą, obrachunku nieprzebranego bogactwa sił żywotnych, zasobów materialnych — zgoła całego owego posagu, który stan trzeci wnosił z sobą w życie nowoczesne. Prawdziwie nawet herbowe swe insygnia — łokieć i miarkę — stan trzeci wypożyczył był na niezgorszy procent użyteczności nauce nowoczesnej. Naukowość zresztą, metoda były niemal równoznaczne z doświadczeniem i metodami wiedzy przyrodniczej, która w istocie stawała się osią zarówno badań i dociekań, jak interesów i spekulacji epoki.

W ogromnym pędzie do użyteczności doraźnej, do oczywistości namacalnej, do prawdy dającej się zrealizować na oczekaniu — zdobywając jedną po drugiej dziedzinę gospodarki społecznej — nauka zachodnia nie zaniedbywała zresztą ani genealogicznych wywodów pokrewieństwa z dawnymi twórcami swych metod, ani walki z przeszkodami, które spotykała na swej drodze.

Wszystko zawdzięczając swobodzie badań, ścisłości doświadczeń, wszechstronności obserwacji, nauka nowoczesna musiała się przeciwstawić objawieniom i tradycjom. Autorytetem przeciwstawiała — dowody, dogmatom — fakty. Na miejsce scholastycznej hierarchiczności nauk powstawał ich podział podług przedmiotu badań. Zdetronizowano metafizykę, czyniąc ją w nowoczesnej filozofii — wykonawczynią, służebnicą niemal innych nauk. A wśród tych wszystkich starć i przemian wylaniało się

tryumfujące i dla spragnionej rękoi szczęścia ludzkości jak bożyszcze nowej religii niezbędne — pojęcie postępu.

Nie naszą tu rzeczą zapuszczać się w ten labirynt dla symplistów tylko rozjaśniony latarnią tryumfującego na tym najlepszym ze światów Candide'a. Zadaniem naszym jest li tylko wskazanie tych dobywających się z łona nowoczesnych społeczeństw dążności oraz przypomnienie całej jej dyaletyki, pod władzą której żyły liczne pokolenia.

Ażeby zaś uprzytomnić czarodziejski niemal wpływ tak rozumianej dą ż n o ś c i n a u k o w e j — przypomnijmy sobie, że wszystkie te jej postulaty, jak walka z tradycją i autorytetem, dogmatem i objawieniem — były znowu w politycznym i społecznym porządku rzeczy walką z arystokracją i absolutyzmem, klerem i nietolerancją, t. j. walką olbrzymiej stającej się właśnie nowej Europy — z wrogą jej, przeżywającą się a upartą w swych warunkach oligarchią Europy starej.

Stąd to pochodzi żar i moc nieprzeliczonych sporów, których pozornie temat sam w postaci niewinnej komórki n. p. obecny — bynajmniej nie usprawiedliwia. Dla szerokiego ogółu zdobycze nauk zrozumiałe są przeważnie w postaci namacalnych, zmaterializowanych korzyści i udogodnień bytu, hasła zaś przeobrażeń duchowych są znów o tyle bliskie o ile ogół słyzy w nich dalszy ciąg bojowych hasel społecznych i politycznych.

I nigdy może nauka i filozofia nie bratały się tak z całokształtem tych właśnie przemian społecznych, jak w tej dobie. Skąd znowu dla czującego i żywego człowieka tyle męki i trudu w ustawicznym rozplątywaniu fałszu i prawdy w tym kłębie myśli i faktów zrosniętych.

Ażeby wreszcie skończyć z tem pobieżnem przypomnieniem prądu panującego w całej drugiej połowie wieku XIX na zachodzie — zwróćmy uwagę na jedną jeszcze okoliczność, która tam jego hasłem nadawała moc nieprzełamaną.

Oto jakkolwiek była dyaletyka jego — opierał się on tam zawsze na dwóch potężnych ostojach. Z jednej więc strony odpowiadał faktycznemu stanowi rzeczy, utwierdzonemu w olbrzymim rozwoju na nauce opartego przemysłu, z nauką liczącą się formą obcowania społecznego, z naukowej krytyki poczętem

a zdobytem już w części prawem, naukowym torem kierownem, a w znacznej mierze przeprowadzonym reformom...

Siła więc faktów dokonanych gruntowała tam ideologię.

Z drugiej zaś strony cokolwiek mówili popularyzatorowie i symplici nauki, zawsze i wszędzie obecni ludzie skłonni do zuchwałych i pośpiesznych uogólnień, cokolwiek w parodii bodaj ogólników przedostawało się do umysłowości powszechnej — to nauka sama rozkwitała w istocie, potężnym i świetnym plonem darząc współczesność.

Cokolwiek więc wysnuwał w postaci uogólnień, ba nawet ogólników nieprzebrany ród publicystów i reporterów wiedzy — to za temi doktrynami stały zawsze jakieś istotne zdobycze.

Od Laplacea i Humboldta, od Darwina i Wallacea do Klaudyusza Bernarda, Taine'a, Littrégo — każdy z tych potentatów wiedzy rzucał granitowy grunt pracy naukowej pod obłoczny miraż teorii. Gdy cudza lub nawet ich własna niecierpliwość wiodła myśl na manowce uogólnień, to za nimi trwały jednak pewniki matematyki, fizyologii, chemii, językoznawstwa, zdobyte przez nich, służyć mogące zawsze lepszym uogólnieniom i — co ważniejsza — dalszej pracy,

»Wiedza — to potęga!« — hasło brzmiące z krańca w krańce całej Europy na tle olbrzymiej pracy laboratoryów, wszechnic, akademii, przy nieustającym wtórze odkryć i wynalazków we wszystkich dziedzinach, wśród ustawicznych a na olbrzymią skalę prowadzonych zastosowań tych wszystkich zdobyczy w życiu — miało na zachodzie treść żywą i było w istocie potęgą.

Odpczynkiem zaś dla umysłów i zbawienną dyscypliną były metody wiedzy doświadczałnej wprowadzające ścisłość badania, kontrolę faktów — po długich okresach panowania spekulacji i narzuconych zgóry autorytetów, czy to wspartych na objawieniu i religii, czy na równie despotycznych i narzuconych »prawach człowieka« w interpretacji rewolucyjnej.

Na tle takiego stanu rzeczy i takiego usposobienia umysłów, w zestawieniu wreszcie z potrzebami kierującego życiem zbiorowości europejskiej stanu trzeciego i naradzających się potrzeb demokracji zrozumiałem się stanie dla nas powodzenie

i rola prądów filozoficznych, które pod nazwą racjonalizmu, materyalizmu, pozytywizmu w tysiącnych modyfikacjach i związkach były zawsze apoteozą metod przyrodniczych, przeciwstawiły się zawsze idei autorytetu i wskazywały ludzkości zawsze wiodącą ku zupełnej szczęśliwości drogę — postępu.

37. Byłoby zapewne nieużytecznym okrucieństwem prowadzenie jakiejś ścisłej paraleli pomiędzy bujnością, potęgą prądu naukowego w Europie a ubogim jego nurtem u nas.

Pod żadnym może względem — nie wyłączając praw politycznych — nie byliśmy i to już od szeregu lat tak upośledzeni jak pod względem pracy naukowej. Tradycje Komisji Edukacyjnej, uniwersytetu wileńskiego przebrzmiały dawno — zabrakło w kraju całym od wielu lat ognisk życia naukowego, bibliotek, zasobów, pomocy. Umysły najwybitniejsze, ulegając zresztą przemożnemu wpływowi filozofii niemieckiej, kierowały się na drogę spekulatywną, na której w istocie samopomoc i energia myśli mogły zastąpić do pewnego stopnia niezastąpiony w dziedzinie ścisłej nauki niczem brak naukowej organizacji pracy i materyalnych jej wniosków. Libelt, Kremer, Cieszkowski, Trentowski, Supiński, obok wymienionych w rozdziałach poprzednich historyków, zamykają niemal zupełnie zastęp naszej od średowiecza gasnącej naukowości. Historia, prawo, ekonomika, filozofia kojarzą się jeszcze w jakieś choć niesamodzielne bardzo zależne związki z ogólnym prądem naukowości europejskiej. Na tym terenie — jakkolwiek nigdy nie wylamując się z pod wpływu filozofii niemieckiej — zdobywamy się bodaj na pewne *imponderabilia* polskości, wprowadzone w doktrynę hegelijską.

Ale na całym ogromnym obszarze badań przyrodniczych, stającym się dla zachodu coraz wyraźniej niewyczerpanym rezerwoarem odnowienia myśli i życia — jesteśmy nieobecni. I gorzej jeszcze, bo niebawem ustanowi się oplakana praktyka ekspatryacji naszych sił uczonych na zachód, gdy w kraju niemasz dla nich ni katedr, ni warunków pracy (Nencki, Wróblewski, Kubary, Dybowski). Gdzieś tam niezamordowany jakiś zbieracz jak Taczanowski uprawia z poświęceniem jakąś gałęź krajoznawstwa, szukając miejsca dla swych żmudnie opra-

cowanych inwentarzów w pismach... literackich. Ale o postaciach takich i takim wpływie, jak ongi wpływ i umysł Śniadeckiego — mowy być nie może wśród długoletniej dezorganizacji i zastojów naukowego.

Zanim więc uboga Galicya zorganizuje się jako tako i stworzy kadry dla pracy naukowej całej niemal Polski — rodzaj pogotowia ratunkowego, którem dziś jeszcze żyjemy — tymczasem t. j. w latach 1860—80 ogniskiem jej będzie musiała stać się Warszawa, chwilowo lepiej i wcześniej uposażona.

Niestety — zaledwie jedno dziesięciolecie licząc od założenia Akademii medycznej (1857) do upadku Szkoły Głównej (1868) — i to dziesięciolecie przerwane krwawymi latami powstania — mogła się ludzi Warszawa, że skupi i zorganizuje *disiecta membra* polskiej naukowości! Kilkunastutysięczny zastęp młodzieży i kilkudziesięciu profesorów przeszło zapewne w latach tych przez mury Szkoły Głównej, lecz mogło to mieć raczej znaczenie tem dotkliwszego rozbudzenia głodu nauki, nie zaś jego nasycenia.

Niebawem umiłowana przez ogół Szkoła stała się nic z nim wspólnego nie mającą odmianą aresztu policyjnego na siły i porwy młodzieży polskiej. Niebawem rozpięchło się świetne grono profesorów, którym danem było wyrazić nie tyle naukowe ile obywatelskie zasługi.

Mianowskich, Baranieckich, Estreicherów, Belcikowskich, Tyszyńskich zluźowali Apuchtiny, młodzież zaś rojąca przez chwilę o naukowej drodze, o polskich katedrach, na inne tory skierować musiała zapal i energię.

Bez wątpienia iż dziesięciolecie tej warszawskiej próby zorganizowania nauki polskiej nie pozostało naogół bez znaczenia. Przedewszystkiem pokrzepiło ono nas wrażeniem niemałego pocztu zdolności i ofiarności, które przy pierwszym przeblysku jakichś warunków pracy stanęły do apelu. Stwierdziły, że zgoła nie jesteśmy jeszcze pozbawieni zmysłu organizacyjnego i mimo zaniedbania — pewnej tradycji naukowej i kulturalnej pracy. W te krótkie i przerywane klęskami lata polska szkoła zdołała jednak wyhodować zastęp pracowników dla kraju, stworzyć — upadając sama — kilka instytucji, wpłynąć na podniesienie się znaczne stopy warszawskich wydawnictw. Pod jej wpływem

Biblioteka warszawska wzmogła swą żywotność i wzbogaciła naukową treść, przy współpracownictwie jej profesorów między 1859 a 1869 doszła do skutku na tamte czasy i zasady znośna *Encyklopedia Powszechna*.

Jakaż to jednak była drobna kropelka na spieczone pragnieniem wiedzy usta polskiego Łazarza!

I jak pragnienie to po krótkim epizodzie Szkoły Głównej miało się stać coraz bardziej nieznośnem i — nieutulonem.

W istocie — pomimo doboru i dobrych chęci lub zdolności kierowników, czy wymienionych poprzednio, czy takich jak Plebański, Wrześniowski, Strasburger, Struve i wielu innych, jeśli nie zawsze samodzielnych badaczy, to zawsze stopą sumiennosci godnych stanowiska, pomimo garnięcia się młodzieży — cóż mogło dać społeczeństwu więcej ponad owo krzepiące wspomnienie i rozbudzenie jakiegoś kilkolecia pracy Szkoły Głównej?

Zaledwie tyle, co dać może zarzewie pierwszych pojęć rzuconych na ugory umysłów, pozbawionych tradycji i metody, nalogu i sposobów pracy naukowej. Nie mogły lata te wyrobić nawet dróg samouctwa — jedynie odtąd otwartych dla stołecznej inteligencji i młodzieży.

38. Właśnie zaś samouctwo miało się stać odtąd charakterystyczną cechą umysłowości polskiego ogółu i znacznej części jego przedstawicieli. Nie należy utożsamiać samouctwa z samopomocą. Ta ostatnia jest nieodzownym i zbawiennym czynnikiem wszelkiej kultury, podczas gdy pierwsze jest zawsze plagą społeczeństw, skazanych na taką drogę — tem większą zaś plagą stać się musiało w okresie potężnego pędu i rozwoju nauk wogóle i nauk przyrodniczych w szczególności. Samouctwo prowadzi zawsze do dwóch rysów sobie sprzecznych, więc dezorganizujących jedność wewnętrzną kultury: do niedostatecznego, nie dość równomiernego opanowania materiału naukowego z jednej strony — do zbyt krańcowych i bezwzględnych uogólnień z drugiej strony. Najklasyczniejszym może przykładem społeczności na samouctwo skazanej jest inteligencja rosyjska, kształcąca się od wielu lat na popularyzacyach i pismach literacko-naukowych. Nigdzie też zapewne anarchii wie-

dzy nie towarzyszy równy stopień fetyszyzmu względem niej i fanatycznie-barbarzyńskiego posługiwania się każdym jej twierdzeniem czy hipotezą jako niezbitym pewnikiem i objawieniem.

Spółeczeństwo polskie zaboru rosyjskiego rychło zostało skazane na podobne koleje rozwoju, i jak to zobaczymy później, zmuszone było nawet zasilać się nieraz z tych samych źródeł samouctwa, co inteligencya rosyjska.

W każdym zaś razie już w dobie, o której tu mówimy (1870), w jednym z ognisk naszej kultury w Warszawie zabrakło zupełnie instytucyi naukowych kontrolujących niejako i przerabiających ogólny dorobek wiedzy europejskiej na użytek własnej społeczności, w innych zaś ogniskach jak Lwów i Kraków — instytucye te nazbyt młode i zaabsorbowane kształtowaniem się własnym lub przypadłą im w dziele rolą polityczną — funkcyi tej również spełniać skutecznie nie mogły.

Dlatego to lata między 1870 a 80 zawarte uważać musimy jako początek owej oplakanej dla umysłowości polskiej »wędrowki wyrazów«, na którą jako na jedną z plag naszego życia wskazał znakomity krytyk (Witkiewicz). Jest to jedna z licznych plag samouctwa.

A im niecierpliwiej rwał pęd naszych nieopatrzonych potrzeb naukowych w tych latach, tem bezradniej wobec nich stało pozbawione organów pracy społeczeństwo — tem gorszych plag na przyszłość należało się spodziewać.

Trzeba przyznać, iż pęd ów był w istocie powszechny — wśród młodzieży i młodszej reprezentacyi społeczeństwa — inteligencyi. Nie mogąc zaś wyrazić się skupioną dokoła nierozpalonych ognisk nauki pracą — dał wyraz swej niecierpliwości w licznych przekładach, popularzacyach, prerbkach.

Równocześnie w Galicyi i w Warszawie powstawały mniejsze i większe grupy wśród młodych literatów pragnących wprowadzić ogół na tory pracy naukowej. Ukazywać się poczęły wzmianki o różnych nowych i najnowszych (dla nas) odkryciach — posypały się imiona Comte'a, Darwina, Milla, Baine'a, Littrego, Tainea, Buckla, Lewesa, Wundta, Spencera. Tu i owdzie poczęły się ukazywać pierwsze tomy rozmaitych bibliotek naukowych, które niestety nie miały osiąść dalszego ciągu —

pierwsze tomy pomnikowych dzieł, których koniec utonął w fali dobrych chęci.

Trzeba tu odrazu zwrócić uwagę na pewien rys charakterystyczny, stwierdzony zresztą i przez historyografa tej ruchawki (Chmielowskiego) i przez jej zagorzałego przeciwnika (Jeske-Choińskiego).

Oto poza wyrazami i nazwiskami powoływanych powag i teoryi — świeciła przeważnie gruntowna ich nieznamość. Co gorsza — ruch ten i tak już cechujący się nazbyt wtórnością, pochodnością — nieznamy i nie starający się przedewszystkiem o nawiązanie z własną nauką i filozoficzną tradycją, rozentuzymowany na wiarę dla objawień zagranicy — czerpał je zgoła nie z pierwszej ręki, lecz — z trzecio i czwartorzędnych niemieckich i szwajcarskich wulgaryzatorów!...

Jakoż w istocie wśród bardzo licznych przekładów, ukazujących się w tych czasach, próżnobyśmy szukali wyboru dzieł wyżej wymienionych uczonych i filozofów europejskich. Tem obficie natomiast pojawiały się setne książeczki z arogancką swadą rozstrzygające to, przed czem cofały się najpotężniejsze umysły — różne katechizmy siły i materyi, wolnej woli i determinizmu, dziedziczności i pochodzenia człowieka, niezaprzeczonego postępu i zwycięskiej ewolucyi, doskonale zrównoważonej etyki i t. p. i t. p. — świeciły zaś na nich hałaśliwe imiona wulgaryzatorów i dziennikarzy naukowych Büchnerów, Melichetów, Voghtów, Renardów...

Tak więc »gawędziarstwo, przykryte strzępami chorągwi naukowej« (Korzon) miało nam zastąpić — naukę, nieutulony głód jej odrazu nauczone nas nasycać — bibulą popularnych broszurek! Był to ze wszech miar oplakany początek praktyki, która się miała utrwalić na długie lata i w najróżnorodniejszych dziedzinach naszego życia.

Kto był temu winien? Wyznam, iż trudno mi obwiniać o to tych właśnie, którzy szafowali wyż wzmiankowanymi przekładami i streszczeniami. Była to przeważnie bardzo niewybionna młodzież, rwąca się do wpływu — nie dość zapewne sumienna i nadto niecierpliwa. Obok nich jednak zawiniło niemało i starsze pokolenie przez ignorancyę i jakąś zawziętą niechęć do naukowych »nowinek«. Młodzież dowiadywała się ostatecznie

o nowych prądach i zdobyczach od starszych. W prelekcjach Strassburgera, Struvego, Wrześniowskiego brzmiały imiona Darwinów, Comte'ów, Spencerów. Nazbyt jednak mało czyniono wśród starszych, by prócz wzmianek i imion podać młodzieży pierwsze elementy i metody pracy.

Nie brakowało też objawów zupełnej ignorancyi. Oto n. p. August Comte, którego system ukazał się w druku między 1840 a 1842 i który w roku 1857 zdążył być już umrzeć — dla powołanej wyżej *Encyklopedyi Powszechnej*, będącej owocem pracy całego starszego pokolenia, jeszcze się nie narodził w r. 1860...

T. H. Lewestam, pisząc tamże o pozytywizmie goszczącym już w całej Europie i pukającym bodaj o prawo przemarszu wyrazów i do naszych rogatek — daje przy tym wyrazie jedynie wyjaśnienie... filologiczne.

W roku 1864 też *Encyklopedia* nie jeszcze nie wie o Litrem, gdy od 1857 wychodzi jego *Revue de philosophie positive*, a w 63 cim był rozpoczęty pomnikowy słownik.

Nawet o pracy Milla, u nas tak szczególnie faworyzowanego, który już w 1865 ogłosił swoją znakomitą rozprawę o comtyzmie — ani śladu wieści!...

Tak oto sprzysięgły się na spaczenie w zarodku dążeń naukowych ogółu polskiego trzy potężne czynniki: warunki, nie pozwalające rozkrzewić się samej nauce, starsze pokolenie zbyt nieczule na głos jej i niezdolne dotrzymać kroku postępowi wiedzy zachodniej — młodzież wreszcie wygłodzona i zniecierpliwiona a zaspakajająca ten głód byle jak i byle czem.

39. W takich to warunkach potężna fala prądu naukowego z zachodu niosąca się ku nam — osiadła odrazu na rozpaczliwej mieliźnie i wreszcie wyraz swój znalazła w najplytszej jaką znało to stulecie parodii myśli filozoficznej w t. z. warszawskim pozytywizmie.

Zaznaczmy odrazu, że nie jest zadaniem obrazu literatury ani ekspozycya tej lub innej doktryny filozoficznej — jak tu więc tryumfującego w epoce pozytywizmu wogóle, ani nawet wyławianie wszystkich charakterystycznych spaczeń i zwyrodnień jej na gruncie literackim.

Nie filozofia jako systemat, lecz myśl filozoficzna jako kierująca siła, jako służące w porozumieniu dusz twórczych epoki hasło — ma znaczenie dla literatury. Myśl taka, hasło — nigdy systematu nie wyraża całkowicie, ma się do niego raczej w tym stosunku, w jakim do zawilego rachunku różniczkowego stoi przykład zaczerpnięty z niższej matematyki.

Dla szerokiego ogółu wartość mają zazwyczaj twierdzenia brutalnie jasne — przysłowia są niestety mądrością narodów. Krótko i fałszywie, lecz jakże bojowo brzmi cały Darwin w twierdzeniu »Człowiek pochodzi od małpy« — cały Spencer w twierdzeniu »Społeczeństwo jest organizmem« — cały Hegel w »tezie, antytezie i syntezie«, cały Taine we »wpływie środowiska, momentu i rasy« — cały materjalizm Marxa w »odwróceniu teorii Hegla« i t. p....

Lecz te istne przysłowia filozoficzne — mimo cały swój symplifyzm i trywialność — budzą echa głębsze i w istocie są tylko rodzajem hasła w sferze kulturalnej, podczas gdy w sferze barbarzyńskiej — brane są literalnie jako same w sobie prawdy i objawienia. Błąd nawet zrodzony w atmosferze kultury i dyscypliny umysłowej nie bywa niedorzeczną potwornością, lecz jakby nie dość ściśle pomyślaną, nie dającą się zrealizować prawdą. A nawet prawda jasna jak dzień przeniesiona w środowisko niedokształcone — staje się oślepiającym do reszty umysły — fetyszem. Dlatego zapewne wolimy n. p. Comte'a, nawet wtedy, gdy zaślepiiony koncepcją wszechpotęgi wiedzy stwarza kult nowy i sam w nim celebryje przy oltarzu, niż pozytywistę warszawskiego, nawet wtedy gdy stara się rozumować poprawnie. Na nic starania, gdyż wkońcu zawsze przeżmoże fetysz i filozof taki pocznie czynić wstręty »nieistniejącemu« Bogu.

Jest rzeczą prawdziwie pożałowania godną gdy historyk pozytywizmu warszawskiego (Chmielowski) wyodrębnia w tej dobie jako różnicę między Galicyą a Królestwem to, że w pierwszej była to chwila tryumfu politycznego, w drugim zaś... filozoficznej myśli!...

Wartoż było mieć takie potęgi umysłowe jak Hoene-Wroński, Śniadecki, Mochnacki, Lelewel, Trentowski, Cieszkowski, Sipiński, Wiszniewski, jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Nor-

wid — w fundament myśli narodowej wrosłe od zarania wieku, by tak łatwo święcić »tryumfy« w stuletnią rocznicę Zabobonników i Doświadczyńskich, chlubiąc się z ich mniej dowcipnych prawnuków.

Przesada w ocenie wartości ruchu pozytywistów warszawskich — ściślej zaś tej ruchawki, którą obejmują lata bojowe *Przeglądu Tygodniowego*, *Niwy*, *Opiekuna*, *Nowin* — aż do powstania *Prawdy* Świętochowskiego (1870—1880) jest tem bardziej rażąca i niesłuszna, że Galicya jak wcześniej i głębiej rozpoczęła bojowanie o naukowy kierunek naszego rozwoju, tak prędzej też zdążyła stworzyć warsztaty dla przyszłej nauki. Działalność *Dziennika literackiego*, rozprawy Chłędowskiego, Powidaję, Pawlikowskiego, Pawlickiego, Gumpłowicza, Szulca, Szmitta, Bartoszewicza — by wymienić tylko wybitniejszych szermierzy z ówczesnego obozu postępowców nosiły cechy głębszej wiedzy, rzetelniejszej znajomości kraju, bezwzględnie wyższej kultury filozoficznej, niż w łoskocie frazesów i przy akompaniamencie rażących błędów jawione objawienia grupy warszawskiej. W historyzofii szkoły krakowskiej było bądź co bądź znanstwo dziejów i dyscyplina pracy naukowej, o jakiej w Warszawie nieliczne tylko jednostki miały pojęcie. W przekładach Buckla, Maks Müllera, Lewesa, Darwina, Wundta, które w Krakowie grupa dokola *Kraju* (1869) gromadząca się wydawała było zrozumienie, że nie broszur lecz dzieł kapitalnych nam trzeba. Na taką koncepcję propagandy naukowej w Warszawie zdobędzie się dopiero dziesięciolecie następne pod wpływem działalności *Prawdy* i *Głosu*, gdy n. p. J. K. Potocki dokona olbrzymiego trudu przyswojenia literaturze polskiej całego Spencera, czyniąc to zresztą wcale nie jako »pozytywista«, lecz świadomie i planowo dla stworzenia terenu i terminologii dla filozoficznej dyscypliny rozwydrzonej myśli polskiej inteligencji. W Galicyi wreszcie pracują Józef Supiński i Bolesław Limanowski — obaj jedyni może u nas rzetelni znawcy Comte'a i obaj nie.. pozytywiści, gdy jeden daje zarysy *Szkoły polskiej gospodarstwa krajowego* (1865), drugi zaś przygotowuje się do długiej pracy nad historią myśli demokratycznej, dla przyszłych dziesięcioleci szermierz i nauczyciel cierpliwy.

Skoro więc stwierdzamy, że nauka polska (historycy kra-

kowscy, profesorowie Szkoły Głównej, tłumacze, esseiści i uczeni galicyjscy) nie czekała na warszawskich pozytywistów i sama gdzie mogła i jak mogła snuła wątek własnych tradycji, przerabiała materiał europejski i stwarzała instytucje i podstawy dla następujących pokoleń; że dalej z pozytywistów samych najwybitniejsze siły nie przez pozytywizm lecz niejako pomimo pozytywizmu i okupując pustą frazeologię tych pierwszych lat często żmudną pracą całego życia wyraziły swą wartość dla literatury polskiej; że wreszcie młodszy już rówieśnicy warszawskiego pozytywizmu otrząsnęli się zupełnie z jego wpływów i stworzyli sobie i społeczeństwu (jak to zobaczymy) zgoła inne szranki pracy — to na czemże polega rola właściwego t. z. warszawskiego pozytywizmu i znaczenie tak przesadzane tego hałaśliwego epizodu w dziejach polskiej myśli?

Zanim przejdziemy do charakterystyki jego istotnych wpływów i znaczenia na właściwym terenie, tu stwierdzmy, że taki jak był — był opowiedzeniem się całego pokolenia, całego inteligentnego ogółu za owym prądem naukowym, który zresztą tak niedołącznie przedstawiał.

Niestety! Prąd ten ile na zachodzie wyrażał zdobyczy, tyle u nas nieopatrznych potrzeb, ile tam pod formułami filozofii — choćby nie dającymi ludzkości nic nowego — dokonanych prac nauki i kultury, tyle u nas jej ran świecących z pod strzępów frazeologii.

wszystkie scharakteryzować i wymienić, mając uwagę zwróconą na ostrze każdej z tych spraw, o ile godzi w przebieg zjawisk twórczych, w kształtowanie się samo prądów i dzieł literatury.

Zadanie ułatwia nam ta okoliczność, że dwa pisma *Przegląd Tygodniowy* i *Prawda* — oba będące terenem ewolucji jednego ducha — wyczerpują niemal w zupełności cechy tej chwili w zakresie, o którym teraz mowa. Inne są już tylko przyczynkami i poprawkami tych ewolucji.

16. II 933
41. *Przegląd Tygodniowy* wydawany od roku 1866 przez Adama Wiślickiego bynajmniej nie odrazu znalazł się na linii bojowej, choć pierwszy (w Warszawie) otworzył ogień. Zrazu występując bogobojnie i okolicznościowo chce być tylko kroniką życia społecznego, literatury i sztuki. Redaktor jego, współpracownik pism rozmaitego odcienia i w rozmaitych rubrykach, na razie troszczy się o zdobycie prenumeratorów. Sam zapewne przebywa drogę rozwoju i kształci całość swych poglądów, wykazując zresztą przez długi okres istnienia pisma nie tylko wybitny zmysł kupiecki — *signum temporis* — ale i rozległy zakres potrzeb umysłowych oraz dar oryentowania się (w polityce i w prądach panujących) niepospolity.

Przegląd gromadzi dokoła siebie młode siły: Ochorowicz, Elzenberg, Świeżawski, Kotarbiński, Przyborowski, Gomulicki, Chmielowski, Bem, Tokarzewicz, Limanowski, Bogucki, Kirsztrot, Rajchman grupują się koło pisma, przez które zresztą przejdą potem mnogie zastępy literatów i publicystów (nie wyłączając Sienkiewicza).

Pomimo jednak licznych utarezek o prawa wiedzy, o postęp, wystąpień przeciwko przesądom obyczajowym lub ekliwosci współczesnej poezji (pozytywiści nigdy jej nie znali) — *Przegląd* w pierwszych latach nie miał charakteru zbyt wyraźnego. Charakter ten zyskuje w 1871 z chwilą wstąpienia do redakcji Aleksandra Świętochowskiego, który jest twórcą tonu ówczesnej polemiki. Od artykułu p. t. *Groch na ścianę*, którym w r. 1867 *Przegląd* zranił czule serca »śpiewaków róży, makolągwy i gila«, do kreowanej w r. 1871 nowej wyłącznie polemicznej rubryki p. t. *Echa warszawskie* — ton ów wezbrał

sarkazmem, wyniosłością i wojowniczością. Już nie w »boskie Lilianny, Aniele, Wandy i Adele« godzą z *Ech* i z artykułów wstępnych — zimne a ostre groty polemistów: kuczniczy pozytywizmu ze Świętochowskim na czele szyją gęsto strzałami w całe społeczeństwo, ufni, że zawsze kogoś trafią, chcą powystrzelać wszystkich »maruderów« opornych wobec hasła postępu — chcą śmiertelnie ugodzić każdego »nula«, każdego »pasorzyta«, wszelką »pleśń społeczną« zamierzają z zacofanego ogółu odłupać celnymi strzałami, wybić do nogi »młodych próżniaków i niedołęgów« zawałających drogę szermierzom przyszłości, ba wreszcie — nawet litościwie dopomóc w nieodzownem przecież wymarcu wszystkim »starym« niedość rychło ustępującym z miejsca wobec »młodych«. W ciągu kilkoletniego okresu najzaciętszych polemik i »ciągnięcia do światła« wszelakich »nietoperzy« *Echa Przeglądu*, jego krytyki i artykuły wstępne zamieniają się na izbę tortur dla wszelkiego stworzenia nie stojącego w szrankach postępu.

Wyznam szczerze, iż ten pozornie najkrańcowszy objaw nietolerancyi, to częstokroć ślepe płatanie na prawo i na lewo — mimo nieodzowne w takich starciach krzywdy lub błędy — uważam za najbardziej dodatnią stronę działalności pozytywistów warszawskich. W stęchłej atmosferze przesadnych ostrożności, rzekomo czuwających nad narodowym zniczem, a częściej w istocie pilnujących — pieczeni, na brukowym coraz okropniej poziomie prasy, w gąszczu nieuctwa i ignorancyi, wobec podejrzliwej, starczej niechęci do wszystkiego co młode — polemisci *Ech* byli zastępem dokuczliwych harcowników, drażniącym, niepokonanym, jak dawne lisowczyki, zmuszającym nieprzyjaciela do wystąpienia w pole i rozwinięcia sił. Wtórwały tym napaściom młodsze pióra i ołówki, do reszty wyważając z nieruchomości taką powagę jak Szymanowski konterfektym rycerza z gęsiem piórem pędzącego na indorze, takiego świątnika jak Jenike, karykaturą drewnianego fundatora z kościółkiem na rękach.

Niebawem zresztą prasa »stara« pokazała jakie tam jednak stwory żyły na dnie swojskich stęchłych błotek, gdy w odpowiedzi na arogancyę młodych zionęła jadem oskarżeń o — zbrodnię zdrady narodowej! Dopiero przeczytawszy takie insynuacje

Gazety Warszawskiej lub wymowne dowody mecenasa Wrotnowskiego oskarżającego w sprawie jakiegoś zabójstwa Darwina, Comte'a i Milla, dowiedziawszy się z *Tygodnika Mód*, że Asnyka poezya jest »sucha, bo mara przekorna Darwina czuwa nad poetą natrętnie«, dopiero ze zdumieniem poznawszy zupełną nicłość, nieuctwo i niesumienność owej reprezentatywnej »starej« prasy z *Kuryerkiem* na czele — zrozumieć i usprawiedliwić możemy wyniosły ton Świętochowskiego, rozgrzebującego wzgardliwym gestem te »kretowiska« życia i prasy. I wbrew opinii Chmielowskiego musimy przyznać, że w tych warunkach ta właśnie polemika nie zaś rzekoma »naukowość« młodych najbardziej przysłużyła się ogółowi, była najmniej wątpliwościom podpadającą ich zasługą. Tem gorzej, iż w zapamiętaniu ton ów właściwy dla »kretowisk« zwracano niekiedy do ludzi zasługi i zjawisk zawilszej natury — lecz na ogół wnyki to były zbawienne dla skołtuniałej opinii i wyrodnijających jej organów.

gdyby warszawscy pozytywiści wogóle byli zrozumieli, że walczą z obskurantyzmem, zabobonem, zwyrodnieniem, nieuctwem — nie zaś, jak im się zdawało, z romantyzmem i metafizyką — wówczas i ton, i poziom ich bojowy — byłby w zupełnej zgodzie z istotą rzeczy.

Niezośnym był właśnie ich frazes nazbyt napuszony na to, w co w gruncie rzeczy godził, ich mniemana filozofia, będąca w najlepszym razie zdrowym sensem ludzi umiejących myśleć, ich rzekoma nauka, będąca skromnym studenckim zapasikiem wiadomości — i tu tkwiła słaba strona ich, w czem sami oni i inni po nich upatrywali — siłę.

Gdy nicowali niesumiennie przekłady, gdy za Lamem drwili z »arendarzy wiecznego zbawienia«, gdy karcili wandalizm codzienny a obchodomanie na niedzielę, gdy przesuwali przed oczyma ogółu różaniec jego grzechów w naśladownictwie, pułkownikowstwie, braku wytrwałości wyrażonych, gdy uczyli społeczność cnót prostych, gdy trapiли błagą warszawską, ciemne nieuctwo *Kuryerka*, życie nad stan warstw tużurkowych, gdy uczyli tolerancji wobec nowych w kulturze polskiej przybyszów (żydów), gdy drwili z plagi rymotwórstwa sprzęgającej »drzał« czy »rzał« z — »ideał«, gdy dawali odprawę wstecznictwu w krytyce literackiej, lub pouczali o różnicy między

staremi cnotami, które warto zachować, a staremi nałogami, które trzeba odrzucić — to czynili koło ospałej myśli ogółu zbawcze zabiegi, przed nimi i po nich, niezależnie od hasel i epok będące zawsze chlebem powszednim opinii.

Szkoda, że nie pozostawali zawsze w tym kręgu, lecz podejmowali zadania, którym podolać nie byli w stanie.

42. Jednem z takich zadań nad siły były ich niecodzowne »wskazania polityczne«, nad które życie i myśl musiały przejść bezlitośnie jak nad czczą frazeologią. W tem może najbardziej okazali się pozytywiści warszawscy filozofami w tem rozumieniu, w jakim filozofów charakteryzuje bezsporny ich znawca Nietzsche: »Pytacie mnie, co jest idyosynkrazją filozofów? — Naprzykład ich brak historycznego zmysłu, ich nienawiść do wyobrażenia bodaj o stawaniu się«. Tak rozumianą filozoficzność okazali pozytywiści w całej pełni, tocząc boje po kolei z każdym żywotnym i w przyszłość powołanym objawem: z potęgą tradycyi nie pozwalającą na »logiczne« lecz nie mające władzy nad narodem programy, z demokracją jako jedynym rezerwuarem sił żywych narodu, z socjalizmem, jako z siłą egzekucyjną warstw upośledzonych społeczeństwa.

»Praca u podstaw« i »program organiczny« prowadziły ich do takich sojuszników, których naród z góry musiał potępić i z niepotrzebnym patosem nadawały praktycznym skądinąd radom dnia powszedniego znaczenie drogowskazów dziejowych, które naród — ominął. *Przegląd Tygodniowy* i *Prawda* zresztą rzadko się puszczały na niepewny dla siebie grunt historyczny: cenzura je w tej abstynencji utwierdza. Niekiedy znajdziemy tam jakiś *Pogląd na dzieje naszej arystokracji* (Niemiry) lub inną w tym rodzaju »historyczną« rozprawę — naogół głucho. Nie jest to mocna strona pozytywizmu. Z historią i polityką pozytywizm rozprawia się.. logiką. Gotowy, ściśle podług zasad logiki zbudowany program przyniosą jakieś *Wskazania polityczne* Świętochowskiego (*Ognisko*), gotowe również wskazania społeczne gdzie logice sekunduje statystyka ustanowi Bolesław Prus (*Opiekun Domowy, Nowiny*). W jednym i drugim nie zabraknie niczego, co logicznie i statystycznie pozwoliłoby naro-

dowi oddychać i rozwijać się — niczego, prócz warunków realnych urzeczywistnienia.

~~I tu więc~~ W zakresie ogólnych wskazań politycznych i społecznych w działalności pozytywistów zawodziły zasady i doktryny, nie wytrzymujące krytyki, pozostawały zaś jedynie owe konkretne nawoływania do pracy w gminach, w szkole wiejskiej i kasach pożyczkowych, do chwytania się przemysłu i handlu, do rachunkowości w życiu, do opieki i popierania ruchów emancypacyjnych i t. p. ~~Lecz~~ tu życie samo kształtowało już szranki ewolucji i »argumenty« pozytywistów wobec takich argumentów jak zniesienie granicy celnej między Królestwem a cesarstwem (1850), jak uwłaszczenie włościan (1863) i t. z. wyprzeganie masowe szlachty z bankrutujących majątków, jak rozwój szybki i stanowczy przemysłu — uderzały raczej ubóstwem materiału życiowego, niepełnością informacji, nieudolnością płaczącej się we frazeologii dziennikarskiej myśli wobec objęcia całokształtu piętrzących się przed społeczeństwem zadań i prac.

I w istocie — jakąż to siłę wobec potężnych przemian społecznych, a nieublaganej rozkładowej mocy warunków politycznych — jawić mogła formułka liberalizmu, w której w gruncie rzeczy streszczają się społeczne i polityczne wskazania pozytywistów?

43. Przejdźmy wreszcie do najbliższej z literaturą graniczących zapasów pozytywizmu — z romantyzmem. Dziś zestawienie samo brzmi jak mimowolny komizm historyi, lecz była chwila, kiedy to brano całkiem seryo.

Wspominaliśmy o słusznych atakach *Przeglądu* lub *Niwy* na rozkwilone makolągwy i na wierszokletyzm. Kto choć pobieżnie przerzucił karty naszych wydawnictw takich np. jak liczne między 1820 a 50 noworoczniki, gdzie obok świetnych talentów popisują się tysiączne zakwefione kryptonimami, gwiazdkami, inicjałami miernoty — ten wie, ile ckliwego sentymentalizmu, bezradnej pustki dusznej i błędów gramatycznych mieści się w dziejach poezji nawet w czasach jej heroicz-

nego rozkwitu. Dobrze więc czynili pozytywiści ścigając i w naszych czasach te objawy sentymentalnego wierszoróbstwa. /

Lecz oni i tu, jak w całej swej działalności, przesadzili ton swoich powołań i z klapką na muchy rzucili się na — orły. Wśród licznych i ulubionych aluzji do przesadnej roli »wyobraźni i uczucia« w poezji naszej, wśród nawoływań do utilitaryzmu i »naukowości« pod adresem różnych pisarzy pozytywiści stracili wreszcie wszelkie poczucie własnej siły i rozpoczęli »zasadniczy« atak na romantyzm. Pomnikiem jego pozostanie artykuł F. Krupińskiego w *Ateneum* (1876), gdzie autor zarzuca romantyzmowi guślarstwo, zabobonność, rozigranie wyobraźni, gminność i zbytek uczucia, gdzie przy nazwisku Słowackiego w nawiasie dodaje — naukowo! — »syn«, gdzie płytkość sądu, brak zmysłu poezji i dowód jawny niewgłębienia się w wielką improwizację dziejową, jaką był nasz romantyzm — po prostu przeraża.

Nie żądamy tu od pozytywistów tego rozumienia romantyzmu, który zdobywamy dziś po dziesiątkach lat komentatorstwa, porównań, wgłębiania się w jego treść. Ale zdumiewającą niespodzianką jest to obniżanie się kultury literackiej poniżej poziomu obozu klasyków warszawskich z przed pół wieku, wykazane przez całą niemal grupę pisarzy!

Skoro nie umieli zrozumieć poezji — mogliż oszczędzić społeczeństwu tego obniżenia kryteriów poetyckich przez wczytanie się bodaj w prozę romantyków — a jedna *Odprawa krytykom i recenzentom warszawskim* Mickiewicza nauczyłaby ich o losach i znaczeniu romantyzmu tyle, by przynajmniej nie mając nic do powiedzenia — milczeli. *Przegląd Tygodniowy* nie uznał co prawda »definicji« Krupińskiego, stwierdzając, że ona »nie ma przymiotu dostatecznego uogólnienia, miesza ze znamionami ogólnymi — podrzędne i jest zestawieniem kilku znamion ujemnych z pominięciem dodatnich«.

Lecz czyż już w samym tym studencko-szkolarskim tonie repliki nie uderza drewniany dźwięk niewrażliwości i czy to rzeczywiście należało podnosić »obywatelską odwagę« i »duch opozycji« takich krytyk wbrew »sekciarzom domorosłego idealizmu« — czy to właśnie było najpilniejszą potrzebą czasów, w których policja, cenzura, szkoła, życie samo sprzęgały się

na coraz grubszą nieświadomość wśród ogółu czem był romantyzm? Pozytywizm warszawski miał nieszczęsny dar szafowania tanią rycerskością tam gdzie rzecz była tego nie warta — lecz nigdy nie stał się rycerzem naprawdę zagrożonych wartości twórczych. W łatwych zwycięstwach nad makolągami zaniedbał wielu pierwszorzędnych obowiązków. Nie znał i nie starał się poznać istotnej wartości polskiego romantyzmu — nie ocalił od niepamięci i krzywdy plejady bolesnych duchów pokolenia ojców swoich, ~~Norwida, Zmorskiego, Sowińskiego, Wołoskiego, Dziekońskiego~~ — nie wykonał sumiennej pracy szacowania wartości, które dokoła dusiła cenzura, deptała ignorancja a frazes dobijał. Zbyt często ciurom pozwalano w tym czasie drapować się w szatę duchowych — przywódców. ~~ST~~

I dlatego pozostanie wojowniczość pozytywizmu warszawskiego w dziedzinie objawów twórczych literatury polskiej przez pustkę rozmachu i przesadę gestu, przez karykaturę przemian duchowych — jako istny *miles gloriosus* doktryneryzmu na służbie frazesu. Dla tego tam nawet gdzie wystąpi z słusznymi zarzutami wobec przesady epigonów romantyzmu — nie znajdzie oddźwięku w przyszłości, jak nie znajdzie sympatyj Sancho Pancho starający się obniżyć — Don Kichota.

44. Zanim streścimy ten męczący i pogmatwany choć krótki epizod polemiki, gdzie wartości przeczą sobie wzajem, gdzie nauka często jest nieuactwem, ludzie w cyfrach i statystyce tkwiący — najszlachetniejszymi idealistami, a najzagorzalsi doktrynerzy — celują w praktyczności własnych interesów, gdzie rzekomi nowatorowie są przeciwnikami — rewolucji, a rewolucyoniści — uczą analfabetów — musimy tu zwrócić uwagę na jeden potężny czynnik tych czasów, którego wpływ sięgnął w przemiany nasze literackie głębiej niż przypuszczamy, a bez którego niepodobna zgłębić, jeśli tak wolno powiedzieć, płytkości pozytywizmu.

Mamy na myśli cenzurę. Tak jest, cenzura rosyjska, będąca wykładnikiem ideowym całego systemu, stosowanego przez rząd w tym zaborze, musi być powołana, gdy chodzi dziś o ostateczne zrozumienie i rozprawienie się z tym okresem.

Zresztą i potem wielokrotnie pomoże nam w zrozumieniu pewnych objawów i form literackich, ba — nawet pewnych specyficznych talentów. Nie masz może w historii literatury powszechnej tak ciekawego przykładu ingerencji czynnika politycznego w sprawę literatury.

Wiemy dziś, że przez czas trwania swego po roku 1863 cenzura zakazała w zaborze rosyjskim około czy przeszło trzy tysiące tytułów dzieł. Jakkolwiek zaś bywały między zakazanymi książkami i niewinne katalogi... nasion ogrodowych, to wiemy również, że setki najdonioślejszych w tej epoce utworów nie mogły jawnie wkraczać do zaboru. Taki stan rzeczy nie mógł sprzyjać pogłębieniu kultury narodowej w Warszawie. Przeczytać ukradkiem *Dziady* lub *Skargi Jeremiego* — to nie znaczy jeszcze przejść przez niezbędną dla narodowej myśli dyscyplinę jego palących zagadnień w związku z jego tradycjami. Zarówno całokształt pierwszych, jak najcenniejsze zabytki drugich muszą pozostawać niedostępnymi dla całych mas żyjących pod terrorem cenzury.

I oto w chwili, gdy i tak doktryneryzm i ów pseudo-filozoficzny logizm zastępują możność wszechstronnej (a więc i historycznej) krytyki, gdy statystyka (falszowana) zastępuje badania socjologiczne i ekonomiczne, gdy wreszcie sama nawet dyskusja filozoficzna nie może swobodnie poruszać się pod czujnym okiem policyjnych obrońców wszelkiego »autorytetu« — w tej to właśnie chwili pozytywiści warszawscy przedsięwzięją krytykę wszystkich narodowych wartości i ustanowienie zasad naszego bytu!

Rzecz charakterystyczna: żadne zapewne pokolenie nie korzystało mniej z t. z. nielegalnych środków porozumienia — wydawnictw bez cenzury, wydawnictw »zagranicznych« — jak pozytywiści. Okropny żargon dozwolonej przez cenzurę wymiany myśli zapewne nie wystarcza nawet im — lecz koniec końcem nie wychodzą poza legalność w swych wywodach. Chcę być dobrze zrozumianym. Nie o działalność mi tu idzie — lecz o myśl. Działalność jeszcze, przynajmniej ułamkowa, mogła tam ludzić się przez chwilę legalnością, ale jak mogła wystarczać sobie myśl tych ludzi, porywających się na wszelkie owe wskazania, oskarżenia, krytyki i programy, poczynając od kwestyi

szkółki wiejskiej (zabronionej), kończąc na wydaniu *Promyków Wolskiego* (zabronionych)?

Otóż wystarczała, a cud ten sprawiał — frazes.

Jednym jakimś frazesem o »uczuciu, niewłaściwym w polityce« przekreślano tam zawilóść zagadnienia, jednym hasłem z pijanym uporem powtarzanej »trzeźwości« załatwiano się z »mrzonkami« społecznymi. Tak samo jedną jakąś aluzją rozprawiano się z całą historyozofią *Dziadów* lub *Nieboskiej*, z ducha zaś i z przemian Słowackiego zatrzymywano (oczywiście w rozprawach) niemal same tylko ich estetyczne inicjały, właśnie jak owe afisze *Mazepy* w Warszawie z nazwiska jego zatrzymywały w cenzuralnym dozwoleniu litery J. S...

Nadlatujące z Krakowa wieści o bojach partyjnych załatwiano ogólną formułą intryg stańczyków lub rozprawą z nimi na sarkazmy (dozwolone), całą sprawę budzenia się narodowych sił i przeżytków w Galicyi zmiatano z porządku dziennego zarzutem »tromtadracyi szowinistycznej« — tu zaś w Warszawie królowała pod dobrotliwym okiem cenzury rozstrzygająca wszystko — logika. Jakoż akrobatyzm kazuistyki nigdzie za trapezy swych skoków nie miał szczytniejszych frazesów, jak tutaj, w dobie najniższego poziomu myśli narodowej.

Oto w tej tylko atmosferze niewiadomości i niedouczeń — cała historia była wszak »zakazana«, pół literatury na indeksie — całego ogółu inteligencji i jego przedstawicieli zrozumieć możemy, dlaczego pustka i czczość pozytywnych frazesów tak długo mogły wystarczyć. Mogły, bo musiały. Mogły, bo nim nawet ich autorowie obejrżeli się, że tak jednak niewiele można powiedzieć — już się zdążyli sami wygadać.

Oblęd ten trwał zresztą bardzo krótko. Poważniejsi i głębsi rychło zorientowali się, że takie życie — to śmierć duchowa. Jedni więc, jak Ochorowicz lub Chmielowski wzięli się rychło do prac poszczególnych (i to był prąd najzbawienniejszy dla właściwych pozytywistów). Inni, jak Świętochowski, po przebyciu kryzysu filozoficznego (*Dumania pesymisty* 1876), który uśmierzył w znacznym stopniu pozytywną pewność siebie — podnieśli o całą powagę ukształcenia ton swój — całe zaś nieco młodsze pokolenie rówieśników pozytywizmu — wkroczyło na drogę owej właśnie pracy nielegalnej i niecenzuralnej, rozumiejąc że

inaczej nie masz wyjścia z błędnego koła frazesu. To jednak poznamy w odmianach lat przyszłych.

Na razie zaś dla zrozumienia umysłowej fizjonomii tych czasów moment cenzury zamknijmy stwierdzeniem jej wpływu. Oto kładzie ona obniżające piętno na wszystkich tych rozprawach o zasady i podstawy, na wszystkich tych atakach na powagi i tradycje i sprawia że ani krytyka ani teoria nie dorastają zadań, które sobie postawiły.

Wśród ogółu wreszcie wytwarza się po raz pierwszy zdziaczała obojętność jakaś, brak wrażliwości na różnicę między teorią a doktryną, frazesem a prawdą — wytwarza się długo i dziś jeszcze w nas obecny nałóg zdawkowości i ogólników.

To był pierwszy podarunek rosyjskiej cenzury, którego zgubności w ferworze polemicznym nie dopatrył warszawski pozytywizm.

45. Cóż więc zostawało po kurzawie owych bojów pozytywistycznych z tej pierwszej fazy (1870—1876) — co zostawało prócz owego bardziej jeszcze zagmatwanego węzła narodowych przeznaczeń, w które i one wplotły nowe pasma powikłań? Co zostawało prócz nałogu do szafowania frazesem, otwartych dla wędrówki wyrazów szpalt — gościńców gazeciarskich, prócz jakiejś nieznanej przedtem w wymianie myśli naszej nietolerancji jednych względem drugich, posuwającej się od tej chwili nieraz i potem do zgubnych zarzutów wzajem sobie w oczy iskanej zlej wiary i nieobywatelskości?

Oto wśród bystrych przeskoków i kalejdoskopowo zmieniających się konfiguracji przemian »zasadniczych« różnych grup — wśród dopasowujących się do nich nowych i starych organów (*Przegląd Tygodniowy, Opiekun Domowy, Nowiny, Niwa, Atencum, Przyroda i Przemysł* i t. d.) — pozostawał jako niedający się zniszczyć w kwasie polemiki ani rozpuścić w wodnistych ogólnikach — ferment prądu naukowego.

Innemi słowy — wracamy do punktu wyjścia tej polemiki, zarazem zaś wychodzimy znowu znacznie poza szranki właściwego pozytywizmu. Bo wszakże ferment dążeń naukowych czy to w postaci metody jak np. w pracach historycznych z poprze-

dnich już lat, czy w postaci równie wcześniejszych objawów garnięcia się do wiedzy ścisłej, jak w tradycji Szkoły Głównej, czy wreszcie wyrażony nawet w nowszych odmianach powieściopisarstwa, któreśmy poznali lub poznamy niebawem — był jak wiemy jednym z czynników epoki całej, nie zaś epizodu pozytywistów.

Ostatecznie więc zamykając ten epizod, musimy stwierdzić, że zawiera się w nim ten rzadki wypadek, gdy istotnie ważniejszą jest rzeczą kto mówi, niż co mówi.

W. Oto tu ustami na razie grupy pozytywistów przemawiała — Warszawa — miasto o zakneblowanych ustach, anemiczne z upustu krwi, stolica skazana na vegetację brukową.

Mniejsza więc, że pozytywiści zabrali się w ten a nie inny sposób do »trzeźwienia« stolicy. To znowu inną metodą czynili stańczycy w Krakowie: tak dziwnie łączy rozdzielone dziejowy fakt). Mniejsza, że sami musieli nieraz w przededniu niemal sylabizować lekcję, którą nazajutrz płaczącym się wobec surowych wymagań metody i cenzury językiem mieli wygłosić — przed narodem.

Ważne — że to przemawiała przez nich Warszawa. Nikt przecież za nią mówić nie mógł i nie próbował zresztą. Bo nawet w wielomównym naówczas Krakowie, nawet w idealnie zorganizowanym fejtynie *Czasu* »jedna Warszawa nie ma godnej reprezentacji« (Estreicher).

Przez Warszawę zaś i na razie przez pozytywistów zabierają głos nowe »żywioly, napływające w narodową kadź« fermentów: dzieci spolszczonych przedstawicieli handlu i przemysłu — wśród nich sporo już inteligencji żydowskiej, t. z. profesye liberalne, wreszcie kresy polskie i rozproszone za chlebem po obszarach Rosyi kolonie.

ROZDZIAŁ VIII.

Powieść, fejtyn, scena odbiciem prądu panującego.

46. Kiedy opadły bardziej wartkie niż głębokie nurty polemik pozytywistycznych — okazało się iż to, co w istocie rzeczy miało pozostać jako osad stały tak czy inaczej doprawiający glebę społeczną, z której biją prądy i rosną prace — było właśnie ową powołaną poprzednio dążnością naukową w umysłach całego pokolenia. Stawała się ona w istocie terenem wszelkich przeobrażeń, formułą i hasłem wszelkich zbiorowych dążeń, najpowszechniej zabarwiającym czynnikiem pojedynczych indywidualności. Zawsze zaś była to owa specyficzna naukowość z przyrodniczego wątku czerpiąca swoją dyscyplinę, terminologię, nalogi, zmierzająca też jak wiedza przyrodnicza do tysiącznych technicznych i praktycznych zastosowań. Dla młodzieży całej przynosił ten prąd zbawcze wyzwolenie od pustego frazesu w idei specjalizacji. W tym też kierunku zwróciły się najlepsze lub najtęższe głowy młodych pozytywistów (Ochorowicz, Chmielowski), opuszczając tem samem z wielkiem powodzeniem i teren pseudo-filozoficzny i nawet po części literaturę w ściślejszem (jako sztuka) rozumieniu. Znaczna liczba kryzysów przekonaniowych uderza w tych latach. Doktryneryzm zcicha — przemawiają sumienia, temperamenty, powołanie. Głośni obrońcy pozytywizmu przechodzą do przeciwnych kierunków (Masłowski, Pawlicki). Powstają różne grupy kompromisowe (neo-konserwatyści, umiarkowani postę-

powcy). Najwybitniejszy szermierz pozytywizmu — Świętochowski — czuje nagłą potrzebę skupienia się w paroletnich studiach zagranicą. Zagranicę też dla pogłębienia wiedzy dążą inni: nowa fala argonautów wyprawi się do Paryża, gdzie potęguje się ruch literacki w szrankach nowoczesnych koncepcji — Sygietyński, Hodi-Tokarzewicz, Niedzielski, Przewoski, potem nieco Zapolska i wielu innych tam właśnie znajdują wyraz swoich aspiracji literackich, podobnie jak pokrewna im szkoła malarska, którą najświetniej przedstawi Gierymski. Lecz nim się ukształtują te ostateczne formacje metod przyrodniczych stosowanych do sztuki i literatury — tymczasem szereg innych objawów w kraju szerzy i pogłębia dążność naukową. Społeczeństwo wogóle pragnie się oświecać: pod hasłem ukształcenia rozwija się ruch kobiecy, na terenie potrzeb naukowych spotykają się ze sobą nowe żywioły społeczne. Kwitną dalej wydawnictwa popularne, odczyty stają się formą ulubioną obcowania.

Przemiany ekonomiczne społeczeństwa z jednej strony — z drugiej zaś opiekuńcza czujność cenzury i policji sprzyjają jak wiemy takiej jedynie atmosferze, co zresztą nie przeszkodzi w niedługim czasie wyłonieniu się z pożądanego przemysłu niepożądanego rewolucji, jak z drugiej strony nie uchroni nawet niewinnej protoplazmy od nasiąknięcia w atmosferze warszawskiej — społeczną i narodową tendencją.

Istotnie: wykładnikiem moralnym owej naukowości w społeczeństwie jest — d y d a k t y z m. A im »objektywniej« na pozór ze swych »obserwatoryów« społecznych, powieściowych, naukowych rozgląda się pokolenie — tem on szerzy się wyraźniej i wszechstronniej w praktyce.

Ta właśnie — dydaktyczna — odmiana tendencyjności stanowić będzie najtrwalsze podłoże zjawisk literackich tego szeregu lat: w niej ostatecznie streści się w literaturze i życiu owa dążność »naukowa«, zapożyczając od pedagogii ton wprost niekiedy bakałarski i pedantyczny, a zapewne cierpliwość, upór, wytrwanie i pewność siebie, niekiedy nieznośną — bo ograniczoną i ograniczającą horyzont twórczy, a nawet umysłowy.

47. Lata te przedstawiają w literaturze całego stulecia niewątpliwie najuczciwszą dla badacza chwilę. Bo myśl nasza gubi się tu ustawicznie wśród sprzeczności nieznośnej, jaką jest duży nakład sił społecznych, kulturalnych zużyty w tych czasach wobec niesłychanie ubożego plonu właściwej twórczości. Cóż bowiem w istocie owa dążność naukowa poza pożądaną lecz już nie należąca do literatury specjalizacją nauk w przyśrodku dawała na razie samej literaturze?

Na zachodzie — a mianowicie we Francji, gdzie dążność ta i metody przyrodnicze i ściśle rozwijały się oddawna na dobrze uprawnym gruncie społecznym, można z łatwością wykazać w samej literaturze organicznie z niemi sprzęgnięte zjawiska twórcze.

Po pierwsze więc — naukowa bezwzględność rozszerza tam teren obserwacji, uobywatelnia, że się tak wyrażę, dla literatury olbrzymią ilość tematów, przez pseudo-klasyzm lub romantyzm uznawanych za nie dość wytworne lub niepoetyczne. Praca taka rozwija się tam jednak od zarania stulecia od Balzac'a i Stendh'ala — do Flaubert'a, Zoli, Maupassant'a. Literatura — pod znakiem swobody myśli — walczy z konwencyonalizmem i obrabia surową rudę życia, gdziekolwiek żyły jej znajduje. Niestety, nasz »prąd naukowy« nie miał w sobie tej siły łamiącej konwencje dobrego smaku lub zdawkowej poetyczności, akademizmu, zwłaszcza zaś — hipokryzyi przyzwoitości i t. p. Co w tym kierunku było do uczynienia wtedy, to uczyniła już przedtem powieść i poezja nasza na własną rękę, nie czekając hasła pozytywizmu. Przekłady Zoli, którymi *Przegląd Tygodniowy* zapełniał swe łamy, niczego nie uczyły. Nie popierała ich zresztą żadna akcja twórcza ani krytyczna; a sam wybór Zoli, jako przewodnika wartości twórczych świadczy o ubóstwie smaku i kultury literackiej tej grupy. Działo się to właśnie w chwili, kiedy świat literacki z Goncour-tami, Flaubertem przeżywał zupełny kryzys naturalizmu, kiedy młoda Francja występowała już przeciwko niemu, kiedy Bourget, France, Lemaitre, nawet J. J. Weiss dali zupełną odprawę t. z. brutalizmowi i całkiem inne wartości estetyczne i twórcze zaprzętały umysły. Wtedy pozytywiści sylabizowali dopiero naturalizm, nie umiając nawet z niego wydobyć treści. Nie pchnęli

więc powieści polskiej w kierunku swobody tematów, rozszerzenia skali obserwacji. Kiedy wreszcie potem — w dziesięcioleciu następnym — pojawiły się takie, wielce spóźnione w tym kierunku usiłowania (Sygietyński, Zapoiska) — to stało się tak pod bezpośrednim wpływem Francji i Paryża, nie zaś ruchu warszawskiego.

Po wtóre — na zachodzie naukowość wprowadzona do literatury oddziaływała silnie na same metody pracy literackiej: oto podnosiła znaczenie t. z. dokumentu, dążyła do ścisłości obserwacji i opisu, stwarzała swego rodzaju arcydzieła monografii obyczajowych. Znowuż praca ta trwała tam zdawna od kodeksowości Stendhala, od Balzacowskich gabinetów i laboratoryów społecznych, do *Pani Bovary* (1857). Eksperymentalizm zaś Zoli w stosunku do tamtych motywów był — dzieciństwem. U nas nic podobnego w tych latach hasel naukowych nie próbowano nawet zaszcześcić. Ze stanowiskiem »dokumentu« spotkać się można chyba w powieści.. historycznej. Zamiast zaś metody pracy Stendhala, Balzaca, Taine'a lub Flaubert'a — metody w istocie ściśle związanej z naukami przyrodniczymi, z bystrością analizy medyka, ze skrupulatnością doświadczalną chemika, wprowadzającą w pracowicie obmyślanej strukturze utworów, w całej skrzętnej inżynierii kompozycji — nieomal nałogi matematyczne — zamiast tego wysiłku słusznie czy niesłusznie lecz na ogromną skalę wprowadzającego drogą metody pracy — atmosferę nauki w dziedzinie twórcze — spotykamy się z płytką apoteozą medyka, chemika czy inżyniera, jako ideału społecznego w powieściach tej doby!..

Po trzecie wreszcie — literatura zachodnia, operując swobodą tematu, dokumentem, metodą naukową w pracy literackiej — przedewszystkiem ze stanowiska tego traktowała to co jest w każdym razie zasadniczym narzędziem twórczości — język. Dążność do znalezienia wyrazu dla danej rzeczy kazała tam ludziom od Wiktora Hugo zrewolucjonizować słownik, zdegradować jego konwencyonalne hierarchie, obalić »słowa-senatory« i wprowadzić do literatury olbrzymie zastępy słownictwa gminnego, zawodowego, prowincjonalnego — a wszystko to późniejszym prądom indywidualizacji języka (świadomej od

Goncourtów) dawało przebogaty materiał. Nie koniec na tem: »naukowe« stanowisko wobec języka kazało w istocie jego pracownikom, takim jak Flaubert, Taine — szukać, zestawiać, dopasowywać — zgoła uprawiać świadomie ową chemię słowa, której tajemnicę zna geniusz bezwiednie. A jakkolwiek się zapatrujemy na twierdzenie K. Bernarda, przyświecające tym czasem, że »uczucie jest takim samym produktem jak cukier lub kwas siarczany« — to zgodzimy się że język, jako wyraz ostateczny, jest w istocie produktem takiej wiedzy i takiej kultury — planowej i naukowej, gdzie nie może być improwizacją geniusza.

I pod tym względem lata pozytywizmu są beznadziejnie jałowe, a ich śmiałość językowa sprowadza się raczej do inwektywów pod adresem »starych« stosowanych. O kulcie i kulturze języka — mowy nawet niema. Dlatego to nagłówki realizmu lub naturalizmu stosowane do zjawisk naszej literatury — po dziś dzień nie mają sensu. Prądów tych, tych usiłowań — nie przeszczepiono u nas nigdy na właściwy teren swobody tematu, metody pracy i kultury języka. Nie było w stanie uczynić tego jedyne pokolenie, któremu ta praca przypadała w udziale, gdyż było w gruncie rzeczy całkiem aliterackie, gdyż mówiąc o »fantazji i uczuciu« nie umiało nawet wżyć się w te wartości, jako potęgi twórcze, lecz po prostu używało tych terminów wobec cenzury, mając na myśli zgoła inne — polityczne — ich znaczenie; gdyż wołając o nauce i naukowości — nie umiało transponować ich dla właściwej twórczości, dla kultury literackiej, i znowuż nie o niej, lecz o użyteczności społecznej myślało. — Gdyż wreszcie w zapędzie dydaktyzmu i nauczania — samo zaniedbało się i nie nauczyło tego, bez czego niema wogóle literatury, to znaczy kultu słowa i formy i nie zrozumiało nigdy — do końca — w jakim to owo Słowo i kult jego pozostają stosunku do Treści i kultury wogóle, o które im tak zresztą szczerze chodziło.

48. Dlatego to przechodząc wreszcie na pole właściwej literatury w latach tego pokolenia — ze zdumieniem spostrzegamy, że gdy tyle wrzawy było w objawach społecznych jego

żywołności, to tu panuje — martwa cisza. Tu — w literaturze — prąd naukowy, pozytywizm albo się nie wyraziły wcale, albo wyraziły się w tak płytkich i poziomych wartościach, że same by siebie nie chciały w nich poznać. W powieści mieszczańskiej, w mieszczańskiej komedii, w bakałarstwie fejetonowym, w kilkunastu rymowanych artykułach wstępnych streszcza się cały literacki dorobek tych lat.

Najwybitniejsi zaś w młodości szermierze pozytywizmu przejdą do literatury nie dzięki niemu lecz wbrew niemu, chcąc z uporem nie przestaną siebie uważać za pozytywistów do końca życia. Lecz to inna fala zapłodni ich i podniesie na wyżyny twórczości, inny ferment — ferment powszechnych uczuć, zaprzeczanej wyobraźni, sił kłębiących się w podłożu życia polskiego — skryształizuje się w nich w dzieła, urągające prądom.

Zobaczymy, jak potężny nurt demokratyzacji społeczeństwa utorował sobie szybko drogę wśród ogólników pozytywnych, i sam wyzwolił swoje moce, a przemianowaniem ich w anemiczną ideologię pozytywizmu wlał nowy wigor twórczy, że z pedantycznych bakałarzy społecznych stali się natchnieniem i chlubą, ekspiacją i uzasadnieniem t. z. inteligencji. Lecz nie zabiegajmy na razie w niedaleką już (jeszcze w tych latach podziemną) przyszłość, której przełomowe zjawiska poznamy niebawem. Utrzymajmy się tymczasem w zakresie ściślejszych konsekwencji prądu naukowego i pozytywizmu w literaturze.

Jak stwierdziłem na początku tego rozdziału — ostatecznym czynnikiem w latach tych bezpośrednio działającym na literaturę (samouctwo, rozwój i specjalizacja nauk działają pośrednio i głównie dla przyszłości) jest ów nieodzowny dydaktyzm na wszelkiem literackim stanowisku.

Jeśli z pojęciem romantyka łączył się symbol wodza, wieszczka, proroka (po raz ostatni jawiony na pograniczu tej epoki w *Tyrteuszu* Anczyca 1860), to z pojęciem literata, powieściopisarza, często nawet poety okresu pozytywistów łączy się najściślej, jeśli tak rzecz można, symbol — bakałarza.

Tu ludzie nie dążą właściwie do wyrażenia siebie, własnej treści; tu nikt ekstatycznie nie porywa się z ojczyzną w łonie pod niebiosa — tu każdy młodzieniec rozpoczyna od pouczania

społeczności — starych i młodych — o pewnych prawdach, które zdawałoby się wyssał z mlekiem mamki, bo po największej części, schodząc z ławy szkolnej już się czuje — profesorem. I nie reformatorem, bojownikiem, przywódcą lecz właśnie — profesorem, bakałarzem. I nie tak pewnym jest siebie korepetytor, przesłuchujący malca, jak pozytywista, wykładający społeczności co to jest nauka, postęp, ludzkość — praca organiczna i praca u podstaw, statystyka i etyka, dobrodziejstwo zawodu inżyniera i »bankructwo uczucia i fantazyi«. Jeśli znów rysem w istocie charakterystycznym poety (nie tylko »romantyka«) jest owo podstawianie się wyobraźni i uczucia pod wszelką postać siły, to znów pisarz-pozytywista ma inną władzę, która go charakteryzuje zasadniczo i w końcu podstawia się pod właściwą naukę i filozofię mianowicie t. z. logikę.

Logika prowadzi na równie zdradne manowce jak i wyobraźnia, z tą tylko różnicą, że tam się nigdy nie spotyka... z poezją.

Kiedyś, gdy literatura nasza będzie się opierała już na monografiach, warto będzie jedną z nich poświęcić zboczeniom ducha, wynikającym z logizmu, jak dziś mamy już monografię (Lasserre) traktującą o zboczeniach fantazyi.

Ileż sylogizmów jałowych i bezdusznych, ile kazuistyki, ile sofizmatów wykryje taka monografia, gdzie współcześni widzieli — moc ducha! Jakie jedno ogromne *petitio principii*, jak kłusający siebie we własny ogon wąż, leży w podstawie samej logizującej logiki pozytywizmu, która w ten sposób z jałowego swego łona chciała wydać to, co wydaje tylko *natura naturans* t. j. żywy świat!..

49. Jakkolwiek ani jeden z umysłów wybitnych tej epoki, o ile rozwinął właściwą twórczość, nie utrzymał się w atmosferze pozytywizmu — spotykamy się jednak w tych latach z typami duchowymi w zupełności go streszczającymi w sobie, choć go przerastają.

Dziwny los w istocie miały lata pozytywizmu: na ogół w literaturze pozytywizm ma tylko wyrazicieli nie dorastających nawet tej koncepcji, ludzi o horyzoncie wprost trywial-

nym, oportunistów myśli, życia i sztuki. Ten zaś, który był sam właściwym wodzem kierunku, który go niejako wziął w siebie i podniósł do możliwej wysokości — jest indywidualnością tak na wskroś nietwórczą — wprost apoetycką, że ze zdumieniem zapytujemy siebie, co go popchnęło na drogę powieści lub dramatu, gdzie przecież najwybitniejsze uzdolnienie dyalektyczne stwarza tylko tezy, a nie dzieła sztuki, jeśli nie jest połączone z darem twórczym?

Mówimy o Aleksandrze Świętochowskim (Władysław Okoński, Poseł Prawdy).

Wiemy jaką między 1870 a 75 rokiem odegrał rolę ten świetny szermierz wojującego kościoła pozytywizmu. Właściwie, jeśli przykuwają nas dziś tamte lata, pomimo jałowości ich dla literatury — to dzieje się to za sprawą jego świetnej dyalektyki, jego rasowo-polemicznej werwy, powiedzmy wprost — patosu jego kazuistyki, występującej do walki z obskurantyzmem otoczenia. Jego *Echa* są jak owe smagnięcia batem wprawnej ręki, trafiające zawsze w jakąś słabiznę społeczną. I gdyby można było tresować społeczeństwo pędzając je na linie pewnej doktryny i smagając batem ironii...

Kilkuletnie jednak stanowisko w *Przeglądzie*, gdzie Świętochowski był krytykiem i publicystą, historykiem i filozofem, puklerzem i rapierem zarazem całej tej grupy niezbyt bogatej w talenty, nie wyczerpało zgoła tej fenomenalnej energii. Jest natomiast rzeczą pewną, że rosło w nim poczucie potrzeby pogłębienia podstaw ideowych — towarzyszące może grymasowi niesmaku, że walka musi się odbywać w szrankach tak trywialnych.

Następują krótkie dwa lata usunięcia się Świętochowskiego do Lipska — gdzie przeżywa rodzaj filozoficznego kryzysu. Wynikiem kryzysu jest niewątpliwe podniesienie myśli, którego młodzieńczym lecz pełnym siły, patosu wyrazem są *Dumania Pessimisty* (1876).

Dogmatyk-pozytywista, holdownik nazbyt pewnych aksjomatów popularnej wiedzy i filozofii styka się tu po raz pierwszy z tym głębokim nurtem myśli filozoficznej, któremu na imię sceptycyzm.

W latach tych był Świętochowski niewątpliwie najbliżej

drogi osobistego rozkwitu. Gdyby zaś nie dydaktyzm społeczny, który wówczas zdawał się stanowić nawet o osobistej drodze jednostek, kto wie czyby się nie był całkiem ku największemu szczęściu naszej literatury nie obrócił tędy. *Dumania Pessimisty* lśnią całą świetnością dyalektyki, patosu młodej myśli zwracającej się ku rozważaniu zasadniczych sprzeczności zawartych w ludzkim poznaniu. Ach tam nawet duch ludzki »strudzony błakaniem się w mroku tajemnic wiedzy — mimowoli tęskni do jakiegoś w tej torturze wytchnienia, do jakiejś chwili nieświadomości...«

»Być ciągle trawionym gorączką poznania i ciągle niepewnym jego prawd, myśleć bez przerwy nad istnieniem i nigdy go nie przeniknąć... to męczarnia, która więcej człowiekowi skradła szczęścia i więcej mu podsunęła udręczeń niż niejeden krzyż, na którym go rozpinano. Gdyby więc można stracić świadomość bodaj na czas jednego obrotu ziemi! Gdyby można nie ginąc usnąć spokojem kamienia i jak on nie czuć... Ale czy kamień napewno nie czuje?...«

»...I niech nikt nie przysięga na nic, bo doprawdy nietylko na niebie ale i na ziemi niema nic pewnego...«

»...Posiadamy olbrzymie i rozwinięte umiejętności, ale nie nie zabezpiecza ich podstaw...«

»Wartość odpowiedzi zależy od wartości pytania. Sam Jowisz nie poradzi zagadce, czy cnota jest kwadratowa...«

»Dwa więc typy umysłów stoją przed zagadkami wiedzy. Jeden zadowolony widzi w nich łatwy do odczytania rebus z wypisanem u góry znaczeniem, drugi — niemego Sfinksa, któremu napróżno chce wykryć tajemnicę prawdy i który każdemu domysłowi jednakowo potakuje. Więc wszystkie nasze sądy są zarówno prawdziwe? — »Kłamstwo jest także szlachetnego urodzenia« odpowiada sfinks hiszpańskim przysłowiem...«

»Co jest celem dla człowieka strzelającego do tarczy? Oznaczone na niej miejsce. A co jest celem dla kuli trafiającej w tarczę? Także to miejsce. Więc człowiek i kula mają przy pewnych warunkach także sam cel? Strzeżmy się celów...« (II, *Początek i koniec*).

»Szczęśliwi — są w swoim ludzkim charakterze podejrzani...«

»Tylko umysły dręczone niepewnością, tylko serca szarpane rozpaczą zapracowały nam to * czego żyjemy i z czego jesteśmy dumni...«

»Kochać ludzi można za to tylko, że są nieszczęśliwi. Z innej strony płynąca miłość jednostki dla całego rodzaju — jest kłamstwem lub złudzeniem cielejącego mózgu«. (III, *Człowiek*).

»Hezyod lub Eurypides umieją wiele powiedzieć o kobiecie, ale nie mają jeszcze żadnego pojęcia o gorylu...«

»Uwielbienie nie jest niczem innym tylko przyznaniem się do swej niemocy i niższości«. (IV, *Męczyzna i kobieta*).

Żydów pojednać z polakami to tyle, co chcieć »ołów rozpuścić w wodzie lub z żelaza zrobić kluski do rosołu«.

»Zresztą... nie sieję swarów, tylko proszę by mi ktoś możliwość zgody wskazał«. (V, *Zgoda*).

»Kto wie czy z postępem cywilizacji nie rozszerza się bardziej przepaść między wolnomyślną jednostką a prawomyślnym społeczeństwem«.

»Gdybyśmy zajrzeli poza obłudę lub milczenie — ujrzeliśmy więcej rodzajów niż w arce Noego«. (VI, *W społecznym wnętrzu*).

Tak oto wzdycha mózg ludzki za — mądrością, tak się humanizuje — doktryna, tak »wszechwiedza« stwierdza swe sumienne *non possumus*, gdy przecież kłamiącej ją dydaktyczności nic nigdy nie przeszkodzi wywijać salto mortale na trampolinach kazuistyki..

Nie przesadzamy tu zapewne filozoficznej doniosłości *Dumań Pessimisty*, jakkolwiek wydaje się nam bezsporniejszą od broszur o *Powstawaniu praw moralnych* (rozprawa doktorska), o *Wolterze*, o *Epikureizmie* samego Świętochowskiego jak również od wielu szkiców filozoficznych Krupińskiego i od pobieżnego zarysu historii filozofii Ochorowicza. Lecz w *Dumaniach* widzimy młodzieńczo piękną próbę humanitarnego sceptycyzmu, która to dążność mogła być uszlachetnić cały prąd dydaktyczny i podnieść nieskończenie sam ton naszego życia duchowego. Świętochowski zaś stał tu — zbrojny w całą świetność swego talentu nawskroś dydaktycznego — na tem rozdrożu, skąd w cudnej perspektywie dojrzeć ducha już mu świeciły przewodnie gwiazdy Montaigne'a lub Pascal'a. Lecz zawróciła

go w pół drogi stamtąd jaskrawa świetność wolteryańskiego fajerwerku — być może wreszcie właśnie i owo poczucie dydaktyczne, przeniesienie natychmiastowej korzyści społecznej nad rzeczy nazbyt wieczysto-ludzkie.

Przewodnikiem zaś i tu jak u mistrza z Ferney była nieposkromiona polemiczność temperamentu, żądająca zwycięstw doraźnych, starć nie z duchami, lecz z osobami, zaś wszystkim autorytetem chwili wypowiadająca wojnę pod dewizą »*Ote toi que je m'y mette*«. Niestety, w tej nowej i już ostatecznej drodze Świętochowski nie wyzwolił z siebie Candide'a, który wszakże tkwi w każdym »mistrzu«, jak to uczynił przezorny Wolter, by żadna zmaza mimowolnej dobroduszości nie przytępiła jastrzębiego ostrza myśli.

Nie ulega wątpliwości, że najbardziej skończoną formą artystyczną natur nawskroś intelektualnych są owe niezrównane szkice, myśli lub uwagi, w których wielcy humaniści wypowiadać potrafili nie mniej, jak wielcy poeci w poematach. Rzekoma urywkowość takich »essais« lub »pensées« kryje tam całokształt twórczy — człowieka. Gdy tymczasem rzekoma jedność artystycznych koncepcji Woltera lub Diderot'a — ukrywa najczęściej tylko — rozum, niekiedy zaś tylko — szermierkę logiczną.

Świętochowski porzucając szczęśliwą formę swoich »dumań« — rozstawał się na zawsze z kształtem, w którym raz naprawdę był artystą.

Jest w sztuce scenicznej niebezpieczny pewien paradoks, który pociągał swym urokiem zawsze i wszędzie wszystkich dyalektyków do tej formy. — Jest nim dyalog. Forma dyalogu wszak zazwyczaj bywa polem szermierki dydaktycznej — taż sama forma służy w dramacie. Stąd dyalektycy, sofiści, kazuiści wszystkich czasów od Sokratesa i Lukiana począwszy, posługiwali się dyalogiem. Tylko że podczas gdy dla dramaturga dyalog jest tylko uzewnętrznieniem właściwej budowy dramatów, wynikającej zawsze z konfliktu woli — w charakterach, indywidualizacjach czy wreszcie w *fatum* jawiącej się, to dla dyalektyka dyalog sam jako taki, jako najłatwiejsze narzędzie logiczne — wystarcza w zupełności. Poeta buduje pod dyalogiem świat woli, dyalektyk wyraża w nim — system sy-

logizmów. W ten sposób — dyalog — i tu tkwi paradoksalność tej formy — chociaż w budowie dramatu czynnik niezbędny — obniża dramat do poziomu sofizmu, gdy sam sobie jest celem.

Uwagi te następcza cały szereg dramatów Świętochowskiego, w którym pisarz ten, zwabiony urokiem dyalogu, zapragnął wyrazić swój przyrodzony pęd dyalektyczny. *Niewinni* (1875), *Piękna*, cykl *Nieśmiertelnych Dusz*, drobne dramaty jednoaktowe, wreszcie do ostatnich lat doprowadzające nas *Duchy* (1905) — to ogniwa mniej lub więcej świetne jednego łańcucha myśli, wynikłych ongi jak ze źródła wspólnego — z owej go dziny *Dumań pessimisty*.

Im dalej w lata — przez lat trzydzieści rozwija się ten łańcuch — tem bardziej oderwaną staje się treść tych »dramatów«. Zaczęło się to od prób mieszczańskich konfliktów sumienia i zmysłów wśród sztucznych ogrodów i nieciekawych figur o geście pozerów — oczyszczało się w atmosferze wspomnień helleńskich — aż doszło w końcu do oderwanych, wibrujących jak skry lodowe w zimnej atmosferze abstrakcyi, ostatecznych kryształów myśli.

Znikły pretensjonalne a nieżywe ongi próby żywych osób Ireny, Helwie, Aspazye — pojawiły się Orle, Morony, Ariosy. Jak pierwsze nigdy nie były żywymi postaciami, tak drugie nie nabrały nigdy »żywotniejszej cery« symbolu poetyckiego. Pierwsze i ostatnie zarówno były tylko ogniwami tyranicznej dyalektyki: w nich dawny poeta *Dumań* zaklął swe sceptycyzmy łaskawe lecz przedalekie ludzkiej niedoli, obce nazawsze bolesnemu kipieniu krwi, »piątemu żywiołowi« świata, któremu na imię — życie.

Ambicyą pisarza w tym długim szeregu utworów był zawsze nie gest twórcy, lecz dyalektyka, więc nie człowiek lecz teza. Aż wreszcie w ostatniej próbie (*Duchy*) pokusił się o coś, co może, gdyby zwyciężyło niepokonalną zagadkę istnienia, dałoby początek — nie nowej sztuce — lecz jakiejś nowej gałęzi chemii — ducha. Rod, Sob, Toon, Iron, Tylon, Elion, Kres z *Duchów* — to jakby tlen, brom, jod, chrom, kadm, jakby pierwiastki odegrywające pomiędzy sobą dramat mikrokosmosu. Lecz nie żyją one, jak nie żyły osoby-tezy dawnych mieszczan-

skich lub greckich dramatów autora, zaś tych i tamtych wspólną cechą pozostała jednako nieosiągnięta pretensya: pretensya chcącego z dyalogu zbudować — dramat tam, a tu pretensya w dowolnościach gubiącego się alchemika do stworzenia niezłomnych praw fantastycznej chemii ducha.

A nad całą tą wysiloną robotą rozumu, wijącego się w pierścienie dyalektyki wśród laokonowego uścisku tajemnic, których twarz na mknięcie oka natchnienie tylko poety — mędrca i twórcy zarazem — rozjaśniać zwykło, nad tym łańcuchem, w którego sam siebie w końcu zakuł tyran-dyalektyk — unosi się jakieś mrozące swobodę myśli — nawet myśli samej — lodowate tchnienie pseudyzmu. Pseudo-dramat, zredukowany do dyalogu, który zresztą jest najczęściej pseudo-dyalogiem, bo to są ćwiczenia dyalektyczne nie rozmowa, płacze się wśród pseudo-postaci, które są zamaskowanymi tezami nie przeżyciami w głos szczerości wołającymi, — doprowadza wreszcie do pseudo-chemii jakiejś, uraszczającej zbyt wyraźne pretensye do ścisłości myśli, rozbijającej się zaś równie beznadziejnie jak ongi alchemia o zupełną, a wrogą ścisłej myśli — dowolność.

I mimowoli w końcu nasuwa się wniosek, że te nazbyt wymowne symbolo-postacie Topana, Soba, Dobra, Orli — to współczesna pseudo-morfoza dawnej dobrze znanej pseudo-klasycznej rodziny — Topańskich, Sobkiewiczów, Doborowskich i Orlickich.

Wyznaję, iż z tego punktu widzenia działalność Świętochowskiego w literaturze polskiej ma nieocenioną doniosłość. Oto stwierdziła, że sztuka poddana tyrańskiej supremacji logizmu nad wszelkim porywem twórczym, że zapamiętanie się w rzeckomej wszechmocy »czystego rozumu« — doprowadzi zawsze do owych jałowych pseudyzmów twórczych, których już raz pseudoklasycyzm był kresem bez wyjścia. Nie pomoże odmiana wieków i »wiek nauki« zapędzony na ten manowiec tak samo musi skończyć na bezpłodną oschłość dyalektyki, jak ongi skończył »wiek oświecenia«.

Tej właśnie, ze wszech miar cennej dla dalszych losów twórczości polskiej prawdy, był wyrazem Świętochowski.

Jak zaklęta w kaskadę sylogizmów, przeświecająca przez nie patosem swym, stoi twórczość jego na rozdrożu lat przeje-

ściowych, świadcząc o głuchej drodze, na której dla sztuki nie masz nadziei.

Podobno ostrzeżenie to długo jeszcze będzie potrzebne społeczności, w której coraz to nowe grupy i warstwy wynurzają się z ciemnie obskurantyzmu, a olśnione na razie potęgą nauki, sprawnością logiki, wartością rozumu — pragną z nich uczynić nowe tyranie życia i twórczości. Tak neofityzm z podobizny bożej — stworzył sobie zdolen tylko nowego — fetysza.

Jedynie w Świętochowskim streszcza się w zupełności i — na miarę niepospolitego talentu podniesiony — dochodzi do kresu absolutnego swej niemocy w sztuce nastrój lat właściwego pozytywizmu (1870—1880). W istocie: on tylko jeden przebiega w tych latach całkowitą skalę swego rozwoju, dając *Niewinnych, Piękną, Ojca Makarego, Drobną dramata, Dumania Pessimisty, 9 życie* (cykl nowel), studia o *Wolterze, Epikureizmie, Powstawaniu praw moralnych* — i obok tego setki artykułów, fejtetonów, polemik. On tylko jeden zdumiewającą skalą pracy dojrzewa tu całkowicie, a dalsze jego zmiany i utwory powtórzą gest tych lat stanowczych. Wszyscy inni szermierze pozytywizmu, jak wspominaliśmy, przejdą potem przez potężne przemiany, skąpią się w odradzającym nurcie, że tu niepodobna jeszcze ustalić ich fizynomii. On swojej nie odmieni.

Inna rzecz jeśli mowa o społecznej roli Świętochowskiego. Tu, jak wiemy, przejdzie i on przez wielorakie przekształcenia, zbliżając się nieraz do kierunków, które ongi potępiał. Lecz w niestrudzonej pracy i wśród bystrych przemian społeczeństwa inaczej być nie mogło. Jedno pozostanie zawsze rysem każdego momentu w życiu Świętochowskiego: oto jak na początku w *Przeglądzie*, jak potem w *Nowinach*, tak do końca w *Prawdzie* (od 1880) będzie on probierczą siłą wszystkich objawów naszej żywotności. Kwestya żydowska czy emancypacya, radykalizm czy socjalizm, sztuka dla sztuki czy zakopiańszczyzna — każde zjawisko, prąd każdy umysłowości polskiej spotka się z jego bacznością, czujnością sceptyka. Zarzucano mu, że nazbyt często i nazbyt powszechnie objaw każdy witał szyderstwem. Lecz twardy krzemień to właśnie zaleca, że stał zdarzeń ma o co skrzesać skry zrozumienia, z których potem ogół zapala swe światelka. Był ten umysł wiecznie czujny, ostry

krawędziami nie stępiony wiekiem dyalektyki — takim probierczym kamieniem.

Wracamy zatem przy ostatecznym rachunku do punktu wyjścia: do d y d a k t y z m u. W istocie: nieoszacowaną wartość dla społeczeństwa, w którym lenistwo myśli samodzielnej łatwo prowadzi do obskurantyzmu, gdzie krzyżowały się i krzyżują jeszcze zeszlowieczne przesady z niedojrzałymi nowinkami, gdzie tradycya wiedzie do zabobonu, patryotyzm do tromtadracyi, wszechludzkość do — wynarodowienia, krytyka nauki do apoteozy klerykalizmu a tolerancya do... prześladowania przez samozwańcze inkwizycye klik i koteryi — w środowisku takim wychowawcza potęga takiej szermierki rozumu, takiej niesłabnącej przez lat trzydzieści dyscypliny logizmu — zbawienną była szkołą i kontrolą. A Świętochowski znał i nasze »siedem grzechów głównych« i grzechy cudze, i wszystkie inne wołające o pomstę — i mścić się umiał — więcej — on się zawsze odważał, nie dbając o żaden wzgląd, oparty zawsze o własny — rozum. *Moja Głowa* (1886) jest tu doskonałym symbolem całej publicystycznej jego działalności: oto cała ona była ucieczką wszelkiej wolnej myśli — przez tyle lat. Zestawienie prac Świętochowskiego (St. Demby) wykazuje nam literalnie parę tysięcy studyówi fejtetonów, które rozrzucił po pismach! Jedna myśl co dzień — to podobno więcej niż strawić było w stanie całe pokolenie.

I mniemam, iż tak właśnie, jak cała ta chwila, polemiką i ruchem myśli, pędem do nauczania i służby publicznej, nie zaś dokonaniem w literaturze dziełem — utrwala się i znaczenie Świętochowskiego. Efemeryda fejtetonu trwalszym mu będzie pomnikiem niż niedoścignięte dzieło poety: będzie z tej chwili zgiełku Posłem Prawdy, zakładającym *liberum veto*, a gdy od Prawd wiecznych nikt mandatu nie posiadał — posłem będzie swojej własnej *Prawdy*.

50. Kiedyśmy poprzednio (18) wskazywali na ukształtowanie się nowej międzywarstwy społecznej t. z. inteligencji, to nie trudno było powiedzieć, jak bardzo będzie potrzebnym dla niej cały zastęp wychowawców. Dydaktyzm pisarzy z pozyty-

wizmu wywodzących swój ród rzecz prosta nie wyczerpuje całej pedagogiki społecznej nawet tych lat. Pisarze klerykalni, konserwatyści również pod znakiem wychowywania społeczeństwa rozwijają swoją działalność. Pozytywizm jednak liczy w swych szeregach najwięcej pracowników o wyraźnie nauczycielskich zamiarach.

Wychowawcą więc społeczeństwa jest przede wszystkim najwybitniejszy obok Świętochowskiego przedstawiciel tych lat Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), który w tym okresie jest zwłaszcza publicystą, wyrażającym się głównie w szkicach programowych i fejtynie. Jeśli jednak fejtyn Świętochowskiego stanowi prawdziwy wzór świetnej dyalektyki i tworzy w tym kierunku niewątpliwie szkołę dla całego zastępu przyszłych fejtynistów i publicystów, opierających się przede wszystkim na stylu i frazie, na przewagach błyskotliwego logizmu, zaprawionego sarkazmem — to Prus stanowi wyjątek w tej szkole.

Umiłowawszy matematykę, niedowierzając zwycięstwom dyalektycznym, Prus chce się oprzeć na cyfrach, nawet w fejtynie. W coraz to innym piśmie zakłada swe »obserwatoria społeczne«, zawsze jednak wierzy niezłomie w statystykę jako podstawę rozumowań na tle społecznym. Po *Opiekunie*, *Przeglądzie*, *Nowinach* przejdzie do *Kuryerów* i tam przez ćwierć wieku prowadzić będzie swoje przez szerszy ogół warszawski rozchwytywane *Kroniki*.

Cyfry i fakty — »male« idee praktyki, które przeciwstawia »wielkim« ideom teorii dadzą mu kanwę, na której zadzierzgnie wzór na pozytywistyczny żywot pocziwego człowieka. Dowcip rubaszny, często koncepcyjarski, posłuży mu za przynętę dla mas. Ułamek jego *Kronik* w książkowym wydaniu nie daje dziś miary ich znaczenia wychowawczego. Mniejsza, że »matematyka« zbyt często redukowana do... liczby i »socjologia« nazbyt ślepo ufająca statystyce zawiodą nieraz pisarza między jałowe i dziwaczne wnioski. Lecz z zadzierzgnięcia się tysiącznych umówionych znaków między nim a czytelnikiem wytryśnie nieraz pożądana skra zrozumienia: przysypane gruzem cyfr jedno jakieś słowo głębokie, odczute ożyje kędyś we wdzięcznej pamięci ogółu.

I takie jest znaczenie fejtynu wogóle. Bardzo wielkie

w społeczności, gdzie palestra, trybuna publiczna, akademicka z wolnym głosem dysputa, kazalnica wreszcie — wszelka zgoła forma potocznego obcowania uległa na długie lata brutalnej konfiskacie z życia publicznego. Fejtyn był wtedy po prostu surogatem tego życia — akademicki, świetny, palestrancki ze Świętochowskim; gawędziarski, niby powszedni, praktyczny, a ludzki z Prusem — nabrzmiały aluzją, apostołski, pełen tajemnych i zakazanych wskazań w następnym pokoleniu, z Maryanem Bohuszem, który niebawem miał z tej formy uczynić — pod okiem cenzury — narzędzie narodowej i demokratycznej propagandy.

Próżnobyśmy tutaj rozwiązywali scholastyczną zawilóść, czy i o ile ten dydaktyzm fejtynowy zubożył nam lub wzbogacił w ostatecznym dorobku Prusa-powieściopisarza, o którym rzecz będzie niżej. To pewna, że lata te wymagały takiej właśnie pracy i wprzęgały w nią najbujniejsze talenty i umysły, o ile się te poczuwały do solidarności z ogółem, po omacku szukającym dróg życia. Fejtynem, służbą publicystyczną wypłacali się w literaturze najzdolniejsi »pozytywiści« utylitarnym nakazom własnej doktryny.

51. Wszelako dydaktyzm sam a z nim cała owa atmosfera propagandy społecznej »trzeźwości« i doraźnego utylitarizmu rozszerzały się z właściwej publicystyki i fejtynu na wszystkie inne formy literackie. Rzecz prosta że powieść, której przejściowy charakter i rolę w służbie publicznej poznaliśmy poprzednio (19—22), bardziej niż którakolwiek z nich nasykała tym wpływem. Wszakże to oddawna był jej żywioł. »Pracę organiczną« i wszelkie cnoty praktyczne, nie czekając na pozytywistów szczepiła powieść już od Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego. Ten ostatni już w 1856 zdobywa się na swój »program organiczny«, tembardziej, że istnieją już Steinkellerzy, Ewansy, Fragety i pożądaną cukier wydają już buraki. »Dzisiaj — symbolicznie mówi w 1855 roku wzorowy Edmund z *Dziwożony* (Kaczkowskiego) — obręb mej działalności określają kopce graniczne mojego niewielkiego majątku«. Powieść pozytywistyczna zamieni »mój majątek« na »mój fach«

i poprowadzi dalej propagandę cnót praktycznych. Będzie to szemat bohaterów dodatnich. W tej samej *Dziwożonie* (gdzie najsilniejszy atak na »romantyzm«) daje Kaczkowski i szemat postaci ujemnych, który ustokrotni tylko i urozmaici powieść dydaktyczna lat obecnych: »Im więcej gdzie dumy tem mniej prawa do tego, im głośniejszy gdzie organ, tem większa próżność w głowie, im więcej gdzie junakieryi, tem więcej tchórzostwa, arystokracja oparta na podrobionych genealogiach, cnota na oko, a występki pod płaszczem, miłość dla kraju i chęć poświęcenia się ale tylko przy drzwiach zamkniętych wypowiedana w sekrecie, błyszczenie zamożnością ale li dla pokrycia długów przed okiem ludzi, zamiast europejskiej oświaty udawana tylko europejska ogląda, a wszędzie czczość, próżność, nieznamość przeszłości i zupełna niedbałość o przyszłość«.

Ten właśnie szemat dodatnich i ujemnych wizerunków społecznych pocnie wypełniać treścią doraźnej obserwacji powieść tych lat. Z dawniejszych pisarzy — wszyscy z poprzedniego dziesięciolecia piszą i tutaj — może najjaskrawiej przy cnotach praktycznych opowie się Michał Bałucki. Idą lata najplodniejszej jego działalności — pisze *Błyszczące nędze*, *Sabinę*, *Życie wśród ruin*, *Z obozu do obozu*, *Biały murzyn*, *Byle wyżej*, *250,000* i wiele innych powieści, w których podziwiać można zawsze prawie obserwację i odwagę cywilną przekonani — oczywiście »postępowych« — oraz coraz wyraźniejszą apoteozę cnót praktycznych, powiedzmy po prostu — mieszczańskich — a więc zaprawianych nieodzownie liberalizmem z jednej i wyraźną już nietolerancją względem nowych dążeń z drugiej strony.

Jest Bałucki malarzem mieszczaństwa wogóle, w szczególności — krakowskiego. I ta właśnie strona talentu, gdy wartość ideowa i artystyczna jego utworów przemija, pozostaje dokumentem z tytułu rodzajowości cennym. Pozytywiści warszawscy, którym istotną wartość ich doktryny przysłała uluda bojowania, nie poznaliby może swych ideałów w grubo zaciosanych »porządnych« figurach Bałuckiego, w jego etyce beznaściejnie burżuazyjnej, w przejawionej raz, to znowu zbyt drobnostkowej fabule nieciekawych skądinąd perypetyi jego mocno dydaktycznej powieści. Jednak był Bałucki niewątpliwie

jedną z najczystszych — i to do końca — konsekwencyi właściwego pozytywizmu w literaturze, co stwierdzimy raz jeszcze, mówiąc o jego komedjach.

52. Lecz jeśli istnieją wogóle indywidualności opatrnościowo zesłane ku opatrzeniu potrzeb społecznych, to w tej dobie wychowawczej ukazały się one w najwyraźniejszej, że tak powiem, niczem nie osłoniętej nagości typu dydaktycznego, wśród naszych powieściopisarek. Na te właśnie lata przypada najplodniejsza działalność Marrené Morzkowskiej, Sadowskiej, (Zbigniewa) Ilnickiej, zwrot powieściowy poetki-improvizatorki Łuszczewskiej (Deotymy) oraz debiuty całego zastępu powieściopisarek, nowelistek, publicystek, które poznamy w latach następnych. Wszystkie niemal ulegają silnie wpływowi hasel pracy u podstaw, postępu i wolnomyślności, służą im gorliwie, pełniąc z oddaniem się, niekiedy z talentem, posłannictwo piastunek i guwernantek społecznych. (Małoletnia inteligencja potrzebuje całego ich zastępu).

Wiemy jak wysoko ponad poziom takich nauczycielek społecznych sięgała twórczość ich natchnionej mistrzyni Elizy Orzeszkowej. Nie tu jeszcze chwila dla rozważenia jej pełnej pracy, żywiącej całe pokolenia; lecz dla ścisłości obrazu tych lat musimy poznać szereg jej pierwszych powieści, na których nie pełny rozkwit jej indywidualnego talentu, lecz właśnie prąd dydaktyczny chwili położył niestarte piętno.

Orzeszkowa, podobnie jak Prus, potęgą indywidualności, zespoleniem się z odradzającymi społeczeństwo prądami lat dalszych — przerasta poziom pozytywizmu i zachodzi w związki głębokie z najpiękniejszymi przemianami polskiej twórczości schyłku stulecia XIX-go. Lecz tu poznamy w niej przedewszystkiem wychowawczynię ogółu, całą oddaną jego doraźnym potrzebom. W niej może — podobnie jak w Świętochowskim wogóle, jak w Prusie-fejletoniście — i to właśnie równie jak u dwóch poprzednich dzięki silnej indywidualizacji — najjaśkrawiej występuje w tych latach ów nawskroś bakałarski i intelektualistyczny stosunek do literatury i do ogółu. Orzeszkowa sama jedna mogłaby być świadectwem żywotności ogółu pol-

skiego zaraz po klęsce 63-go roku. Właśnie, jakby symbol tej żywotności, od tej daty rozkwita jej niestrudzona praca, pieczołowicie, opiekuńczo zabiegająca drogę wszelkiemu doświadczeniu społeczeństwa, wszelkiej jego przemianie odtąd aż do końca wieku. Lecz o tem będziemy mówili kiedy indziej.

Przejmując się Orzeszkowa może bardziej niż kto inny hasłami epoki pozytywnej i gorliwiej od innych wypełnia ów podwójny szemat cnót praktycznych i wad romantycznych (51) obserwacją i gęstą apostrofą do ogółu. Obserwacja z konieczności przesuwając przed jej oczyma rzesze bohaterów o »liberalnych« profesjach adwokatów, inżynierów, lekarzy, przemysłowców — bohaterów »emancypujących się« z musu dla wyżywienia rodziny, dzieci lub »idealnych« próżniaków — mężów. Obserwacja uczy ją o wystąpieniu gromadnym tej głównej armii nowej warstwy społecznej — inteligencji — do walki o byt. Obserwacja jej czuwa nad sprawą owego zaznaczonego już parokrotnie przenoszenia się wsi polskiej i litewskiej do miast.

Ale jeśli obserwacja stwarza te fakty, to znów wiara w naukę, przeświadczenie o zbawienności pracy zawodowej nadają tym objawom w jej oczach — sankcję posłannictwa. Z jej to wczesnych powieści jeśli jak wiemy nie po raz pierwszy, to za to gromadnie wyrusza ów pochód lekarzy, kupców, fabrykantów, adwokatów, techników, inżynierów, który ma nieomal świat, nietylko Polskę, odbudować podług ulepszanego systemu. »Inżynier« tu właśnie urasta w ów symbol tyle drogi całej płci pięknej — symbol nowoczesnego bohatera, (sparodyowany potem w powieściach Rodziewiczówny) który matematyką i cyrklem, jak Perseusz tarczą i mieczem, uśmierci smoka ludzkiej niedoli i wyzwoli Oblubienicę — Andromedę...

Szereg powieści Orzeszkowej powstających w ciągu pierwszych 15—20 lat jej twórczości, a w każdym razie aż do znamiennej trylogii ludowej (1884—1888), a więc *Ostatnia miłość, Na prowincyi, W klatce, Cnotliwi, Pompalińscy, Rodzina Brochwiczów, Pan Graba, Na dnie sumienia, Pamiętnik Waclawy, Marta, Sylwek Cmentarnik, Zygmunt Ławicz i jego koledzy, Widma, Pierwotni* i t. d. — to szkoła życia społecznego dla samej autorki i dla czytelnika. Towarzyszy tym powieściom szereg studyów o *Kobietach, o Putryotyźmie i kosmopolityźmie, o Żydach* — a tak

powstaje niejako repetytoryum społeczne — splot zagadnień i postaci nierozzerwalny, stanowiący całokształt w samym rozwoju tych lat. Pionier-fachowiec przystosowujący społeczeństwo do nowych dróg pracy, kobieta, wyzwalam się lub zaplątana w gmatwaninie rodzinnej i społecznej rutyny — oto właściwy romans niemal wszystkich tych powieści. W niektórych występuje nowy bohater: żyd (*Eli Makower, Meir Ezofowicz*) we wszystkich odmianach, na szeroko zakreślonym a nie romansowem (jak w *Żydówce* Bałuckiego) tle społecznem.

Trzebaż dodawać że apoteoza cnót praktycznych, krytyka przesądu kastowego, konflikt postępowości z zacofaniem, a wszystko to przy akompaniamencie nietylko poglądów ale i frazeologii przyrodniczo-filozoficznej pozytywizmu wypełnia treść tych utworów. Niczego tu nie brak — aż do nieufności tych »nowych« ludzi (pozytywistów) względem »najnowszych« (socjalistów czy jak wówczas — nihilistów) w ostatnich powieściach tego okresu (*Sylwek, Widma* 1880).

Tak więc charakterystyczną cechą wszystkich tych utworów Orzeszkowej jest to, że każda powieść jest zarazem kwestyą społeczną z dydaktycznym rozwiązaniem, zaś wszystkie razem stanowią tych lat zwierciadło, podane społeczności w wyraźnie pedagogicznej myśli. Nie stanowią też one w literaturze polskiej żadnego kroku naprzód w rozwoju samej formy powieści: wątek ich narracyjny, układ postaci, język, psychologia nie posuwają w niczem zagadnień twórczo-artystycznych. Jest to tylko nowy repertuar kwestyi społecznych, a wielki talent autorki pełni tu służbę publiczną, nie wysilając się na rozkwit indywidualny. Co go w każdym razie cechuje to pewien stopień przepromienienia tendencji uczuciowości. Autorka wyzwala z siebie to, co psychologia współczesna nazywa uczuciem intelektualnem, a co w istocie stanowi młode jeszcze i chwiejne do dzisiaj podłoże duchowego życia inteligencji.

Lecz był w całej działalności Orzeszkowej jeszcze jeden czynnik — znowuż natury społecznej — który nadawał jej szczególne znaczenie. Była nim — służba na kresach.

Wziętość Orzeszkowej za granicą (w Rosyi, w Niemczech), jak również zgoła powszechne uznanie na ziemiach polskich

pozwole nam tu bez obawy przed posądzeniem o chęć obniżenia jej talentu do poziomu prowincjonalnych zwrócić uwagę na pewną właściwość jego losów

Orzeszkowa, jak wiadomo, przeżyła całe życie na Litwie. Uplýwało zaś to życie wśród najsrońszych pomurawiewowskich czasów, kiedy nietylko ludzi ale nawet czcionki polskie gorliwość »diejatielska« radaby ścinała. Otóż w tych warunkach talent Orzeszkowej promieniujący z głębi Litwy stawał się w istocie niepożytą warownią polskości. Nie będę tu przypominał jej walki i zatargów z władzami, prób wskrzeszenia prasy polskiej w Wilnie (w postaci *Alfabetu*, wydawnictwa sporadycznego). Rola Orzeszkowej była bez porównania donioślejszą, a o tem sędzić mogą najlepiej pokolenia bezpośrednio pod wpływem jej książek wzrastające. Oto literatura polska zakazana tam i nie docierająca jak w szczupłej liczbie (nie zawsze najlepszych) utworów — ścierała się bezpośrednio z potężną falą powieści rosyjskiej. Szkoła rosyjska chętnie podawała młodzieży Gonczarowa, Aksakowa, Gogola, Turgenjewa. Młodzież sama szukała Michajłowa, Tolstoja, Dostojewskiego, Szczedryna, Niekrasowa. Propaganda zaś rewolucyjna wzrastająca na Litwie bodaj wcześniej niż w samej Rosyi (o czem świadczy proces carobójców), werbująca żydów i polaków, jako żywioł zapalny i inteligentny — dodawała do tych wszechświatowych nazwisk zakazane, nieraz w odpisach krążące utwory Czernyszewskiego, Aszenbrenera, Mirtowa (Ławrowa) i t. p. Jeżeli się zważy, że niektórzy z autorów rosyjskich (Tolstoj, Dostojewski) stanęli wobec twórczości wszechludzkiej na wyżynach geniuszu, że zaś ta literatura (powieściowa) stała na bardzo wybitnych talentach, że wreszcie biła od niej świeżość i zakazany urok wiosennej burzy — to zrozumiemy jakie niebezpieczeństwo groziło inteligencji polskich kresów, w pierwszym zaś szeregu — jej młodzieży. Groziło wynarodowienie się na drodze pozornie idealnej, bo wszechludzkiej, lecz siłą faktu prowadzącej nie do stworzenia większego człowieka w polaku, lecz z polaków — większej ilości rosyjan. W starciu z tą potężną falą wpływów rosyjskich nie wystarczała — słaba w nowych warstwach — tradycja domowa, nie wystarczał nawet — zatamowany zresztą — dopływ polskiej poezyi z okresu prometejskiego. Powieść zaś polska do-

zwolona — nie mogła wytrzymać porównania z powieścią rosyjską. »Pozytywizm« niewiele mógł nauczyć czytelników Ławrowa, Michajłowskiego i Czernyszewskiego — a tak literatura polska poczyniała coraz częściej spotykać się z obojętnością młodzieży kresowej, nie znajdującą w niej po prostu dość żywotności i siły podług swoich potrzeb. I tu właśnie zbawiennym był sam rodzaj talentu Orzeszkowej i nieostygła nigdy jej skala uczuć zbiorowych. Nieocenioną była sama jeśli tak rzecz wolno dyalektyka jej artystyczna, bliższa rodzajowo tej litewskiej młodzieży niż wielu innych pisarzy polskich i zatrzymująca ją w kolisku tych właśnie etycznych, obyczajowych, społecznych kolizyi, do których ona lgnęła, porywana prądem rosyjskim. Zapewne, że Orzeszkowa sama nie mogła się przeciwstawić bujnej twórczości rosyjskiej — lecz była często pierwszym pogotowiem ochronnym, pozwalającym młodym duszom wytrzymać szturm wpływów wynaradawiających, była nieraz pierwszym — idealnym — łącznikiem między niemi a literaturą polską. To stwierdza zapewne cała Litwa, a zwłaszcza te jej pokolenia, które w tych właśnie latach (1870–1880) przeżywały tam kryzys wpływów rosyjskich w szkole i w szrankach rewolucyi. I jak gdyby wiedziona matczynem przecuciem — podobna w tem w istocie do owych matek, które towarzysząc dojrzewającym synom, same biorą się do Homera lub wyższej matematyki — Orzeszkowa poczęła rozszerzać skalę swej obserwacyi, podnosić patos swej pracy duchowej. Lecz o tem — później. Tu stwierdzmy jedno: kresowość Orzeszkowej wnosi w powieść pozytywistyczną tchnienie idealniejsze przez to samo już, że na Litwie owe »liberalne profesye« — to w istocie z preradzającego się w nie ziemianstwa powstający jedyny stan polski. Więc tu pewna egzaltacya nawet stanowych ideałów — ma donioślejsze (społecznie) znaczenie i nabiera rozpędu obywatelskiego.

Lecz tak czy inaczej, mówiąc o wszystkich znaczeniach powieści w tym czasie — obracamy się ciągle w zakresie wartości społecznych — z Orzeszkową zaś dochodzimy do ich *maximum*, zarówno co do głębokości i patosu właściwego tej autorce, jak i co do zasobu obserwacyi, coraz szerzej obejmującej żywą społeczność w całej gmatwaninie objawów, coraz dalej odbiegającą od pozytywistycznej szematyczności. Za chwilę

dydaktyka przestanie wystarczać, a »szkoła dla inteligencji« zamieni się w — świątynię twórczości.

53. Dalsze koleje powieściopisarstwa tych lat nie przyniosą nam wiele nowego. Więc Kraszewski, jak wiemy, w tem właśnie dziesięcioleciu daje szereg swych powieści saskich i wogóle rozwija twórczość historyczną — (*Hrabina Cosel, Brühl, Skrypt Flemminga, Historia o Korczaku, Ostatnie chwile Księcia Wojewody* i t. d.). Oczywiście nie przeszkadza to jego fenomenalnej płodności przejąć się w tymże czasie powieścią awanturniczą w rodzaju Gaboriau, której rzuca prób kilka, ani zajmować się powieścią obyczajową.

Dużo również drukuje Jeż (*Ofiary, Po ciemku, Za króla Olbrachta, Hryhor Serdeczny, Ostapek, Pod szlachecką strzechą, Pod obuchem* i t. d.), mieszając jak zawsze powieść historyczną z obyczajową, wspomnienia wojackie z propagandą demokratyczną.

Z grupy tych starszych pisarzy, których ustalonej indywidualności nie mogły nadto zabarwić nowe prądy, w tem dziesięcioleciu najbardziej do apoteozy cnót praktycznych na tle powieści obyczajowej skłania się Zacharjasiewicz (*Milion na poddaszu, Dzieje ideału, Posag, Zakryte karty, Złoty interes, Wybór pośła* i t. d.).

Inni pisarze jak Albert Wilczyński, Jordan (Wieniawski), Sabowski (Wołody Skiba), Piotr Jaksa Bykowski dostarczają powieści fejtynom gazeciarskim, snując wątki to powieści gawędziarskiej humorystycznej (Wilczyński), to szlachecko-ziemiańskiej (Jordan), zamasyście-historycznej (Bykowski) i t. p.

W tem właśnie dziesięcioleciu skierowuje się śladem Kaczowskiego Władysław Łoziński, obierając sobie imci Narwoja za punkt osiowy dla obyczajowych studyów nad wiekiem XVIII (*Dwunasty gość, Przygody w Radomiu, Zapatan, Skarb watażki, Pełtyhorce*).

Wreszcie łączy dość dziwacznie wątek historyczny z... naturalizmem Walery Przyborowski (*Oblężenie Warszawy, Sokół królewski, Bicz koralu* i t. p.), trafiając może dzięki temu na szpalty *Przeglądu Tygodniowego*, gdzie drukuje w tem dziesięcioleciu Lam (*Głowy do poszłoty*) i tryumfuje Zola.

Na ogół przyglądając się uważniej powieści w tych latach stwierdzamy, że zaspakaja ona coraz to obszerniejszą skalę czytelnictwa naszego, trafiając do coraz nowej warstwy społecznej różnaitością tematów.

Nie czujemy jednak by się w niej urzeczywistniały prócz społecznych (jak w powieści pozytywistycznej) jakieś nowe wartości twórcze, artystyczne. Jest to jeszcze kontynuacja dawnych wątków. Jeszcze nic nie zapowiada potężnego rozkwitu powieści w następnem dziesięcioleciu. I w istocie, jak zobaczymy, nie tędy szukały sobie wyrazu nowe potrzeby twórcze około roku osmdziesiątego zdobywające dla literatury polskiej nową formę artystyczną, nim odnowiły nieco później koncepcję samej powieści.

Nie zatrzymując się dłużej nad autorami, których poznaliśmy już w poprzednim dziesięcioleciu, ani nad ich kontynuatorami, przynoszącymi nowy materiał dla czytelnictwa raczej, nie zaś dla literatury, przejdźmy z kolei do jednej jeszcze kategorii utworów, w których podobnie jak w fejtynie i powieści tych lat najsilniej wyraził się prąd dydaktyczny i społeczny o zabarwieniu pozytywistycznym.

ROZDZIAŁ IX.

Literatura dramatyczna.

54. Pod dobrą wróżbą rozwija się w dziesięcioleciu literatura sceniczna. Oto przemawia znowu po długoletniem (od czasu krytyki Goszczyńskiego) milczeniu stary wódz komedyi polskiej Fredro-ojciec. Po śmierci dopiero (1876) zbliżył się ponownie do żyjących: kilkanaście jego utworów wystawiają na przemiany teatry lwowski i krakowski. Nie tu miejsce na charakterystykę Fredry, gdy należy całą swoją twórczością do ubiegłej połowy wieku. Ale niepodobna nie podnieść tego zamogilnego współpracownictwa, przybywającego nagle w pomoc kształtującej się właśnie polskiej dramaturgii. Tembardziej, że w utworach pośmiertnych dawny kontuszowy i sarmacki charakter komedyi fredrowskiej ulega pewnej zmianie: nachylił się pod kątem komedyi nowoczesnej — za wpływem francuzów — tak dalece iż w istocie zgodzić się trzeba, że *Wielki człowiek do małych interesów*, *Pan Benet*, *Dwie bliźny* i inne stanowią niejako drugą manierę Fredry (Tarnowski).

Powszechnie uznajemy, że komedia nowoczesna rozwijała się od molierowskiego pojęcia typu w kierunku do nowoczesnej koncepcji indywidualności. Skoro zaś i w jednym i w drugim wypadku charakter nie przestaje (nie może przestać) stanowić samej osnowy figur na scenę wyprowadzanych — zmienia się głównie stopień zespolenia figur z otocze-

niem, zwiększa się ilość rysów z żywej obserwacji tegoż, nie zaś z zasady charakteru wyprowadzanych. Otoczenie gra poniekąd za bohatera i w tem tkwi wartość tego, co krótko wyrażamy formułką realizmu. Zarazem, jakkolwiek z konieczności przy takim pojmowaniu sceny musi zwiększać się, a raczej nagromadzać ilość osób i szczegółów, zaczerpniętych z życia (monolog ustępuje dyalogowi, dyalogi wzmacnia coraz obficie niema gra) — to z drugiej strony zmniejsza się znacznie dowolność akcji (perypetye). Ruch sceniczny zbyt dosłownie rozumiany ustępuje miejsca charakterystyce. Cały ten przebieg zmian w traktowaniu dramaturgii (przez Augier'a, Dumas'a wyrażony najpierw we Francji) różnemi drogami, często wyrodnając w płytkość (Sardou) działał i na naszą literaturę sceniczną, jak widzimy, zaczynając nawet od starego Fredry.

Podobnie jak powieść tak i dramaturgia polska ma w tych latach dwie odnogi twórczości: historyczną, w której wyrażają się raczej aspiracje poetyczne i ideowe starszego pokolenia, oraz obyczajową, gdzie — przy pomocy realizmu — dokonywa się gruba robota życiowa, często więc (jak i w powieści) po prostu — publicystyczna.

Zarówno w pierwszym jak w drugim kierunku cecha naczelna tych lat — dydaktyzm — wystąpi bardzo wyraźnie i jak zwykle ze szkodą dla twórczych i artystycznych wartości utworów.

55. Na czele dramaturgów uprawiających kierunek historyczny należy bezwątpienia postawić Józefa Szujskiego. Z dawnych dramatów Szujskiego, pominąwszy zapewne przed rokiem 1860-ym z młodzieńczym jeszcze rozmachem pisanego *Wallace'a*, żaden nie stał na wysokości właściwej sztuki. Sam autor uważał je, wydając (1867), za próby tylko — my zaś możemy je uważać za pełen ducha i tęsknot komentarz do jego pracy historycznej, z którą zresztą równoległe się rozwijają. Ale czy to *Jadwiga* pełna ustępów wymuszonych, czy *Twardowski* pełen historyzofii — to zawsze tylko komentarz dramatyczny do dziejów, nie zaś sam dramat dziejowy. Nie zmieni

się to i w próbach późniejszych. Szujski będzie się wypowiadał w różnych rodzajach — da nawet komedię historyczną, ten człowiek tak nawskroś przejęty tragizmem i niemal niezdolny do uśmiechu. Da szereg obrazów, niekiedy spojonych w cykle, jak *Maryna Mniszchówna*, *Śmierć Władysława IV-go*, i fragment *Ossolińskiego*, lecz nigdy nie da — dramatu. Zapewne że dramatem w pewnym rozumieniu jest nawet *Kopernik*, nawet Długosz w kontrowersyi z Kallimachem nie pozbawiony dramatycznego wątku. Lecz wszędzie i zawsze u Szujskiego dramatyczny konflikt dziejów sam jako taki, jako wątek treści zabija budowę dramatu jako dzieła. To podstawianie się niesłuchanie wyraźnych dla historyka istotnych wątków dramatycznych, zaczerpniętych z dziejów tam, gdzie należało stwarzać właśnie urojone, lecz scenicznie skonstruowane węzły dramatyczne — jest rysem Szujskiego. Nigdy on się z tej podwójnej trudności dramaturga i historyka nie wyplątał: pierwszy zawsze był ofiarą drugiego. Pozostał więc po tych próbach tylko bogaty, na Szekspirze, Szyllerze, Wiktorze Hugo, Słowackim zaprawiony kult dramatu historycznego — pozostał bogaty wątek ideowy, wysnuty nietylko ze znawstwa historycznego, ale i z wzięcia w siebie czuwającą duszą wielkich konfliktów państwowych, religijnych, kulturalnych dawnej Polski.

Poleganie na danej już w samych faktach dramatyczności dziejów naszych jest bodaj najcharakterystyczniejszym szkopulem dramaturgii tego kierunku. Nazbyt wiele się wierzy w wymowę samych zdarzeń — one niejako hypnotyzują pisarza, że tylko gest ich w utworach powtórzy, zapominając łatwo że najdramatyczniejszy gest dziejowy, jeśli ma być dramatem na scenie, musi być wyrażony w równie silnym geście artystycznym. Może dla tego cały nasz dramat historyczny to najczęściej jeszcze tylko liryzm na tle dziejowym wyrażony. Mniemam że uwaga ta stosuje się i w tym okresie zarówno do tragedyi historycznych, jak i do skromniejszych w założeniu różnych obrazów dramatycznych. Czyż nie jest w gruncie rzeczy takim upustem liryki nawet przedramatyzowana (przez wprowadzenie Wallenroda) tragedia Asnyka p. t. *Kiejstut*? Sowiński w swoich fragmentach dramatycznych czemże jest jak znowu nie liryzmem uczuć bezdennie gorzkich, beznadziej-

nie bolesnych? (*Na Ukrainie* 1875). Norwid również przesyca tragedye swoje głęboką zadumą filozoficzną, stając się w nich liryzmem fatalizmu (*Kleopatra* 1878). Zawsze zaś rys jeden się powtarza w tak odrębnych indywidualnościach jak Szujski czy Asnyk, Norwid czy Sowiński. Zawsze ich tragedye czy dramaty nawskroś są przesiąknięte uczuciem, refleksyą, historyzofią — za mało zaś wyrażony w nich konflikt woli, jedyny punkt wyjścia w budowie dzieła scenicznego. Zawsze to zaufanie, charakteryzujące liryka, do wymowy samych faktów (*sunt lacrimae rerum*) — uspi w nich czujną strategię dramaturga...

Dlatego zapewne dziesięciolecie bynajmniej nie ubogie w dążności ku wielkiej sztuce dramatycznej nie wydało jednak mimo pracy Szujskiego, Faleńskiego, Asnyka, Sowińskiego, Norwida ani jednego skończonego dzieła. Liryzm — choćby bohaterki, choćby sięgający szczytu uniesień ducha, dramatu nie stwarza, natomiast najłatwiej zbacza w labirynty dydaktyki.

Prąd historyczny w dramaturgii porywa na długie lata działalność kilku jeszcze pisarzy o indywidualnościach mniej skomplikowanych i potężnych. Adam Bełcikowski daje ich cały szereg: *Hunyadi*, *Adam Tarło* (1869), *Franceska di Rimini*, *Kmita i Bonarówna*, *Król Mieczysław II*, *Warneńczyk*, *Przysięga*, *Bolesław Śmiały* (1882) i inne późniejsze. Dramaty te prowadzą nas od właściwej tragedyi do obrazu historyczno-obyczajowego, a zalecają się doskonałym przestudyowaniem czasów, oraz jeśli nie siłą, to zawsze poprawnością akcji. Nie stanowią jednak i one właściwego nabytku ani literatury dramatycznej, ani repertuaru. Taż sama niemoc — poleganie na efekcie samych tematów — rozluźnia ich budowę.

I jeszcze raz to samo powtórzyć trzeba przy ocenie pracy Wincentego Rapackiego, znakomitego artysty dramatycznego, lecz pisarza szanownego kulturą i pracą, nie zaś dokonaniem dziełem dramatycznym. Szereg jego utworów (kursowy *Wit Stwosz* (1874), *Mazur Czart*, *Mikołaj Kopernik*, *Maćko Borkowiec*, *Acernus*, *Pro honore domus* (1880) i inne) przysparza niewątpliwie materiału — w obrobieniu np. t. zw. efektu scenicznego — dla nowych pokoleń, kształcących się na repertuarze, tak nadto zazwyczaj archeologicznym i tradycyjnym,

tak mało żywym, bodaj przez efekt sceniczny. Lecz szczęśliwego połączenia sceniczności ze znamionami twórczymi, tej wyższej jakby rasy talentu, dla której wszystkie te czynniki sprzegają się w jeden węzeł dramatyczny w potężnym akcie woli twórczej — nie znajdziemy i tutaj.

Wspomnijmy jeszcze Bronisława Grabowskiego, Ernesta Buławę, Bronisława Komorowskiego, którzy również próbowali sił w dramatach historycznych. Pierwszy trzyma się tematów słowiańskich i czasów zamierzchłych (*Mściwój i Swanhilda* (1876), *Syn margrafa, Królewic Marko* (1880) i inne); drugi w jednym roku w młodzieńczej tęsknocie za wielkim tematem daje *Karlińskich* i *Joannę Grey* (1874). — Trzeci wreszcie pisze wierszem *Rejtana* (1869), *Krok, ostatni książę Arkony* (1874), *Błądną Gwiazdę* (1875) oraz komedye obyczajowe (*Małoduszni, Próba ognia* 1871, 74) i powieści poetyckie — wszyscy trzej są w szeregu poprzednio wymienionych jeszcze jednym dowodem, że w dziesięcioleciu tem zanosilo się na bujny ruch w dramaturgii polskiej, lecz coś ją gięło do ziemi.

Staraliśmy się scharakteryzować jeden z czynników tamujących rozwój dramatu historycznego (bierność liryzmu wobec t. zw. dramatycznego tematu), wskazaliśmy nawet wogóle jako cechę poezji tych lat liryzm — z podkładem uczuć zbiorowych — ową siłę upowijającą niejako wszelki objaw indywidualności (29). Otóż dramat wymaga właśnie indywidualności zupełnie samoistnej, wyzwolonej, takiej, gdzie rachunek z uczuciem zamknięty już, a panuje na jego odmetach ster woli. Widocznie nie czas jeszcze było na to, by z chaosu sprzecznych refleksyi i uczuć wynurzyła się w tych już latach potęga woli twórczej, a za nią czyn najwyższy — dzieło. Był więc czas prób. W jednym tylko zakresie — tam mianowicie, gdzie autor nie wznosząc się zbyt wysoko nad ogół, korzystał raczej z powszechnej stałej równowagi elementarnych uczuć narodowych — zdołały te lata opanować bodaj jeden rodzaj sceniczny — rodzaj spektaklu popularnego. Tak *Kościuszko pod Racławicami* (1870—1880) Wł. L. Anczyca pozostanie na długo jeszcze najdoskonalszym wzorem utworu popularnego, łączącego w sobie żywotne sceniczne żywioły obserwacji, efektu, perypetyi, wresz-

cie komizmu i grozy w całość zbudowaną świetnie i dostrojona do poziomu najszerszego ogółu polskiego.

Obok *Kościuszki* dwa inne utwory oparły się również na takiej skali powszechnej i również wzbogaciły jeśli nie poezję to bodaj repertuar widowisk popularnych: *Obrona Częstochowy* (1874) Juliana z Poradowa (Bośniackiej) i *Przekupka warszawska* Adama Belcikowskiego. Autorowie tych sztuk, których niewątpliwie stać na szersze horyzonty (Belcikowski), na wyższe wzloty uczuciowe (Anczyc) — korzystają tu w pełni z tej swobody jaką daje twórcy zupełne panowanie nad tematem. Żadna tu wątpliwość nie ugniata im serca, żaden ferment nieskrystalizowanych jeszcze porywów nie mąci tu uczuć prostych, pewnych, bezpośrednich jak gniew, radość, ból, wesolość z tych niedwuznacznych perypetyi buchających. I utwory osiągają równowagę — żyją całością własną. Sprawia to władna moc woli twórczej nie uwikłanej tu — na tym poziomie — w żaden ferment liryczny, ani nazbyt ufnej w wymowność faktów samych, więc podwójnie czujnej przy ich scenicznej budowie.

Na tyle, nie na więcej stać nas było w dramacie tych czasów. Jak zobaczymy, coś podobnego stwierdzimy i w komedyi lub dramacie obyczajowym, gdzie znowu jedynym rodzajem bezwzględnie ukształtowanym w tych latach okaże się popularny gatunek lekkiej komedyi i farsy.

56. Wspominaliśmy już o warunkach, wśród których rozwijała się w tych latach polska scena (33). Największe i najzasobniejsze środowisko jej — Warszawa — nie miała żadnej swobody repertuaru. Lwów dawał zbyt niewysokie gwarancje umysłowe kierownikom i publiczności. Wszakże tam nawet wystawienie *Kościuszki pod Racławicami* napotykało na trudności i traktowanie prowincjonalnego teatru i nawet tak popularną sztukę trywialność dyrekcji obniżyła do poziomu brukowego. Jeden tylko Kraków przedstawiał teren względnie pomyślny, ale jakże niezasobny i jak ograniczony mnóstwem krzyżujących się wpływów i względów. W rezultacie pozostawał fakt niezbyt: ani polski autor nie miał gdzie się wypisać, ani aktor

polski nie miał gdzie wygrać się tak, jak tego bogactwo chwili wymagało. A istotnie bogatą była ta chwila w talenty sceniczne; wśród jednych i drugich — bił jakiś poryw wyraźny sceniczności zewsząd. Starzy i młodzi chwyтали się tej formy — popychała w tym kierunku sława europejskich zwłaszcza francuskich przewag — nie brakowało dyrektorów sceny rasowych, energicznych, światłych, jak Koźmian, któremu Kraków pozwolił się rozwinąć bodaj na skalę własną, jak Tatkiewicz, którego Warszawa zmarnowała; Sarnecki, Dobrzański, Chęciński i tylu innych próbowali sił w tym zawodzie. Plejada artystów dramatycznych jaśniała niebywałą przedtem i potem świetnością. Modrzejewska, Hoffmanowa, Popiel-Święcka, Derynżanka, Bakałowiczowa — Żółkowski, Królikowski, Fiszer, Rapacki, Leszczyński i tylu sił niepowszednich młodych obok europejskiej wartości weteranów — oto była armia, którą dramaturgia polska mogłaby była prowadzić do najdoskonalszych urzeczywistnień, gdyby posiadała — swobodę sceny... Niestety: na żadnej scenie twórczość polska nie mogła być w tych latach osią repertuaru — nigdzie pisarz polski nie miał gwarancyi własnego rozwoju.

Odbić się to musiało przedewszystkiem na kierunku historycznym, gdzie już wprost brutalna przemoc cenzury gasiła bezpowrotnie śmiałków. Przemijały lata i śniedział skarb dawnych lub nowych utworów od Słowackiego poczynając (w *Mazepie* występował anonimowy »Król«, na afiszach figurowały litery J. S.). A kierunek historyczny — i nietylko u nas — zawsze się zrastał najściślej z wielką poezją dramatyczną — tu więc, krępowana, musiała gasnąć. W istocie raz jeszcze trzeba to powtórzyć: Kraków był jedyną pepiniarą polskich artystów, o ile ci szli w kierunku, który Koźmian popierał. Koźmian zaś rozporządzał rozległą skalą: od Szekspira i Arystofanesa do bieżącego teatru francuskiego uwzględniał wszystko — tam z pietyzmem, tu ze znanstwem i werwą prowadząc repertuar. Mickiewicz i Słowackiego pierwszy wprowadził za scenę, prześcigając w tem późniejsze tchórzliwe czasy. Popierał młode usiłowania i rodzaje, nie obawiając się w repertuarze sztuk nawet »niesceniczych«, jeśli te miały inne — poetyckie lub ideowe — zalety. Ale ani Koźmian sam jeden nie mógł wynagrodzić strat ponoszonych z powodu innych generalskich lub

operetkowych dyrekcyi, ani Kraków nie mógł w szczupłych swych ramach dać rozrość się produkcji dramatycznej, dla której wszystkie polskie sceny stały zamknięte. — I owszem: popierały one wszędzie pewien rodzaj sztuki: t. zw. sztukę spektaklową, repertuar lekki, tematy kosmopolityczne i narodowo obojętne, a nie godzące też w żadną z powag osłoniętych autorytetem policyi i cenzury... »Kasowość« zatem sztuk nie opierała się nigdy o zalety repertuaru, lecz ledynie o wirtuozostwo gry, i utrwał się wskutek tego rodzaj sztuk dla aktorów — popisowych...

Taki to splot warunków spowodował, iż te lata — i następne — upamiętniły się paradoksem ogromnego rozpędu sił scenicznych, a miernym poziomem dramaturgii polskiej. W swoim czasie wykażemy jakie już tutaj zadzierzgnęły się wątki w twórczości Norwida, Faleńskiego, z których miała korzystać swobodniejsza przyszłość. Na razie jednak rwało się wszystko, co wiodło w świat wszechludzki, narodowy, prometejski — tryumfować miała miernota, zrzeczność sceniczna i — względy praktyczne.

57. Jeżeli wpływowi nowego — mieszczańskiego — dramatu uległ w pewnym rozumieniu starszylachecki Fredro, to nic dziwnego, że naogół wpływ Dumasa, Augier'a, Feuillet'a, Sardou i t. p. stać się musiał punktem wyjścia dla całej nowoczesnej komedyi — aż do nowej jej odmiany na schyłku w. XIX pod działaniem skandynawskim. Lecz tymczasem po 60-ym roku Paryż drugiego cesarstwa hypnotyzuje po prostu świetnością swych teatrów całą Europę. Wszyscy, czy to starsi jak Chęciński lub Szymanowski, czy młodszy jak Narzymowski lub Zalewski tkwią w repertuarze francuskim. Narzymowski najwcześniej bawi w Paryżu (1860) w chwili kiedy teatr jest pod władzą »palących zagadnień« obyczajowych Augier'a. To też jakaś jego *La Contagion* odbija się potem w *Epidemii*. Szymanowski tłumaczy Pousard'a (a i Molière'a), Zalewski — Molière'a i Legouvego, Lubowski — zawczasu nasiąknie wpływem Sardou. Zresztą wpływom francuskim nikt się nie obroni — przejawiają się one w wyborze tematów, w postaciach i w fakturze, w samych

wreszcie tytułach sztuk, żywcem transponowanych stamtąd. Przyczyni się do tego i znakomita na te potrzeby krytyka Sarcey'a, który podobno nie dla samych tylko bulwarów będzie wyrocznią na długi szereg lat. Poetów znów pociągną »przy-słowia« Musset'a i patos Wiktora Huga — a wszystkich skład repertuaru warszawskiego zwłaszcza, gdzie francuski dramat i komedia w gruncie rzeczy będą na długie lata jedyną stałą jego podstawą. Meilhac, Labiche i Martin, Thiboust i Duval Feval, d'Ennery, Bonier, Pailleron, Fournier, nie mówiąc o Feuillie-cie, Sardou, Dumasie, Augier — są tłumaczeni w lot dla pol-skich scen. Tłumaczą: Sabowski, Szymanowski, Sarnecki, Szcze-pański, Morozowicz, Podwyszyński, Lubowski, Morawski, Zalew-ski — ba nawet Kremer, Siemieński, Faleński, Zmorski... Tłu-maczą i przerabiają nawet aktorki (Hoffmanowa).

Teatr francuski tych czasów rezonerski i zaprzątnięty kwestyami drastycznej natury — wolnomyślny t. j. liberalny dla rozmaitego rodzaju »błędów«, dla których dawna kastowa lub kościelna moralność była bez litości, wysuwający tu-żurkowy tłum mieszczańskiego salonu na pierwszy plan ży-cia, przemawiający ze sceny żargonem tych postaci i ukazujący w perypetiach teatralnych dalszy ciąg intryg giełdowych, fa-brycznych, towarzyskich — miał jeden bezwzględny przymiot: żywotność. Był arcy-zrozumiały dla ogółu i ogół nigdy może teatru tak szczerze nie brał za »szkołę życia« jak w tych wła-snie latach. Nie byłaż to w istocie szkoła obyczajów i smaku dla wielkiej bezimiennej rzeszy stanu średniego, zastępująca i życie towarzyskie, i życie publiczne? Świetność dyalektyki scenicznej takiego Dumas'a, patos bez koturnów Augier'a dzia-lały potężnie, zawiązując nierozzerwalny węzeł porozumienia między sceną a widownią. Narzyski odczuł doskonale ten ro-dzaj stosunku widza do widowiska, gdy z zapalem nazywał dramat »najdemokratyczniejszą sztuką« i widział w nim naj-skuteczniejszy »środek propagandy«. I teatr w istocie był dal-szym ciągiem bakałarskich popisów liberalizmu, szkółką »cnót praktycznych« i chcąc czy nie chcąc rozwijał dalej przewo-dnią nić twórczości tych lat — dydaktyzm społeczny.

Przeciwnieństwa między skostniałością (zacofaniem) warstw opierających się na dogmatyzmie religijnym, na przesądzie ka-

stowym, a żywotnością (postępowością) pionierów opartych o za-sługę osobistą, o śmiałość poglądów niezależnych — stanowi najłatwiejszy bezwątpienia, ale i niewyczerpany konflikt drama-tyczny tych czasów. Arystokracja, kler, szlachta z jednej strony — profesje liberalne, mieszczaństwo z drugiej. Szczytem bohaterstwa w mieszczańskim rozumieniu jest już sama — uczciwość. Uczciwość bez przesądów — to już ideał. Jeśli zaś konflikt odbywa się nie na tle społecznym, lecz ściślej psycho-logicznym — wówczas występują w duszy z jednej strony kon-wenansy, przeżytki, uprzedzenia — z drugiej moralność racyo-nalna, ludzkość, tolerancja. Takie szranki dramatu społecznie i psychologicznie opierające się głównie o wartości konwencyo-nalne, umówione — nie sięgające nigdy wielkich namiętności, nazbyt prometejskich zadań — odpowiadały doskonale potrzebie tych lat. Sztuki były szermierką na tezy: *Damie kameliowej* da-wała replikę *Olimpia*. Wszystko zaś kipiało werwą, jak oży-wiona rozmowa w towarzystwie. Jak rozmowa też miało na sobie zawsze śmiertelne piętno dyalektyki, konwenansu i przy-padkowości.

Prawdziwie żaden rodzaj literacki nie starzał się nigdy tak prędko, jak mieszczańsko-dydaktyczny dramat i komedia. »Patrząc w życie — malować życie« (Sienkiewicz) to jeszcze nie znaczy — tworzyć. To — mimo niespodziewanej wprost żywotności swej w tych latach — dobitnie stwierdza ich lite-ratura sceniczna.

58. Wpśród licznej rzeszy dramaturgów polskich tego okresu najrdzenniejszym, samoistnym i rasowym komedyo-pisarzem jest Józef Bliziński. Szlachecka jego werwa sama starczyłaby za t. zw. nerw sceniczny i czyniłaby zeń pisarza z Bożej łaski wbrew wszelkim warunkom otoczenia. Niestety — ani widnokrag obserwacji (dwór wiejski, miasteczko), ani poziom kultury artystycznej, ani wreszcie życiowe ideały doma-tora-wieśniaka nie wsparły wrodzonej zdolności komedyopisarza i nie pchnęły go do objęcia szerszych widnokręgów twórczych. Ulubieńcem stał się Bliziński publiczności teatralnej dla pewnej dobroduszości, stanowiącej jakoby tło jego utworów, repertuar

zaś zasilal znakomicie dając w ciągu jednego dziesięciolecia szereg utworów, jak *Przezorna mama* (1871), *Marcowy kawaler* (1873), *Ojczulek* (1874), *Chleb ludzi bodzie* (1875), *Pan Damazy* (1877), *Mąż od biedy* (1878), *Rozbitki* (1881) — *Marcowy kawaler*, *Pan Damazy* i *Rozbitki*, podtrzymane świetnym wykonaniem dwu pokoleń aktorskich, przeżyły bodaj całą produkcję tych czasów. I słusznie. Mimo środków naiwnych, którymi posługuje się w nich autor, mimo nierozległych horyzontów i nieskomplikowanych postaci, które tu skreślił — utwory te mają jedną nieprzemijającą zaletę: oto żyją. Żyją one jako rekonstrukcja pewnego trybu życia przemijającej już sfery mosterdziejskiej, jako galeria osobliwych a przecież typowych postaci tej sfery. Niezrównany to szereg: Dzieńdzierzynski, Strasz, Kotwicz-Dahlberg, Czarnoskalski, Bajdalski, sam Pan Damazy. Że dowcip tam rubaśzny, niewymyślna intryga, płychnie perypetye — to z charakteru rzeczy wynika. Ale tak po raz ostatni spojrzeć na ten wczorajszy świat Polski szlacheckiej, mieszczańskej na gwałt, mógł, powtarzamy, tylko pisarz z Bożej łaski — powiedzmy wręcz: jeden z jej poetów. Sumiaste wąsy, jowialne żarty, niewyszukane koncepcjarstwo, marsowatością pokrywana dobrodusność, coś w gruncie poczciwego i coś do gruntu lekomyślnego zarazem — cały ten pierwiastek »wieczyście polski« wydobyć z półuśmiechem i w niewyszukanej, jak życie dworu i miasteczka, bajce życia ukazać tak, że jednak coś ludzkiego skarży się w tych formach i całość żywa zwierza treść minioną nowym pokoleniom — to poezya.

Żalować możemy dla literatury polskiej, że Blizińskiemu nie było danem okiem szczeropolskiem objąć tak całego zakresu naszej tragikomedyi, jak objął jej epizody mosterdziejskie. Ale w tem co objął — uznać musimy fredrowską rasę ostrowidzenia, nawskroś rodzimą; w budowie zaś tych komedyi musimy uznać w pośród niezgrabności obecność istotnego wątku scenicznego: żywej logiki postaci. Z cech tych przypomina Bliziński ów odradzający się ciągle w literaturze typ pisarza nie-literata, który z Dygasińskim np. wkroczy nawet w przeliteratyzowane progi swojskiego modernizmu.

Lecz trzy wyżej wyszczególnione utwory Blizińskiego pozostaną dokumentem najżywotniejszym samorodnego kierunku

w komedyi polskiej tych lat, prowadzącego ją po najlepszej drodze od obserwacyi do twórczości przez zrozumienie jedyne go nieprzemijającego waloru sztuki scenicznej — żywej postaci. Na tej drodze powstawały i najlepsze utwory współczesnego teatru francuskiego.

Jeśli Bliziński jest najczystszy przedstawicielem obserwacyi bezpośredniej i twórczości samorodnej — to znów dla zrozumienia czem właściwie jest sztuka oparta na tezach nie znajdziemy lepszego przedstawiciela nad Władysława Okońskiego (Al. Świętochowskiego). Okoński rozpoczyna swoją działalność sceniczną w ściślejszem znaczeniu sztuk pisanych z zamiarem wystawienia w tym samym mniej więcej czasie, co Bliziński. W r. 1874 pisze Okoński *Niewinnych*, w 1875 *Ojca Makarego*, początek trylogii swoich *Dusz nieśmiertelnych*. Jakkolwiek zaś *Piękna* napisana znacznie później (1886), podobnie jak *Aureli Wiszar* (1887) i *Regina* oraz szereg jednoaktówek — to już od pierwszych utworów staje przed nami autor ze wszystkimi właściwościami swej dramaturgii.

Uderzającym w tych wszystkich utworach rysem jest zupełna dowolność sfer, egzystencyi, postaci i otoczenia, które dramaturg ten usiłuje związać w jakąś całość zawsze zapomocą wyraźnie zaznaczonej tezy. Kiedy w pisarzach francuskich jak Augier lub Dumas, żywioł obserwacyi i nałóg ideologii zlewają się zawsze w całość pulsującą życiem, w każdym calu francuską mimo ogólnoludzkich interesów, które poruszają, a tezy wcielają się zawsze w doskonale żywe postaci Armandów, Alfonsów, Olimpij, Małgorzatek i t. p. to w dramatach Okońskiego pierwiastki te rozpierzchają się w martwej retoryce i niczem nieusprawiedliwionych dowolnościach, nie dając nigdy pożądanego zespołu.

Tezy tych dramatów nie uderzają zresztą potęgą myśli, jakimś pionierstwem filozoficznym. To nie Kainy ani Manfredy, lecz przeważnie oświeceni egoistyczni filistrzy, którzy stwierdzają z goryczą, że świat nie jest dość wygodnie urządzony dla »wyjątkowych« ludzi, lecz pęta swobodę ich ruchów, ot, jak tłum uliczny, brnący w błocie mozołów życiowych tamuje swobodę ruchu pojazdów.

Dla wyrażenia tych niezbyt skomplikowanych założeń —

niekiedy jak w *Niewinnych* np., redukujących się do truizmu o powszechności winy, jak w *Pięknej* — do niebezpieczeństwa i demoralizacji »fatalnie« tkwiących w pięknej kobiecie — ucieka się autor do najegzotyczniejszych pomysłów. Więc przenosi akcję polskiego środowiska do... Wrocławia, wyprowadza na scenę najosobliwsze trucizny jak kurara indyjska, każe zakładać polskim magnatom ogrody botaniczne (o ironio!), posyła polskie panie w kraje zamieszkałe przez dzikich, każe robotnikom wrzucać fabrykanta — w płomienie palącego się budynku, — ba, każe nawet czytać zwyczajnym filistrom — Marka Aureliusza. To nagromadzenie nieprawdopodobieństw, ta atmosfera w której żaden szczegół nie jest wzięty z życia, same imiona bohaterów są starannie niepolskie, a przebieg ich urojonych żywotów jest tak właśnie nieprawdopodobny, jak owe powiastki o polskich (koniecznie) marynarzach i odkrywcach, które się dziś fabrykuje śladem Vernego — do czegoż służą? Służą właśnie jedynie za szcudła, na których po scenie chodzą — tezy. Jakaś nieuzasadniona pretensja wszystkich do wszystkich, jakaś wyzuta z wszelkiego temperamentu, a więc usprawiedliwienia dążność do urojonej »swobody«, jakaś wzgarda nie wylegitymowanej »wyższości« dla wszystkiego co ludzkie więc niedoskonałe — oto jedyny rezultat tych sztuk. Przytem, powtarzam, poziom etyczny i filozoficzny ich poza frazesem dość zuchwałym ale i pustym — nie daje żadnego z tych potężnych porywów które ludzkości czola podnosi »duch wieczny rewolucjonista«. Wszakże jedna z takich żargonem wyższości przemawiających postaci na wiadomość że dziewczyna została matką odpowiada sakramentalnym frazesem przeciętnej gęsi z towarzystwa: »Co za straszny upadek!...« Wszakże taka *Piękna* lub *Niewinni* — pomimo znowuż frazesów, rżęsiście rozrzuconych, to oklepany temat niewiary małżeńskiej, trójkąta z całym aparatem zdawkowego mentorstwa »wyższych« postaci i zdawkowego zbytku (ach, nawet z »zimowym ogrodem«) mieszczańskiego w otoczeniu. Niestety, czytając dzisiaj te utwory, niepodobna ludzi się nawet co do ich wartości językowej — mowy tu niema o »życiu rozkoszy stylu« (Chmielowski), bo i styl ich równie sztuczny i nieżywy jak akcja, postacie i same nawet... tezy. Bohater mówi: »Takiego Dąbka, od którego zależność wzgardzie mej

duszy szacunkiem w słowach być każe« — lub znowu bohaterka: »Zapomniałam tylko ostrzec Pana, że żyjąc zdala od dziecka stajesz się Pan sam przyczyną jego nieświadomości o sobie«. — Albo: »Naiwny Pocziwce! wynajdź mi na całym świecie jednego, coby był winien, nawet pomiędzy tymi, którzy się sami tak nazywają«. I tak dalej, a »rozkosz stylu« sprowadza się tu wyraźnie do stylu kiepskich przekładów z niezupełnie zrozumianego oryginału. Oryginałem źle zrozumianym tych sztuk są ich rzekome filozoficzne koncepcje — lichym zaś ich przekładem — te w pompatyczność własną zaplątane dialogi, kuszące się próżno o dramat.

59. Zarówno stworzone przez Skorupkę i Koźmiana konkursy dramatyczne, z których wyszły sztuki Narzymkiego, Blizińskiego, Bałuckiego, Świętochowskiego, Anczyca i innych, jak obfity a aktualny repertuar teatralny zasilany przekładami Augier'a, Dumasa, Scribe'a, Feuillet'a, Bourgeois, Labiche'a, Sardou, jak wreszcie na podziw świetne siły aktorskie — stanowiły niemały bodziec dla naszej młodej twórczości dramatycznej. To też niemal równocześnie występuje cały szereg autorów i w ciągu jednego dziesięciolecia powstaje (naturalnie na wzór francuskiego) polski dramat mieszczański.

Widzieliśmy jak Bliziński dać usiłował samoistną jego odmianę na niedobitkach szlacheckich zbierając wzorki. Widzieliśmy w Świętochowskim najdalej idącą i równie odosobnioną próbę dramatu ideologicznego. Scena jednak a raczej publiczność potrzebowała innej stawy — o poziomie dostępnym, o hasłach powszechnie przyjętych. Taka *Piękna* lub *Niewinni* Świętochowskiego, mimo skali myśli i uczuć szczerze pozytywistycznej, mieszczańskiej, przychodziły w perypetyach i języku nazbyt napuszonym, nazbyt wyjątkowym. Przeciętność zaś łaknęła zupełnej przeciętności byle żywej, byle zręcznie podług potrzeb łatwej sceniczności podanej.

Trzech zwłaszcza autorów dramatycznych w dziesięcioleciu tem i następnem dostarczyło publiczności tej stawy: Michał Bałucki, Edward Lubowski i Kazimierz Zalewski.

Są to prawdziwi »trzej muszkietierowie« repertuaru rodzimego między 1870—90 rokiem, a jakieś 40—50 ich utworów, z których niemal połowa przypada na Bałuckiego, dają nam w całej rozciągłości i płytkości poznać skalę warstw stanu średniego tych lat. Nigdzie też karykaturalność pozytywizmu nie występuje jaskrawiej jak w tych sztukach wskroś jego zasadami przejętych.

Za pierwszego zarówno z bezspornego w swoim czasie powodzenia nie tylko na polskiej scenie, jak i z prawdziwej werwy scenicznej w tej trójcy należy uważać Michała Bałuckiego. Znamy jego działalność powieściopisarską, odznaczającą się łatwą swadą i dobrą obserwacją na poziomie średniego stanu i przeciętnej inteligencji. W utworach scenicznych Bałucki nie wychodzi poza te sfery nigdy już, a dawne porywy młodzieńcze Elpidona nie odezwały się ani razu w rubasznym komedyo-pisarzu Fikalskich, Funiów i Tarapatkiewiczów.

Na pozór Bałucki czujnie śledzi objawy życia polskiego: więc sprawy polityczne, wybory, walka stronnictw, powstawanie nowych ognisk pracy, sprawa emancypacji kobiet — wszystko to zdaje się go zajmować, sądząc przynajmniej z tytułów sztuk. Ale dość przesłuchać pierwszy akt każdej z nich (*Radcy pana Radcy* 1867, *Emancypantki* 1873, *Nowy dziennik* 1886 i t. p.), by zrozumieć, że nie będziemy tu mieli do czynienia z nowym Augier, ba — Narzyskim... Nie o zatarg nowych żywiołów będzie chodziło tu autorowi, ani o kształtowanie się nowych typów społecznych, nigdy o konflikt etyczny lub psychiczny — nawet nie o szersze obyczajowe malowidło satyryczne jakiegoś zbiorowiska, lecz zawsze tylko o przygodę zabawną wśród zabawnych figur.

W gruncie poczciwi letkiewiczze wystąpią tu w zwartym szeregu — zwyczajni kłamcy, głupcy tuzinkowi, pyszałki z farsy, plotkarki małomiasteczkowe — oto sfera. Sfera? — Sfera farsy z braku temperamentu kankanowego utrzymana w tonie niby-komedyi. Chodzi o to by łatwo śmieszyć, po drodze zahaczając o tę lub ową przywarę towarzyską, ale już tak powszechnie uznaną, że wróble o tem prawią na dachach. A może to najkrwawsza właśnie satyra na płytkość tego społeczeństwa — ta banalność beznadziejna typów, te pół-tony nigdy nie wybuchają

ani siłą dobrego, ani siłą złego? Te stosunki w Pipidówce — to może obraz płytkości zabiegów życiowych całego społeczeństwa, osiadłego na mieliźnie dziejowej?... Próżnobyśmy się ludzili, że autor nadto góruje nad sferą tych stosunków: satyra to zapewne lecz mimowolna, w autorów tych czasów godząca z równą siłą jak i w społeczeństwo i czekająca na przyszłego Arystofanesa... Figury (nie znam lepszej nazwy na tę mieszaninę banalności i szablonu na sprężynach koncepciarstwa osadzoną) czy to »ujemne« czy »dodatnie« są równie płaskie i płytkie. Komizm tych komedii jest raczej sytuacyjny — cała zaś galerya ma się tak do galeryi żywych charakterów jak jej nazwiska do nazwisk prawdziwych. Emancypantka — więc Adelajda *Frazesowiczowa*, bawidamek — więc Pantaleon *Durnicki*, a dalej *Poczciwski*, *Tarapatkiewicz*, *Kłopotkiewicz*, *Grzmotnicki* i *Piorunowicz*, flirciarz — więc *Flirtowski*, plotkarka — więc *Wscibińska*, ciemne charaktery — więc *Nurkiewicz* i *Filusiński*, hrabiostwo z demokratycznego stanowiska — więc *Gapiszewscy* i t. d., i t. d.

Rzecz ciekawa i pouczająca, że ten rodzaj nazwisk o takim efekcie komicznym — ostrzegający nas zarazem o parawanowym rodowodzie tych postaci — przyjął się był w tamtym czasie w całej komedii mieszczańskiej. Zaleski wprowadza *Pomperów* i *Szwindelmanów*, Lubowski *Burzliwskich* (publicysta), *Liliewiczów* (poeta), *Chmurowiczów* (muzyka), *Zerowiczów*, *Zadrzyckich*, *Żmijskich* (Nietoperze!), Asnyk nawet nie gardzi baronostwem *Rądelkowskimi*, *Beockim*, *Platonowiczem*, *Estetyńską* — Zaleski w jednej z komedii (*Górami nasi!*) wymyśla takie nazwisko: *Tuczyteżtamczykiewicz*...

Nie czynię z tego ostatecznego motywu potępienia: komedya wszystkich czasów posługiwała się przejrzystością nazw i symbolów dla pewnego gatunku postaci. Lecz tu, niestety, jest to właśnie jedyny niemal personal tych komedii... A rejent Bajdalski Blizińskiego już jest i z nazwy i z rodzaju o całą skalę wyższy od takiego Tuczyteżtamczykiewicza z komedyo-farsy mieszczańskiej. Lecz wracajmy do Bałuckiego.

Obrawszy taki a nie inny kąt widzenia komedyo-pisarz ten trafił jak nie można lepiej w przeciętną potrzebę widowni. Oparłszy się też na nieustającym w ciągu lat dwudziestu

powodzeniu nie zmienił nigdy rodzaju sztuk, których ciąg uważać można za lepsze i gorsze epizody jednej długiej farsy mieszczańskiej. Niektóre (*Radcy pana Radcy, Pożyczana młodzież, Grube ryby, Dom otwarty, Klub kawalerów*) stanowiły ulubiony repertuar teatrów polskich i przedostawały się na scenę rosyjską.

Wszystkie dla literatury mają raczej wartość materiału nie zaś dokonanego dzieła, dla rozwoju sceny polskiej przyniosły niebezpieczny dar łatwości i przewagi aktora nad pisarzem. Z całej zaś tej galeryi postaci czyli raczej figur pozostaje może jedna, której poziom i rodzaj odpowiada w istocie wartości typu — to nieodzowny bohater naszych domów otwartych — Fikalski.

Jeżeli u Bałuckiego »akcja« rozegrywa się w nieodmiennym o trzech oknach »salonie«, zbaczając gęsto do jadalni, to u Kazimierza Zalewskiego toczy się na pograniczu salonu i buduaru, docierając chętnie do drzwi alkowy, w której na wzór komedyi francuskiej chciałaby bawić jaknajdłużej, lecz że to w naszych »moralniejszych« stosunkach, więc i chciałaby i — boi się..

Stwierdzamy więc rozszerzenie się terenu obserwacji komedyowej: anektujemy krainy buduaru i alkowy. Zarazem świadczy to, że się »wznosimy po szczeblach drabiny społecznej« od stanu średniego do wyższego mieszczaństwa — ach, niemal do sfer »towarzystwa«. Czyż zresztą »towarzystwo« owo, gdzie jeden akt koniecznie musi się dziać w »zimowym ogrodzie« na balu, nie było zawsze celem tajemnych westchnień mieszczańskich autorów? Jak wiadomo »wielcy finansisci« mają słabość dla »prawdziwych hrabiów« — autorowie zaś mieszczańscy — do jednych, i drugich. Więc jakaś dumna »księżniczka Irena« uosobienie rodowej arystokracji i jakaś tragicznie piękna Regina żona wielkiego finansisty znajdują się teraz w repertuarze naszej komedyi w odpowiednim orszaku bankierów i baronów na pograniczu buduaru i alkowy, ach i pełnego »egzotycznych roślin« zimowego ogrodu w pałacu księstwa X... Tak przecież chciał sam Sardou (nie wspominając już Feuillet'a).

Zresztą trzeźwy pozytywizm, odtrąciwszy puhar poezyi, przestawszy się bratać z urojonem plemieniem półbogów i bohaterów i zaniechawszy lotów podniebnych — musiał przecież

stworzyć sobie jakąś realniejszą apoteozę. Istotnie za poezję — starczył mu szampan, za półbogów prawdziwi hrabiowie i wielcy finansisci, za niebo zaś — zimowy ogród lub poprostu to miejsce w alkwie, które francuzi nazywają *ciel de lit*..

Tak więc wchodzimy po szczeblach drabiny społecznej — przepraszam: po marmurowych schodach (naturalnie że ogrzewanych) pałacu bankierowej Reginy — na pierwsze piętro komedyofarsy mieszczańskiej.

Gdyby sztuka była parweniusem i jak parweniusz potrzebowała tego stopniowego ocierania się o coraz to »wyższe« sfery — toby zapewne zyskała coś wchodząc na owo pierwsze piętro. Ale sztuka jak wiemy nie zyskała zbyt wiele na salonach burżuazji wkraczając tam nawet w towarzystwie Sardou. Tem mniej będziemy się spodziewali po Zalewskim.

Zalewski wnosi do młodej dramaturgii polskiej rodzaj szczególniejszego rozmiłowania się w świecie kinkietowym, w efekcie i robocie scenicznej. Cały świat jego zamyka się między kulisami a kurtyną. Zdawałoby się, że nic nad to naturalniejszego dla komedyopisarza. Zapewne: lecz dopóty dopóki sztuka nie przeradza się w sztuczność, a nałóg kinkietów i specjalnych warunków perspektywy kulisowej nie zacięży nad obserwacją świata rzeczywistego. Co innego stwarzać charakter, co innego zaś pisać dobre role.

Dramat mieszczański, zbywszy się balastu fantazyi, zbył się również, niestety, poezyi, a z nią wielkiej owej dyscypliny ducha, która sama tylko pozwala pisarzowi »mierzyć siły na zamiary, nie zamiar podług sił«. Wielkie koncepcye zastąpił koncepcyami aktualnemi, twórczość — wirtuozowstwem — więc cóż dziwnego, że skoro w umyśle pisarza przestał gościć święty zapał do wielkich i bujnych postaci — to na plan pierwszy wysunęła się troska o dobre i poprawne role dla pierwszorzędnych aktorów? Bo wreszcie i to zważmy, że w gruncie rzeczy taka Sara Bernhardt lub Modrzejewska w istocie chyba godniejsze zaprzętać uwagę artysty tematem niż hrabina Irena czy bankierowa Regina... Tak mścił się na mieszczańskim dramacie geniusz poezyi, a bujny jego rozrost od Dumasa i Augier'a do Sardou i Capus'a miał od początku niemal zarodki

uwiadu w płytkości samej sfery i w skabotynieniu sceniczności tkwiące.

Po tych zastrzeżeniach możemy powiedzieć, że K. Zalewski niewątpliwie należy u nas do najwybitniejszych przedstawicieli komedyi mieszczańskiej, najwięcej zbliżając się do jej francuskich twórców. Jest to zresztą zbliżanie się dość interesowne. Zalewski czerpie cały swój kunszt sceniczny z tamtych wzorów. Początkowo zatrzymuje się na najlepszych, przekłada *Świętoszka* i *Szkołę kobiet* Moliere'a — stopniowo przerabia Augier'a i Dumas'a, ażeby wreszcie poprzestać na Sardou i Labiche'u. W epoce rehabilitacji upadłych kobiet, dzieci naturalnych, w czasie walki o prawa inteligencji i pracy wobec przywilejów rodu lub kapitału — Zalewski z góry miał niejako określony widnokrąg sceniczny. To też po paru słabszych próbach (jednoaktówki *Bez posagu* 1869, *Wycieczka za granicę* 1870, i inne) szybko zwraca się do komedyi obyczajowej współczesnej, rzadko ją przeplatając próbami sztuk historycznych (*Marco Forcarini* 1877, *Spudłowali*, *Pani podkomorzyna*, *Synowie bogów* 1886). W obyczajach zaś wyższego mieszczaństwa i »towarzystwa« oryentuje się Zalewski doskonale, tak że w istocie nie ogólniki o życiu nad stan, tytułomanii lub intrygach towarzyskich, lecz wizerunek wierny tych sfer dają jego komedye.

W niektórych (*Z postępem* — wierszem 1874, *Przed słubem* 1877, *Złem ziarnie* 1876, *Damie treflowej* 1878, *Artykule 264*, *Synie*, *Prawach serca* 1892, *Łotrzycy* 1895) stoi autor na pograniczu wzorów francuskich a obserwacji lokalnej. Połowę tych figur uznalibyśmy raczej za przebrane postaci z Sardou — połowę znamy z życia. Niektóre sytuacje, jak np. sytuacja syna naturalnego w sferze t. zw. wyższej zdają się raczej teoretycznie nie siłą faktów należeć do naszych stosunków. Postaci różnych rejentów i radców wyglądają trochę jakby przybyły z Poitiers czy z Angoulême — wogóle nie zawsze odróżniamy tę niby wieś i dwór polski od sakramentalnej wilegiatury francuskiej lekkiej komedyi. — Ale z tem wszystkim, zważywszy, że same owe średnio i wyższomieszczańskie sfery tak dużo czerpią z obczyzny, że »towarzystwo« nasze jest na ogół samo sfrancuziale na wzór drugorzędnych salonów »rasta« w Paryżu — rozumiemy, że autor czynił pod wpływem *vis major*:

bo pod wpływem wzorów francuskich i przepisów Sercey'a (*une scene à faire!*) z jednej, a z uwzględnieniem pół-kosmopolitycznej atmosfery mieszczaństwa z drugiej strony.

Najwybitniej rozwinęła się działalność sceniczna Zalewskiego w dziesięcioleciu następnem, kiedy — możemy to rzec śmiało — w kunszcie sceniczności jak ją rozumiał dramat mieszczański (*les ficelles*) już nie naśladowcą lecz współpracownikiem raczej francuskich wirtuozów sceny staje się Zalewski — jedną tylko niższość wobec nich zachowuje na zawsze — niższość językową.

Szereg sztuk z tego okresu (*Górą nasi!* 1883, *Friebe* 1885, *Nasi zięciowie* 1886, *Małżeństwo Apfel* 1887), to w każdym razie dokument obyczajowy pierwszorzędnej wartości. Zwróciły uwagę Zalewskiego dwa elementy napływowe wśród ludności rdzennie polskiej, same zresztą obyczajowo polszczące się szybko — Niemcy i Żydzi. Wszakże świat gdzie bankierzy, wielcy finansisci i baronowie przemysłu stykają się z prawdziwymi hrabiami, przedstawicielami starych rodów i młodymi przekupniami starych klejnotów szlacheckich — świat obracający się właśnie dookoła buduarów i ogrodów zimowych po wyjściu z giełdy lub klubu myśliwskiego — świat ten musiał zwrócić uwagę monografisty mieszczańskiego życia i użycia. Z jednej więc strony występują Friebowie, Pompery, Apfele, Effroimowicze, Szwindelmany, Limburgi — z drugiej zaś hrabiowie i księżęta (prawdziwi) o cudnie brzmiących przepolskich nazwiskach. W pośrodku łup lub ofiary tych zapaśników: córki, żony, kochanki, dookoła zaś zwyczajnie jak na świecie — wszystkie gatunki szakali, czyhających na ochlap, tresowanych dusz, karyerowiczów, lokajów i t. p.

Świat ten — bo wyżej wymienione sztuki obejmują różne akty jednego dramatu — świat taki — autor poznał do gruntu. Cynizm tranzakcyi giełdowych, etyka »baronów od cygar«, atmosferka stręczycielskich domów z poręczoną dyskrecją — mieszają się tu dziwnie z frazesami patryotyzmu, dobremi chęciami i pozą obywatelską, gdzieindziej dając ludzkiemu sercu możliwość bolesnego spazmu, nawet pęknięcia z bólu.

Komedyopisarz tu tryumfuje: bezlitośnie widzi śmieszność lub hańbę jednych, upadek i zagładę drugich, a choć może

sam — ot z nałogu — za nic by tej atmosfery nie porzucił, umie pokazać i pokazuje jej brud i miazmaty. Zapewne że znamy już ten taniec Złotego Cielca i nieśmiertelny typ Geldhaba — ale tu na tle nowożytnej pełnej akcesoryów i epizodów faktury rozsnują się cała galerya tych postaci — cała ich sfera. Wspomniałem już poprzednio, że jedyną może zasługą teatru nowożytnego jest to granie sferami (w zastępowaniu dawnych typów). Zalewski w tej grze jest wirtuozem.

Niekiedy wreszcie pierwiastek farsy, rozproszony po całej komedii swojej autor wydobywa w farsę bez obsłonek podaną i wtedy powstaje np. ta najświetniejsza francuska z polskich fars *Oj mężczyźni, mężczyźni!* (1898).

Taką jest skala Zalewskiego-komedyopisarza, którą dla zrozumienia całej jego działalności autorskiej należy jeszcze rozszerzyć o długoletnią działalność krytyczną, gdy z *Kuryera Warszawskiego* lub z *Wieku* wywierał niemały wpływ na scenę polską. A jak w komedii Sardou, tak w krytyce Sarcey był mu zawsze przytomnym w pamięci orędownikiem. Właśnie tyle ile między temi dwoma nazwiskami zmieści się znaczenia literackiego wyrazi i skala Zalewskiego w zastosowaniu do stosunków polskich. Powtarzam tylko z żalem raz jeszcze: z zastrzeżeniem, że język pisarza polskiego nie stał nigdy na poziomie świetności jego wzorów francuskich.

Trzecim w tryumwiracie naszej komedii mieszczańskiej jest starszy od Zalewskiego a rówieśny Narzyskiemu Edward Lubowski. Podobnie jak wielu z tej grupy pisarzy Lubowski zapowiada na początku więcej, dotrzymuje mniej, składając po drodze zbytek bagażu ideałów i pracy na ofiarę bogom łatwiejszego użycia i popularności.. Byłych farysów wielu liczyła ta trzeźwa chwila. Lubowski pisze powieści (*Wierzące dusze* 1864, *Aktorka* 1870, *Na pochyłości* 1874, *Cichy Janek i Głośny Franek* 1879, *Krok dalej* 1885, *Powiastrki niemoralne* 1886, *Kochanek Małgosi* 1890 i inne), daje przekłady sztuk obcych (między innymi w 1877 r. *Bankructwo* Björnsterna Björnsona, najwcześniejszy bodaj nasz stosunek z dramatem skandynawskim), bierze udział w pracach redakcyjnych (*Biblioteki Warszawskiej*) i krytyce (*Kuryer Codzienny*). Lecz od pierwszych lat ciąży wyraźnie ku scenie. Cały szereg sztuk z przed roku 1870 (*Karyery*, *Protegowany*,

Ubodzy w salonie, *Żyd*) nie zdołał go uczynić autorem popularnym. Dopiero rozgłos wystawionej w 1875 r. sztuki p. t. *Nietoperze* utrwalił sceniczną wziętość Lubowskiego. W sztuce tej zapowiada się dobry fachowiec roboty scenicznej bez szczególnego blasku, ale obserwator i technik teatralny sumienny. Założeniem komedii jest zresztą tylokrotnie u nas i wszędzie (Scheridan) nicowana obmowa. Szkoda, że nie ma odwagi pisarz nazwać tego — opinią ani galeryi typów zręcznie podpatrzonych towarzyskich plotkarzy i oszczerców z powołania ukazać nam w prawdziwej roli jej tajnego trybunału, przez który padło i padnie tyle ofiar. — Lubowski woli ukazać to zjawisko pod kątem raczej wyjątku niż uogólnienia, zawstydzają złych i dobrym pozwala tryumfować. Zbytek względów dla świętego spokoju poświęcający stosunki prawdziwe. Babalewicz, Zerowicz, Żmijski, Nestrowicz, Zadrzycki — to wcale typowe gniazdo nietoperzy: Lubowski je ukazał w żwawej robótce na krzywdę ludzką, doskonale charakteryzując każdą odmianę szkodnika. W następnych utworach (*Pogodzeni z losem* 1878, *Sąd honorowy* 1880) Lubowski powraca do typów i sytuacji pokrewnych, ukazuje charakterystyczne przejścia na pochyłościach etyki od lekkomyślności do występku wiodące. Jeszcze w znacznie późniejszych komediach (*Przyjaciółka żon* 1890, *Bawidełko* 1892) daje dobre malowidła chorób towarzyskich, w których wyrodniej rodziny i gaśnie szczęście ludzkie. Lecz więcej jeszcze, coraz więcej — pisze sztuk bez głębszego podkładu, zbaczając chętnie do farsy i krotchwili (nawet w sztukach noszących tytuł komedii), na którym to terenie bezpieczniej i pewniej jak wiadomo zdobywa się sceniczne i kasowe powodzenie. Idą więc koleją *Gonitwy*, *Przesady* (1876), *Czarnokwit* 1879, *Jacus* 1882, *Kiedyż obiad*, *Przez wdzięczność*, *Osaczony* 1886, *Wycieczka z przeszkodami* 1893 i parę innych — wszystko zwyczajny bagaż repertuarowy mało dla literatury znaczący.

60. Trzylecie wystawienia 17-stu pośmiertnych utworów Fredry (1877—8—9), a dalej Bliziński i Okoński, Bałucki, Lubowski i Zalewski zakładają podwaliny bieżącego repertuaru polskiego aż do schyłku stulecia. Pochyliwszy się pod wpływem

francuskim a w uwzględnieniu rodzimych przekształcających się stosunków pod kątem pozytywno-mieszczańskich aspiracji, objawszy fermenty nowych warstw i nie spuszczać z oka rozkładu szlachetczyzny — komedia nowa, jak widzimy, jest jeszcze jednym z dowodów jak ściśle objawy naszego życia literackiego wiązały się w tym zakresie z życiem zachodu. Jednego to prądu płytsze lub głębsze fale niosą się od Sekwany do Wisły ponad mieliznami burżuazyjnego istnienia.

Różnicę stanowi zapewne zabarwienie lokalne wypadków, więcej jeszcze świetność lub mierność talentów i wartość ogólnej w danym społeczeństwie spuścizny kulturalnej i literackiej. Lecz te same wszędzie objawy — ten sam nurt dydaktyzmu pozytywistycznego, mieszczańskiej postępowości — te same nawet objawy (inaczej być nie mogło) artystyczne — więc jak na scenie w komedii mieszczańskiej operowanie sferami, pisanie ról, panowanie tezy.

Niewiele już dorzuca do poprzednich rodzajów inni komedjopisarze tej doby, których zresztą jest niemało.

Warto więc tu zanotować przedewszystkiem wystawiony w 1875 r. ostatni a bezwątpienia najlepszy utwór Jana Chęcińskiego p. t. *Krytycy*. Jest to rodzaj testamentu literackiego człowieka do syta nakarmionego goryczą zawodów i widzącego bezlitosnem okiem trawiące społeczeństwo choroby. *Krytycy* to niesumienna i krecia robota wszelkiego rodzaju złośliwych i ciemnych osobników, które znajdują zawsze przytułek w prasie i stamtąd nieodmiennie szkodzą podgryzając od korzenia dobrą sławę, talent, zasługę. Grzechotka redaktor »Ropuchy«, Pleśnicki z »Karyatydy«, Zarybek ze »Słonecznika« i Żądelko z »Figielka« — to pseudonimy nieśmiertelnie odradzających się dla każdego pokolenia dziennikarskich podjadków sztuki i literatury.

Obok Chęcińskiego przez pietyzm raczej dla innych za sług postawimy Adama Asnyka, który w dziesięcioleciu tem rozwija niestrudzoną, ale bez głębszego znaczenia, twórczość sceniczną. Pisze więc dramaty historyczne, jak *Rienzi* (1873), *Kiejstut* (1878) — a obok sztuki obyczajowe, jak *Walka stronnictw* (1869), *Żyd* (1875), *Przyjaciele Hijoba* (1879) — w latach następnych powstaną prace *Komedia konkursowa* i *Bracia*

Lerche (1888). Sztuki te są cennym wyrazem czujności poety na potrzeby dnia. Jak wszystkich zajmuje go kwestya żydowska, którą widzi szlachetnie i pod kątem dramatu (*Żyd*) lub sprawa obcych żywiołów w polskiej społeczności (*Bracia Lerche*) lub wreszcie bajczarstwo nasze i płytkość bezduszna stosunków towarzyskich (*Przyjaciele Hijoba*). Niekiedy jak w *Walce stronnictw* (1869) i późniejszej *Komedji konkursowej* oddaje się szczeremu komizmowi sytuacji. Lecz sztukom tym na ogół brak temperamentu i śmiałości w prowadzeniu — szlachetny smak autora nie umie sobie utorować drogi właściwej, a unikając jaskrawości i taniego efektu nie umie go zastąpić zaletami wyższej dramaturgii. Stąd komedye te, jak wyżej, pozostaną raczej pamiątką niż dorobkiem literatury. Na razie zaś miały z wieloma innymi wartość dodatnią inicjatywy scenicznej dla innych poetów, zachęty i przykładu pracy na niwie jeszcze nie dość uprawnej.

Nie zdobył się również na decydujące dzieło pisarz kulturalny i pelen dobrej woli, przedwcześnie może złudzony łatwością własnego pióra Zygmunt Sarnecki. Dał w tych latach sztuki *Zemsta pani hrabiny* (1867), *Febris aurea* (1869), *Dworacy niedoli* (1876). Sztuki te nie cieszyły się powodzeniem. Dla nas mają wartość jednego jeszcze epizodu w dramacie mieszczańskim, docierającego, a raczej starającego się dotrzeć do głębszych objawów społecznych jak stosunek pracodawców i pracowników. Ruchliwy w życiu, kolejno krytyk, wydawca, reżyser, powieściopisarz, tłumacz, a zawsze turysta lubujący się w zmianie miejsca i otoczenia — ruch też wnosi na scenę, aż nadto przeświadczony o znaczeniu perypetyi i nawet maszyneryi w sztuce dramatycznej. Po dłuższej przerwie powróci na scenę ze sztukami *Uroczne oczy* (1893), *Harde dusze* (1895), *Szklana góra*, *Cud Dziewica* (1897), *Adam i Maryla* (1898), *Evviva vaste* (1899), *Złocienie* (1903). Będą to po części przeróbki i kompilacje, po części zaś feerye gdzie ulubiony ruch sceniczny dojdzie do maximum, choć po dawnemu nie zbliży autora do literatury. Więcej niż cała ta ruchliwość znaczenia będzie miał epizod redagowania wzorowego pisma ilustracyjnego *Świat* (1888—1895), do którego w swoim czasie wrócimy.

Wymienić jeszcze należy Wł. Sabowskiego, St. Dobrzańskiego, Wł. Koziębrodzkiego, W. Szymanowskiego, D. Zglińskiego, Zofię Mellerową. Są to wszyscy pracownicy repertuaru teatralnego — niektórzy jak Sabowski lub Szymanowski bardzo zasłużeni w dziedzinie przekładów sztuk, inni jak Koziębrodzki lub Mellerowa — autorowie licznych jednoaktówek znanych teatrom amatorskim i spektaklom okolicznościowym. Niekiedy błysnie tu talent (*Jakób Warnka* Zglińskiego) lub szerszy zamiar sceniczny wyrazi się w konkursowym zwycięstwie (*Nauczycielka* Koziębrodzkiego 1891). Na ogół jednak działalność ich w niczem już nie wzbogaci obrazu pracy dla sceny, któryśmy poznali w poprzednich autorach. Nawet monografiści tej doby dramaturgów (Estreicher, Chmielowski) nie zdołają już prócz szczegółów, których wszakże nigdy zliczyć nie można, podać ważniejszych dla całości obrazu rysów.

Czas też byśmy zamknęli ten bardziej obfity dla repertuaru niż dla literatury moment, rzuciwszy okiem na ogólny jego charakter.

Niepodobna od pierwszego wejrzenia nie zauważyć, że scena pracuje przez cały ten czas w najbliższym zespole z powieścią i fejsletonem i że jak one pełni przedewszystkiem zadania dydaktyczne, zabarwiając się obficie tendencją, publicystyką. Może tylko wyraźniej — zwłaszcza w technice dramatu mieszczańskiego — korzysta z wpływu zagranicy, idąc krok w krok za sceną francuską. To też jak wiemy większą część repertuaru stanowią przekłady z francuskiego — pozostała zaś w znacznej mierze wypełniają naśladownictwa francuzów.

Odbija scena wyraźnie prąd idei pozytywistycznych, gdy zaś dociera bliżej i jaskrawiej niż powieść do objawów życia burżuazyjnego — odsłania ich karykaturalność i płytkość. Podbija scena nowe dziedziny: buduar, alkowy, salon bankierski — nowe sfery interesów, intryg politycznych i finansowych — zatargów szlacheckich z nowym składem życia, wytwarzaniu się bezwzględnej etyki spekulantów i wielkomięskie objawy zepsucia. Wyprowadza nowe postaci baronów i rycerzy

przemysłu, ogarniętych gorączką złotą szlachciców, sprzedawczyków, łowców posagowych nowego stylu — wydobywa nowe konflikty kulturalne i rasowe na tle wkraczającego w sfery towarzyskie pokolenia żydów i spolszczonych niemców — zgoła pod względem dydaktyki społecznej wykazuje niemalą żywotność — jest nieodzowną córą czasu, w którym fejsleton i artykuł wstępny przybierały wszelką postać — nawet farsy i jak to zobaczymy — jeśli nie poezji, to wierszy.

Nie ludzimy się co do wartości dokonanych w tej dobie dzieł. Owszem może nawet zbyt surowo odłączaliśmy za każdym razem ich wartość literacką, twórczą od technicznej z jednej, publicystycznej zaś z drugiej strony.

Jako rodzaj sztuk najpomyślniej przeprowadzonych musieliśmy w tych latach uznać farsy, krotoczwile i melodramaty, w czem leży zapewne znamienita charakterystyka czasów. Na drugim miejscu dopiero postawimy komedię obyczajową mieszczańską, również zbyt często zniżającą się do poziomu farsy. Nałóg pisania ról nie zaś tworzenia postaci stwierdziliśmy u nas, jak to stwierdziła w dramacie mieszczańskim krytyka i za granicą. Wreszcie za najtrwalszą zdobycz tych lat dla samego komedjopisarstwa uważać musimy ich obycie się, otrzaskanie z techniką sceniczną i inicjatywą dramatyczną twórczości szeroko wśród piszących zasianą.

W tem więc znaczeniu są to lata pionierskie kultury teatralnej w Polsce. Jeżeli zaś twórczość bieżąca z małymi wyjątkami prócz wielkiej ruchliwości niewiele w nią wnosi pierwiastków szlachetniejszych, artystycznych lub ideowych — to z tem większem uznaniem musimy tu pamiętać o tych współpracownikach naturalnych dramaturga, którymi są aktorzy i kierownicy teatrów. I kto wie czy dla przyszłości moment ten nie wyrazi się przedewszystkiem pracą reżyserską nad wielkim repertuarem Koźmiana (Słowacki, Szekspir) oraz świetną, zapal dla pracy sceniczną budzącą plejadą aktorów takich jak Hoffmanowa, Rakiewiczowa, Popiel, Modrzejewska, Żółkowski, Królikowski, Rapacki, Benda, Rychter, Tartakiewicz i wielu innych. Czyż w istocie nie oni to wypełniali krwią i duchem własnym owe tysiączne »figury« czyniac

z nich naprawdę postaci — czy nie oni szematy farsy i szablonu podług obcych wzorów klecone podnosili do poziomu twórczego, mocą własnych bogatych indywidualności? Żywi współtwórcy literatury — oni to tłumaczą nam dlaczego gdy na kartach druku nie jedna z tych sztuk dziś nas zadziwia banalnością i martwością — żyła i promieniała na scenie gdy ją składały żywe zgłoski ich talentów.

ROZDZIAŁ X.

Poezya.

61. »Jeśli święty tę pieśń napisał poetą chyba nie był« mówi uczony Bollandysta o pieśni Szymona z Lipnicy (Brückner). Słowa te w całej rozciągłości można wziąć za *motto* rymowanej literatury lat pozytywizmu — rzecz prosta z wyłączeniem kilku poetów którzy jak Asnyk, Gomulicki, Konopnicka wędrowcami są tych lat podążającymi w przyszłość, nie zaś ich wyrazem.

W istocie jest chwila osobliwego nie powiem zastoju lecz niewydarzenia w poezji polskiej. Spopielale od urodzenia, nikłe w każdym objawie jak mary talentów, a nie żywi ludzie są postaci kilku poetów, których ściślej uważać należy za przedstawicieli czasu: Bogumił Aspis, Michaux (Miron), Wł. Szancer (Ordon), Marya Bartusówna.

Coś żalosego jest w tych duszach jakby beznadziejnie skazanych na przedwczesny uwiąd w mdłej, niedowarzonej atmosferze doktryneryzmu pozytywistów. Coś dziwnego się dzieje z wątkiem poetycznym jak kiedy nić w niezdarnej dłoni rozkręca się na włókna i wiotkimi strzępami odpada za lada podmuchem. Bo co jest uderzające w tym momencie to bynajmniej nie brak poetów, nie owo »umilknięcie muz«, na które niesłusznie powołują się niektórzy — owszem jest ich nawet, za dużo czy raczej zawieli niepowołanych pragnie być nimi

lecz właśnie wyraźny objaw tego rozprężenia się jestestwa poetyckiego.

Zapewne, że poezya — to przede wszystkim »Dzieje k'niebu sięgającej woli — woli walczącej w świata zawierusze« (Szuj-ski) i że nazbyt poziomy zwrot myśli ku wartościom praktycznym, życiowym musi tę wolę osłabić i lot poezyi obniżyć. Lecz prawdziwie nie wystarczy to na wytłumaczenie objawów miernoty naszej poezyi w tych latach — miernoty i bezbarwności, sztukowanej retoryką i publicystyką, od której nie zawsze przecież potrafili się uchronić nawet Asnyk, Gomulicki, Konopnicka...

Dwa czynniki zdają się nam szczególnie wpływać na obniżanie się poziomu poezyi w tych latach. Pierwszym jest brak głębszej i ciągłej kultury poetyckiej — drugim zaś nie tyle samo hasło pozytywizmu i pracy organicznej, ile raczej myślowa i temperamentowa słabość jego głównych szermierzy, głównych rzeczników. Gdzieindziej bowiem jak n. p. we Francji wysoka ogólna kultura poetycka pozwalała nawet podczas reakcyi po-romantycznej na wspaniałą pracę nad językiem i formą poezyi, nad podniesieniem jej poziomu filozoficznego (Parnas) — zaś potężne umysły rzeczników nawet pozytywizmu śmiałością koncepcyi, przenikliwością analizy, skierowaniem energii ku wielkim pracom kulturalnym i społecznym, rozmachem wreszcie bojowych temperamentów — w części bodaj zastąpić mogły w atmosferze duchowej gest dawnych półbogów. U nas tego właśnie nie dawała atmosfera życia duchowego, zuchwała lecz miała partyzantka chwili. A o ile jak to wiemy literatura sceniczna nasza z tej doby zasilala się obficie z wzorów francuskich, o tyle poezya — zawsze z wyłączeniem kilku pisarzy — wyraźnie nie zna i nie liczy się wcale z pracą Lecomte de Lisle'a, de Banville'a, Heredii, Baudelaire'a na te właśnie lata dojrzałą. (Trzy *Parnasy* paryskie jak wiemy przypadają na 1866, 71 i 76 rok i obejmują poezye około czterdziestu poetów od ostatnich romantyków do Mallarmego i Verlaine'a). Jeden Coppée może jest znany lepiej ogółowi poetów naszych — ten właśnie którego krytyka francuska scharakteryzowała jako »poesie en detail« ...

Trzebaż bo przyznać, że dla poezyi polskiej nastaly ze

wszech miar bałamutne czasy. Dziś kiedy rozglądamy się w rocznikach pism, kiedy przerzucamy chude tomiki różnych *Poezji* lub odczytujemy sprawozdania czy tekst napisanych o niej odczytów — nie wiemy wprost co bardziej podziwiać: czy smutną nieudolność istic makolągwiej rzeszy wierszorobów na zabój dyskredytujących poezję ciężką ręką broniących jej z niedźwiedzią przyjacielskością doktrynerów-krytyków. — Dość przerzucić karty *Literatury lat 30* Chmielowskiego (str. 38 - 46) prawdziwego znawcy tych lat, by w tych artykułach wstępnych rymowanych z niepojętego powodu poznać ogólny ton literatury rymowanej na użytek pism... *Przegląd Tygodniowy* tylko takiej poezyi otwiera szpalty: jakież np. charakterystyczny wiersz p. t. *Bankrut* (1874): wyraźnie praktyczny przepis samobójstwa dla tych, którzy nie umieją »pomnażać dostatków«.

Dziwny męt pada na umysły nawet prawdziwych poetów, nie mówiąc już o tych, którzy jak Asnyk a także Konopnicka wyraźnie zajmują się rymowaną publicystyką (porówn. *Krakowska szkoła historyczna* Asnyka i ustęp w Tarnowskiego *Literaturze* str. 79, t. VI). Poeci sami nie rozumieją się wzajem i oto np. ciężki filozof-erudyta Tyszyński broni Norwida przed... Sowińskim, mówiąc dla obrony pierwszego »Ciemny poeta, ale poeta«. Kto inny znów »broni« go w ten sposób: »W odmiennych warunkach cywilizacyi i społecznego porządku — przypomina owych fakirów indyjskich, którzy powtarzając w duchu magiczne słowa stoją wrońnięci słupem w przedsiionkach świątyn swoich... na dowód... że mistycyzm... bo uniemożliwia wszelki postęp — musi powodować bezpłodność i obojętność..« (*Przegl. Tyg.* z r. 1879). To znów jeden młody poeta (Smoleński) za obelgę uważa że inny (Pilecki) zarzucił mu ignorowanie... postępu na podstawie wyrazów »Więc lepiej było niż dzisiaj na świecie« (1873 *Prz. Tyg.*). — Dziwny chaos i pogmatwanie pojęć. Tam krytyk nazywa Asnyka »ostatnią gwiazdą plejady... romantycznej« (Kotarbiński) — ówdzie *Genesis z ducha* Słowackiego świeżo wydobyta (1877) nie znajduje litosnego sądu u uczonych pozytywistów mimo swej cudownie przeprowadzonej skali ewolucyi, tyle im potem ulubionej. To znowu polemista rozpędziwszy się na romantyzm, odmawia poezyi wogóle prawa do... fantazyi (Krupiński).

Owdzie szermierze ścisłej wiedzy jak Ochorowicz piszą wierszem i wygłaszają odczyty o poezji lub tenże sam *Przegląd*, którego uważali wieszczkowie za Heroda poezji, występuje przeciw miernotom i tuzinkowości rymów, broniąc jednocześnie Kraśńskiego lub wskrzeszając z zapomnienia postaci Cyganów warszawskich. Lub wreszcie politycy i agitatorzy dają znakomite lecz stronicze analizy poetów Pola lub Syrokomli (Spasowicz) zaś historycy literatury objeżdżają kraj z propagandą trzeźwości politycznej (Tarnowski). Zapewne, że każda chwila, gdy się patrzy na całość jej objawów, może z łatwością czynić wrażenie chaosu i zamętu, więc możnaby i wyżej przytoczone sprzeczności i krzyżowanie się sądów uważać za właściwą każdemu momentowi życia rozbieżność objawów. Nam nie o to też chodzi. Lecz co tu uderza, to czy w obronach czy w napaściach na poezję dziwna tępość w jej odczuwaniu: chwila po prostu nie ma zmysłu dla poezji; krytyka z małymi wyjątkami (mówię o krytyce publicystycznej) nie orientuje się w jej pierwiastkach. Zresztą — w ileż to lat potem zaczęliśmy przetrawiać (jako tako) historyzofię wielkiej naszej poezji, wydobywając z niej pierwiastek bohaterski z gestu fantazyj, pierwiastek ducha z lokalnego i epoki właściwego mistycyzmu, pierwiastek człowieczeństwa wreszcie z poetyczności...

Przedewszystkiem zaś często uderza jakiś ton nieufności względem poezji, który zazwyczaj tłumaczymy trzeźwością chwili i reakcją przeciwko t. z. polityce uczucia i fantazyj. Być to może; jednak zdaje mi się, że coś z tych objawów tłumaczy również i świetny aforyzm Nietzschego: »Rozumiemy dla czego tak słabowite wykształcenie nienawidzi prawdziwej sztuki, gdyż boi się zginąć przez nią...«

I tu, jak mniemam, jest klucz do zrozumienia wielu objawów stosunku do poezji tych lat.

62. Nie na brak piór poezya w dziesięcioleciu uskarżać się może. Poczet rymujących, poczawszy od prastarej Deotymy a kończąc na młodej Konopnickiej, która w tych latach rozpoczyna drukiem ogłaszać, obejmuje nazwisk nie mało. Gdy na-

wet pominiemy zupełnych epigonów jak Berwiński, Odyniec, Wolski, Żmichowska, Lenartowicz, Goszczyński, Zaleski, wielkiego samotnika Norwida, tych, którzy jak Asnyk i Faleński wyrazili się już byli poprzednio, a przejdą do późnych lat przyszłości, takich wreszcie jak Gomulicki i Konopnicka, których poznać dadzą lepiej lata następne — to jeszcze licząc tylko takich, którym niedaleki zakres twórczości lub życia wyznaczył ten właśnie moment na utrwalenie swej wartości poetyckiej — doliczymy się bardzo liczne towarzystwa.

Piszą więc tu rymami Bogumił Aspis, Marya Bartusówna, Bolesław Czerwieński, Biernacki-Rodoć, St. Chamiec, Mirosław Dobrzański, Maryan Gawalewicz, St. Grudziński, Ad. Hanicka, Jankowski-Czesław, P. Koźmiński, S. Komorowski, Al. Kraushar, Miron-Michaux, Ad. Maszewski, Ordon-Szauser, Ochorowicz-Mohort, Kl. Podwysocki, Ant. Pilecki, Rzętkowski-Floryan, Wł. Stebelski, K. Świdziński, K. Sęczkowski, Wł. Smoleński, J. Tretiak, A. Turczyński, W. Szymanowski, Zagórski-Chochlik i — wielu innych.

Najpowierzchniejszego znawcę poezji tych lat w grupie tych nazwisk musi uderzyć jedno. Oto że przeważna ich większość należy do szermierzy wolnej myśli, gorących zwolenników nauki — często na chwilę tylko zamiast prozą kontynuują jej wykład wierszem. Podług terminologii tych czasów, są to postępowcy, skłonność do pozytywizmu wyraża, mimo drobnych zatargów z »poziomymi materialistami« w całym składzie swych myśli, nastroszeni są jaknajlepiej do wszelkiej »pracy organicznej«, opiewają ją zresztą pod wieloma postaciami i w wierszach swych pełnią z przekonaniem powszechną powinność publicystyczną.

Jednakowoż zapal liryki z biorowej, o którym mówiliśmy poprzednio (29), jak również kult myśli (32), doprowadzony w Asnyku lub Faleńskim do wzniosłej i harmonijnej estetyki uświadomień — tu przy małym ogniu uzdolnień wyziębnie często w ton utyskiwania osobistego, przy niskim poziomie talentów i kultury poetyckiej — obniży się często do martwej dydaktyki.

Najdwuznaczniejszy ze wszystkich rodzajów poezji (gdy się nie wyrazi szczerze w potężnej strofie satyry) — liryka dydaktyczna — oto co jest tonem panującym w tej grupie autorów i co, niestety, tak często czyni z nich charakterystycznych dla tego momentu — rymujących publicystów, których nie stać ani na dobry artykuł wstępny, ani na dobrą poezję.

Ogromna też liczba utworów rymowanych ściąga się tu pośrednio lub bezpośrednio do polemiki pozytywistycznej, przybierając wyraźnie język, nastrój i tematy tej ostatniej (40–45). Społeczeństwo a w niem przedewszystkiem ów klasyczny teren propagandy — młodzież — oto co jest właściwym kryterium tych utworów. Poeci, niestety zbyt często »pielgrzymi na zrobiają z papieru Golgotę« (Szujski) miast głębszem natchnieniem podnieść ruchawkę popularno-naukową do potęgi jakiegoś misteryum wiedzy — sami drepcą jak ciury tej ruchawki. Sami się niejako potępiają: »Do was mówię, młodzi moja, bólu pełen a i troski, bom ja nie Niezłomny Książę, nie Wallenrod, nie Beniowski« — pisze jeden ze szczerzych (Świdziński) — i roztacza obraz potęgi pracy, młota i kielni, nauki, pozbawiwszy ich w poprzednich słowach tajnej mocy, którą właśnie ów Niezłomny, Wallenrod lub Beniowski byłiby każde z tych narzędzi podnieśli w życiu do znaczenia oręża, w poezji do świetności symbolu... Adwokaci, technicy, przyrodnicy, inżynierowie propagujący powaby społeczne swoich zawodów nie tylko prozą, ale i wierszem — to za wiele, nawet dla pokolenia pozytywistów, najbardziej apoetyckiego zapewne w dziejach naszej literatury. Najcięższy a pierwotny grzech ich — nierozumienie romantyzmu doprowadzić musi z konieczności do nierozumienia samej poezji. I oto gdy ich krytyka (adwokacka, przyrodnicza lub w najlepszym razie publicystyczna, byle nie literacka ani estetyczna) ściąga marę »sztuki dla sztuki« (J. M. Kamiński), popelnia kakofonię myśli (Krupiński), zabawia się w politykę (Spasowicz), szczepi utylitaryzm w literaturze (wszyscy), wzdryga się na myśl, że istnieją poeci, którzy mają »zachwyty dla róży, lilii a nawet (!) chabru« (Chmielowski) — to jednocześnie ich rymopisowie nawet ze świętej idei pracy, nawet z olbrzymiej krucjaty cierpień społecznych, nawet

z wiekuistego misteryum wiedzy nie są w stanie wydobyć nic więcej jak garść zwykłych, bladych, wymuszonych rymów, pożyczonych z artykułów wstępnych i fejletonów...

Na czem polegała dziwnie męcząca sprzeczność zamiarów i skutków poetyckich tych lat? Czemu najwymowniejszy nawet głos zagrzewający do zrozumienia tego co w istocie było ich poezją (Orzeszkowej w *Niwie*) nie mógł obudzić echa? Czyżby wszystko należało tłumaczyć tylko zbyt małą skalą talentów? Staraliśmy się poprzednio (60) wykazać i inne przyczyny. Przypomnijmy, że dla Warszawy miał tu niemałe znaczenie i strychulec cenzury nie tylko tępiący wszystko co wybiegało tonem zbyt mocnych uczuć zbiorowych, lecz poniekąd jak batuta niewidzialna mierzący takty biednym muzykantom, piszącym jednak — dla cenzury. Rzecz prosta, że poezja w Warszawie nie mogła wyrażać tego nastroju podniosłego, choć go nie brakowało gdy się wyraził w twórczości Grottgera, w dumaniach Szujskiego, w reminiscencyach Wolskiego. Tu — »w mieście ofiar i boleści« (Wolski) nie można było dydaktyki pracy i idei uszlachetniać wspomnieniem ofiary i tonem boleści, w papierowej atmosferze waśni polemicznych bladły zapewne barwy znajome niedawnych skazańców »na szyi z burym stryczkiem szubienicy« (Wolski) — ale mimo stłumień i oddaleń, zakazów i strychulców, powtarzamy, nie brakowało uczucia i rozumienia, nawet tam gdzie zabrakło możliwości dania im wyrazu.

I znowu musimy podkreślić czynnik jałowiący najsilniej glebę poetycką tych czasów — w niedostatecznym kulcie sztuki, płytkim zrozumieniu znaczenia t. z. formy — wprost powiedzmy nawet litery, bez której nie masz treści poetyckiej. Przez ich ukochanie i uprawę jedynie »prozaiczna chemia, bluźniercza ekonomia« nawet mogą wejść do poezji. Przez kult piękna wchodzi do poezji nawet — użyteczność. »Bo użyteczne nigdy nie jest samo: piękno z niem wchodzi nieproszone bramą« (Norwid). Lecz poeta musi je umieć dostrzec w każdym źdźbłę życia. To zaś jasnowidztwo poetyckie daje nie kładziona w uszy tendencyjność, jak to czynili pozytywiści, lecz kultura estetyczna wrażenia i wyrazu. Flamandzki obrazek wnętrza kuźni, posągi bohaterów pracy Meunier'a, zarówno trzeźwy realizm rodzajowości jak i upojone patos sztuki

ideowej — nie wynikają z trzeźwości tendencyjnej i z upojenia się tą trzeźwością, lecz z zapału i umiłowania formy, wyrazu, słowa, litery sztuki. Tego nie rozumiała ta chwila — z tem nawet walczyło aliterackie pokolenie pozytywistów i w ten sposób wyrazieli swoich skazywało przez nierozumienie misteryum formy, na ubóstwo treści, o którą mu tak przecież chodziło. I tylko ci, którzy w kulcie tym »litera« sztuki czerpali żarliwość wyznawców, potrafili w tej bladej chwili przejścia zdobyć się na poezję. Znowuż znamieną równoległość objawów literackich — oczywiście z zachowaniem skali — między nami a Zachodem. Tam również *Parnas* tylko ocalał od rymowania tendencyjnej prozy! U nas zaś uniknęli tego czyż nie najbliżsi kierowniczych koncepcji *Parnasu*: Asnyk, Faleński, Gomulicki? I tylko to, co z tej »litera« kultu poetyckiego powstało — nawet z poszczególnych utworów całej wyżej wymienionej grupy — ocalało od ostatecznej niepamięci ich »treść«...

Szkoda że nawet jedyna monografia poezji tych lat (prof. T. Grabowski) nie wydobyla szczegółowiej tej licznej rzeszy piszących, idąc jedynie za najwybitniejszymi, którzy należą właśnie do ogólnych opracowań literatury i nie dając nawet tyle z ich pracy i nastroju co daje opracowanie trzydziestolecia Chmielowskiego. Tem mniej możemy się tem zająć tutaj, gdzie zaledwie starczy miejsca na wskazanie samo zasadniczych i indywidualnych cech pisarzy.

Do cieszących się większem powodzeniem w swoim czasie należą Aspis, Bartusówna, Czerwieński, Grudziński, Czesław, Miron, Wl. Ordon, Stebelski, oraz kilku satyryków jak Chochlik-Zagórski i Rodoć-Biernacki. Właściwie satyra powinna była rozwinąć się najbujniej w tej dobie, gdzie nie brakło materiału; lecz i tu stało się to co w dramaturgii: jak tam wyraziła się ona lepiej w farsie i krotchwili niż w wielkiej komedii, tak i tu stworzyła tylko szereg drobnych obrazków rodzajowych, nie kusząc się nigdy o szersze malowidło.

Najczystszy ton może liryki tych lat bierze młoda, na krótkie lata a ciężką niedolę, skazana poetka Marya Bartusówna. Poezje jej choć smutne i rozżalone nie wpadają w bezsilne kwilenie, ratując się myślą jeśli nie potężną to zawsze do głębi odczuta. Wiersze jej, choć skromne kunsztem, przynoszą

zawsze bodaj jedną miarę formy poetyckiej, opanowaną — miarę pieśni

W kilku utworach budziła głębsze współczucie: w popularnej w tych latach *Aktorce*, w apostrofie do *Poety Salonów*, nie bez myśli o Asnyku pisanej, w dwunastu sonetach *Myśli przedślubne*, raczej przedzgonne żalobą szczęścia. Ta nauczycielka ludowa, wśród śpiewności rusińskiej zasluchana w ból serdeczny, marzy o melodyjności Zaleskiego i o kolorycie wioskowym Lenartowicza, choć im nie sprostą. Ale nieraz uderzy w ton szczęśliwiej może, nigdy rzewniej nie poruszony potem przez sielskie i smutne piosenki Konopnickiej — tak w kilkakrotnie rzuconych *Dlaczego*, w *Zwątpieniu*, w motywie *Sieroty*, w retorycznym ale odczudem zestawieniu *Gładyatorów* starego i nowego świata. Czasami w drobiazgu temat zużyty jak *On mnie nie kocha* rozbroi jakąś dziewczęco-czystą prostotą smutku, to w *Wichrze* albo w *Bezimiennemu* mocniej zatarga goryczą zlej doli i niepowrotnych strat. W dwóch obrazkach epicznych próbowała Bartusówna siły: w *Opryszku* i w *Czarodziejskiej fujarce*. Pierwszy jest może najslabszy z jej utworów: słaba transkrypcja romantycznego zbrodniarza-idealisty na stosunki huculskie, zresztą bez odtworzenia ich krasnej barwy. *Czarodziejska fujarka* to dzieje poezji w posłannictwie polskim — tak chce poetka. Właściwie jednak to tylko dzieje przeczuwającej poezję — piosenki, opowiedziane w formie bajki ludowej, to Syrokomlę to Lenartowicza przypominającej. Chwilami pobrzmiewa tu jakiś szczęśliwy gęśliczkowy, rzewny ton, wtórujący łagodnemu korowodowi widzeń nikłych w barwie i rysunku, ale nigdy fałszywych. Czula tę wartość swej wielkiej prostoty sama poetka mówiąc że nikt nie zdola »pieśni mojej zadać kłamu«. A gdy to samo powiemy i o formie jej wiersza, nie udającej nigdy wirtuozostwa, lecz nie brzęczącej żadnym fałszem — to usprawiedliwimy zupełnie, dlaczego jej w tej grupie niemal zawsze zmętniałych, skłóconych ze sobą pisarzy dajemy pierwszeństwo.

O reszcie poetów tych lat przedewszystkiem można powiedzieć za prof. T. Grabowskim, że scharakteryzował ich wszystkich dobrze jeden z nich — Czesław — Jankowski, mówiąc dlaczego się dobić sławy nie potrafi żaden, choć »chwyci z Heinego coś a coś z Musseta — błysnie i zgaśnie we własnej

parafii«. W istocie: i to w tej protestanckiej nudą i pedantyzmem parafii pozytywizmu...

We Lwowie, jak Bartusówna rozwinął się był inny poeta, interesujący dziś raczej wyraźnym bojowym temperamentem społecznika demokracji od najwcześniejszego wystąpienia (1874) — Bolesław Czerwieński.

Poezye jego wyszły w zbiorze we Lwowie w roku 1881. W tymże roku dał na scenę krakowską dramat p. t. *Niewolnik* na tle walki niewolników z patrycyatem w Sycylii, zakazany natychmiast przez prokuraturę. Ten również, jakkolwiek zgola nie celuje świetnością formy, ma w niej chwilami ów specjalny rodzaj swady, którą nadają wyraźne i gorętsze przekonania. Tak w *Czerwonym sztandarze*, który zapewne sam jeden z utworów Czerwieńskiego adoptowany przez robotników przetrwa tak długo jak potrzebną im będzie tego rodzaju poezya.

Z innego znów względu zasługuje na uwagę inny lwowianin Włodzimierz Stebelski. Spóźniony to okaz romantyzmu *minorum gentium*, biorącego z Rolli wino, kobietę i grę (niekoniecznie muzyczną), a nic z jego poezyi. Krótkowidztwo krytyczne czyni tego zupełnego rozkładającego się epigona praecursorem... dekadentyzmu (Feldman), insynuując, że jego historycznie zwyrodniały bohater Roman Zero to prototyp Płoszowskiego. Tymczasem zbyt dużo może uczynimy jeśli Stebelskiego porównamy z jakimś nieszczęsnym i pomylnym Glatigny. Najprędzej jest to zapóźniony i pozbawiony środków i banalnie zdolny bałagula, który nie mogąc czumakować z paniczami na jarmarkach wołyńskich czumakuje w literaturze. Poezye Stebelskiego najlepsze są gdy się nastrajają po prostu na ton lekkiej, korsarskiej satyry pism humorystycznych (1878 *Humoreski*). Stebelski, rusin z pochodzenia należy do całego zastępu literatów, których w tych właśnie latach Galicya wysłała do Warszawy. Dziwna to była zamiana: stamtąd napływali do Krakowa i Lwowa tacy jak Asnyk lub Sewer, którym powstanie lub później praca nielegalna uniemożliwiły pobyt pod zaborem rosyjskim. Z Galicyi zaś żeglowali ku »stołecznej« Warszawie korsarze lub ci, którym Warszawa imponująca »wielkowiejskością« otwierała gościnne łamy kuryerków,

pism humorystycznych, zakulisowych sfer i restauracji z szampanem...

Wyprawiają się więc do stolicy Włodzimierz Zagórski, Marian Gawalewicz, T. Czapelski i inni...

Tymczasem Lwów zatrzymuje innych jeszcze poetów bez większego talentu, ale dobrze zapisanych w pamięci czytelników: Władysława Szansera (Ordon) i Stanisława Grudzińskiego. Obaj należą do rodzaju idealistów bez temperamentu. Ordon wcześniej zaczyna (*Poezye* 1869) swój zawód piosenkarza, tłumaczy również *Dekameron* Bokacyusza (1875) i *Ahasweru* Hamerlinga (1878). W poezjach jego dźwięczy wyraźnie ton społecznego współczucia (*Z piwnic*, *Przy kowadle*). W swobodnej względnie atmosferze Lwowa wśród młodej demokracji poeta brak temperamentu poczyna zastępować wyrabiającymi się przekonaniem — forma już w przekładzie Hamerlinga dojrzewa. Nagły obłęd kładzie kres rozwojowi Szansera.

Stanisław Grudziński spieszy w pracy, jakby przeczuwając wczesną śmierć. W ciągu lat dziesięciu od 1872 do 1884 wydaje trzy zbiorki *Poezji*, poemat *Dwie mogiły* (1878); przedtem wydał *Idealistę* (1871). Prócz tego sporo pisze prozą obracając się w kołach młodej demokracji jak Szanser i zasiłując nowelami (*Powieści ukraińskie* 1879), artykułami, fejsletami galicyjskie pisma.

I Grudziński jak Ordon jest śpiewakiem »bohaterstwa pracy«, wrażliwym na niedolę społeczną, z zapalem przyjmującym postęp przez potęgę wiedzy. *Fiat lux*, w którym w formie hymnu wita tę »z nieba wziętą« jest jednym z charakterystyczniejszych rymowanych programów tych lat. Młodo umiera, nie zdążywszy z tych rozumowych i uczuciowych pierwiastków luźnie obok siebie występujących utworzyć organicznej jedności, indywidualnej wizji świata. W formie — przestaje na mniejszem jeszcze niż Ordon.

W Warszawie wśród kilku przygodnie jak Ochorowicz-Mohort lub sporadycznie jak Kraushar (autor *Strof*) uprawiających wiersze pisarzy, wśród rymowanych postępowo programów Sękowskiego, rozprawek Pileckiego, rozwlekłej liryki Floryana, Czesława, poetyczniejszych z imion niż z poezyi — wy-

różnia się pokrewny nieco Grudzińskiemu i Ordonowi idealista Bogumił Aspis. Jest on z rodzaju tych eklektyków poetyckich, którzy nie umieją nigdy wybrać między obrazem a rozumowaniem, uczuciem a skryzalizowaną myślą, lawirując wiecznie między liryką a epiką, nie zdobywając się na twórczość, choć widać że w poezji czują i kochają więcej niż odrabianie tendencyjnych zadań. Niekiedy w *Sulamitce*, w *Pytaniu*, nawet w rozwlekłych rytmach *W Walhalli* szczęśliwiej zabrzmiał łagodny ton melopei, lecz zawsze wkońcu znuży monotonią niewydobytej z nudnych powijaków mędrkowania formy poetyckiej..

Podczas kiedy w środowisku demokratycznym Lwowa pod wpływem względnej swobody silniej wybija się ów ton społeczny w Warszawie »wielkowiejskość«, na tle małych teatrzyków, kuryerków, ogródków i saloników kwitnąca, sprzyja pozie demonicznych po szampanie i rozczarowanych po gabinecie pseudo-romantyków. Rozwija się ten pewien manieryczny wdzięczek w wierszykach, pisanych nie bez myśli o tem, że jakaś *diva* wygłosi je z estrady koncertowej. A im bezsilniej i niewyraźniej spętana przez cenzurę brzmi pełna ogólników poezya programowa na temat »pracy i postępu«, tem znowu bliżej do baletu i kulis przysuwa się żadna »użycia« muza, którąbym nazwał salonową gdyby mniej trąciła gabinetem. Lawiruje wśród tych motywów parodyi »rozczarowań« i parodyi »szalów«, wzywając nadaremnie imienia Heinego lub Musset'a, szereg talencików to zbyt młodych, więc chwiejnych, to zbyt podtatusiałych, więc łatwych — a zawsze podległych zniecierpliwieniom zmysłów, przebiegających się chętnie w szatę »romantyzmu«.

Aleksander Michaux (Miron) odrazu zapowiada się jako łatwo piszący pieśniarz (*Pieśni* 1867) — opanowuje formę tem łatwiej, że nie zna zgoła troski o treść własną, poruszając się od początku do końca wśród rozczarowanej frazeologii późne romantyki. Wydaje w 1870 r. swoje *Fantazje: Bez Boga, Ostatni sen Tassa, Ze smutnych powieści*, próby jakichś poetyckich całości, poczem przez lat dziesięć rozrzuca po pismach drobne utwory (*Poezje* 1884), zawsze równie łatwy w formie pobrzmiwiającej echemi naśladownictw, równie lekki w ba-

gażu nie swoich myśli transponowanych na język rozstrojonych nerwów..

Czesław Jankowski należał do kategorii poczytnych i szczególnie warszawskich poetów. Zbliżał się niekiedy do zadań poetyckich na większą skalę, jak np. w poemacie *Psyche* (1884), lecz czuje się naprawdę w swoim żywiole, gdy snuje lekkie *Cappriccia*, ulotne *Arabeski*, wiążąc je w *Rymów nieco...* Nieco rymów, niekiedy dość pomyślnie wiązanych przysporzył w istocie w swoim zbiorku *Poezji*. — Rozwinał zresztą i zmienił w znacznym stopniu ton i rodzaj pracy w latach późniejszych.

Chciałoby się w tej coraz bardziej mdłej produkcji wierszopisów tych lat odnaleźć ton jakiś jędrniejszy. Szukamy go więc w satyrze, nie znajdując w innych rodzajach liryki. Nie można nazwać grupą pisarzy uderzających w ton satyryczny. Grupują ich raczej mechanicznie pisma humorystyczne poczynając od lwowskiego *Szczutka* z ciemierzycą, krakowskiego *Dyabła* z ożogiem, kończąc na stępionych przez cenzurę warszawskich *Kolcach* i na *Muchach* siadających nie zawsze tam gdzie warto... Naogół pisma te a więc i ich współpracownicy mają ton »postępowy«. Lecz to są harcownicy raczej wojujący z własnej fantazyi niż z innych pobudek. Wśród wielu takich rycerzy — w zapuszczonej najczęściej przyłbicy harcujących — wyróżnia się pewną ciągłością nastroju Rodoc (M. Biernacki). *Piosnki* jego i *Gawędy humorystyczne*, zaprawione zawsze humorem, szerzyły się w tych latach najbardziej, zyskując popularność nawet w wysmiewanych przezeń sferach, rozbijając konceptem nawet sensatów od doktryny Darwina lub z pod znaku Stańczyka. Że brak tym humoreskom przy złotym nieraz humorze szczerego tchnienia — nie zdobyły się nigdy na ton właściwej satyry. Natomiast podobnie jak farsa współczesna miały w sobie sporo jowialności polskiej, a jeśli nie męskiego to sarmackiego impetu. Pewna rozwlekłość i nieobrotność rytmu — nie dawała im, mimo nazwy, stać się ową ucinkową i lotną piosnką beranżerowską — były więc tym rodzajem u nas najpospoliciej jawiącej się we wszystkich postaciach gawędy (*Wybór satyr* w 1899).

Wśród innych harcowników, zawsze dalszych klasycznych form satyry, piosnki i epigramatu, a bliższych gawędziar-

stwa jowialnego prozą i wierszem wymienić warto Chochlika (Zagórskiego), odznaczającego się pewną cyniczną jadowitością, Wł. Stebelskiego kuszącego się niekiedy o demoniczność. Potrosze zresztą wielu pisarzy próbowało tonu humorystycznego i w ucińkowych wierszach, i w ulotnych szkicach: Borkowski, Lam, Chłędowski, Bałucki, Zalewski, Gawalewicz, Czesław — Asnyk nawet pisze *Scherza*. Z Litwy dolata jeszcze głos Bartelsa, piewcy »departamentu niższej Sekwany«...

W Krakowie i Lwowie humorystyka ta zabarwia się silniej tendencją polityczną, występuje w formach ostrzejszych; w Warszawie trzyma się z musu terenu obyczajowego, gdzie się na śliskiej drodze spotyka często z podkasaną muzą pornografii, stając się wtedy w treści swej banalną i niewybredną jak pseudonimy jej harcowników w rodzaju np. głośnego w swoim czasie rymopisa: *Paul de... Coś*.

Właśnie... I jednak najlepszym z naszych humorów jest po staremu humor — mimowolny.

63. Zamknijmy ten przegląd poetyckiej milicyi lat pozytywizmu, nie zbaczając już do nikłych prób eposu Turczyńskiego, Tretjaka, Komorowskiego i kilku innych, bezwarunkowo nie dla poezji lecz dla bibliografii mających wartość. Nie będziemy tu również roztrząsali poetyckiego ciągu pracy Asnyka (nowością było zaznaczone zajęcie się poety dramaturgią), ani początków Gomułickiego i Konopnickiej, którzy ton swój wydobędą już w innej atmosferze, pod wpływem nowych czynników. Z wieku też tylko i urzędu wspomnijmy Odyńca i Deotymę, którzyby mogli byli stać się sędziwymi stróżami dawnej — nie swojej — poetyckiej świetności, lecz woleli oboje na własną rękę figurować w ceremoniałach salonowych wieńczeń, przekładając pogrzebową pompę za życia nad wszelki żywy związek z wnukami...

Tu stwierdzmy jedynie fakt niezbity, że to co wpłynęło do poezji naszej w tych latach szczególnie zjałowionych — nie dla wszystkich i na krótko na szczęście — przez niewysoką skalę pozytywnych rzeczniectw, że wszystko to żegluj pod ban-

derą dydaktyki społecznej i jest dalszym ciągiem polemiki lub pedagogii tych lat.

Poezya, gdy ton owej estetyki myśli, o której mówiliśmy poprzednio (32), danym już był w latach innych w myślącej lirycy Asnyka i Faleńskiego — poezya nie skorzystała tu — nic. Straciłaż więc może na czemś, mimo dobrych chęci niewątpliwych i wątpliwych lecz niekiedy czystych talentów?

Niestety: zdaje się nam iż poniekąd straciła na tem, co właśnie już była zyskiwała przez pracę poetycką Asnyka i innych — na zwrocie nowego stosunkowo dla uczuciowców polskich kultu myśli w estetyce myśli wyrażonego. Straciła przez trywialność i natarczywość hasel utylitarnych narzucających się dziedzinie kultury estetycznej.

Straciła więc na razie dzięki propagandzie i dydaktyce jeden z uroków tej ideowości, o którą właśnie tak dbali jej zaprzysięgli obrońcy.

Szcześnie nie sami tylko pozytywnie myślący bakałarze utylitaryzmu za wszelką cenę są rzecznikami tej ideowości. I ton estetyki myśli, kult ideowego piękna w dalszej pracy prawdziwych jego poetów jak Norwid, Asnyk, Faleński, Gomułicki, Konopnicka znalazł drogi dalszego rozwoju.

ROZDZIAŁ XI.

Uwagi ogólne.

64. Widzieliśmy jak bezpośrednio po wypadkach r. 63-go prowadzone przez myślący ogół polski poszukiwanie siły, o którą mogłaby się społeczność oprzeć w dalszym rozwoju i walce — najszybciej na gruncie galicyjskim doprowadziło do odnalezienia hasła zorganizowanej dokoła idei państwowej władzy (13—15). Widzieliśmy również jak pod wpływem warunków lokalnych idea ta przekształcała się zwolna w program stańczyków i jak wreszcie na terenie kształtującego się samorządu Galicyi nabrała szczególnej doniosłości, zaabsorbowała wszystkie nieomal siły. Poznaliśmy jak przez historię i politykę zabarwiła całokształt zjawisk literackich, rozwijając się w powieści, fejtynie, poezyi, stwarzając dzieła i kierunki. Dodatnie warunki kulturalne dodały tam znaczenia i wartości skrzywionym nawet w założeniu pracom.

Podczas gdy tam rzeczy układały się w ten sposób, wytwarzając cały jeden wpływ obecny w całym tem trzydziestolecium — wpływ który dla krótkości nazwijmy krakowskim — w Warszawie zgola inne warunki sprzyjały ukształtowaniu się innego ogniska i innego wpływu. Najczęściej ryczałtowo określamy go mianem warszawskiego pozytywizmu.

Niepodobna tu ściśle mówić o kolejności tych dwóch momentów: następują zapewne po sobie, lecz warunkując się wzajem

współdziałają i szerzą się dalej obok siebie, a krótki okres trzydziestoletni, który w tej książce rozpatrujemy, starczy zaledwie za tło współrzednego tych wpływów wyjawienia się nie zaś za ramy ich »historyi«. I te dwa wpływy wcześniejsze i inne, które poznamy w dalszych księgach, dopiero razem zebrane stanowić będą chorał sformie lub niesformie, lecz w jakiejś całości wyrażający ideowe podłoże przemian literackich tego okresu.

Z tem zastrzeżeniem wrócimy do rozpatrzonego dziesięciolecia. Jakkolwiek wpływ poprzednich lat nie przestaje szerzyć się we wszystkich kierunkach — lata te dają wyraz nowej potrzebie, starając się niejako na niej skupić uwagę ogółu. Potrzebą tą — szczególnie wyczuwaną, a jedynie dozwoloną w Warszawie — jest właśnie praca organiczna u podstaw, szukająca oparcia w ogólnoeuropejskim zwrocie do nauki i w hasłach utylitaryzmu najkrócej ale i w parodii wyrażonych w słynnem *Enrichissez vous!* W zastosowaniu, jeśli prąd krakowski zabarwić się musiał konsekwentnie polityką, to ten naukowo-utylitarny zwrot w imię postępu występujący musiał znaleźć swój wyraz w — dydaktyzmie.

Jakoż widzieliśmy że naukowość ze szczególnem uwzględnieniem przyrody i techniki po części, zaś dydaktyzm powszechnie — stał się tonem fejtynów, rozpraw, polemik, powieści — przedostał się wreszcie do literatury dramatycznej i poezyi jako istny »kolor lokalny« chwili.

Poznaliśmy poziom — nie najwyższy — tej ewolucyi, której pozytywizm warszawski był jeśli nie głównym to najjaskrawszym epizodem.

Podobnie jak błędy w nierozumieniu wielkich tradycyi narodowych i nieposzanowanie nietykalnych nabytków duchowego dorobku — były punktem wyjścia reakcyi przeciwko tej grupie, która najcharakterystyczniej wyrażała prąd krakowski — przeciwko stańczykom — podobnie poznaliśmy ujemne cechy dydaktyzmu i utylitaryzmu, które musiały doprowadzić do reakcyi przeciwko — pozytywistom. Jak jedni poniekąd dyskredytowali nadmiarem gorliwości i bezwzględności własny swój ideał władzy silnej, tak drudzy wystawili na szwank przez własne słabości swój ideał wszechmocnej wiedzy. Jedni nie zaniedbywali wreszcie demaskować drugich, a oba

kierunki niebawem miały się spotkać z mocną odprawą od trzeciego — demokratycznego.

Przekonaliśmy się, że w ściślejszym zakresie form i rodzajów literackich oraz opanowywania nowych terenów i tematów — nowy prąd nie dał na naszym gruncie tych wyników, do których doprowadził na zachodzie. Co jednak zdziałać zdołał — w powieści przez rozszerzenie sfer obyczajowych, wprowadzanie motywów zawodowych, na scenie — przez silne akcentowanie konfliktu starych przesądów z nowymi apetytami — to zarówno w jednym jak w drugim wypadku czynił w najściślejszym związku z wpływami zachodu, przyczem scena korzystała z nich najobficiej, mniej powieść, najmniej, z nielicznymi wyjątkami, poezya.

Jeżeli ten związek z zachodem słabł, to jak widzieliśmy, nie był to i tym razem »rezultat roku 63-go« jak to się często bez podstawy powtarza, lecz, niestety, już i przed 63-im rokiem dający się uczuwać brak głębszej kultury estetycznej i w szczególności literackiej.

Nie mogę tu na dowód tym razem niepożądaną ciągłości błędu nie przytoczyć charakterystyki romantyzmu w poniższym urywku:

»Nowa poezya nasza, którą nazwaliśmy romantyczną, rozbudziła śpiącą duszę narodu. Nie przeczę nawet temu, że gdyby ona była nie przyszła, dzisiaj, na całym tym wielkim kawale ziemi nie znanoby nawet dźwięku wyrazu: nadzieja. Ale było to lekarstwo na śmiertelną chorobę, w jego składzie znajdowała się śmiertelna trucizna. Kto kielich wychylił do dna — dostał zawrotu głowy, który się z czasem zamienił w szaleństwo. Lekarstwo było dobre, ale lekarze zapomnieli doń dodać przepisu, jak go należy używać...

»Romantyczna poezya wyrządziła wiele złego naszej wielkiej rodzinie. Rozpasanie się jej z wszelkich form stałych, do którego ją doprowadzili niezdarni uczniowie, sprowadziło za sobą także samo rozpasanie się zdań i umysłów... Gdybyśmy byli poszli tą drogą dalej, byłibyśmy przyszli ostatecznie do tego, że społeczeństwo nasze byłoby się zamieniło w wielki dom obłąkanych...«

Jestże to głos którego z »pozytywistów«? Bynajmniej. To

słowa Kaczkowskiego z roku 1855 (*Dziwożona*)! Pogląd, który sam potem pogłębił — niestety dla pozytywistów wystarczył i nawet poznaliśmy gorsze błędy w ustach ich przedstawicieli, ile razy zabierali głos o poezyi. Lecz nie będziemy tu więcej powtarzali faktów z poprzednich rozdziałów.

Widzimy dość wyraźnie jakie zdobycze przyniosły lata pozytywizmu i jakie błędy spotkać się będą musiały z zaprzeczeniem lat następnych. Pozostawmy więc na razie szczegóły ruchu (zwłaszcza w dziedzinie naukowej) monografiście tych lat (Chmielowskiemu), jak szczegóły krakowskich prac najlepiej przedstawi już ich znawca (Tarnowski). Rękojmią że tam nie będzie pominiętą żadna z zasług pozytywizmu lub wpływów krakowskich jest to że jeden jest pozytywistą, drugi wyrazicielem grupy krakowskiej. Dla nas musi wystarczyć zestawienie tych lat z ogólnym rozwojem literatury tego i dalszych okresów.

65. Dalszy to więc ciąg uszczególnień i urzeczywistnień podobie uogólnień i ideałów poetyckich, w tej samej wreszcie zawsze myśli podejmowanych: w myśl najwyższej sankcyi dobra ogółu, a więc kultu zbiorowości...

Poznaliśmy poprzednio (35) nowego kształtującego się od lat niewielu rzecznika tej polskiej zbiorowości. Była nim nie jak dawniej szlachetczyzna lub emigracya lecz t. zw. inteligencya, rekrutująca się potrosze zewsząd i oto w literaturze pozytywistycznej klejnot swój — pracę zawodową — nie dość przekonująco zresztą starająca się przedstawić w szczególnym blasku.

Ona to — ta inteligencya nadawała teraz najwyższą sankcyę popularności utworom i kierunkom literackim, adoptując np. zrównoważoną estetykę myśli Asnyka, a nawet godząc się z nudnym lecz w jej interesie szerzącym się dydaktyzmem powieści, sceny, poezyi. Jej wyrabiające się z wolna kryteria zaważyły miały ciężko na programach i kierunkach, gdy palladium postępu zdawało się być zagrożonem przez tę lub ową formę tradycyi, uczucia, wiary. Jej to frazeologia, niestety skażona nie jednym obcym wpływem, wpływała na język nawet poematów, a cóż dopiero prozy, powieści i fejtetonów. Ze spuścizny dawnej

literatury polskiej — szukając pół-świadomie oparcia w rzeczach nieśmiertelnego piękna — ona to zwolna lecz coraz wyraźniej odwoływała się do Słowackiego, widząc w nim wiele z pierwiastków własnego ducha — w apoteozie.

Skądże rekrutowały się coraz liczniejsze zastępy tej nowej warstwy? Że nie z ludu jeszcze wprost, jak na zachodzie, to pewna. Po części więc jak wiemy z rozbitków szlachecczyzny, wyrzucanych obficie na bruk wielkowiejski. Po części zaś z tego co pełniło u nas obowiązki mieszczaństwa, więc z rodzin spolszczonych zupełnie lub w znacznym stopniu niemieckich i żydowskich.

Nie potrzebuje dowodzić że sfery te najściślej związane z przemysłem i handlem — z największym zapalem witały literaturę postępu i pracy u podstaw, że gorliwiej niż inne rwały związki z przesadami, ile że nie były to ich przesady. Ta więc ruchliwsza, radniejsza i zasobniejsza fala napływowa, mająca wkrótce dotrzeć do wszystkich t. z. profesyi liberalnych, nauki, prasy, potężnie wspierała — tymczasem sympatją i prenumeratą — organy oczywiście postępowe, dydaktyczną w jej kierunku powieść i poezję.

Niestety nie mogła wesprzeć ani języka szwankującego w jednych i drugich, ani słabej kultury estetycznej, ani skąpych, coraz skąpszych przy upadku szkoły polskiej literackich tradycyi.

Oto jak wita w r. 1877 nowych przybyszów inteligencji organ jej *Przegląd Tygodniowy* w artykule p. t. »Żydowskie złoto«:

»Nasz ukształcony chrześcijanin jest to człowiek, który szanuje naukę umiarkowaną, wyznaje deizm opatrnościowy, narodość łączy z religią, nie lubi surowej krytyki przeszłości, a we współczesnem działaniu przestrzega zasady »stosowności«. Tegoż rodzaju żyd nie hamuje się w wiedzy, nie daje jej podkładu religijnego, nie określa narodowości wiarą, nie cofa się przed ścisłą rewizją historycznych złudzeń i łatwo grzeszy przeciw oportunizmowi. I inaczej być nie może«. — Poczem wyprowadza te cechy ze starego zakonu i oderwania się od życia. »... Kiedyś przodkowie wasi zbierali między sobą po prowincjach i posyłali na ofiarę do Jerozolimy żydowskie złoto. Dziś takim złotem według naszej miary wartości jesteście wy,

wolnomyślni, ukształceni żydzi nasi, bo składacie swemu społeczeństwu ofiarę z niepodległych przekonań w świątyni jego postępu«. (Nr. 48).

Przyszłe lata ukażą już nam liczny zastęp tych zapowiedzianych przy pracy w samejże literaturze. Tymczasem jest to współnictwo ciche w rozwoju i kolejach umysłowych całej warstwy inteligentnej.

Poznajmyż dalszy ciąg prac i dochodzących do głosu w następnem dziesięcioleciu sił tak rozkrzewiającego się polskiego ogółu.

KSIĘGA III.

1880—1890.

ROZDZIAŁ XII.

Kształtujące czynniki prądu demokratycznego.

66. Raz rozpoczęte rachunki, gdy przedmiotem ich jest wielkie dziedzictwo narodu, w którego równaniu leży niezbity pewnik prawa do bytu i gdy dziedzic odsunawszy sługi niedobre i niegorliwe sam czyni przegląd błędów, klęsk i nadużyć, znając całą minioną swą wielkość i nią mierząc głębokość upadku — nie mogą się urwać ni stanąć dopóty, dopóki sprawdzone nie wyjawiają w jasnym jak pewnik ich praw wyniku: gdzie leżą siły i zasoby dziedzictwa, któremi ono z ruiny ma powstać i utrwalić przyszłość narodu na własnych jego opartą siłach — ostatecznym zwycięstwem.

Mniemam, że to niezłomne prawo rachunków rządzi każdą żyć mającą społecznością: rządzi więc i Polską. Można zapewne przez moment jakiś całą społeczność utrzymać w bolesnem odrętwieniu, jak można też na krótką chwilę dziejów natchnąć ją ekstazą. Można w biegu lat równych i spokojnych utrzymać żelazną dyscyplinę autorytetu i tradycji, na których opierają się zazwyczaj zorganizowane władze państwa lub kościoła. Gdy jednak wypadki zakłócają spokojny bieg czasu i potargają wątki codzienne, że odsłonią się w nich żywe nici przedziwa, z którego tkwały ją ongi twórcze moce narodu — wówczas nastać musi czas rachunków i sprawdzania i naród znowu poczuje się tkaczem z własnego wątku własnych przeznaczeń.

Pierwsze »dla czego« rzucone w tłum dotąd posłuszny — karny i ślepo wierzący — tłum ten pochwyli jako jedną z owych potarganych nici wątku i rozwinię jej kłębek — do końca.

To znowu jest prawo żelazne epok krytycznych — to ich własna »dyscyplina«.

Dlatego to raz rzucone hasło rewizji podstaw naszego bytu — po a nawet podczas okresu ciężkich lecz już w świadomości narodu twórczych prób między 1830 a 1863 rokiem — sięgnąwszy najpierw wstecz w dziedzinę dziejów — wkroczyło następnie w obręb współczesności i poddało probierczej analizie wszystkie jej wartości. Rachunek był ściślejszy i sięgał głębiej, niż zamierzali pierwsi buchalterzy na rewizji polskich »błędów dziejowych«, polskiego »marzycielstwa« zaprawieni. Z kolei i ich tradycje i autorytety, »podstawy«, i ich »organiczne« pojmowanie »pracy« musiało podpaść rewizji: rewizja nie wypadła pomyślnie i surowy w sądzeniu »zacofania« liberalizm — surowszych jeszcze sędziów musiał znaleźć w naradzającej się demokracji. Tamci wlekli starych »do światła«, ich zaś samych powleczone wkrótce »do ognia«, który pono do dziś nie wygasł.

Dyalektyka społeczna tej sprawy, rozwijanie się owo nici krytycznej skrętem za skrętem ze splątanego kłębu stosunków społecznych, przenikanie analizy od sfer uprzywilejowanych i zorganizowanych uczonych i akademickich do powstającej inteligencji i organizującego się mieszczaństwa, stamtąd do proletariatu i ludu — kolejna szermierka ideologów i powołanych lub samozwańczych tych grup przedstawicieli — oto treść właściwa długiego szeregu lat drugiej połowy wieku XIX. W świetle tej tylko sprawy można zrozumieć i ocenić objaw po objawie, zjawisko po zjawisku z tego okresu.

To, co nastąpi po roku 63-im — nie jest bynajmniej jak już wiemy ani upadkiem ducha, ani wycieńczeniem ani niewiarą — jest to krytyka podstaw i warunków bytu narodowego z przeszłości przez teraźniejszość w przyszłość prowadząca swe rachunki. Rachunki długie, pogmatwane i zawile, bo przedmiot ich pełen błędu, winy i klęski.

Nie — nie może być mowy o upadku ducha tam, gdzie niemal nazajutrz po straszliwym rozbięciu rozlega się nawoływa-

nie do porachunku sił żywotnych społeczności. A w jakimże to innem hasle wyrazić się mogła dzielność narodu w takiej chwili? Słumić płacz, zaprzestać biadań — i skupić całą energię dokoła samokrytyki mógł tylko duch nie upadły, lecz czuwający, nie zwątpiały lecz silny, nie wątpiający, lecz przeciw nadziei — wierzący.

I tak było. W nieszczęściu bystro dojrzewała młodzież i rozpoczynał się okres pospolitego ruszenia sił rzeczypospolitej, ku wyłomowi i słabym jej punktom spieszącego. Ależ te punkty słabe należało właśnie poznać i wskazać, by je przyszłość mogła obwarować. Siły należało porachować, by na nich budować.

Rozpoczął się okres rachunków, wskazań, uświadamiań — okres krytyki.

Kiedy zaś mówimy, że się »rozpoczął« — bynajmniej nie zapominamy o tem, co było już przedtem zapoczętego. Pod wieloma względami będzie więc to nawiązywaniem potarganych przez wypadki wątków, pod wieloma względami nowatorstwa powołać się będą mogły na tradycję. Padną ponownie wyrazy: »My inną wam przeciwną jesteśmy tradycją«, odnowią się stare hasła w walce »młodych i starych«, powagom przestarzałym przeciwstawione będą starsze lecz wiecznie młode, manifestom nowatorskim przyświecać będzie manifest dawnej demokracji, obchody i rocznice wplotą się same w tok rachunków, a tak każdą nić zwątpioną zastąpi nić mocniejsza, lecz z tej samej przędzy, by przedewszystkiem stworzoną była osnowa, nim na niej wzory zakwitną. Z wiązań osnowy zadzierzgną się wzory.

67. Zapelnia się więc po brzegi coraz nowymi fermentami »narodowa kadź«. Wzajemne oddziaływanie i przeplatanie się wpływów wytwarza warunki coraz intensywniejszej pracy ducha — energie niebawem dojdą do *maximum* napięcia w rozprawie i starciu dokoła służby powszechnej. Trzy warstwy: szlachetczyzna, kształtujące się żywioły mieszczaństwa, wreszcie rzecznicy interesów ludu — *per procuram* — tymczasem — wiadać coraz odrębniej. Tam ustanowione potęgi, ówdzie zawsze zaufana w swe prawa »większość« inteligencji — tu wreszcie nieliczne lecz młode i ruchliwe jej żywioły.

Trzy tradycje: tradycja odwołująca się tak chętnie do Batorego i jego silnych rządów; tradycja zasobnej kazimierskiej gospodarki i wierzyńkowych dostatków; tradycja tyłu o »naprawę rzeczypospolitej« dbałych od Frycza Modrzewskiego do Kollataja i Staszycy, od Kościuszki do manifestu tow. demokratycznego, od 3 Maja do czerwonych z 63 roku...

Trzy również hasła i założenia na wszechludzkość powołujące się: Rzym i kościół w związku z ideą państwa katolickiego; powszechność nauki i wszechświatowe szranki wolnej zawodowej pracy; braterstwo ludów i międzynarodowe wołanie o łączność wydziedziczonych wszystkich krajów.

Wreszcie — w najbliższym życiu ujęciu tych zwalczających się a jednak trójjedynych dążeń — trzy po sobie idące pokolenia, w przyspieszonym tempie dojrzewania: pokolenie dziadów i ojców, które przeżyło rok 63-ci w pełni sił; pokolenie wieku średniego, któremu lata owe skróciły czas młodości i teraz w sile wieku wybijające się obok »starych« na stanowiska; pokolenie wreszcie narodzone w czasach powstania i teraz wchodzące w okres młodości »górną i chmurną«.

Pierwsi — skupieni koło idei władzy, drudzy zaufani w potęgę środków i zasobów; trzeci wreszcie i władzę i zasoby pragnące zwierzyć krzepkim, pracy i oręża zwyczajnym, ręką — ludu.

Którzy więc staną najbliższymi mety — którzy będą mogli dotrzymać najwięcej, najgłębiej sięgnąwszy po ludzkie i narodowe wartości? Zapewne ci, za którymi stanie legion... Tymczasem dzieją się polskie przemiany. Któż odgadnie gdzie ich kres? — Czy aż tam gdzie prorokował tak chciwie słuchany w tych czasach w roli trybuna przemawiający wieszcz?

»Plemię słowiańskie nie miało jeszcze dotąd formy politycznej, pod którą mogłoby się cieszyć życiem moralnym, zupełnym, sobie właściwym. Naród polski przeszedłszy przez wszystkie zmiany historii nowożytnej, przez wszystkie kształty polityczne, zachował to uczucie swojej mocy i wewnętrznego życia, które mu dawało nie zatrzymać się w żadnym systemie pchnęło zawsze iść dalej i przez to samo los jego wiązało ściśle z losem innych ludów pobratymczych. A zatem kwestya politycz-

nej formy rządu dla plemienia słowiańskiego i dla Polski w tych samych wyrazach i w jednaki sposób jest położona...«

»Wszyscy ci ludzie niespokojni, których własne uczucia wytrącają z drogi ubitej, którym duszno w zwyczajnej sferze życia, muszą otrzymać stan społeczny odpowiedni ich pragnieniom...«

»Bardzo więc logiczne wnioskowanie wypada, że plemię słowiańskie i naród polski są przeznaczone do utworzenia społeczności nowej«. (Mickiewicz).

Fermenty... Kipienie sił narodowych — obyż każda mogła mieć szlachetność i moc kruszcu!

Wszelako w tej rozkosznej dla ucha polskiego symfonii, jak daleki szum od morza, zwiastujący powrót wielkiej fali, ton jeden wybija się coraz wyraźniej, coraz częściej, coraz powszechniej k'sobie nastraja wszystkie inne. W walce nawet najgorętszej na tym właśnie tonie zgadzają się nieprzejednani, mniejsza że jedni go z pełnej piersi wykrzykną — inni zaś zaledwie ośmielą się wyszeptać i z zastrzeżeniami. Ale ton ów wyraźnie poczyna górować i przedewszystkiem jedna sobie cały chorał młodzieży — poda wnet temat sztuce — i od samych już nizin życia niesie się z mocą. Wsłuchajmy się.

68. Jakkolwiek oba ogniska myśli polskiej tętnią pracą, i nie można często rzec czy to roztropny bo nieco rozluźniony z więzów Kraków, czy też Warszawa chwilami nieprzytomna, bo w coraz twardsze dyby zakuwana — pierwsza coś zapoczątkowała w tych latach, jakkolwiek prace i wpływy wzajem się splatają, bo Marya i Marta Polski porozbiorowej razem pasmo w pasmo przędą wszystkich wątek ducha na użytek rzeczy pospolitej — to jednak — rzecz szczególna — usłyszymy wyraźniej odgłosy zwiastownicze, słuchając od strony warszawskiej. Może dlatego, że w więziennej ciszy potężniejszym echem tam odezwie się w ścieśnionych piersiach wszelki ton z głębin?

Dość że Warszawa, jakby na urągowisko prześladowcom — coraz wyraźniej przypomina gwarny obóz, który się zbiera na jakies pospolite ruszenie choć pod strażą więzienną — pełen naraady i ruchu.

Po całym zaborze ten ruch wyraźny: na prowincyi w Królestwie, na Litwie, w ogniskach młodzieży polskiej w Kijowie, Petersburgu, Moskwie rozrzuconych — młodzież pełni wreszcie jedną powinność — konspiracyjną...

Tak to niedaleko doniosły pioruny tych, którzy godzili w *liberum conspiro* w imię mądrości politycznej! Czy młodzież polska odepchnęła ten wpływ? Bynajmniej! ona go wcale w tamtej chwili nie знаła. Lecz konieczność konspiracyi wpajał w nią sam rząd, który rad byłby nawet ułożyć policyjnie obowiązujące przepisy oddychania. Tam więc, gdzie nawet oddech swobodny tamowano, chcąc żyć — musiano powszechnie odważyć się na oddychanie, a już z niem razem i na konspirację...

Nadejdzie kiedyś czas, kiedy ludzkość jedynie tylko na wiarę dokumentów przyjmie fakt, że w ostatniej kwadrze XIX stulecia konspiracją bywało, gdy dzieci mówiły z rodzicami po polsku — we własnym domu; że karano cytadelą i zesłaniem za nauczanie analfabetów; że założenie towarzystwa samokształcenia się wśród młodzieży ścigane było przez władze oświatowe jako przestępstwo. Tak jednak było i młodzież gimnazjalna, w latach 1870—80 kształcąca się w zaborze rosyjskim pamięta, że stawała się konspiratorką od pierwszego »dzień dobry« zamienionego na progu szkolnego budynku.

Na wiele lat przed pierwszymi procesami politycznymi, od wstępnej niemal klasy utrwał się ten stan rzeczy. To pewna że około roku 1880 wszystkie gimnazya Królestwa i Litwy miały niekiedy od 3-ej i 4-ej klasy zaczynając swe kółka samokształcenia, ruchome biblioteczki polskie, instruktorów swoich z klas starszych lub ze studenteryi, wykłady historyi lub ekonomii, swoje odczyty, składki na cele publiczne i cały tajemny mechanizm więziennego porozumiewania przedtem nim wybuchły pierwsze więzienne bunty.

Któż organizował te wszystkie ogniska rewolucyjne, które już na elementarzu zaprzysięgały konspirację? Duch, wieczny rewolucjonista...

Po dworach i miastach sama się szerzyła wśród dzieci jeszcze tradycya męczeństw i poświęceń ostatniego powstania, a działała bez porównania więcej od niefortunnej próby rządu narodowego przez powstańców stworzonego w Galicyi 1877...

Po miastach i szkołach szerzyły propagandę też same numera pism »trzeźwych«, gdy obok artykułów wstępnych podawały notatki o coraz nowych od praw majowych zamachach na polskość w Prusach, coraz nowe zakazy rosyjskie. Ferment społeczeństwa rosyjskiego, gdzie cała znowuż literatura kipiała nadzieją walki z reakcją, zapadał w dusze polskie wtedy właśnie, kiedy rusyfikatory uważali książkę za swoje narzędzie! Kiedy zaś reakcja rozpostarła nietoperze skrzydła, by się uczynił mrok nad duszami ludzkimi — dusze te od dzieciństwa zapragnąć musiały jednego — światła! Łaknienie światła, powszechna dążność do oświaty czy to w postaci samokształcenia się młodzieży, czy też myśli o oświecaniu ludu — tę bowiem wspólność w niedoli młodzież odczuła najpierwej — oto była pierwsza polska konspiracya po roku 1863 — konspiracya ogarniająca żywiłowo stolicę i prowincję, gimnazya i uniwersytety, dzieci i nawet — starych...

Czyż trzeba powoływać się na rosyjskich »narodników«, by zrozumieć jak z hasłem oświaty połączyć się musiało hasło ludu — tam gdzie każdy wiersz poetów przejęty był od tyłu lat tym zespołem, gdzie największy marzył jak o najwyższem szczęściu o tem, by jego księgi zbłądziły pod strzechę, gdzie najświetniejszy testament swój poetycki na wieki ze sprawą ludu połączył? Nie wyprzemy się tutaj obcowania z tragiczną garstką na wczesną śmierć skazanych przyjaciół — Moskali; wiemy, że i oni już nie światłem, lecz zarzewiem własnych palących się w męce dusz dzielili się z polską młodzieżą. Pamiętamy instruktorów — studentów z Moskwy lub Petersburga wśród kólek polskiej młodzieży na Litwie — jak znamy również naszych zakładników w ich organizacjach rewolucyjnych... Ale ruch oświatowy i hasło ludu wstawały tak nad młodem pokoleniem całej Polski, jak wstaje światło: oto z niezłomnego prawa obrotu, po nocy wiodącego — świt.

Bo podczas, gdy w Warszawie i na Litwie młodzież pełniła swoją powszechną powinność konspiracyjną — nadbiegały cudne jasełkowe wieści z Wielkopolski i Ślązka. Kto lat tych nie przeżył sam, nie zrozumie dzisiaj, jaką radością wypełniała młode serca każda wieść gazeciarska o tężyznie chłopów w Wielkopolsce broniących ziemi, o ślązkim wprost dla ówczesnych

stosunków cudownym odrodzeniu. Karol Miarka, nauczyciel ludowy z Pielgrzymowic i jego zwycięskie więzienia, gdy po każdym wychodził spotykany coraz liczniejszą gromadą ludu, coraz bardziej czującego się polskim w latach tych (1871—1883), był postacią równie popularną w Polsce, jak jakiś Silvio Pellico we Włoszech.

Pływały składki i życzenia ku budzącej się w walce prastarej ziemi Piastów — stamtąd szła pierwsza radość i pierwsza zapowiedź z własnego łona poczynającej się mocy po latach tyłu klęsk i strat. I spotykały się w entuzjazmie i pracy dla umiłowanego hasła wszystkie żyć mające siły narodu! Więc oto powracający po roku 63-im z Syberii starzy gorliwie popierają ruch śląski, nawiązując stosunki z Miarką (Kulakowski) — a jednocześnie młodzież zawiązuje z zapalem koła oświatowe, przystępuje do wydawnictw popularnych, nie spuszczaając z oka wszystkich zaborów, gdy np. koło młodzieży polskiej w Petersburgu składa się na drukarnię *Gazety Olsztyńskiej* na Warmii...

Śladem Miarki zapragnął iść niebawem inny »nauczyciel ludowy«, przez całe życie nie znający innego tytułu, Konrad Prószyński. Młody kresowiec z Białej Rusi przywędrował do Warszawy z tą tęsknotą osadników za metropolią znajomą już nam z pism Orzeszkowej i z kilku najczystszej pamięci ludzi tej doby, którzy nim Polskę ujrzą w pierw ją wymarzą mnogą, jednolitą, potężną — ludową. Wychodźcy i kresowcy tak myśleć umieją o swoim narodzie: jako o czemś wskroś idealnym, choć przecież wrosłym w grunt — i ten rodzaj myśli pamiętnym będzie od wielkiego Mickiewicza do małego Promyka w dobie porozbiorowej. Promyk taki sam legion chłopski stworzył przy swojej *Gazecie Świątecznej* jak Miarka przy *Katoliku*. Jeden tylko *Kuryerek* z pism polskich mierzył wtedy swoich czytelników na dziesiątki tysięcy i te pisma ludowe. Niedługo po 1880-ym roku trzeci taki nauczyciel wywędrował z Litwy do Galicyi: Bolesław Wysłouch rozpoczął propagandę oświatową wśród chłopów galicyjskich. Niezbyt wielki okres czasu ubiegł między tymi zatknięciami elementarza sztandaru, a wiecami chłopskimi we Lwowie i w Warszawie i dzisiaj już pisma ludowe jak *Katolik*, *Gazeta Świąteczna*, *Przyjaciel ludu*,

Gazeta Grudziąska i inne mają więcej czytelników niż cała razem wzięta prasa inteligencji...

Taki był powszechny układ polskiej »konspiracji« po roku 1863 w niewiele lat rozbrzmiewającej: młodzież i lud, samokształcenie i oświata, a w tej atmosferze odbyć się miały już wszystkie dalsze wypadki i ewolucje programowe aż do dni dzisiejszych.

69. Nie piszemy tu historii ruchu społecznego, ni co na jedno wyjdzie, martyrologii polskiej. Znajdą ją czytelnicy w monografiach (Limanowski, Kulczycki), w rocznikach pism nie cenzuralnych i zwłaszcza w mnogich aktach sądów wszystkich trzech zaborów, które zapewne urosną jeszcze powielekroć na użytek przyszłych historyków. A jednak zbliżając się do chwili, w której wystąpić mają pokolenia po-powstańcze, więc wpływ 63-go roku poznające już pośrednio z przekształconych stosunków, a zarazem wobec grozy ich nie szukające rozgrzeszenia w minionych walkach, lecz poczuwające się w całej rozciągłości sumienia do obowiązku walki osobistej, jako do daniny należnej od każdego pokolenia ojczyźnie, niepodobna nie wskazać bodaj wszystkich czynników. Wskazaliśmy na najpowszechniejszy: reakcję młodzieży i ludu, niewątpliwie od początku samorzutną, potem zaś wzajem się wspierającą — wreszcie stającą się warunkiem zasadniczym dalszych przemian.

Przemiany te wynikają znowuż ze współdziałania czynników duchowych z warunkami bytu. Pojęcie ludu tem bardziej musi stawać się osiłą innych, im wyraźniej lud sam pod parciem przewag materyalnych (przemysł) lub politycznych (polityka rządów) przychodzi do świadomości swych interesów, zrzesza się (robotnicy fabryczni), przekształca w proletaryat (bezrolni), coraz liczniej, jak do dna poruszona fala, szuka dla siebie ratunku — odpływa (emigracja). Drży i pręży się do niedawna spokojna toń ludowa — cóż dziwnego, że echem tego wysiłku zadrzają w posiadach, przekształcają się stare doktryny i nowe źródłami trysną z wzruszonej gleby. Trzebaż dodawać, że dzieje się to w Polsce nie poza światem, więc w związku z podobnymi przemianami wszystkich społeczeństw europejskich?

Formułują się pierwsze ideologie na naszym gruncie już pod wpływem z zachodu i wschodu płynących prądów. Widzieliśmy poprzednio, że cała — nawet pozytywistyczna poezja — Czerwiński, Bartusówna, Grudziński, Ordon, Sęczkowski — porzuciła prawo ludu. Materiał więc ideowy i uczuciowy w pogotowiu: rychło znajdzie wyraz zupełniejszy i w nowej pieśni, i w czynie.

Powstają pierwsze agitacje socjalistyczne, zrazu bardzo młodzieńcze we Lwowie i Krakowie — coraz groźniejsze, — wzbierające niepoliconą mnogością bezimiennych męczeństw, aż w roku 1886 wyraźnie stwierdzające szeregiem szubienic członków *Proletaryatu*, że się nie cofną przed walką. Ale ruch programowy wszczął się znacznie przed tem. We Lwowie już w roku 1878 powstało pismo obronie spraw robotniczych poświęcone — w Szwajcaryi wydalony z Galicyi Limanowski prowadzi do spółki z Kazimierzem Dłuskim pismo *Równość* (1879), które coraz bardziej po ustąpieniu Limanowskiego stając się kosmopolitycznem, zamieni się w *Przedświt* (1881), organ Proletaryatu.

Równocześnie inne kierunki wyraźnie zgromadzają siły i starają się zająć w opinii jaknajmocniejsze stanowiska. Pozytywizm *Przeglądu* nie wystarcza: *Prawda* od 1881 roku lepiej wyrazi jego prawdziwy stosunek do nowych prądów i prastarych zagadnień polskich. Oportuniści również zdobywają się na swój organ aż w Petersburgu, w chwalebnej zresztą myśli wyrugowania z Litwy, Podola i Ukrainy pism rosyjskich. Lecz jeśli kresy pozyskały w *Kraju* (1882) polskie pismo informacyjne, to i ugoda pozyskała w niem w przyszłości najgorliwszą placówkę. Na alarm biją pisma zachowawcze galicyjskie: *Ozas* i *Przegląd polski*, którym przybywa sprzymierzeniec w *Przeglądzie* ex-farysa Masłowskiego. Stanisław Tarnowski i grupa Stańczyków odgranicza się coraz bardziej od ruchu społecznego obejmującego ogół, podejrzliwie przyjmując nawet petersburski *Kraj*, swego sprzymierzeńca w »wielkiej polityce«... Odnawiają się stare spory, gdy na dawną *Tekę Stańczyka* odpowiada Kaczkowski *Teką Nieczui* (1883). Zgoła początek ósmego dziesiątka lat jest pełen bojowych surm i pobudek, jak kiedy przed wielką bitwą oddziały spieszą na wyznaczone stanowiska. Ciągną lu-

dowcy i radykali pod starym znakiem demokratycznym, ciągną nowozacienne hufy robotnicze zawsze polskie czy nad niemi wieje »bibuła« kosmopolityczna czy socjalno-narodowa, pozytywiści zrazu ufni, że tych przybyszów zahukają buńczukiem »arystokratyzmu ducha«, wprędce jednak zmuszeni opowiedzieć się wyraźnie po stronie wojującej lub oportunistycznej, starzy i młodzi stańczycy, konserwatyści i neokonserwatyści, którym oparcie o możliwe rody i pełne szkatuły nadaje zawsze więcej znaczenia, niż pozwalają siły — wreszcie mnogość wielka partyzantów z pod wolnego znaku ambicji, dobrych chęci, doktryneryzmu. Zważmy jednak: oto wszystkie te sztandary niezależnie od ich »postępowości« czy »zacofania« — nawet kosmopolityzmu czy nacyonalizmu — zbliża ku sobie lub oddala jedno hasło: stosunek do ludu. Więc lud jest tutaj gospodarzem i wiemy, że się nie stanie już w losach polskich bez niego. Lecz gospodarz to jeszcze nieobecny w dziedzictwie własnym: dlatego za niego mówić będą powołani i niepowołani.

70. Ogniskiem — a dla piśmiennictwa w zaborze rosyjskim istnym macecznikiem — wszelkiego ruchu, któremu hasło ludu było znakiem, stała się w połowie lat tych dziesiątka grupa warszawskiego *Głosu* (1886). Od szkolnej ławy zżyci ze sobą, o licznie rozgałęzionych wśród młodzieży sympatyach ludzie ci, pracując po troszę we wszystkich »postępowych« organach i należąc do różnych odłamów kształtującej się demokracji — mieli jedną świadomość wspólną — oto, że nigdzie jeszcze nie postawiono programu ludowego jako całkowitej formuły polskiego życia — zapragnęli więc sami wskazać ogółowi iż należy podporządkować interesy wszystkich warstw interesom ludu, w ten tylko sposób bowiem, jak mniemali, to co ma być w przyszłości faktem dokonanym — natchnie siłą terażniejszość. Byli to bowiem podobnie jak grupa krakowska — niezmordowani poszukiwacze zorganizowanej siły społecznej, któraby beznadziejną terażniejszość przemienić mogła w zwyciężką przyszłość. Lud uznali za siłę taką — i to nie tylko jako śpichlerz pełny wszelkich zasobów narodowych, lecz jako wyrobioną już tradycję własnej chłop-

skiej wiary, własnego gromadzkiego ładu, obyczaju i solidarności, własnej twórczej wszechstronnie indywidualności, własnego nieskalanego języka. Przeciwwstawili więc ten żywy organizm ludu — szlachetczyźnie równie jak doktryneryzmowi pozytywistów, wytykając nierząd, rozbitcie, naśladownictwo i uleganie obcym — zgola wreszcie przeżyte lub zgola martwo-urodzone formy jednym i drugim. Grupa *Głosu* od pierwszych artykułów programowych rozpoczęła ten bój na dwa fronty, w ten sposób ogromnie jasno wyrażając istotę własnego programu i unikając cienia dwuznaczności.

Twórcami programu *Głosu* byli J. K. Potocki, dający mu podkład filozoficzny, J. L. Popławski, twórca właściwej polityki grupy, a później licznego stronnictwa, wreszcie poniekąd Adolf Dygasiński — przedstawiciel głębokiego znawstwa obyczaju ludowego, od pierwszej chwili gorliwy szermierz *Głosu*. Do składu redakcji wchodzi początkowo prócz trzech wymienionych: Zygmunt Heryng, Józef Kotarbiński, H. Nussbaum, M. Wołowski, A. Zakrzewski.

Grupują się około nich M. Brzeziński, A. Nałkowski, A. Łętowski, A. Więckowski, Józef Hłasko, potem młodzi jak Edward Paszkowski, T. Kozerski, Roman Dmowski, Zygmunt Wasilewski. Pisują: Marya Konopnicka, Jan Kasprowiez, Iwan Franko, Stefan Żeromski, Wład. Reymont, Red. Sygietyński, A. Niemojewski, Brolis, L. Krzywicki, Wacław Sieroszewski i wielu innych. Około roku 1890 skład redakcji stanowią I. K. Potocki, J. L. Popławski, Józef Hłasko, Al. Więckowski, Ed. Paszkowski, Roman Dmowski, Zygmunt Wasilewski, Ant. Potocki. Miała to być grupa najbliższych współpracowników pisma aż do rozbitcia jego (1894), w większości obecna potem z kilku jeszcze jak Strzembosz, Jabłonowski, B. Koskowski w nowym *Głosie* wychodzącym pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego.

Ten pobieżny przegląd nazwisk wystarczy, by usprawiedliwić, dlaczego w tradycji warszawskiego demokratyzmu *Głos* jest uważany za jego pepiniere. skąd rozeszli się po całej prasie i podobno po całej działalności społecznej szermierze wszystkich jego odcieni.

Tylko pierwszej zresztą z wymienionych grup przypada

całkowicie rola twórcza w programie właściwego *Głosu* — zostali, nawet wchodząc do redakcji, pełnili już raczej pracę wykonawczą, polemiczną lub po prostu korzystali z wolnej i niepokalanej trybuny do szczerego wypowiedzania się.

Z chwilą ukazania się *Głosu* powtórzył się w formie dość gorszącej epizod walki starych z młodymi z przed lat piętnastu. W szeregach zaciętych przeciwników pisma i kierunku znalazły się zresztą i ex-młode, jak *Prawda* Świętochowskiego i *Przegląd Tygodniowy*. Świętochowski witał niechętnie ruch socjalistyczny, jak kurzawę z nizin sypiącą w oczy — *Głos* zaś powitał wprost wrogo, nazywając go gniazdem »literatów nie mających gdzie pisać«, choć wielu z nich pisywało... w *Prawdzie*... W pysze swej chciał przez mikroskop badać owe, jak mówił, »grzyby i mikroby« społeczne... *Przegląd Tygodniowy* ostrzegał dobrotliwie prenumeratorów, że program *Głosu* jest pożyczką zaciągniętą u Rosyan. Oportunizm *Kraju*, jego »wahadlową politykę« zaatakował znowu od początku sam *Głos*, tocząc do końca z tym kierunkiem najzaciętszą, nieubłaganą walkę.

Od pierwszych niemal numerów pismo organizuje się w rodzaj gotowego do ataku i odparcia czworoboku. Na czele artykuły programowe pióra J. L. Popławskiego, J. K. Potockiego, Ad. Dygasińskiego. W nich rozpatrzone wszechstronnie znaczenie kultury ludowej, pojętej jako punkt wyjścia w organizowaniu żywych sił narodu. Od »wiary chłopskiej« pełnej obrządku polskiego, zrosniętej z obyczajem i nawet glebą ojczystą, przeciwstawionej »klerykalizmowi pańskiemu«, przebiera *Głos* wszystkie pierwiastki ludowej odrębności aż do karczmy wioskowej (Al. Dygasiński), gdzie widzi nie samą tylko gorzałkę, lecz jedynie dostępną ludowi formę klubu.

Wnętrze pisma zapełnione rzeczowymi artykułami o sprawie żydowskiej, ewolucji ekonomicznej, proletaryacie wiejskim, ratowaniu ziemi i parcelacji, o oświacie ludowej i jej najpilniejszych potrzebach. W dziale belletrystyki i poezji — taż sama od pierwszej karty — (*Nasze hasło* Maryana Bohusza i *Pod prawcem* Maryi Konopnickiej) troska o byt ludu. Szereg fejletonów rozpoczyna Maryan Bohusz pod wezwaniem *Bez obłudy*. J. L. Popławski (J. Nieborski, Wiat.) pisze swe znako-

mite przeglądy *Z kraju*, gdzie z ogromnem znanstwem i żywotnością porusza po kolei wszystkie sprawy pałace polskiej prowincyi. J. Hlasko prowadzi fejleton *Z obcego świata*. Liczne rubryki jak *Głosy*, *Kroniki* nadają pismu bojową ruchliwość, a zawsze widnokręgiem jego są wszystkie zabory polskie i równie się troszczy o sprawy Kaszubów lub Kurpiów, o stanowisko nasze na Spiżu, jak o rzeczy stołeczne. (Ta wszechpolskość nigdzie dotąd tak mocno zaakcentowaną nie była). Zawsze równie wierny zasadzie, interesy warstw wszystkich podporządkowuje interesom ludu.

Bojowy temperament redakcyi, a raczej grupy wyraża się w niepoliczonych polemikach. Cały stan szlachecki zaatakowany w rubryce *Memento*, gdzie pod pręgierzem stawia *Głos* nazwiska sprzedawczyków »dóbr rycerskich« w Wielkopolsce. Przeciwstawia im chlopską wierność i przywiązanie do ziemi, a na odparcie pruskiej kolonizacyi rzuci hasło parcelacyi większości majątków między chłopami. W polemice twórczej mocy — czuł każdy, że to nie »redakcyja« i nie »literaci« wojują, lecz grupa żywa po części tylko ujawniająca się w piśmie, stokroć głębiej i szerzej rozgałęziona pracą społeczną i polityczną w całym społeczeństwie — przez młodzież i lud zrosnięta z niem organicznie. I tak było i to stanowiło nieprzełamaną siłę i urok *Głosu*, w którym odrodził się typ filareckich i obozowych związków owych, w tradycyi polskiej mających zawsze pierwszorzędną doniosłość.

Że za często w braku cenzuralnego argumentu *Głos* powoływał się na zasadę *stat pro ratione voluntas* — to rozumiano w lot, jako wyraz konieczności politycznej, jako ową *ultima ratio* instynktu samozachowawczego, gdy nawet świadomość nie ma lub częściej nie może wysunąć uzasadnień właściwych. Garnęła się też młodzież do »redakcyi« *Głosu*, gdzie J. K. Potocki i Jan Popławski stanowili jakby podwójną gwiazdę, kierującą obrotem dusz współwiernych. W najmniejszej części swej ci dwaj apostołowie odrodzenia polskiego nie wyrazili się w pismach: wpływ ich osobisty, urok charakterów przeczystych i potężnych umysłów wywarł się w tysiącnych — literalnie — obcowaniach, w prozelityzmie wiernych, bo nikt od nich nie odszedł, nie czując się lepszym i silniejszym, a bratali

się z każdym, kto przychodził w dobrej wierze, mając czas dla wszystkich. Gdy pierwszy dzielił się z każdym niewyczerpanym skarbem serca i umysłu, drugi miał nigdy nie strudzony, nie zwątlony w żadnej przeciwności temperament bojownika, nieomylny instynkt polskiego obowiązku, niezwykle dar orientowania się w gmatwaninie spraw naszych społecznych i politycznych, oraz fenomenalną wprost ich znajomość. Pierwszy więc przeszedł w tradycyi pokolenia jak symbol prawy człowieczeństwa i piękna duchowego, jako idealnie wzniosła i ukochana postać Nauczyciela, w drugim zaś uznało bardzo wielu zbawienny typ woli jednolitej i stanowczej, powołanego w bojuwaniu narodowym — Wodza.

Nie dziw, że w *Głos* — wierzono. Wierzyli młodzi, na razie jeszcze nie zwaśnieni konieczną waśnią programów — konieczną, bo antagonizm różnej broni występuje zawsze silnie nawet w tej samej armii, gdy zuchwała i wierząca w impet natarcia jazda nie dowierza i lekce sobie waży rachubę artyleryi, a ta znów wzajem odplaca pierwszym lekceważeniem. Cóż dopiero tutaj w pospolitem ruszeniu sił polskiej i niepolskiej demokracji, gdzie nie tylko broń, ale rasa, obyczaj, warunki działania bywały tak bardzo różne, jak różnym jest mieszcuch od wieśniaka, żydowski tłum od tłumy wioskowego, doktryner gabinetowy od urodzonego bojowca. W *Głos* wierzono przedewszystkiem dlatego, że dawał zawsze rękojmię żywotności i dobrej wiary w tem co czynił, a jeśli się różnił od wielu odłamów opinii demokratycznej, to zbyt wyraźnem było, że różnice te nie przemawiają wszakże na korzyść reakcyi.

Dobrze czuli przeciwnicy, że nawet »drobnomieszczańskość« *Głosu* jest tak jednak daleką od programów pozytywno-burżuazyjnych, jak właśnie temperament szlachecki od rachuby kapitalistów. *Głos* napadający na troglodytizm reakcyjny we wszystkich postaciach, przeszczerpiający pojęcie anarchii (Al. Więckowski) na grunt miejscowy — nie budził obaw o zastój pojęć lub hipokryzyę celów, a o to instynkt narodu stał najbardziej w tej dobie fermentów i wypowiedania się z niemych sił swoich. Dlatego to pismo o zakresie wskroś napozór politycznym stawało się zarówno ogniskiem nowych prądów twórczych, brało na się rzecznictwo samorodnych objawów

w sztuce. Dlatego Konopnicka, Żeromski, Sieroszewski, Kaspro-
wicz, Reymont — więc to, czem żywić się miały lata na-
stępne — kupili się lub po części wprost wchodzili do litera-
tury przez *Głos*.

W ten to sposób zakwitnął jak żywy paradoks polskich
stosunków ten kilkuletni okres *Głosu*, gdy kilku bezspornych
szlachciców podniosło najwyżej sztandar ludowości, gdy
kilka rozumów wprost wyjątkowych upomniało się gromkim
głosem o prawa instynktu i temperamentu, a ruch ten
w każdym calu, w każdym błędzie i w każdej zalecie naro-
dowy i tradycyjny — wyraził zarazem dążności najbar-
dziej może w ostatnich latach życia naszego wszechludz-
kie, jak to niebawem poznamy ze zrośnięcia się tego ruchu
z tem, co wieczyste i powszechne — jak sztuka, poezya,
twórczość.

71. Powtarzamy raz jeszcze, że nie piszemy tu dyaryusza
społecznych i politycznych przemian naszych. Musimy więc po-
prześcić na tych zaznaczeniach zaledwie całokształtu objawów,
stanowiących tło właściwego przedmiotu tej książki. Zapamię-
tać należy, że rozwijające się z żywiołową koniecznością ra-
chunki społeczne w tym właśnie momencie zdają się po
raz pierwszy od lat wielu znowu obejmować wszystkie pozycje
życia, zaś bilans ich wyraźnie — i to bez różnicy odcieni —
mierzyć się poczyna ostatecznym stosunkiem każdej do — ludu.
Sama więc idea narodowa pod tym stygmatem ludowości dąży
do odrodzenia się z głębi żywiołów swoich.

To co nastąpi dalej w układzie naszych sił społecznych,
partyi, stronnictw, organizacyi — jakie przejdzie koleje »walka
klas« — ich współpracownictwo lub współzawodnictwo, jak się
sformułują programy — do nas nie należy. Natomiast zacie-
śnijmy szeroki, bo obejmujący już przynajmniej ideowo całe
społeczeństwo krąg tych przemian i zadajmy sobie pytanie, czy
przybył jakiś nowy kształtujący czynnik w twórczości
polskiej?

Owo wprowadzenie ludu, jako ostatecznego kryterium
w podporządkowywaniu interesów poszczególnych interesowi

ogółu — czy ma i w literaturze taką doniosłość wprost roz-
strzygającą o jej przyszłości, jak miało w życiu społecznym?

Lecz tu opuścimy już teren publicystyki i nie będziemy
powoływali się jako na argument na obfite piśmiennictwo, które
z tego hasła demokratycznego powstało. Dla pamięci również,
nie dla dowodu zanotujemy, że po Promyku i Miarce powstał
w ślad ogromny dział literatury dla ludu, liczący dziś
po latach trzydziestu setki nazwisk, tysiące tytułów i miliony
egzemplarzy książki popularnej. Upamiętniły się w nim na-
zwiska bądź znakomitych popularyzatorów ludowych (M. Brze-
ziński), bądź niestrudzonych organizatorów tej pracy (B. Hirsz-
feld) — przybył słowem nowy obfity dział piśmiennictwa lite-
raturze naszej.

Lecz i nie o to idzie. Nie idzie również o samo rozszerze-
nie terenu obserwacyi, o przysporzenie przedmiotu
naszej twórczości, co oczywiście musiało być następstwem zbli-
żenia się do ludu.

Ale widzieliśmy już w latach poprzednich, że np. stano-
wisko polityczno-historyczne lub przyrodniczo-naukowe — nie-
zależnie od swoich następstw społecznych — ma zawsze równo-
ważnik i w dziedzinie estetycznej.

Czy ludowość ma taki równoważnik?

Odpowiedzią na to będzie zupełne odrodzenie twórczości
polskiej pod wpływem tego hasła rozkwitające.

Jeżeli dwa wyżej powołane czynniki, występujące w siód-
mym i ósmym lat dziesiątku, dały tu i owdzie literaturze na-
szej jakiś rodzaj (szkic historyczny, powieść historyczną —
fejleton i t. p.) — to teraz potężny pęd życia oczyści ją z wszel-
kiej martwizny i wszystkiemu, co pływało po wierzchu w for-
mie tendencyi lub doktryny, da moc żywą wyrazu i dozwoli
sprząć się w kształt artystyczny.

Znamy z literatury własnej i powszechnej znaczenie pier-
wiastku ludowego w twórczości tak potężnej, jak twórczość ro-
mantyizmu. Język, rytm, barwa, koncepcya ludowa stawały się
wówczas punktem wyjścia arcydzieł od bajki Hoffmana do pio-
senki Heinego, od sielanki Brodzińskiego do *Dziudów*.

A cóż dopiero tutaj w dobie obniżenia się poziomu este-
tycznego pod strychulcem dydaktyzmu, w oschłej atmosferze

logizmu i przeświadczenia, w piersiach które poczynają tracić dech głębszy i pierwotność wrażenia?

Oto wprowadzano ponownie lud — skarb mowy i legendy, samorodnej mocy twórczej, niestarganych związków z przyrodą — zgoła żywy twór dyszący radością i potęgą istnienia, przebogaty w sposoby jak ziemia, prastary w tradycji jak czas, a wreszcie młody, bo żyć dopiero mający — w przyszłości!

Tu kształtująca t. j. właśnie estetyczna potęga wypływała już nie z doniosłości tego czynnika dla indywidualności twórczej, lecz z tego, że sam on był żywą, istotną indywidualnością zbiorową, w której wszelka indywidualność jednostkowa nie materyał już, lecz wprost współpracownika miała pozyskać. Że to było samo źródło twórczości, które wreszcie ponownie odkopano z pod gruzu surogatów i formulek.

Oto dlaczego lud, żywa indywidualna moc — wtargnął z niebywałą wszechstronnością we wszystkie nasze sprawy twórcze — objął wszystkie rodzaje literatury, odświeżył je, odmienił, wskrzesił zamierające, stworzył nowe, gdy raz padło to hasło.

Powtarzamy tu lud, ludowość, bodaj narażając się na łatwy zarzut chłopomanstwa od lada kauzyperdy literackiego, bo i dziś jeszcze całkowitej formuły tego cudownego zjawiska, prócz że jest żywym śpichlerzem sił człowieczych, nie znamy. Nie znamy wszystkich jego atrybutów — nie wiemy więc, na którym oprzeć się należy. Ani prostota ludu, ani barwność, ani ostrowidztwo jego zaostrome w świtach i zachodach, ani moc przetrwania, podobna do martwej zimą a z wiosną żywej gleby, ani słowo jego przebogate rytmem, malowidłem, rysunkiem, ani jego widnokraj przeogromny od baśni rozlewnej jak morze do aforyzmu nieubłaganego jak stal, ani jego pamięć, skarb wieczny pokoleń, ani jego moc rodna, ze źródłami niewyschniętymi bystrych, szerokich wód spokrewniona — żaden, żadne z tych ujęć nie zdoła wypowiedzieć, jak wszystkie razem objąć nie zdołają nic więcej prócz tego, co my mu z awdzięczamy, co w nim kochamy, nie zaś to, czem jest on sam.

Dlatego to — zobaczmy — ilekolwiek zaczerpną lata następne z tej krynicy cudu, którą jest lud — zawsze on wię-

cej jeszcze dalszym latom przekaże. Jest jak owo morze, na które patrząc wołał Tycyan: *Sempre si fa il mare maggiore*.

A jakaż będzie odmiana, gdy wyczerpawszy nawet »atrybuty«, niby nad brzegiem morza stojące niedobitki — ustąpimy jego wszechmocnej fali kruchego brzegu doczesności. Czyż to nie pierwsze fale — krew z krwi tego żywiołu — Kasprowicz, Reymont, Przybyszewski odmieniły w nas w paru chwilach więcej, niżesmy sami, choć już rozkochani w ich »wiecznie rosnącej« ojczyźnie, latami mogli odmienić?...

Lecz dość o kształtującej sile ludowego prądu — spójrzmy w nowe lub odnowione przez niego kształty twórczości polskiej.

ROZDZIAŁ XIII.

Nowella.

72. Ma swoją przeważną, ulubioną formę każda wielka czy mała doba twórczości. Bywa nią raz poemat heroiczny, to znów lekki anakreontyk, sceniczny utwór lub wielmożna powieść, obszerna jak pamięć narodów memuary Saint-Simona, albo ostrowidzące pamiętniki Paska, to wreszcie na pozór urywkowe a w istocie swej jakże skupione dokoła jednego ogniska aforyzmy, myśli, uwagi, próby humanistów... Podług panującej w danej chwili formy poznać ducha epoki, jak podług skorupy rodzaj małża, który ją zamieszkiwał — aż do owych form efemerycznych feletonu, polemiki, artykułu wstępnego, w których tak sobie upodobał dojutrkujący a krótkiego oddechu duch naszych czasów.

Widzieliśmy kilkakrotnie, że nawet na szczupłej przestrzeni kilkudziesięciu lat, które tu poznajemy, wybija się raz wraz taka panująca forma literacka, w której społeczeństwo najchętniej się wyraża.

Niewiele jednak miało tę doniosłość dla podniesienia poziomu literatury naszej, wyrażania się nowych zawiązków ducha, rozumienia skali obserwacji i wpływu wreszcie na wszystkie inne formy literackie, jak rozwijająca się w dziesięciolecie, o którym mowa — w cudownym wprost rozkwicie — nowella.

Wszakże wiemy, że powstała nie u nas i nie w tych latach. Powstała w przebiegu literatury powszechnej wiele razy, wieloma zawodami, podług nazwy swej zawsze zwiastując nowość, odnowienie artystycznego wątku twórczości. Bywała zawsze formą poprzedzającą wielkie wezbrania twórcze, czy w dalekiej dobie Bokacyusza, czy w nieprzeżytej dotąd zapowiedniej jutrzni romantyzmu. W ulotnym, jak pejzaż odsłaniający się coraz inaczej w blasku błyskawic kształcie swym niosła nowella zawsze najżywotniejszy zespół sztuki z życiem, podając jakoby próbne wzory dla wielkich form, w jaką to pełnię wrażenia te oba wiekuiste pierwiastki sprzęgnąć potrafi geniusz twórczy.

Wiek XIX-y, tak do dna znurtowany nieuspokojonymi prądami ducha, widział niebывały rozkwit nowelli. Jak brylantowa rosa, zapowiadająca dzień wielkiej pogody, iskrzyła się ona w całej literaturze w chwili wielkiego wschodu romantyzmu — bywała ową drobno zmarszczoną powierzchnią toni, gdy poruszają ją pierwsze porywy burzy i naporu, nim potem poczną się piętrzyć niebotyczne fale.

W cudownej kolei wpływów »nowości potrząsając kwiatem« niosła nowella to pierwsze świetne barwy »miejscowego kolorytu«, to owo zapatrzenie się pokoleń w zaświaty, to coraz głębsze, zadumane wejrzenia w żalodne wątki serc ludzkich, to umiłowanie coraz wszechstronniejsze maluczkich i bezimiennych. Tradycje Hoffmana lub Tiecka krzyżowały się z nieporównanym sentymentem Poego, świetny talent Merimego w bronzowych medalionach odbijał niedościgły wzory sztuki nowelisticznego — nieprawdopodobny Turgeniew z chaosu rosyjskiej duszy wydobywał swoje perły najczystszej sztuki — i niosła się ta fala nowości aż do dni naszych, kiedy Maupassant i Daudet w nowelli przedewszystkiem zwyciężyli jałowość naturalizmu, dając w pozornym obiektywizmie treść dusz współczesnych tak żywą i bolesną, jak w kroplach krwi żywą bywa męka śmiertelnej rany.

Merimé, który ten był dla nowelli, czem Balsac dla powieści, Turgeniew — poeta jej najwierniejszy, Maupassant i Daudet, czułościowy Coppé, Bret Hart, odkrywca kolorowej duszy — a potem nieprzeliczona mnogość Skandynawów na flamandzki

sposób obrazkowych, sentymentalnie-szlachetnych Słowian, Francuzów, niewyczerpanych w żywej opowieści — całe legiony pisarzy w drugiej połowie wieku XIX rzuciły się do tej wdzięcznej nad wszystkie formy.

Nowella to graniczy z poezją w prozie (Turgeniew, Baudelaire), to wkracza w dziedzinę humoreski (Bret-Hart, Twain), to się błąka w labiryntach fantastyczności (Poe), to się zapożycza od fantasmagoryi Hoffmana i Andersenowskiej bajki, to zbliża się do folkloru, to zuchwale przemycza w kruchej swej lupince temat z filozofii i historyozofii (France) — a roztacza się tak szeroko, jak tylko pada promień ludzkiego uczucia, a treść swoją niesie zawsze z nieporównaną wprost taneczną swobodą i lekkością.

Osobliwa budowa tej formy literackiej, pod którą próżno podszywa się wszelkie anekdotiarstwo, polega przede wszystkim na tem, że ona nigdy nie jest ułamkiem ni fragmentem, lecz zawsze całością — tak właśnie jak całością — mikrokosmem — względem wszystkiej masy wód jest każda kropla rosy, jak kropla krwi sama w sobie, syntezą jest całego krwioobiegu. Jest ta forma zawsze wstępnym zwycięstwem sztuki, nim odnawiające się jej moce odniosą zwycięstwo w wielkich dziełach i koncepcjach.

W bliżej tu nas obchodzącej chwili nowella prócz wielu innych cech dwie zwłaszcza znamienne jawi i to na całym obszarze literatury powszechnej: po pierwsze podobnie jak poezya brata się w wyraźnej wzajemności ze sztukami plastycznymi — powtórę zaś cała niemal, z wyjątkiem kilku osobliwie odrębnych talentów, jak najobficiej czerpie z pierwiastku ludowego. W malarstwie nowoczesnym zapanowuje (na miejsce dawnej przyciężkiej »rodzajowości«) swobodny motyw, ulotny szkic wrażeniowy. Nowella tą techniką szkiców i motywów posługuje się chętnie — i nawet tym samym co one podlega zwyrodnieniom. Pierwiastek ludowy powrotną falą (po romantyzmie) wraca zarówno w sztukę jak w literaturę. Lecz już nie »koloryt lokalny« a cały folklor wpływa na nowellę i życie ludowe samo w nieprzebranem bogactwie a zupełnej prostocie staje się ulubionym tematem, czy to w Bretanii i Normandyi, czy na półwyspie Skandynawskim, czy wśród

kolorowych ras Ameryki, czy w wioskowym trybie Słowiańszczyzny — i aż do objęcia wszystkiego, z czem obcuje prosty człowiek — do dżungli indyjskiej i chłopskiego dobytku.

Nowella to wszystko ogarnia.

73. Możemy tu śmiało stwierdzić, że nowella polska była pierwszą formą literacką okresu, w której zrównaliśmy się krokiem z literaturą europejską. Podczas gdy poezya nasza jeszcze jest jakby nie zbudzona i powtarza sennie gest przeszłości, lub znowu trzeźwiejąc, przestaje być poezją i wątku bogatego poezyi francuskiej lub angielskiej tej doby nie ogarnie; kiedy scena jak wiemy (57) stoi niemal wyłącznie naśladownictwem zagranicy, kiedy powieść wreszcie zaplątała się w tendencyi i przerabianiu miejscowych bardzo względną wartość mających motywów — nowella staje odrazu na poziomie najwyższej, europejskiej miary i to nie na krótką chwilę i nie w jednym jakimś talencie, lecz na długo w całej zbiorowej pracy pokolenia.

Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus, Dygasiński, Klemens Junosza, Szymański, Sewer, Okoński, Kosiakiewicz, Zapolska, Ostoja, Konopnicka, Broliś, Gomulicki, Sygietyński i wielu innych otwierają ten przebogaty dział współczesnej literatury, w którym już na początku lat następnego dziesiątka odpowie im Żeromski, Reymont, Sieroszewski, Dąbrowski, Niedźwiedzki, Tetmajer, Niemojewski...

Nowella stanie się dla wielu koniecznym etapem w drodze do dalszej twórczości. Dla wielu jednak pozostanie na całe życie umiłowaną formą, w której złożą cały swój skarb.

Zmęczony już nieco fejleton nowelli przekaże względy publiczności — pisma pochwyca ją, jako zbawienny »numer« programu — zawirują w atmosferze warszawskiej tysiączne jej »pyłki« i »iskierki« — aż wreszcie złudzeni pozorami łatwości przygodni literaci i zabawiający się literaturą dziennikarze rzucą się na tę formę i z szlachetnego a trudnego kunsztu medalierstwa urządują sobie przejście do fabrykowania... kotylinowych świecidełek, z niedostępnego wirtuozostwa miniatury

wezmą wzorki do... kolorowanych fotografii. Niemniej jednak nowella spełni swe zadanie: da wyraz nowym potrzebom twórczym o podniesionej skali artystycznej.

Na czele zaś całej zupełnie świetnej plejady nowellistów polskich wybłyśnie imię ogromnego uroku najwcześniej i najpowszechniej zwiastujące czas odrodzenia: Litwos.

Gdyby całą twórczość Sienkiewicza zredukowało jakieś fatum do tej jedynie doby, w której pod tym młodzieńczym pseudonimem stworzył polską nowellę — nazwisko jego miałyby już na zawsze utrwaloną w literaturze kartę. Przedewszystkiem — w znaczeniu wpływów na przyszłość nie waham się faktu tego postawić na pierwszym miejscu — cała młodzież ówczesna w twórczości Litwosa odnalazła wreszcie wiosenne tchnienie jakiegoś, ton ów »młodzieńczo nierozważny ale i młodzieńczo szlachetny«, tak utęskniony dla serc wezbranych nieokreśloną nadzieją życia, gdy ono jeszcze równo znaczy w otwartych po raz pierwszy na świat oczach — z pięknem. Od nowel Litwosa biły zbawienne promienie duchowych świtów, tchnęło serdeczne ciepło porywów czystych, lotnych, uroczych. Pokolenie nie mogące wprost nie pozostawać pod urokiem Turgeniewa *Zapisek myślowego*, *Wód wiosennych*, *Pierwszej miłości* — tu w *Szkicach węglem*, *Hani*, *Starym słudze* odnajdywało ten sam podserdeczny wątek, ale jakże radośnie stwierdzając jego niestargany związek z polskością. Tymczasem twórczość Litwosa wzbierała coraz większą pełnią: z nowel jego czyniła się przezczysta atmosfera skąpanych w rosie poranków. Każda stawała się niezapomnianym etapem, wzorem — wszczepiała się każda we wdzięczną glebę pokolenia, jak szczep szlachetny w porę zasadzony. Dziś po latach trzydziestu, wobec bardzo odmienionej stopy artystycznej powszechnych wymagań, nowelle Litwosa nie straciły ani jednej skry swoich blasków. Owszem: tem wyraźniej, że z oddalenia widzimy ich urok. Każda jest zwycięstwem swojego rodzaju. *Szkice węglem* to obraz dramatyczny o niezatarzonych konturach prostoty, jak tryptyk przez jakiegoś prymitywa uczyniony z bolesnego żywota Rzepowej, gdzie z jednego brzegu ram wychyla się zatracona głowa chłopca, z drugiego maskaron Zolzikiewicza — środkiem zaś na tle chałupy okazane męczeństwo bezradnej, po cóż i komu pięknej wioskowej madonny.

Nic w literaturze wszechświatowej nowelli nie stoi wyżej tego obrazu grozy, piękna i żalości... Ani nigdy czystszy rysunek, genialniej prostsza technika nie utrwaliły tematu nowelli od tragicznej *Wenus z wyspy* Merimego do Maupassanta *Boule de Suif*. *Bartek Zwycięzca* rozwinął się w oczach naszych jako fryz, gdzie epizody bohaterskie i sielskie przeplatają się z groteską tak organicznie, jak oto twarze garbate satyrów i grona winne ze scenami dyonizyjskiej procesyi na starej płaskorzeźbie. Z obydwóch arcydzieł nowellistyki polskiej zarazem zrywa się moc jakaś zrozumianego żywota ludu i krwawy żal spóźnionego kajania się. *Z pamiętników poznańskiego nauczyciela* poznajemy nieubłagane przykazanie walki, która toczyć się będzie odtąd *usque ad finem* między prawem a przemocą. I znowu jest jakieś trafienie genialne w ton niemilknący i powszechny. *Latarnik* odnowi cudownie dalekiem echem tęsknoty żywy ból patryotyczny; *Jamioł* niewiarogodną prawdą szarpnie najtwardszą wrażliwość, podczas gdy *Janko-muzykant* poruszy w najsentymentalniejszych nawet duszach strunę tkliwości rzetelnej. Chmurne dzieje młodzieńczej miłości Selima i Hani, wplecione w sielankę polskiego dworu, i wizerunek starego sługi, w niczem nie ustępujący starym portretom, zagrają kurantami wspomnień rodzinnych po całej Polsce.

Sienkiewicz już jako autor *Trylogii*, mistrz zupełny prozy polskiej, napisze potem cały szereg nowel, istnych pereł przejrzystego artyzmu — ale te pierwsze nowelle Litwosa pozostaną najcenniejszą kartą jego i polskiej nowellistyki — niosły bowiem pierwszą zapowiedź wzbierających w twórczości polskiej sił. Trudno wobec fenomenalnej giętkości talentu Sienkiewiczowskiego znaleźć dla tego nawet cyklu młodzieńczych jego utworów porównanie w literaturze europejskiej. Mają one swoją własną psychologię, język własny i własną architekturę. Gdzie źródło ich uroku? Zapewne w zespoleniu się ponownem jakichś pierwiastków nieskończenie rodzinnych z bardzo ogólnoludzkimi, wrażliwości wskrós artystycznej, harmonijnej, eurytmicznej z mocnym, niemylnym instynktem życia. To pewna, że nowelle te językiem i sentymentem — zwłaszcza impetem tęsknot i porywów z serca w serce płynących — po raz pierwszy od lat wielu mówią do nas znajomą mową r o m a n t y z m u.

Całe się płonąją jego odblaskami i niosą z sobą radosny szum łamiących się nad nurtem myśli naszej lodów. A rdzeniem ich wyraźnie polski lud, a miarą ich wyraźnie nie co innego jeno zupełna, wielka sztuka. Nowelle Litwosa przypadły na sam przełom lat ósmego i dziewiątego dziesiątka — były jasnowidzeniem dalszego losu literatury i myśli.

Natychmiast odpowiadają im obfite wschody na wielu naraz zagonach.

Orzeszkowa daje następnie w kilku tomach *Z różnych sfer* (1882) zebrane obrazki, gdzie podziwiamy jakąś pieczołowitość macierzyńską w zbieraniu i przytulaniu najniklejszych ludzkich istnień, wędrówkę niestrudzoną po suterrenach i poddaszach, miłosierne uczynki odgadującej dramaty maluczkich intuicyi. Nowelle te staną między dawnym a nadchodzącym okresem twórczości Orzeszkowej, jak między szkolną jeszcze »pierwszą manierą« a zupełnem odnalezieniem siebie malarza staje zazwyczaj niezliczona owa a dobroczynna mnogość szkiców z natury, na pozór tylko notatek obiektywnych, w istocie zaś już coraz indywidualniejszych prób patrzenia na naturę.

To samo powtórzy się w nowellach Prusa, których zbiór p. t. *Szkice i obrazki* wypełni niebawem cztery tomy (1885), wyprzedzające cykl wielkich powieści. Prus tu w przeróżnych *Antkach i Michalkach*, w mikroskopowej analizie dzieci, w niestrudzonej szperaniu po wsiach i przedmieściach nagromadzi skarb obserwacyi, doraźnie wiążąc wszelkie źdźbło popolitego, bieżącego życia z niepospolitą głębią własnego serca, z wiekuistym przykazaniem miłości bliźniego. Niech mu się przemiany światów układają przyrodniczo w walkę kolorowych porostów na omszałym kamieniu, ale jedno takie arcydzieło, jak np. *Kamizelka*, wystarczy za najzarliwszą propagandę humanitarną.

I to jest właśnie tryumf sztuki w mikroskopowym niemal kształcie nowelli zamykać mogącej więcej niż na tomy tendencyi rozmiarowa dydaktyka.

Dla Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa nowella jest bezwątpienia przejściem do twórczości na wielką skalę, mającej w następnych zaraz latach stworzyć trylogie i cykle najwy-

bitniejszych polskich powieści. Bystry obserwator z łatwością rozpozna w tych nowellach ślady najrozmaitszych wpływów od Dickensa i romantyków do naturalistów i folkloru. Odnawia się wyraźnie paleta artystyczna polskiej belletrystyki — wszyscy piszący korzystają pod jednym przynajmniej względem z europejskiej lekcyi realizmu — właśnie w nowelli zaostrzając zmysł obserwacyi na zbawiennej praktyce szkiców z natury i wzbogacając język żywym materiałem wszelkiej gwary.

74. Zupełna doskonałość formy jest zapewne równie trudną do osiągnięcia w nowelli, jak w każdym innym rodzaju literackim. Może nawet trudniejszą, gdy się zważy na przejściowy charakter tego rodzaju między powieścią a prozą poetycką, oraz na czyhające zawsze na nowellistę niebezpieczeństwo dorywczości, fragmentaryzacyi, anegdoty. Niemniej jednak dla powabu formy, dla swej dosadności, dla ładującego zwłaszcza pozoru łatwości w wykonaniu (w porównaniu z powieścią lub formą sceniczną) — nowella bywała zawsze ulubioną formą wypowiedzania się dla momentów obfitujących w nowe nastroje uczucia, nowe pionierskie myśli, nową wreszcie a urozmaiconą treść życiową. Najwyraźniej stwierdziło się to w dobie, o której mowa.

Po kilkunastu tomach nowel Litwosa, Prusa, Orzeszkowej nastąpiły czasy szczególnego urodzaju dla nowellistyki polskiej.

Współcześnie występują dwa talenty nawskróś nowellistyczne, przedziwnie w literaturze naszej uszlachetniające pojęcie rodzajowości, dwie bratnie organizacje wieśniacze, umiające odkryć cały świat bólów i poezyi w obrębie małomiasteczkowego rynku, drobnej zagrody, podwórka chłopskiego a wreszcie psiej budy lub między zajęcej — mówię o *Adolfie Dygasińskim* i *Klemensie Junoszy*.

Wodzą się te dwie mazurskie dusze po zagonach i ugorach Mazowsza ani oczu nie odrywając od jego szarych bródz i żółtych piachów — właśnie jak para nadwiślańskich bocianów, przed którymi żadna kępa na strudze, żadna chałupa na rozstaju nie uchowa swych cichych, codziennych tajemnic. Jakoby

się umówili: jeden i drugi gospodarzą przede wszystkim na chłopskim obejściu.

Ziemia jest żywiołem chłopca, chłop znów wycisnął niezatarte piętno na wszelkiej rzeczy i stworzeniu, jak szeroko legły żytnie zagony, jak daleko biegały miodne miedze. Świat chłopski, świat wioskowy zrozumieć — to klucz posiadać zrozumienia powszednich szarych dni, z których się plotą lata i wieki tego bytowania na łąkach i błoniach, wśród lasów i błot, od zapadłych puszczy aż do przedmieść Warszawy.

A jako się cała ziemia polska pouczała wśród tysiącznych dopływów i rozwidleń jednego nurtu Wisły, że gdybyś dzwignął ją w przebiegu, to jakbyś za grzbiet podniósł cały ten kraj w jej dorzeczu zawarty, tak znów w tysięcznych zabiegach i kłopotach chłopskiej doli, w jeden wielki nurt bytu ludowego spływających — zwarła się wszelka moc i barwa dzisiejszej Polski i sięgnął jej wnętrza, kto sięgnął głębin tego nurtu.

Dwie sąsiedzkie dusze Dygasińskiego i Junoszy upracowały się do znoju w tym to właśnie widnokregu polskim dni powszednich. Co tam rozumiały? Oto przede wszystkim ten zasadniczy fakt polskiego życia, któremu na imię wieś.

Że wieś bynajmniej nie jest jednym z epizodów tak zwanej przyrody, lecz owszem całkowitem i wszechstronnym na pewien sposób jej ujęciem — syntezą żywą świata, obrębem potrzeb i władz wieśniaka określoną. Fakt ten bywał zawsze w twórczości polskiej punktem wyjścia jej odrębnych od wszystkich innych literatur pojęcia przyrody i ludu. Powtarzam zawsze, gdyż od Reya i Kochanowskiego do Mickiewicza, od czarłaskiej lipy do gruszy Maćkowej, od wojewódzkiego dominium do szlacheckiej zagrody, od *Żywota* Reya do *Pana Tadeusza*. Wieś nie jest epizodem, lecz konstrukcją całkowitą stosunku człowieka do przyrody, opartą na zażyłości gospodarskiej, sąsiedzkiej pierwszej z drugą.

To prawo wsi — które samo jedno powinno być od dawna przedmiotem wyczerpującej monografii w literaturze polskiej, gdyż tłumaczy nam zarówno typ polskiego humanisty pana-brata, jak i typ polskiego romantyka braterskiego ludziami i przyrodzie — prawo niezmiernie zasłużone w twórczości na-

szej, wyodrębniające i stygmatyzujące ją w szeregu wieków — przejawilo się i tu dzięki nieodrodnym tym duszom mazurskim. Nikt bezpośrednio i całkowicie nie odczuł prawa wsi, jak Dygasiński. Całe życie snuje się ten pisarz w literalnym i przenośnym znaczeniu po wszystkich zakątkach polskiej wsi. Z nad radosnych błon nad krakowskim Prądnikiem przenosi się na Poniwie, całe w przebogaty łąkach, to znów na błotne, wodą podlane puszcze nadnarwiańskie, to odbywa wędrówkę ku Częstochowie i waleśa się z dziadem-żebrakiem, to się rozraduje bogactwem pszennych Kujaw. Taki to zakres — jak cała Polska. Na tej dopiero solidnej podstawie naturalistycznej, szczegółowej i poglądowej przychodzi jego znawstwo przyrody. On przyrodę zna przez Polskę, Polskę zaś zna przez byt jej wioskowych mieszkańców we wszystkich ziemiach od krakowskiej do mazurskiej. To jeden żywy organizm dyszący życiem pod szarem niebem nad szarą Wisłą. Chłopak wiejski, dziad-włóczęga, rybak-wodnik, bartnik, rolnik — całe obywatelstwo pól, rzek i lasów a już wraz z współpracownikami, towarzyszącymi doli i niedoli z dobytkiem, kundlem z podwórza, zajęcem z pod miedzy, szarym wilkiem, skowronkiem i jastrzębiem aż hen z leśną tajemniczą głębią Bohboru, gdzie się rodzą myty — taki to świat objęło pojęcie wsi. Ale troskliwa chłopska zabiegliwość koło potrzeb życia — to jedna wspólna oś tego świata.

Głód i miłość rządzą w nim — prawu temu podlega zarówno wilk, psy i ludzie. Nie czem innym dyszy od świtu do nocy spracowana a miłująca wieś, ani łąka w południe rozdzwoniona i stubarwna w słońcu, ani tajemnych szmerów i szelstów pełny o północy bór. Społem żyje to całe obywatelstwo w ciężkim upracowaniu dni powszednich, dni ustawicznego boju o kęs pożywienia, jako i w słoneczne dni godowe, słońca i miłowania pełne. Dygasiński rozpierzcha się niejako po tym całym obszarze życia — coraz znika w jakimś gąszczu, skręca w jakiś zakamarek, to przypada w brzozy polne, to się czółnem snuje wśród szuwarów, to za chałupą na przyźbie się wodzi z psami — a raz wraz mądrym i miłującym wejrzaniem zaprasza nas na te gody.

Gdybyśmy tu pisali monografię prawa wsi, to zestawiając dwa światy ludzki i zwierzęcy jak one żyją w istocie

i w nowellach Dygasińskiego, już nie o miedzę nawet, lecz w zupełnej wzajemności — mielibyśmy nieporównaną sposobność przebrania jednego po drugim tych ogniów życia, stanowiących jedną całość — wieś polską. Lecz mamy tylko scharakteryzować pisarza — jaknajwięźlej. W tej więc wzajemności, w tem przeniknięciu się zupełnem dwóch światów w jeden — jaki jest żywy pierwiastek syntezy, nawskrós cechujący tę twórczość? Odpowiadam bez wahania: chłop.

Dygasińskiego wilk czy zajac, puhacz czy mysikrólik, Łuta czy Wachłak, bezdomna suka czy As — to są zawsze dalsze odmiany o b y w a t e l s t w a wsiowego. Schłopiałe to wilki i zajace, psy i ptaki — obrębem ich zawsze gospodarski zakres — a w nim się obracają wszędzie jako bogaty lub biedny gospodarz, jako rabuś wioskowy, zwyczajny koniokrad lub też biedna komornica, wyrobnik, hultaj, kutwa, przechera, zbój. Te same typy, te same charakterystyki ludzkie co zwierzęce, jak-gdyby chłopska zawzięta moc urobiła na obraz i podobieństwo własne cały już ten świat skrzydlaty i czworonożny, polny czy leśny, bliżej czy dalej obejścia ale zawsze pod jego stygmatem stojący.

Nie będę tu się rozwodził nad tem, że antropomorfizm taki jest koniecznością psychologiczną w traktowaniu świata zwierzęcego, czy pisze Ezop, Kipling czy Dygasiński. Cała rzecz w tem, co pisarz obrał za punkt wyjścia w takiej psychologii — od tego zależy, czy stworzył świat fantastyczny lub dydaktyczny, czy stworzył romans egzotyczny czy — poemat. Dygasiński stworzył poemat, wychodząc z założenia prawa wsi polskiej i ukazując nam przyrodę całą zrosniętą w całość na chłopski, gospodarski — więc najbardziej wśród ludzkich żywiołowy i jednolity ład.

Zanim zaś na schyłku życia — już pod wpływem odrodzonej poetyckiej atmosfery — zwarł te wszystkie pierwiastki życia w jedyne dzieło poetyckie (*Gody życia* 1904) — rozproszył je najpierw w ogromnej liczbie nowel (*Nowelle* 1884, *Z ogniu życia* 1886, *Beldonek* 1888, *Z pól i lasów* 1890, *As* 1896, *Łabędzia woda* 1901 i inne). Do najświetniejszych utworów nowellistyki naszej należy bezwątpienia nieporównana historia o chłopcu Beldonku i dziadzie Florku, przepojona filozofią prawa wsi

i krocząca tak przez tajniki ludowego bytowania jak bartnik przez puszcze, gdzie zna wszystkie ule i miody. Dalej znakomite ujęcia wsiowego obywatelstwa jak *Wilk, Psy i ludzie, As, Łabędzia woda*, nieporównany szkic rybacki *Nad wodami*, jak zresztą przeważna część nowel ściślej poświęconych ludziom i zwierzętom wsi polskiej. Skarb obserwacyi i skarb języka — w znaczeniu materiału — przynoszą te nowelle, pisane nierówno, to znaczy często bez płynności literackiej, więc niemal bez talentu, ale z przeblaskami genialności, to znaczy własnej indywidualności o wszechludzkiem, choć z miedzy wioskowej lot biorącym napięciu.

Dygasiński schłopił horyzont wsi — pokazał nam cały jako jedno »obejście«, gdzie obywatelstwo skrzydlate i czworonożne jest dalszym ciągiem (młodszą bracią) — chłopca. Klemens Junosza schłopił w podobny sposób jego brata starszą. Od jednej maćkowej miedzy wyruszyli obaj. Lecz podczas, gdy Dygasiński ruszył przez wieś, w łąki i pola, aż gdzieś w boru zasłuchał się w ogromną pieśń przyrody, Klemens Junosza ze wsi poszedł groblą koło karczmy i pachtu, zabawił długo we dworze i oparł się hen aż na małomiasteczkowym rynku pod bóżnicą, dziwując się do wieczora szwargotliwej, ruchliwej biedzie żydowskiej. Tych zresztą żydów i żydków stanie się niezrównanym monografistą od *Czarnego błota* do lichwiarskich wczasów w Karlsbadzie. Dwa promienie — rozbieżne — jednego widnokregu, którego ogniskiem jest zawsze — wieś.

Junosza chłopca zna jak Dygasiński. Ale gdy pierwszy przesywa go nawskrós rysiemi oczkiem ostrowidza i rozgrzesza go w imię wielkiego prawa Przyrody, gdy już całą objął w duszy, Junosza patrzy na chłopca jako brata-wieśniaka, uśmiechnięty pod płowym wąsem i rozgrzesza go w imię Ludzkości, gdy w tłumie bolesnym chłopów, żydków i szaraczków zgłębił do dna nieśmiertelną treść życia ludzkiego — cierpienie.

Obejściu chłopskiemu przeciwstawił — szlachecką zagrodę. Raczej więc jedno drugim uzupełnił, bo gmin szaraczkowy, zagrodnicy szlacheccy — ten podserdeczny bohater opowieści Junoszy — nie jest-że w rzeczypospolitej tylko inną odmianą »obywatelstwa« wsi, jak chłop i jastrząb? Niezmiernie żywe, wskrós z życiem zrosnięte miał Junosza poczucie jedności wsi

i prawo twarde a umiłowane jej bytowania nosił w sobie jako świętość. Kto tego nie zrozumie — nie zdoła nigdy pojąć, dlaczego żydki i szaraczki Junoszy, podobnie jak chłop i jastrzębie Dygasińskiego, przemawiają taką wymową do dusz naszych, czemu się czujemy ich krewnymi, czemu z tylu niezdarłych a rozwlekłych epizodów tych nieuczonych nowel — tyle jednak należy do najczystszej skarbu naszej literatury.

Przeważną część pracy Junoszy należy, mimo częstokroć znaczną objętość utworów, do nowellistyki. Najczęściej i powieści jego są ciągiem nowel, chociaż, jak to gdzieindziej stwierdzimy, niektóre (*Pajaki*) są wzorem powieściowej architektoniki. Począwszy od pierwszego zbiorku nowel (*Z mazurskiej ziemi* 1884) staje Junosza w pierwszym szeregu polskich nowellistów bodaj nieporównanym *Łaciarzem*, klasyczną, godną każdej literatury kreacją.

Jak Dygasiński ma swoje niezrównane koncertowe tria i kwartety, gdzie wilk, psy i ludzie lub Bryś, Brylant i Morton są wprost szczytem charakterystyki, tak Junosza ma swoje *Kirkuty* lub *Muzykantów*, gdzie jakiś Judka, Samowar, Lizobyker i Brumbas w niezrównanej werwie rodzajowego studium, wśród fajerwerków humoru, odsłaniają nam tło wieśniaczej i małomiasteczkowej egzystencji i nieporównany dar autora — dar jakiejś antropologicznej metampsychozy (*Nasi żydzi w miasteczkach i na wsiach* 1889, *Z zapadłych kątów* 1891, *Z antropologii wiejskiej*, *Icek podwójny* i inne). A jak Dygasiński dosięgnął w końcu łaski całkowitego wypowiedzenia się w *Godach życia*, tak Junosza stworzywszy niezrównane swe nowelle rodzajowe i wzorowe powieści (*Pajaki*, *Szyf*) dał może najgłębszy ton swego panie-braterskiego humanizmu, przesiąkniętego odczuciem ziemi rodzinnej na kilku kartach *Obrazków szarych* (1891).

Czemś niespodziewanem i nie od razu zrozumianem przez współczesność były nowelle Dygasińskiego i Junoszy. Wszakże nie dla nas, którzy wiemy już, jakim złotym kluczem było owo hasło ludu, otwierające skostniałe w pozytywnej atmosferze dusze na nowy potężny powiew twórczy. Zapewne w tych nowellach po raz pierwszy stanęła przed ogółem polskim ta całość bytu wsiowego, do której potem w coraz innej skali dziel mieli zawracać nasi pisarze — aż do wielkiego oratorium *Chło-*

pów Reymonta, aż do objawienia się samej-że duszy chłopskiej w żarliwej spowiedzi kilku wybranych... Lecz o tem mówić jeszcze nie czas. Wracajmy do dalszych a chlubnych dziejów polskiej nowellistyki.

Jednym z najśloneczniejszych jej promieni jest niewątpliwie *Sewer* (Ignacy Maciejowski), w szarzyźnie życia codziennego umiejący zawsze odnaleźć żywą barwę, w zgiełku powszednich interesów nie gubiący nigdy tonu szlachetnego, poetycznego, podług którego nastrajał każdą swoją pracę. Emisaryusz powstańczy i tułacz, jak Asnyk, cudownie ocalił w duszy ten sam młodzieńczy zapal apostolstwa, z którym ongi objeżdżał krótkotrwałe »województwa« — zdał mu się nieraz w nowej wędrówce po dziedzinach polskiego życia. Wędrówka ta objęła — w szeregu powieści, o których mowa będzie na właściwym miejscu, spory zakres pracy społecznej, podążając zwłaszcza za wszelkiem pionierstwem. Lecz w nowelli cały *Sewer* jest w swych obrazkach malowanych w słońcu, w których widzi bajecznie kolorowy świat polskiej wsi i czci wraz z nim jedną świętość — ziemię. Ziemia-ojczyzna i ziemia-warsztat, zlewające się np. u Prusa w jedno pojęcie ziemi-placówki — dla Sewera, rolnika z powołania, z temperamentu artysty, jawi się, jak i dla chłopu, czemś wprost mistycznym — czemś tak mocnym, jak śmierć i tak radosnym i umiłowaniem, jak życie. Chłop polski, gdyby mu sposobność dopisała, ze swą oblubienicą-ziemią brałby tak ślub, jak doża wenecki — z morzem. Czyż zresztą nie żyje z nią w dozgonnym związku?

Ten właśnie motyw wziął *Sewer* za punkt wyjścia swej psychologii i wżycia się w lud: przez ten pryzmat umiłowania tłómaczy nam ów rys chłopskiej duszy, tak w niej podstawowy jak tężyzna w szlacheckiej — ową kwardość niepożyta w pracy i walce o świętą ziemię.

Łatwo zrozumieć, że takie stanowisko pozwala jakimś religijnym niemal tchnieniem owionąć wszelką sprawę żywotną wsi. Przyrodnik Dygasiński, sąsiad Junosza, a znowu *Sewer* współczcieli świętej ziemi — oto współpracownicy chłopu w duszy polskiej, potężnie wspierający i genialną obserwację dramatu ludowego Sienkiewicza, i zasadniczą konstrukcję społeczno-ludową Prusa.

Sewer, choć często mówi o znoju pracy i zawziętej walce — przynosi jednak zawsze jakieś wiośniane technienie i świąteczne. Jak gdyby w jasne ranki niedziel palmowych jakieś barwne aleluja krasnych wiejskich tłumów, rozsnuwających się po miedzach i drogach — tak się utrwała w pamięci wrażenie nowel Sewera. Coś w nich uroczo pierzcha między wierszami jak blask słoneczny — coś malowniczo się przymila nawet wśród grozy. Dlaczego oto lud polski, przy całej swej kwardości, a taki spracowany wśród walk i troski — nie zaniechał nigdy fujarki i krakowiaka, hołupców a nabijanych pasów, wystrzyganek a pisanek — całej tej krasnej uludy życia, którą roztacza rad w świąteczne dni, którą umaja swe drogi i obejścia?

Poczynamy dziś domyślać się, że tam tkwi skarb lotniejszych porywów ku pięknu i bogactwu życia — nie wahamy się dziś i w tem zbratać się z ludem, rozumiejąc słusznie, że to — uskrzydlająca duszę ludzką sztuka tak barwi się i dźwięczy w prostym człowieku, jako i w pomazańcu wielkich natchnień. I tu jest jeszcze jeden — bardzo osobisty — rys Sewera. Sewer subtelny i świeży ma obserwację wsi jak pastel, jak akwarela jest bystry i stanowczy — patrząc, widzi przed sobą cały kalejdoskop barw, światła i ruchów i utrwała to w obrazach.

Nie jak biedny Janko-muzykant wyjątkowo, lecz jak lud wiejski wogóle jest Sewer uposażony w dar postrzegania piękna i radowania się pięknem — a nadewszystko jego przejawami w słońcu, przestworzu, w przyrodzie. Jest impresjonistą i maluje w plein-airze, bo inaczejby nie umiał.

I dlatego to jeszcze nowelle Sewera tak zbliżają się nastrojem do młodej polskiej sztuki i mają w sobie więcej malowniczości i stylu, niż niektóry obraz albo i motyw ze sztuki stosowanej!

Równocześnie zaś nastrój ten artystyczny jest pogłębieniem i uzupełnieniem psychologii chłopca i wsi, na które świadomie zdobędziemy się w kilkanaście lat później po całej kampanii poetyckiej, malarskiej i etnograficznej. Z licznych nowel lub epizodów rozsianych w powieściach Sewera (*W cieniu i słońcu*, *Nowelle*, *Dla świętej ziemi*, *Na pobojuwisku*) literatura zatrzyma jako klejnoty nowellistyki niezrównanej świeżości *Wiochnę* oraz

porywające werwą i głęboką prostotą studium *Maciek w powstaniu*. I Sewer-nowellista, naznaczony stygmatem piękna i młodości, przetrwa w tradycji literackiej w tym właśnie szeregu pracowników, za którym sam zawsze podążał najchętniej umiłowaniem i obserwacją — w szeregu pionierów.

75. Niepowszednie talenty kobiece wsparły nowellistykę polską obok Orzeszkowej. Gabriela Śnieżko-Zapolska przedtem, nim dała się poznać w szeregu powieści obyczajowych i utworów scenicznych, wystąpiła parokrotnie z nowellami (*Akwarelle* 1885, *One* 1890, *Fantazje i drobnostki* 1891 i inne). Talent znakomitej pisarki zaznaczał niejako w ulotnych nastrojach tych nowel rozrzucone po całym widnokregu życia punkty, które miała objąć następnie jej działalność w całej skali. Charakterystyczny dla Zapolskiej ton naturalistyczny odnajdujemy już w nowellach, często jaskrawiej, bo na tle jakiegoś romantycznego uniesienia, wyrażony, niż w późniejszych powieściach. Erotyzm, zaprawiony nerwozą i połączony z nałogami intelektualizmu, cechuje nowelle Cecylii Walewskiej, podczas gdy tenże erotyzm w nowellach Hajoty przybiera wiotkie kształty flirtu, zabawy salonowej i kaprysu. Z bardzo licznego grona nowellistek (Wanda Grot-Bęczkowska, Zyndram-Kościalkowska, Marya Paprocka i wiele innych) złudzonych raczej pozorami łatwej a modnej formy i mniej lub więcej obficie zasilających poczytną przez pewien czas rubrykę nowelli w piśmie, wyróżniła się szczególnie, realistyczną obserwacją, cierpliwą i sumienną pracą rekonstrukcyjną Ostoja-Sawicka. Niektóre jej obrazki jak np. *W głuszy* mają wartość flamandzkich szkiców rodzajowych (*Nowelle i obrazki* 1886, *Nowelle* 1889 i inne).

Lecz gdzie ponownie spotykamy się z rasowym poczuciem właściwego zakresu i charakteru nowelli, gdzie przypomną się nam jej najświetniejsze karty, to w obrazach Maryi Konopnickiej. Kilka zbiorów jej nowel (*Cztery nowelle* 1888, *Na drodze* 1893, *Moi znajomi* 1894 i inne) zawiera niejedną perłę nowellistyki, poczynając od nowelli *Pod prawem*, drukowanej w pierwszym roczniku *Głosu*. Wielkie bogactwo środków języ-

kowych i ogromna ruchliwość uczucia, tak potrzebne noweliście, cechują Konopnicką. Jedno i drugie doprowadza ją do najtrudniejszej a najcenniejszej zdobyczy w nowellistyce — do prostoty. Przyziemne żywoty istot najędźniejszych, a w nich wezbranie najgłębszych ludzkich bólów zna Konopnicka i podmiejskie egzystencye dzieci, i los łamanej prawem jak kołem tortury wyrobnicy, i przedziwną czystość dusz pątniczek ofiarowanych w zbożnej pielgrzymce życia. Ewangelicznie brata się z ludem i barwy jego żywe przenosi na własną paletę. Nowella Konopnickiej jest wskrós przepojona liryzmem i podobnie jak to bywa wogóle z najświetniejszymi kartami prozy — zbliża się jakimś wewnętrznym rytmem do poezji. Byłżeby to ów »jedyny język prawdy«, który nadaje niekiedy wspólny rytm wiązanej i niewiązanej mowie?

Inny poeta tego okresu Wiktor Gomulicki zasila również nowellistykę mnóstwem obrazków z życia lub fantazyi, to zbliżając się do zupełnego realizmu, to znowu cofając się z pośród jego życiowych dysonansów w świat krystalicznych poezji prozą. Z nowel Gomulickiego (*Obrazki prawdziwe, Kolorowe obrazki, Obrazki weneckie* i t. p.) przeziiera samotnictwo, nałóg refleksyi, stawiającej każde przeżycie w drugim świetle świadomości. Kunszt ich często bardzo wysoki, niekiedy zdradza cokolwiek maniery i doktryneryzmu. Lecz takie utwory, jak *Chalał*, pozostaną w szeregu najciekawszych dokumentów naszej nowellistyki.

Jeżeli Gomulicki, znawca i badacz miasta, zbliża się do zamieszkującej go ludności (częściej jednak woli mury od ich mieszkańców) przez archeologię, estetyzm, humanitaryzm i erudycję docierając do żydów i rzemieślników, starych panien i małych szewczyków — to znowu całkowicie i bezpośrednio oddanym średniej, mało i wielkomiejskiej sferze jest inny nowellista i powieściopisarz Wincenty Kosiakiewicz. Mówię bezpośrednio, gdyż on nie jako obserwator zniewolony tymi lub innymi względami zajął się losem i psychologią drobnych kolejarzy, rzemieślników warszawskich, wszelkiej mało- i drobno-mieszcząńskiej egzystencyi. On sam z tej sfery wyrasta, znając bezpośrednio smak każdej goryczy, cenę każdego promyka szczęścia, którymi tam żyje bezimienny »średni« człowiek. To

samo współczucie, które jest zawiązkiem wszelkiego bytu społecznego — leży w podstawie sztuki, gdy ona sięga spraw żywego stworzenia. Kosiakiewicz ma niezwykle dar takiego współczucia z tymi właśnie, ku którym najrzadziej obraca się wzrok obserwatorów i artystów, bo cóż tam wśród drobiazgów dnia powszedniego obserwować i jakież łup w szarzyźnie znajdzie dla siebie sztuka?

Istnienia uplątane w matnię długich godzin urzędowania, pozbawione w zakurzonych biurach, beznadziejnych warsztatach nawet tej poezji, którą ma bodaj błoto na drodze — istnienia ni to automatyczne, gdzież im do barwy i charakteru wsi — taki to teren objął w posiadanie Kosiakiewicz.

Łatwo zrozumieć, że wśród tej mieszczańskiej szarzyzny tylko ogromna siła współczucia może prowadzić artystę, odsłaniając mu ludzką treść zautomatyzowanych istnień. Dlatego całą nowellistykę Kosiakiewicza przyrównałbym do założenia najświetniejszej jego nowelli *Literatura mojej żony*. Tam urzędniczyna kolejowy, przeglądając kajet z rachunkami po nieboszczce żonie, odtwarza sobie dzień po dniu całą swą małżeńską przeszłość. Wśród spisów bielizny, wydatków codziennych przewijają się raty spłacanych długów, rzadziej ceny biletów do teatru — potem coraz częściej na urywających się kartach ceny lekarstw i honorarya lekarzy. I z cyfr tych wstaje przed oczyma człowieka całe jego ubogie szczęście minione — obraz po obrazie... Tak właśnie pisze Kosiakiewicz z cierpliwie zestawianych inwentarzy, drobiazgów, faktów pozornie bezdusznych wyplątując jak z obsłonek coraz to nową duszę ludzką.

Tak szerzące się w głąb życia zabory nowelli polskiej owładnęły w niezmiernie krótkim czasie, bo w ciągu jednego dziesięciolecia wszystkimi jego dziedzinami — aż dotarły do zaludniającego się na nowo polskimi zesłańcami Sybiru. Pamiętamy jeszcze żywo wrażenie ukazujących się w roku 1881—1891 *Szkiców Adama Szymańskiego*: było ogromne.

Jako bezcenne i upragnione świadectwo jedności duszy polskiej, której fragmenty los rozwlóczył od Westfalii do Sybiru, były te szkice nieoszacowane. Samotnej męce *Lata rnika* odpowiedział potężny chorał zesłańców z *Dwóch modlitw*.

Ktokolwiek wdumał się w fenomen tej nagłej, żarliwej

twórczości, tryskającej jak płomień z lodów sybirskich — tego musiał uderzyć potężny akord jej z twórczością myśli polskiej w ojczyźnie. Te postaci chłopca Macieja Mazura, żyda Srula z Lubartowa, ślusarza Porankiewicza, gajowego Jacentego, szewca Świstalki i nieszczęsnej Hanusi — nie były dalszym ciągiem długiego szeregu ludowych bohaterów i bohaterów polskiej nowellistyki od *Szkieł węglem* i *Bartka zwycięzcy*, do *Zaciarza*, *Wiochny*, *Pod prawem*, *Chałatu*?...

Dziś, gdy już nie pod pierwszym wrażeniem, lecz spokojnie zestawiamy te fakty — jakiejże potęgi, jakiej żywotności są one świadectwem, gdy oto przedwcześnie odrąbana od pnia gałąź — rzucona gdzieś w tajgi sybirskie — pokrywa się tem samem kwieciami co rodzinne drzewo w ojczyźnie?

A jeśli trzeba było jeszcze dowodu, jaką zmartwychwstańczą mocą był ów »prąd ludowy« w sprawie odrodzenia naszego — tu mamy dowód najbardziej wzruszający.

Szymański ogromnie w symbol skazańca, który oto ocalił żywot swój przez to, że stanął w kole maluczkich i wydziedziczonych, przeniknięty ewangelią braterstwa, człowiek wśród ludzi. Gdzie zawiódłby szlachecko-awanturniczy temperament Beniowskiego, gdzie dantejskie wizjonerstwo Anhellego splonęłoby samotnym ogniem samozatrąty — tam ratunkiem duszy zbolalej i upadającej pod krzyżem stał się ten bezimienny, szary tłum maluczkich — odnaleziona przez syna marnotrawnego rodzina. Jakże lka twórczość Szymańskiego w ramionach tych prostych ludzi, jakże krzepiąc Srula lub rozgrzeszając Mazura — sam on czuje się pokrzepiony i rozgrzeszony tym przelamanym z nimi chlebem braterstwa!... A wraz owa koncepcja ludu-żywiolu, ludu-placówki, ludu-cierpienia, ludu-ojczyzny, ludu-rasy, której coraz głębiej i szerzej zakreślone przemiany stanowiły, jak wiemy, sam rdzeń twórczych, odrodzeniowych przeobrażeń duszy zbiorowej — tu oto w tym czyściu zbrodni i kary, pod stygmatami braterstwa i przebaczenia — przybiera ewangeliczne, jak ów język płomienny zesłania, święcenie: l u d u - l u d z k o ś c i.

Te nowelle mogłyby prawdziwie nosić nazwę przypowieści — są w rzeczy samej przypowieściami zmartwychwstania rozkwitającymi na najciemniejszych kartach księgi naszego żywota.

Mniemam, że i autor sam, tak małowówny i oszczędny w mowie miał świadomość takiego właśnie charakteru swej pracy, gdy tworzył przypowieść za przypowieścią, aby uczynić całkowitą spowiedź na pożytek społeczności.

Słowo jego jest proste i idące z serca do serca — opis każdy, każdy epizod — krajobraz tajgi czy scena w jurcie jest jak gdyby konieczny, nieodwołalny w danym temacie. Wstrzeźliwie unika zabawiania się płonym krasomówstwem, nie czyni parady z wzruszenia, choć styl jego drży wzruszeniem, właśnie jak owa ziemia drży nad polkniętą rzeką. A gdy kończąc rzuca niekiedy krótki opis nocy czy śnieżycy za oknem — to jakby po to, by ukryć rozsadzające pierś westchnienie i pociągnąć wzrok nasz w niezmierną przestrzeń gehenny ludzkich cierpień — tam, kędy spotykają się wszystkie spojrzenia w śmiertelnym, ostatecznym zbrataniu. Na taki sposób jest Szymański wiernym realistą duszy — realistą jej obydwóch światów.

76. Dobiegliliśmy kresu przeobrażeń nowelli, przynajmniej w latach jej powszechnego rozkwitu i najczystszej formy.

Że bynajmniej jeszcze nie wyczerpała się i że posłannictwo jej nie było zakończone, dowodzi zaraz dziesięciolecie następne. Wszakże to rok 1891 w roczniku *Głosu* przynosi *Po Sedanie*, *Złe przecucie*, *Pokusę*, *Cokolwiek się zdarzy*, *Ananke*, wkrótce *Zapomnienie* i ulubioną przez wszelką inteligencję *Siłaczkę* Żeromskiego — wszystkie te »odruchy« nowego prądu wyrażone najpierw w noweli.

Niebawem w tym samym piśmie ukaże się pierwsza nowella Wł. L. Reymonta (*Śmierć* 1893) oraz niezrównany *Chajbuk* Sieroszewskiego. Zapomniany Brolis da doskonale studium ludu litewskiego p. t. *Jurgis Durnialis* i wystąpi całe pokolenie nowellistów, szerzących dalej podboje tej formy: Dąbrowski, Niedźwiedzki, Tetmajer, Niemojowski, Pietkiewicz E., K. Górski, Sygietyński, Nowaczyński, Daniłowski, Jabczyński, Orkan, Nadrój. Niepodobna tu (w braku uprzedniej monografii) nawet wymienić wszystkich przygodnie lub stale uprawiających nowellistykę, gdy niemal wszystkie pisma zasilaly się jej utworami.

Do nazwisk wymienionych w toku powyższego rozdziału dodajmy następujące dla zrozumienia jak dalece w latach tych nowella zasługiwała i ze względu na swą powszechność na nazwę formy panującej: Bałucki, Bełza, Baudouin de Courtenay, Chłędowska, Czesław, Choiński, Dzieduszycki, Esteja, Exterus, Gawalewicz, Gawroński, Gliński, Gąsiorowski, Grabiński, Gruszecki, Irzykowski, Karczewski, Komornicka, Konar, Krzywoszewski, Łoziński, Łętowski, Marrené, Nalkowska, Nowiński, Okoński, Paszkowski Ed., Przyborowski, Piątkowski, Rodziewicz, Rogosz, Sten, Ursyn, Urbanowska, Weissenhof, Wołowski, Zagórski, Żmudzki.

Lecz odłóżmy na bok liczbę. Powtarzamy: nowella polska ze wszech miar zasługuje na monografię, a wtedy szczegółowy przegląd autorów i utworów ocali od zapomnienia niejedną jeszcze kartę tej żywotnej i jak fala ruchliwej formy literackiej.

Natomiast raz jeszcze zastanówmy się, jakich wpływów nowella była przewodnikiem i wyrazem w literaturze naszej i w jakim stosunku stoi do rodzinnej i powszechnej twórczości?

Nawet tak skrócony zarys nowelli, jaki poznaliśmy w tym rozdziale, wyodrębnił wyraźnie potężny wpływ tego, cośmy na początku tej książki uznali za kształtujący czynnik okresu, a mianowicie wpływ pierwiastku ludowego. Widzieliśmy, jak bez wyjątku wszystkie niemal świetniejsze karty nowelli organicznie wiążą się z tym wpływem. Otóż w tym względzie nowella — wierna swej roli — była praecursorem tego wpływu, odbijającego się w równie potężnej i wszechstronnej skali na wszystkich formach polskiej myśli i twórczości. Stwierdzimy to niebawem na powieści i poezji — nieco później na całej sztuce — na całym wreszcie składzie duchowym młodej Polski.

Jeżeli pierwiastek ludowy już z samych tematów nowelli wydobyć łatwo, gdy po prostu bije w oczy swą zwycięską wszechobecnością — to niemniej wyraźnie występuje obok niego pierwiastek inny, dla rozwoju form dalszych literatury równie doniosły — mówię o pierwiastku estetycznym.

Od pierwszych nowel Litwosa do ostatecznych przeobraźni Dygasińskiego w *Godach życia*, od pierwszych dziecięcych opowieści Prusa i Orzeszkowej wędrowek po suterrenach i poddaszach do malowanych w słońcu studyów Sewera — wyczuwamy

wyraźnie wszędzie, literalnie wszędzie, ogromny przypływ energii artystycznej, rozbudzoną artystyczną świadomość, coraz wyższą stopę wymagań estetycznych, którą wyraźnie nowelliści wprowadzają do literatury.

Troska o język, obraz, ekspresję i kompozycję całości cechuje każdy krok nowelli. Odnajdujemy w niej doskonałego przewodnika tych przeobrażeń i nałogów, które coraz częstsze obcowanie ze sztuką plastyczną wytwarza w całym polskim społeczeństwie, a przede wszystkim w przodującej sferze pisany.

Zobaczmy niebawem, jak owo podniesienie i uświadomienie wymagań estetycznych w nowelli odbije się zbawiennie na polskiej powieści. Zwolna przesuwa się środek ciężkości w twórczości naszej od typu luźnej gawędy do coraz ściślejszej budowy eposu lub dramatu. Zwolna przygotowuje się w coraz intensywniejszej gospodarce świadomej, w coraz wyraźniej stosowanej kulturze estetycznej — przejście od okresu supremacji dydaktyzmu i tendencji — do okresu wolnej sztuki. Twórczość polska coraz bliższą jest wiekuiestej miary — poezji. Przewodnikiem zaś tego jest, powtarzamy — nowella.

Nie będziemy już tu powtarzali, jak oba te pierwiastki ludowy i estetyczny łączą się i wzajem wspierają, zasilając się jeden z drugiego coraz głębszym wzajemnym rozumieniem (71), wytwarzając żywotwórczą atmosferę dla najwyższych ucieleśnień przyszłości, którym zawsze ludzkość i piękno na imię.

Natomiast przechodząc do dalszych losów twórczości polskiej, nie możemy nie wskazać na dwa od nowelli datujące się objawy żywotności polskiej. Oto cokolwiekbyśmy powiemy o zależności naszej nowelli od obcej — a nie ulega zaprzeczeniu, że, jak to już wskazałem, rozwój nowelli u nas idzie współrzędnie z takim samym zjawiskiem na zachodzie — sam zachód uznał odrębność i wartość polskiej nowelli, czego świadectwem są jej liczne przekłady. Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Dygasińskiego, Szymańskiego nowelle zostały przełożone na wszystkie języki europejskie, poczynając od pobratymczych słowiańskich — kończąc na fantastycznym esperanto. Jest to pierwszy od czasów wielkiej poezji romantycznej

znaczniejszy objaw zainteresowania się polską literaturą na Zachodzie.

Jeżeli więc Dickens, Merimé, Turgeniew, Daudet i Maupassant nie pozostali bez wpływu (ci przedewszystkiem) na polską nowellistykę, to ona z kolei dała początek niemałej liczbie utworów w nowellistyce słowiańskiej, nie wyłączając późniejszego pokolenia Rosyan (Maxym Bielinski, Korolenko, Maczetet i inni).

W każdym razie w nowelli po raz pierwszy po romantyzmie równamy się krokiem z Zachodem i zadzierzgamy z nim węzeł wzajemności.

Drugim bodaj radośniejszym jeszcze objawem przypływu sił twórczych w nowelli najpierw wyrażonym, jest również od romantyzmu niebywały fakt przerabiania w polskiej formie obcych rasowych lub narodowych pierwiastków. Rzecz szczególna! Nowelli polskiej starczy sił nietylko na krystalizację własnego pierwiastku ludowego, lecz sięga ona jeszcze po materiały do Litwinów i Białorusinów, przeżywa istną metempsychozę wśród żydów polskich i niepolskich, wreszcie wdziera się w tajniki tundry i tajgi, wyluskując z lodów żywe ziarna dusz ludzkich wpośród tunguzów, jakutów, ainosów... Czyż więc nie przypomną się tu mimowoli słowa Mochnackiego o »dzikich, leśnych sercach«, że nawet »hajdamackiej czerni z literatury polskiej wypłaszać nie powinniśmy« (23)?... Czyż się nie przypomni Anhelli jasnowiedzeniem wieszczego serca przenikający duszę tańczącego szamana? A te przypomnienia o czasach, kiedy nas... stać było na gościnność, kiedy nasza poezya przerabiała z Bohdanem Zaleskim lub Goszczyńskim — materiał pobratymczej Ukrainy, kiedy poeci nasi byli ustami dla niemej Litwy i Białej Rusi — czyż nie są znamienne i prorocze dla mającej nastąpić doby poetyckiego wezbrania w Polsce?

Tak jest: dom się rozszerza, rozsuwają się wyraźnie ściany gościną czasów bogatszych, lepszych — w literaturze polskiej zjawiają się wczesne znaki szerszej, ogromniejszej, coraz bardziej ludzkiej, choć wskrós polskiej twórczości. Tymczasem zapowiedzi tych wysłannicą jest »nowości potrząsająca kwiatem« nowella.

ROZDZIAŁ XIV.

Powieść.

77. Nigdzie może wyraźniej, jak w powieści tych lat, nie występuje ów związek żywy dalekich pokoleń narodu, o którym wspominaliśmy na początku tej pracy (6).

W miarę jak życie samo komplikuje się i pogłębia, jak coraz to inne grupy i warstwy znajdują rzeczników swoich, jak budzą się z odrętwień coraz powszechniej wszystkie siły od kresu do kresu rzeczypospolitej — w powieści głos zabierają zapaśnicy coraz innego klanu i wieku. Obok poczynających wnuków nie zabraknie dziadów po raz ostatni wyruszających w pole — istne pospolite ruszenie. Jedni wystąpią, by rzucić przestrożę, innych po prostu wywabi gwar młodego życia, by się podzielić własnym zamierzonym wspomnieniem. Gdy jedni pracują dokola wydobywania nowych pierwiastków, dają głos niemy dotąd potrzebom — inni po raz ostatni zapragną nagawędzić się o czasach i rzeczach stokroć przeżytych. Ta sama chwila będzie widziała wezbranie twórczości ludowej i apoteozę szlachetczyzny, najzacieklejszą parafian-szczyznę i najszersze plany wszechludzkich ideałów.

I rzecz ciekawa: starczy czytelników i zainteresowania dla każdego objawu — tak znacznie już pogłębiły się i uwielokrotniły potrzeby społeczeństwa.

Więc prastara Deotyma, pamiętająca wiosnę romantyzmu, pisze swoje *Branki w jassyrze* (1890) lub *Zwierciadlaną zagadkę*

(1879), lubuje się w *Panience* — właśnie w latach, gdy Zapolska daje swoją przejawską *Kaszę Karyatyde* i powstają pierwsze próby naturalizmu polskiego. Łagodny autor *Kłopotów starego komendanta* Albert Wilczyński przypomina się znowu po wielu latach *Szlacheckimi sielankami* i *Obywatelskimi wspomnieniami* i znajduje kontynuatora w Jordanie, który rad wyprowadza Marków i Agapitów, gwarzy o Marymoncie i gawędzi o polowankach — choć dokoła huczą tak bardzo zmienione warunki.

Cały szereg pisarzy z lat poprzednich, więc Jeź, Zacharyasiewicz, Bałucki, Lam, a i sam jeszcze Kraszewski nie ustając w pracy, zasilają nienasyconą prasę dziesiątkami powieści.

Tempo ich jak gdyby wolniejsze, luźniejszy tok opowieści, stopa kultury estetycznej wreszcie wyraźnie różni się od coraz intensywniejszej gospodarki młodszych, lecz szeroki ogół czyta wszystko — na wszystko jest miejsce.

Przed laty trzydziestu tryumfator powieści historycznej i obyczajowej, Zygmunt Kaczkowski, zabiera głos pełnej starczej krzepkości i chce iść o lepsze nie jednym jakimś wysiłkiem, lecz całym szeregiem utworów z wnukiem niemal swoim — Sienkiewiczem. W tej rezurekcyi sędziwego pisarza, z pełnym animuszem wchodzącego w szranki, jest wprost coś zdumiewającego. Wiemy już, z jaką energią odpowiedział stańczykom *Teką Nieczui* (1883), gdzie werwą, siłą sarkazmu, fantazją, stylem rozprawia się ostro o spotwarzane hasła i w zrozumieniu ducha czasu — prześcignawszy pozytywizm — dociera bliżej najmłodszych ten dziad, niż wielu wnuków. Ale pobudzony duch nie uspakaja się: po *Tece* następuje rzecz *O romantyzmie*, w której Kaczkowski odwołuje dawne nienajgłębsze swoje poglądy, zrozumiałwszy, ile krzywdy narodowi wyrządzićby mogło wyrzeczenie się prawd »romantycznych« i jaką potęgą był całokształt ich w sprawie odrodzenia. A kiedy trylogia Sienkiewicza wydała mu się niebezpieczną gloryfikacją szlacheckiego, opartą na zbyt powierzchownej historyozofii — występuje znowu z protestem i sam po raz drugi zabiera się do powieści historycznej, pragnąc dać całą prawdę o wicherzących i zwichrzonych żywiołach szlacheckich.

Powstaje więc ostatni szereg utworów znakomitego pisarza: *Abraham Kitaj* (1886) i *Olbrachtowi rycerze* (1889), a dalej

Wasi ojcowie, *Zaklika*, *Święta Klara*. Ogromny ferment ideowy zawierają te powieści, ogromny również zasób erudycyi. Cokolwiek zaś krytyka powiedziała o *Abrahamie Kitaju* i *Olbrachtowych rycerzach* — stanęły obie jako potężne ostrzeżenie przed łatwizną sądu, przed banalnością i płytkością powierzchownej historyozofii, ukazując nie szlachetków i wojenkę, lecz do szalu samowoli dochodzący indywidualizm postaci tragicznych, krwistych, paradoksalnych oraz cały powikłany splot warunków bytu dawnej Rzeczypospolitej. Olbrzymi to był zamiar, a długie lata pobytu Kaczkowskiego we Francyi i wymagania, które tam powieść historyczna sobie postawiła — jeszcze go bardziej utrudniły. Kaczkowski zadaniu nie podolał — jednak kto pragnie obcować z niepospolitym w każdym calu umysłem, komu w toku zawitych i żmudnych opisów starczy jakiś jeden cyklopowy rzut charakteru, obraz przepaścistych kontrastów dawnej Polski, lwi pazur niewymuskanego ani łatwego artyzmu — ten rysy te w Kaczkowskim odnajdzie. Powieść jego to już nie gawęda o wypitkach i wybitkach, ani półuśmiechnięta a chępliwa anekdota o przewagach sejmikowych — to pełna grozy i zadumy wędrówka burgrabiego po starym zamczysku, którego zna wszystkie tajemnice — krwawe, grozy pełne, na inną jakąś miarę wielkie lub złowrogie. Rozgniewał się stary lew, ongi sam mistrz nieporównany w odtwarzaniu gminu szlacheckiego na rozpanoszenie się jego w trylogii Sienkiewicza — rozgniewał się zapewne i na ogół niepamiętny, komu pierwsze rozkosze szlacheckiej temperamentem grającej gawędy zawdzięcza. A jeśli sam zamiarom nie podolał, to będzie niewątpliwym przejściem do dalszych przeobrażeń rodzaju historycznego, których podobno i *Duma o hetmanie* i fragmenty napoleońskie Żeromskiego są tylko ułomną zapowiedzią, które ongi we fragmentach *Horztyńskiego* i *Złotej czaszki* wzięły ton tak wysoki, że długie lata upłyną, nim jednako wielki umysł, charakter i talent złoży podług niego tytaniczną ową całość: dawną Rzeczpospolitą.

Takie to różnorodne — sprzeczne i rozbieżne — zamiary wyraziły się w powieści polskiej tych lat. Do głębi snać poruszonem się czuło sumienie narodowe i pracowało naraz wszystkimi władzami, a jak w Kaczkowskim to się najświetniej wy-

raziło — w zespole żywym dawnych i nowych pokoleń.

Rozmyślnie i nietylko dla względów »z wieku i urzędu« należnych daliśmy tu naczelne miejsce objawom starczej krzepkości i tężyzny, rozpoczynając rzecz o powieści tej doby. Jest to zastrzeżenie, głos dawnych pokoleń: *non omnis moriar* wołający. Niepodobna — tu właśnie w chwili najszcześniejszego rozkwitu młodego życia, nowych prądów — wczytując się w te głosy minionych pokoleń, oprzeć się wrażeniu, że tam w ich sędziwych głowach, na ich pożółkłych kartach są jeszcze jakieś moce, których i ta młodość nie wyrazi, które może na razie ucichną, by jednak kiedyś w nowych, dalszych pokoleniach odezwać się w pożądanym akordzie mądrości i entuzjazmu. Prawdziwie, to jednego, to drugiego brak zawsze epokom przejścia — nawet w najświetniejszych chwilach...

Lecz oto na spotkanie milknącym echem starych — wychodzą coraz nowe szeregi młodych pracowników. Gdy się zważy, że oprócz nazwisk wymienionych w poprzednim rozdziale o nowelli — pisząc o powieści należałoby wymienić niemal drugie tyle — zrozumiemy, jak znowu powszechnie panującą jest ta forma i jak trudno ująć jej produkcję w jakiś jednolity obraz. Czy jest wogóle jakaś cecha podstawowa — bodaj jedna — któraby tę mnogość łączyła w jedną grupę — bodaj najluźniejszą?

Zdaje mi się, iż jest. Powieść polska z przed okresu nowel a po nim — to dwa światy bardzo wyraźnie odrębne pod jednym względem: pod względem świadomości i intensywności zamiaru artystycznego.

Twierdzenie to — napozór apodyktyczne — w niczem zresztą nie przesądza o wartości pojedynczych utworów z tamtej i tej doby. Jakaś naiwna powieść-gawęda może być za sprawą talentu wyższą artystyczną całością, od powieści świadomie o to się kusząca. Wiemy również, że Korzeniowski np. jeszcze dawniej piszący — nie czekał na objawienie nowelli, by być bodaj najintensywniejszym powieściopisarzem polskim, najświetniejszym budowniczym powieści.

Ale to są wyjątki. Na ogół zaś nowella była w istocie szkołą obserwacji, stylu i kompozycji — zgoła swia-

domej siebie sztuki — i nie inny wpływ wyrzeć musiała na powieść. Jakże wyraźnie pod tym względem odbijają od siebie grupa starszych jak Bałucki, Zacharyasiewicz, Jeż nawet, a młodszych jak Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, Sewer, Zapolska. Lub jeszcze lepiej: jaka ogromna różnica w powieściach tego samego Prusa lub Orzeszkowej z przed a po okresie terminowania w nowelli! Wyraźnie ona to ich wyzwala na ostatecznych mistrzów powieści. Anekdota, gawędziarstwo, styl rozwlekły, przypadkowość i luźność postaci ustępują, by dać miejsce planowości, obserwacji, stylowi charakterystycznemu, psychologii i ściślejszej logice artystycznej. Że zaś przez nowellę i obok niej działały te same wpływy sztuki i ludu jako szkoła i jako materiał porządkujące i wzbogacające wątek powieści — nie trzeba dodawać.

Rzecz ciekawa, że pewna ilość powieściopisarzy, na których wpływ taki nie odbił się, lub zaważył zbyt mało — stworzy w tych właśnie latach jakby podklasę powieści potocznej, wyraźnie niższej od poprzednich; niższość zaś ta, jak się niebawem przekonamy, bynajmniej nie z niższości talentów, często bardzo znacznych, lecz właśnie poziomu kultury literackiej, pozostania przy dawnym gawędziarstwie (»co Bóg dał«) znajdzie uzasadnienie. Powstanie też rodzaj »roman-feuilleton« czy jak dosadniej jeszcze chce angielskie określenie »dreds fool paper«. Lecz o tem potem.

Na ogół w powieści tych lat możnaby prawie mówić o szkołach i rodzajach estetycznych. Mówię *prawie*, gdyż zdrowy sens każe unikać takich sztucznych szkolarskich i przeniesionych z innych literatur podziałów tam, gdzie cała jakaś »szkoła« redukuje się najczęściej do jednego lub dwóch autorów. Nie będziemy więc tu dzielili autorów podług realizmu, naturalizmu, weryzmu, impresjonizmu i t. p., zaznaczywszy natomiast, że na ogół obserwacja szczegółów, język właściwy sferze (a więc w razie potrzeby śmielszy i dosadniejszy), analiza psychologiczna czyni w tych latach postępy w całym powieściopisarstwie polskim, zawsze zresztą skłonym do naturalności.

78. Grupa powieści w latach 1880—90 pojawiających się — jest drugim (po nowelli) chronologicznie pokładem wrażeń w tej formacji literackiej, w której żyjemy współcześnie.

Pamiętne to tytuły, a bohaterowie i bohaterki tych powieści, epizody ich, założenia — dotychczas nie przestały nam służyć za materiał w wymianie myśli, za przedmiot starcia opinii i za przykłady. Otóż przywilej ten obecności w żywych duszach mają tylko nieśmiertelne utwory wszystkich czasów z jednej strony i te, którym świadomie czy bezwiednie przyznajemy współmierność i współczesność z nami z drugiej. Oto są najcharakterystyczniejsze dla różnych rodzajów powieści tej grupy: Sienkiewicza *Trylogia* (1883—1888), Prusa *Placówka* (1884), Orzeszkowej *Niziny* (1885), *Dziurdziowie*, *Cham* (1888), *Nad Niemnem* (1889), *Czciiciel potęgi* (1890), Junoszy *Pajaki* i *Szyf* (1891), Dygasińskiego *Pan Jędrzej Piszczalski* (1890), *Beldonek* (1888), Zapolskiej *Kaśka Karyatyda* (1887), Rodziewiczówny *Dewajtis* (1887). — W tym samym czasie pojawiły się jeszcze: Kosiakiewicza *Janek* (1888) i *Gasiorkowski* (1892), Sygietyńskiego *Na skałach Calvados* (1884) i *Wysadzony z siodła* (1890), Sewera *Bratnie dusze* (1884), *Przybłądy* (1882), *Walka o byt* (1882), *Zyzma* (1884) — dalej powieści Gawalewicza, Estei i t. d. Łączymy tu utwory różnej bardzo miary i wpływu podług czasu ukazania się i podług zaznaczonego wyżej przywileju współobecności w naszej pamięci.

Podczas gdy zrazu nieufnie, potem z nieopisanym entuzjazmem przyjmowana *Trylogia* roztoczyła się na cały szereg lat, odrazu wstępnym bojem zdobywa sobie powodzenie pierwsza z wymienionych powieści Prusa *Placówka*.

Utwór ten jest nawskróś znamienny dla całej obfitej kategorii rzeczy ludowych. W samym Prusie jest ostatecznym skryształowaniem się fermentów, które kilkuletnia twórczość nowellistyczna była obudziła. Było to jego wyzwolenie z więzów doktryny w dziedzinie życia, wrażenia, obserwacji. I wyzwolenia tego ostatecznym etapem jest — lud. Twardy chłop poznański, Ślimak — uskrzydlił warszawskiego pozytywistę. Już przedtem bardzo z bliska, bo w charakterze robotnika Prus obserwował a raczej zżywał się jak wiemy z maluczkimi. Ale tu w *Placówce* natrafił szczęśliwie na takie zjawisko, które roz-

proszone, tkliwe, żalosne, ludzkie wrażenia zwarły w jedną ideę. Odbije się ona mocnym echem i potem w dalszych koncepcjach Prusa — jako »ziemia i prosty człowiek« (*Lalka*). Tu tymczasem staje się punktem wyjścia pierwszej jego większej powieści, a zarazem pierwszego na większą skalę powodzenia w literaturze. *Placówka* pięciu czy sześciu wydaniem, zainteresowaniem powszechnem, które budziła już na szpaltach gazety — otwiera w istocie długi szereg powodzeń literackich, literackich »ewenementów« tego dziesięciolecia.

Cóż znalazł w niej ogół — coraz to szerszy — czytelników? Znalazł jak w soczewce zebrane w jedno ognisko wszystkie promienie momentu, wszystko co go w tej chwili najmocniej zajmowało.

Ślimak — przeciwstawiający się zwycięsko nawale germańskiej — to przede wszystkim zapowiedź pełna dobrej wroźby wobec groźnych zapasów w Poznańskim. Jakże jej pragnąć musiały strwożone serca tej nieszczęsnej »inteligencji«, która nie będąc narodem — za naród czuć i przewidywać musi, nie mając sama mocy — mocy tej wygląda jak wybawienia i szuka! Ślimak i Jagna, Staś i Jędrzek — to lud-opoka, na której tak pragnie budować całe pokolenie. Więc przepowiednie entuzjastów, przewidywania działaczy — potwierdza ów zawsze dla wszystkich najzrozumialszy argument — obraz, ten, którego nie wiedząc o tem zawsze najchętniej słucha ogół — twórca. Przytem rękojmią wartości utworu staje się jego realizm: ten ślimak-lud to nie bezsilna idealizacya, to lud-żywiol ze wszystką ślepotą żywiolu, ale i z jego potęgą. Genialnie przeprowadzona psychologia chłopskiej prawdziwej jednostki, zawartej w pozornym dwojgu mężu i babie, żywe postaci Owczarza, Grzyba — rubaszny jędrny humor, nie dający nigdy mimo krwawych śladów przejść akcji w melodramat — cały ten żywotny, wskróś odczuty i rozumiany wątek chłopskiego żywota, jak owe »jagły« trzymający »gorącość« — to wszystko musiało *Placówce* dać skuteczność i pożywność, pokarm dla łaknącego ogółu.

Przypomnijmy, cośmy mówili o przygotowawczej roli nowelli: *Placówka* i pod tym względem jest typowa dla momentu. Po kilkuletnim terminie nowellistycznym Prus szczęśliwie w niej

pozbył się resztek owego gawędziarstwa rzemiennym dyszlem jeżdżącego po rozłogach naszej dawnej powieści. Tu obraz za obrazem, scena za sceną rozwija się nieodzownie, język nasycony gwarą ludową zwarty i krzepki, całość wrażeniem i myślą intensywna, budowa bez nieużytków — słowem ta powieść z noweli rodem — to dzieło sztuki.

Wreszcie — owa idea przewodnia, owa koncepcja chłopca jako placówki, wyrastająca z całości, ma tu charakter zgoła inny, niż dawny dydaktyzm i nieodłączna odeń tendencja. To nie bakalarska przestroga, lecz wyraźny etap na drodze do jakiejś syntezy, która będzie miała znaczenie zarówno dla życia jak dla sztuki. Zobaczymy, jak w tym właśnie kierunku pochyla się twórczość tego i następnego dziesięciolecia, syta już wrażeń, a wiążąca się w pełne idei cykle i trylogie — by wreszcie wyrazić się w pełnych ducha poematach.

Taką to zapowiedzią w sam czas zjawioną i sztuce i życiu była *Placówka*. W tem tkwiło jej znaczenie. Dla Prusa zaś samego była przejściem do dojrzałości zupełnej, wyrażającej się szeregiem utworów w dziesięcioleciu następnym.

79. A oto w akordzie z upartym kujawiakiem Ślimaka rozbrzmiewa ton inny coraz potężniejszy tej, która rycersko i zbawiennie walczyła z widmem analfabetyzmu polskości w Ongradach i Onwilach — Orzeszkowej. Ale jakże po dobie wiosennej nowellistyki, po burzliwej przygrywce młodego demokratyzmu, budzącego się do walki — wśród coraz wyraźniej odczuwanej potrzeby wielkiej, przewodniej idei, na miejsce bakalarskich doktryn pozytywizmu — jakże wzmaga się jej talent! W jakim pięknym zespole z nowymi pokoleniami powstaną te powieści-poematy, wszystkie o wezbranej wielkiem umiłowanem piersi — wszystkie słuchane przez całą Polskę jak strofy rapsodu.

Była Orzeszkowa przez długie lata kresowym rycerzem polskości, a ile nam uratowała dusz — nie da się zliczyć.

Kresowym nazywam ją rycerzem nie tylko dlatego, że potykała się na rubieżach Polski etnograficznej z nawałą innych plemion o mowę i duch Polski. Bo i kresy polskie nie tylko tam,

gdzie stara mazurska lub małopolska kolonizacja mieszała się z Litwą i Czerwoną lub Białą Rusią. I Polska nie cała na Kujawach albo w Krakowskim, jeśli biło jej serce z Mickiewiczem w Nowogródku, z Czarnieckim na Rusi, z Kościuszką — między mieszczanami.

Polska jest tam, gdzie żyje idea Rzeczypospolitej, idea złotej wolności narodu, idea królewskiej godności jednostki wolnej w wolnym społeczeństwie. A kresy polskie wszędzie tam, gdzie przemoc i barbarzyństwo zdeptać chcą tę ideę, gdzie kipi walka o uratowanie godności człowieczej przeciw najazdowi wszelkich poniżeń.

Polska jest tam, gdzie w zapamiętałym chaosie zdarzeń dzieje krzeszą blask — sumienia.

Dlatego jest Orzeszkowa kresowym rycerzem idei polskiej nie dla Ongradów tylko i Onwilów, lecz dla całej Rzeczypospolitej.

Twórczość jej wzmaga się i potężnieje wraz z cucącym się życiem społeczności. Gdzie tylko walczą pierwiastki dobra i życia — tam się jej natchnienie czuje w swoim żywiole. Gdzie tylko słabi są — tam ona mocna.

W ten sposób bojuje o sprawę kobiet, skupiając około idei samodzielnej pracy dzielne i samodzielne, a do wielu innych nazbyt czczych i słowem wojujących zdając się mówić własnym przykładem. »O wielomówne! Uczynicie w sobie duszę na obraz i podobieństwo człowiecze — zaczem życie na miarę takiej duszy«.

W sprawie żydów pierwsza u nas głos zabierze i opromieni tę ciężką sprawę poezją ubóstwa jak w *Elim Makowerze*, poezją walki nowego ze starym zakonem jak *Meir Ezołowicz* — wielkiemu zaś ogółowi żydowskiemu powtórzy kazimierowski gest gościnny i braterstwa.

Tak w każdej sprawie żywotnej społeczności polskiej staje rycersko wpośród pierwszych. I w ten sposób powstała już przed dwudziestu laty jej pierwsza w Polsce na taką miarę zakreślona trylogia ludowa: *Dziurdziowie* — *Niziny* — *Cham*. Lud tam białoruski, ale bliższy on w odczuciu Piasta, niż liczne rodzajowe poprzebierane i wyetnografizowane okazy polskiego ludu przed tamtym czasem w literaturze polskiej znane. Tra-

gedya wioski w całej grozie człowieczego cierpienia w *Dziurdziach* — w *Nizinach* przyziemny byt wsi-karmicielki, w *Chamie* skarb prostej duszy okazany. Wszędzie lud zrozumiany już jako żywioł, jako siła pierwotna narodu, jako źródło odrodzeń. Wszędzie miara potężniejsza i mniej okolicznościowa, niż nawet w doskonałej a współczesnej *Placówce* Prusa. Tak, że długich lat potrzeba będzie, by w literaturze polskiej z tego tonu ludowego wzmógł się akord potężniejszy. Trzeba było, by w tę literaturę sam lud wysłał swoich wysłanników i proroków, swoich synów najrodniejszych na pokrzepienie serc dziś piszących...

Ten cudowny zespół macierzyńsko-genialnego serca kobiety i życia narodu trwał bez przerwy długie lata. Nie znam zupełniejszego zespołu między pisarzem a jego społecznością. Kiedy wreszcie w Polsce przybyło sił, że od pracy przyziemnej naród znowu mógł podnieść oczy ku górze i sięgnąć orleju w przyszłość — Orzeszkowa i to przeczuła. Powstała pieśń jej — pieśń tryumfującej miłości — *Nad Niemnem*. Tu wszystkie jej umiłowania zeszyły się w dojrzały plód. Pieśń raczej to nie powieść, bogata porywem, kipiąca życiem, pełna idealnego blasku jakby świtania zórz, rozmiłowana w nadniemeńskim ludzie i przyrodzie — istna improwizacya z motywów dziejowych na ów ton znajomy:

•Za Niemen tam precz•.

I bezpośrednio po białoruskiej trylogii i po dziejach Witolda należy wymienić *Czciciela potęgi*. W utworze tym ona jest proroczą. Jest to jakby jedno chmurne, złowrogie widzenie niszczycielskiej siły złego, nie oszczędzającej nawet własnych czcicieli. I owszem, oto się toczy straszliwie ciężki miedziany rydwan, druzgocąc pod kołami bezlitośnie rabskie karki własnego ludu. Bronzowy ton ma ten utwór Orzeszkowej i groźnie się rysuje w pamięci jakby kuta w jakimś metalu wypukła rzeźba z tarczy lub rydwanu. Jest to obraz-protest, potężniejszy od iluż późniejszych rachitycznych utworów, poronionych przez lata zamętu rewolucyjnego w Królestwie. Tu podany jest ton tak daleki pojęciom oportunistów, jak tylko odwieść od niego miała w najbliższych latach gotująca się do obrony czynnej społeczność.

Ogromnie w tych latach potężniała twórczość polska. Jeżeli teraz chcielibyśmy stosunek Orzeszkowej przedstawić do tego, czem dziś piśmiennictwo polskie bogate — musielibyśmy użyć porównania muzycznego. Twórczość Orzeszkowej, widzieliśmy, rozsnuwała się z przedziwnie czystego odczucia zasadniczych motywów życia polskiego — tych motywów była jakby nie raz, prawie zawsze pierwszym zwiastowaniem. Tak w uwerturze defilują nieraz jeden po drugim tematy, które potem w dziele się rozwijają.

Dzieło samo każdy z nich ponownie przeprowadza przez wszystkie tonacje, potęguje, doprowadza do zenitu mocy indywidualnej i wreszcie łączy czasem w huraganie chóralu, zapowiadającego finał.

Tak mnie się nieraz zdaje, że Orzeszkowa należała do tych w stosunku do dzisiejszego rozbuwania twórczości polskiej, którzy wiele z jej motywów zapowiedzieli w przeczystych tonach; że dziś te same motywy idą w potężnym rozwinięciu wezbranych indywidualności twórczych; i że wreszcie chórów ów finałny — dadzą niedalekie już dzieje przyszłości odrodzonego narodu.

Zarazem wyjaśnia mi się, do jakiej to rodziny duchów polskich należy geniusz Orzeszkowej. U nas wiek strasznej próby wyrobił wysoką miarę ducha.

Nie z kunsztmistrzówstwa, lecz z mistrzówstwa dusz powstała potęga polskiej literatury. Nie miara samych talentów u nas mierzy, lecz miara sumień. W tej dobie rozbicia a potem odrodzenia, krwawej orki i krwawego zasiewu w Polsce, talent był plugiem tylko, ziarnem sumienia. Do tej, jak myślę, rodziny należy Orzeszkowa. Gdy inni olśniewali oczy lub pieścili słuch, poili zmysły i wysubtelniali nas — pisarze z tej rodziny sumieniu poświęconej — zasiewali przyszłość.

Że to jest ta rodzina, na czele której stoi Mickiewicz, pierwszy cudotwórca polski, chlebem głód narodu karmiący — o tem wie każdy. Ja mniemam, że z ducha do tej rodziny należy Orzeszkowa.

Dlatego dziś, gdy jej ogromnej pracy dzień chyli się ku wieczorowi — ona może spokojnie dumać nad spełniającym się czasem. Bo nieraz w takiej nadwieczornej porze opadają nas

wątpliwości. Troszczy się dobry rolnik i wąpi; przypomina w spracowanej duszy czy dość głęboko wzruszał ziemię, czy ziarnko siał godne?

Ja wierzę, że z wiekowej modlitwy narodu w czynie i męce wyrastał za każdą zgłoskę tych krwawych dziejów o chleb żywota i ducha wołających — za każdą zgłoskę tej modlitwy o chleb powszedni — za każdą zgłoskę jeden jakiś kłos chlebny dla głodnego narodu — a jednym z tych nieplonych kłosów — była praca tej dobrej i rozumnej, macierzyńsko-genialnej pani naszych kresów.

80. Jednakowoż ani urok nowelli, ani trafiająca w ton pokolenia *Placówka*, ani wreszcie twórczość Orzeszkowej w dzieścioleciu tem sięgająca wyżyn poezji — zgoła żaden objaw literacki okresu nie równoważy niebywałego powodzenia *Trylogii* Sienkiewicza.

Oto przez tłum postaci ówczesnej bogatej belletrystyki przedziera się ku przodowi ów zbrojny lud, ów pelen chrzęstu stalowego, olśniewający czerwienią krwi i barwy pancerny huf. Jakby gromada orłów nadlatywała — tak pierzcha nagle dookoła wszelkie inne widzenie w uwadze ogółu — zachwyczone oczy już się nie oderwą od tego orszaku. Konno, zbrojno, zgiełkliwie i rojnie jawi się owo popolite ruszenie starej szlachetczyzny. Harców tych wzrok nawet nie spamięta — zatrzyma tylko upojenie tej kaskady barw jaskrawych i bogatych i z nieopisanego zgiełku form i ruchów wynurzające się na zawsze znajome twarze i postaci. Oto Zagłoba, Ulisses szlachecki, rechoce homerycznym śmiechem nieopodal dzbana; oto Podbięty kontur surowy — Don Kichot znowuż szlachecki, ni to święty litewski z zerwikapturem; oto Kmicic — szalawiła, Don Żuan sarmacki w jasyrze dziewiczym; oto Skrzetuski wsparty na mieczu: takich widziałeś na rycerskich grobowcach; — oto Rzędzian, naiwnie-przebiegły i obrotny, oto w ciemę bity Roch Kowalski, dzikie Kiemlicze. A przed tym stalowym wałem rycerstwa z niepokrytą głową w srebrnych blachach — jakby zstąpił z portretu — hetman Jarema. W tejże chwili czujemy, że nie nam po historycznej prawdzie szczegółowej — że tu

w obrazie tym zbiorowym czasów i ludzi szlacheckich — jest prawda epoki powszechna, całkowita. Wieją delje, chwieją się buńczuki, szumią skrzydła husarskie, hucz zgiełk ogromny — i widzenie rozwija się na nieprzejrzanym bloniach — na dzikich polach naszej historii, całe w kłębach purpurowej i złotej kurzawy, ponad którą płyną w jasnej gloryi sztandary.

Prawda-ż to? — Ale gdzież na świecie taki drugi obraz minionej świetności życia szlacheckiego tu, w dobie upadku już tem jaskrawszy, im żałośniej zapamiętany? Jakiż to poczet nieprzeliczony: możnowładcy, hetmani, królewęża, statyści, król i dwór przy królu, czerń na rynku, hufce pancerne, fraucymery, rojne zamki, rozmodlone kościoły, grody obleżone, armie kwapiące się w bój, województwa całe, stopy płynące ludzką nawałą, zaścianki szlacheckie, prowincye w ogniu stojące — bylażby to cała Polska ówczesna? A wśród tych tysięcy epizodów i tysięcy postaci jest jedność akcji i bohatera stokroć większa, niżby się śniło filozofom. Wśród burd i kajań się, w zgiełku wojennym i wśród szczęku dzbanów, z patosem kaznodziejskim i pijacką czkawką rwie się z tych tłumów jakiś ton zbiorowy zapamiętałej lekkomyślności. Z wieńca tych postaci zrasta się jedna ni to olbrzymia, ale półpolski ówczesnej stanowiąca postać zbiorowa — gmin szlachecki. Wszakże to tak po drogach i ziemiach Rzeczypospolitej od zaścianka do zaścianka, z wojenki na wojenkę wodził się ów waśniący się wiecznie a wkoło spowinowacony gmin — a z nim rzemiennym dyszlem szła jego epopeja — pół historii.

Prawda-ż to czy pół-prawdy? Jest cała prawda w tym cudzie wskrzeszenia z imienia omal i nazwiska ówczesnej Polski; jest cała prawda w tym genialnym udowodnieniu plastycznym, że w nawałnicy klęsk i zrad, win i bohaterstw, buchało to obozowisko szlacheckie takim życiem, takim warem krwi, jakoby miało słuszne w niej przeświadczenie o nieśmiertelności narodu. Jest cała prawda w tem, że w tym upadku ustroju i kasty nie było nic z dekadencji rasy — owszem pragnienie życia, odwaga życia wybucha zewsząd jak lawa płonąca i świadczy w głos, że niewyczerpane zasoby sił przetrwają

w najpóźniejsze czasy i wyposażą wreszcie takie pokolenia, które odnowa zapragną żyć, odważą się żyć.

To właśnie, jak mniemam, nie zaś tę lub inną doktrynę historyozoficzną ofiarowywał twórca *Trylogii* ogółowi »na pokrzepienie serc« i to właśnie z niej wziął milion czytelników. *Trylogia* jest aktem samoobrony instynktu samozachowawczego plemienności polskiej — w samym już wprost odruchu życia czerpiącym moc dla odparcia nazbyt jałowej refleksyjności okresu z jednej strony, nazbyt powszechnego szturmu czynników obcych z drugiej strony. Pod tym względem ma ona to samo znaczenie, co odwołanie się do świata ludowego, do jego żywiołowej plemiennej odrębności. Dla bogactwa kształtów, przepychu barw, brawury gestów przeżywa *Trylogia* w szczytnie dnia dzisiejszego — Polskę minioną. Wskrzesza samo kipienie żywiołu życia, sam ferment jego zuchwały, tryumfujący, niezwykły rzuca przed oczy współczesnych.

Zapewne, że podczas gdy *Trylogia* galwanizuje rozbitą paraliżem szlachecką obecną, podczas gdy chłop polski, wprowadzony do literatury, uczy plemienności niepewną siebie i gubiącą wśród ogólników programowych zmysł życia inteligencję — w głębi żywej społeczności wzbierają fermenty i kipią siły samorodne do przyszłej historii. Lecz tymczasem one płyną jeszcze podziemnym nurtem i tu na arenie świadomości narodowej przewodnikami instynktu życia, woli życia — są właśnie powieść szlachecka i powieść ludowa. W żadnym więc razie *Trylogia* nie jest »najpyszniejszą bajką« (Feldman), w żadnym razie »fałsz« jej (Kaczkowski, Chmielowski) nie równoważą nawet w przybliżeniu jej prawdy, gdyż prawdą tu jest ów w niewysłowionej świetności sprawiony cud życia. Genialna przeciętność wszystkich koncepcji składających *Trylogię* tu na terenie gardłowej sprawy obudzenia instynktu, podniesienia żywotności, napędzenia krwi do serca współczesnych — jest właśnie rękojmią skuteczności wpływu. Gdzie indziej obniży wartość dzieła Sienkiewiczowskiego — tu je podnosi. Podnosi nawet ją ów ton szlachecki jego plastyki, bo więcej między nami — i to aż do chłopskiej gromady — szlachciców, niż nam się zdaje.

Opuśćmy jednak sporny teren Sienkiewiczowskiej historyozofii i przejdźmy bezpośrednio do tego, co zapewniło mu

najszerzy po romantykach rozgłos i wpływ w społeczeństwie najpierw, a potem i poza jego granicami.

Jakichkolwiek bowiem byliśmy przekonani, cokolwiek mieliśmy Sienkiewiczowi do zarzucenia, czyśmy czytali go młodo czy staro — wszyscy, bezwzględnie wszyscy w Polsce musieliśmy przyjąć na zawsze Zagłobę w poczet najbliższych nam postaci, musieliśmy się wzruszać Bohunem lub Kmicicem, musieliśmy rozrzewnić Podbipiętą, musieliśmy się ucieszyć Rzędzianem lub Kiemliczami — i musieliśmy urość w dumę, sercem urosnąć, patrząc w te niezapomniane łuny i dymy Zbaraża, Częstochowy, Kamieńca, na tle których zamajaczył przebogaty fresk polskiej szlacheckiej. Gdzież tkwił ten mus? W nas samych — zapewne w każdym włóknie rasowości; w autorze — w każdym drgnięciu geniuszu twórczego. Szowinizm krwi i kości spajał to w jedno. Ale były i przyczyny szczególniejsze, wynikające z dzisiejszego położenia rzeczy i z rodzaju samego geniuszu Sienkiewiczowskiego.

Nikt jak on nie potrafił tak organicznie odwołać się naraz do najniższych i najwyższych pobudek — tak grać jednocześnie na słabościach i sile. Weźmy więc nasamopierw samą koncepcję: jest ona idealnie-narodową w całości, w docieraniu zaś do szczegółów narodowo-realną. To znaczy mówi ogólnie o wieczystej prawdzie ukochania ziemi, tradycji, narodu, przeszłości i przyszłości; zarazem zaś dociera do tych prawd drogą najpospolszą — szowinistycznej t. j. takiej, jaką ogół mieć chce, gloryfikacji w czambuł wszystkiego. Bo i któżby tam długo pamiętał o słowach takiego Wrzeszczowicza, ktoby w bohaterstwie Kordeckich, Czarneckich, Sapiechów myślał o zdradzie Radziwiłłów i przywarach gminu szlacheckiego. Wszakże:

Polak niech nie zapomina,
Że jest pierwszym w Słowiańszczyźnie,
Niechaj spija miód i wina
I pamięta o Ojczyźnie.

I basta! To najkrótsza droga do serc tłumu. Czy, pomimo wszystko, jeśli o tłumy idzie, i nie jedyna? Tłum — to tylko podłoże przyszłości, a gdzież kres doskonalenia się przyszłości? W każdym razie nie rozwiąże zagadki szowinizmu i znaczenia

jego dla kształtowania się zbiorowiska narodowego płytki liberalno-kosmopolityczny pseudo-krytycyzm.

Ale teraz przejdźmy do wykonania samego *Trylogii*. Na czym ono się opiera? Znowu na organicznym zespole dwóch środków artystycznych, z których jeden dociera jak łaskotanie do najniższych, drugi jak blask słoneczny odwołuje się do najwyższych władz naszych. Pierwszym jest genialnie przeprowadzona struktura *Trylogii*: wszakże to jest najbardziej typowy *roman d'avantures*, jaki kiedykolwiek istniał. Atos, Portos i Aramis wraz z D'Artagnan'em zbledliby z zazdrości przed ciągiem awantur Kmicica, Wołodyjowskiego i Zagłoby, którym towarzyszy stateczny Skrzetuski. Schemat najprostszy: zakochanie się bohatera — rozłączenie z ukochaną i pościg za nią przez szereg tomów przygód — połączenie. Schemat zawsze ten sam — przygody zawsze te same, ależ jedyne dla rozciekawienia tłumów. Ale oto na rozkazy, na usługi tego awanturniczego schematu — jakiż przepych palety, jaki rysunek, jaka obserwacja, jaka inwencja! Trzykrotnie opisane oblężenie jednym wyrazem nie potrafi o powtórzenie: każde jest arcydziełem malarstwa, sto bitew stoczonych i tyleż pojedynków — mienią się odmianą i powodzą tak, jakby to coraz inne oczy patrzyły na każdy epizod! Nieporównana giętkość, ruchliwość wyobraźni, dar kompozytorstwa dekoracyjnego, dar wydobywania w każdym efekcie jego najbardziej świetnej błyskawicy — przytem pamięć plastyczna nieporównana — oto środki, których prawdziwie nie miał pod ręką nigdy żaden romansopisarz, nie wyłączając Dumasa. A teraz zważmy: w większości wypadków środki te obracają się na widnokręgu plastyki, obejmując rysunek, ruch, barwę, kompozycję malarską. Otóż dzieje się to właśnie na tle męczącej szarzyzny dnia powszedniego, kiedy społeczność cała zapragnęła barwnej odmiany; dzieje się to po okresie oschłego dydaktyzmu i płonej gonitwy dyalektycznej, kiedy dusza nasza łaknie — obrazów; dzieje się wreszcie w momencie, kiedy — skądinąd już to wiemy — Polska po raz pierwszy wchodzi na drogę miłowania sztuki dla niej samej, a wchodzi przedewszystkiem drogą plastyki. Współpracownikami świetności Sienkiewiczowskiej są zarazem Matejko, Brandt, Kossak.

Szczegółowy rozbiór *Ogniem i mieczem*, *Potopu* i *Pana Wołodyjowskiego* (1883—88) jak również noweli o »szlachcicu niezłomnym« w *Niewoli tatarskiej* (1880), będącej przygrywką do *Trylogii* — nie należy do tej książki. Zestawiamy tu, zaledwie mając czas na doraźną ekspozycję, walory ludzkie i artystyczne danego okresu, jak były poczęte w epoce, jak się odbiły w niej, jak zostały przyjęte przez współczesnych i czem do dziś, w naszym rozumieniu, są w literaturze.

Staralem się dać dosadne odczucie tych wielorakich czynników, które musiały nadać i nadały olbrzymie znaczenie *Trylogii* w literaturze tych lat.

Wszystkie zaś jak w soczewce zbiegają się w instynkcie plemiennej żywotności, który jest punktem wyjścia *Trylogii* oraz w genialnej plastyce kompozycji, będącej rozwiązaniem jej wpływu i znaczenia. Że jedno i drugie musiało z konieczności prowadzić przez szlachecko-narodowy ton powszechny — tego już dłużej wyjaśniać nie będę. Lecz pobłdziłbym ciężko przeciw prawdzie, gdybym w przeciwstawieniu do innych krytyków (Feldman, Chmielowski) nie stwierdził tutaj, że sama ta szlacheckość jawi się w *Trylogii* bynajmniej nie w formie doktryny (jak. n. p. u Rzewuskiego), lecz jest li-tylko koniecznością artystyczną i historyczną malarstwa — taką samą i w tym stopniu, w jakim stała się koniecznością narodowej psychologii, aż do dalekiej jeszcze przyszłości. Rzecz pouczająca, że czytelnictwo *Trylogii*, powszechne nie tylko wśród ludu polskiego, ale nawet wśród Słowian wogóle, tak mało »szlacheckich« w znaczeniu kastowym — nie ucierpiało nic na tym zabarwieniu, nie odczuło nigdzie owej rzekomej apoteozy stanu szlacheckiego, o której krzyczą obcy i swoi doktrynerzy. Śnać ogół czytający zrozumiał, a raczej odczuł ten czynnik tak właśnie, jak on w dziele występuje, t. j. jako przebogaty w żywotne barwy podkład plemienności, jako zbiorowy historyczny wyraz instynktu i mocy odrębnej, przeciwstawiającej się zwycięsko zewnętrznym i wewnętrznym wynarodowieniom. Tak zapewne rozumiał szlachetczyzną i Słowacki, nie podejrzany o jej apologię, gdy mówił, że w niej się zbiegło (w przeszłości) »całe życie narodowe«.

Natomiast jako uboczny czynnik możemy tu podnieść,

że samo ukazanie się *Trylogii* przypada na okres budzenia się szlachty polskiej z długoletniego letargu — okres, który miał się niebawem zakończyć ponownem jej wkroczeniem na widownię polityczną i nachyleniem pod kątem swych interesów ruchu opinii demokratycznej, co wyrazić się miało w powstaniu największej po rozbiorach grupy politycznej Narodowej Demokracji. Niestety, na sądy dzisiejsze o *Trylogii* okoliczności te nie pozostały bez wpływu — i krytyka daje nieraz folę pobudkom ani z twórczością ani ze sztuką nic wspólnego nie mającym.

Współpracowników *Trylogii* Sienkiewicza znam trzy kategorie: pierwszą jest wymieniona już grupa malarzy polskich, którzy rekonstrukcją plastyczną szlachty, kozaczyzny, Rzeczypospolitej wreszcie mieli za cel życia. W czasie, kiedy Sienkiewicz pisze *Trylogię*, Matejko dał już swoją apologię dziejów polskich w obrazach, Kossak — swoją wojenkę i szlachetczyznę, Brandt — swoje stopy i pancernych. Wystawy ich elektryzowały ogół i dla takiej, jak Sienkiewicza wyobraźni były niewymowną rozkoszą. Zamiar sam *Trylogii* — odtworzenie życia historycznego w całej żywiołowej sile — jak najściślej wiąże się z założeniem malarstwa polskiego tej chwili. Jest to wprost objaw tej samej miary i natury — jeden z owych węzłów, którymi łączy się organicznie sztuka i literatura by wytworzyć nowy punkt wyjścia w psychologii ludzkiej.

Drugi szereg współpracowników — to historycy współcześni. Tu nie tylko materiały mam na względzie. Zapewne że jakiś *Bogusław Radziwiłł* B. Kaliskiego, *Dwa lata* Szajnochy i t. p. służyły Sienkiewiczowi w pracy. Ale więcej cenię tegoż Szajnochy zmysł do rekonstrukcji dramatu przeszłości (*Mściciel*), nieporównaną swadę jego w wydobywaniu rzeczywistych perypetyi zdarzenia historycznego. Toż samo znaczenie miał tu Szujski: poza materiałem stał znowu człowiek, który ustawicznie przeżywał tragedję wypadków i dorozumiewał się ich wątków. Dla nich wszystkich dzieje nie były ślepem wywieraniem się t. z. sił społecznych, lecz spletaną a barwną tkaniną ludzkich pojedynczych i zbiorowych żywotów, odpowiedzialności, ambicyi, błędów, bohaterstw. Trzebaż wyjaśniać, jak takie właśnie stanowisko blizkiem było zamiaru powieścio-

pisarza, który fenomenalnie, już jako student, znał historję rodów szlacheckich i klejnotów (Świętochowski). Wreszcie zarówno u poprzednio wymienionych autorów, jak u świetnego Kubali znalazł Sienkiewicz i gotowe motywy, wprost już ujęte w obrazy (*Obleżenie Zbaraża*) i u tego ostatniego tę samą skłonność plastyczną połączoną z doskonałą sprawnością języka.

Od *Szkiców* Kubali do *Trylogii* Sienkiewicza bliżej niż od jakiegokolwiek historycznej powieści dawnego typu.

Trzecią wreszcie kategorię współpracowników stanowią pamiętnikarze nasi od Paska, Mańkowskiego, Jedlicza, księgi Michałowskiego. I znowu nie o sam materiał tu idzie. Pamiętnikarstwo polskie ma zawsze rys charakterystyczny, który je wyróżnia od tegoż rodzaju, n. p. francuskiego. Jest ono kopalnią rzeczy widzianych. Podczas gdy dla pamiętnikarzy francuskich pozostanie na zawsze wzorem Saint-Simon, dla naszych — Pan Pasek. Tam skłonność genialna bez wątpienia do grzebania się w pobudkach ludzkich, do stawiania portretów *en pied*, skłonność śledcza, intrygancka do zanurzania się w labirynty dusz — tu zaś otwarte, szlacheckie oko na przemijanie zdarzeń w ich malowniczym kształcie, chwytanie efektów, koloru, jak u myśliwego. Tam — labirynt charakterów i intryg, tu — kalejdoskop postaci i wypadków. Otóż ta właściwość pamiętnikarstwa polskiego najwyraźniej odpowiadała organizacyi Sienkiewicza — i w tem znaczeniu *Trylogia* jest jakoby jego dalszym ciągiem i ukoronowaniem. A nigdzie tak wybitnie nie wyraża się różnica w pojmowaniu materiału historycznego jak pomiędzy *Trylogią* a drugą manierą Kaczkowskiego (*Abraham Kitaj, Olbrachtowi Rycerze*) — w pierwszej dążność do uproszczenia przez jednoplanową barwną kompozycję plastyką — w ostatnim dążność do skomplikowania i pogłębienia przez zamiar psychologa-statysty i dramaturga.

Mniemam, i raz jeszcze powtórzę, że słowo naszych dziejów, a ich przebieg szlachecki — to dwa inne światy. W skreśleniu epepei szlacheckiej uważam jednoplanową kompozycję plastyczną Sienkiewicza, podobnie jak sanockie opowieści Kaczkowskiego, podobnie jak szkice Chodźki, jak wreszcie pamiętnik pana Paska — za drogę właściwą, więc *Trylogię* za arcydzieło tej literatury. W wydobyciu zaś owego słowa dziejowego uwa-

am wszelkie ściślejsze nawiązywanie do wątku powieści szlacheckiej jak było za chybione. W słowie tem tkwi tak ogromny materiał dramatyczny i swoboda koncepcyi i improwizacyi, że tu nie drogę epopei i powieści gminnej, lecz tragedyi i fantastycznego poematu obrać należy. Czyż nie tę drogę obrał Słowacki i Mickiewicz — i czyż nie ich cyklopowe złomy narodowej dramaturgii posłużą za labirynt, w którym błąkać się będą nowoczesne Konrady?

Dlatego też nie podzielam goryczy sądów o *Trylogii*: dała i dała najświetniej, co wydał w epopei swojej jej bohater-gmin szlachecki. Czego innego zaś spodziewam się po całkowitej epopei narodu, którą wyrazi przyszłość dziejów i twórczości, pamiętna dramatycznej głębi i poetyckich wieszczów naszej poezyi.

Ogromnie podniosła się stopa wymagań naszych od powieści wogóle — w szczególności od historycznej od czasów odnowienia przez nowelistykę jej poziomu artystycznego i od *Trylogii*. Wszakże mniej więcej współcześnie z Sienkiewiczem, nie mówiąc o Kaczkowskim, Jeżu i Kraszewskim, pracuje na polu romansu historycznego cały szereg pisarzy. Żaden jednak nie zdobywa szerszego uznania mimo cząstkowych zalet pióra.

Niepodobna odmówić sumiennosci w pracy Adamowi Krechowickiemu, który w *Staroście Zygwulskim* (1887), *Veto* (1888), *Szarym wilku* (1891) zdobywa się nawet na żywy koloryt historyczny. Fr. Rawita-Gawroński — to znowu doskonały znawca kozaczyzny, dawnych i nowych stosunków polsko-rusińskich (*Na kresach* 1886, *Na krasnym Dworze* 1889, *Pan Hetman Mazepa* i w. in.). Ale dawne utwory Tarszy, Czajkowskiego wyczerpały już snąć w społeczeństwie zainteresowanie tymi tematami i trzeba będzie, by nowe a potężne talenty, jeśli nie nowy dramat dziejowy, ożywiły tę ciekawość.

Wreszcie T. Jeske-Choński, również publicysta i krytyk z temperamentu (bo jesteśmy ciągle w sferze natur rozdwojonych, niezdecydowanych miarą talentu w żadnym kierunku), chwyta się powieści, najpierw na tle stosunków w po znańskim (*Przednia straż* 1883), w późniejszych zaś latach historycznych (*Gasnące słońce* 1896, *Tyara i korona* 1900, *Ostatni Rzymianie*, *Trubadurowie*, *Błyskawice* i w. in.). Cechą tych powieści, dość rzadką w polskiej belletrystyce, jest przeniesienie akcji

na teren historii powszechnej, nie narodowej. I wyznać trzeba, że byłoby miejsce na tego rodzaju utwory, jeśli nie w twórczości, to w pedagogice społecznej. Jednakowoż Choński, mimo poparcia, jakie powieściom jego dawała pożytność *Kuryera*, nie wytworzył przeciwwagi wpływom szowinistycznym — i owszem sam jest ich typowym przedstawicielem.

Druga młodość całego pokolenia odmładza dziadów. Kraszewski, Jeż, Bałucki i Zacharyasiewicz nie ustają w pracy; pochylenia ich twórczości w kierunku świeżo zdobytych stanowisk artystycznych, ich zajęcie się nowszymi zagadnieniami raz jeszcze dają świadectwo żywotności chwili.

81. Nas tu jednak interesuje przedewszystkiem pewien nowy rys w fizyonomii powieści polskiej, dość powszechny wśród młodszych — wyraźnie świadomy u kilku.

Rysem tym jest podniesiona przez naturalizm stopa wymagań artystycznych.

Dziś po latach wielu, po surowej krytyce, która w naturalizmie wykryła właśnie zbrodnię obrazy majestatu sztuki — wydaje się taka formuła nieomal paradoksem. A jednak tak było. Od czasów romantyzmu staje się naturalizm pierwszą koncepcją wymagań artystycznych, znajdujący u nas świadomych odbiorców. Ponieważ zaś pewne uboczne cechy naturalizmu odpowiadają dość szczęśliwie prądowi ludowości (swoboda języka, wyswobodzenie się z konwenansu), więc zabarwienie naturalistyczne mają nie tylko naturaliści, ale i ludowi pisarze tych lat. Zresztą nie pozostają bez wpływu przekłady Zoli i Maupassant'a — a bardziej jeszcze lepsza znajomość pisarzy z przed lat 20, jak Goncourt i Flaubert. Wyprawy do Paryża naszych literatów przybierają cokolwiek odmienny charakter. Oto najwrażliwsi z nich (Hodi, Sygietyński, Zapolska) znajdują się tam w pełnej fali realizmu malarskiego — tryumfy *plein-air'u*, naturalizm malarski zaczynające już urabiać nowe pokolenie malarzy polskich — tu przedewszystkiem odbijają się w sferze stylu i koncepcyi powieści. Znajdą się wreszcie znakomici komentatorowie naturalizmu francuskiego w powieści (Sygietyński) oraz teoretycy tegoż ruchu w sztuce (Sygietyński, Witkiewicz).

Pomimo to wszystko o powstaniu szkoły, prądu naturalistycznego w powieści polskiej na podobieństwo francuskiej mowy być nie może. Jest to ruchawka, nie ruch — a nade wszystko tylko cząstkowa i przykrajana do potrzeb miejscowych realizacyi pewnych stron naturalizmu, nie zaś jego całkowity rozkwit. Powiedzmy wprost: odwaga nagości, jawny kult ciała, psychofizyologia zmysłów, śmiałość inwestygacyi obyczajowej, nie cofającej się przed t. z. skandalem (który w formie utajonej, wpędzony pod skórę, jest zresztą zjawiskiem powszechnem epoki mieszczańskiej) — wszystko to są właściwości naturalizmu, nie leżące w temperamencie polskim. Bez nich zaś, mimo cząstkowych zapożyczeń, nie może być mowy o naturalizmie w plastyce i powieści w znaczeniu świadomego kierunku.

Powieść polska przebywa raczej w tym momencie — pod hasłem nawet naturalizmu — tę spóźnioną ewolucję, którą we Francyi odbyła od Balzaca do Flaubert'a i poniekąd do Goncourt'ów (już nie całkiem włącznie), nie zaś tę, którą od tych ostatnich przebiegła do Zoli i Maupassant'a. Jest to więc raczej objęcie wogóle dziedziny zmysłów i metody opisowej w posiadanie artystyczne, nie zaś monografia ich wyrodnienia. W obyczajowości jest to pewne uwzględnienie obecności czynnika wstydliwie pomijanego, nie zaś uznanie jego naczelnej roli. Nie *la Bête humaine*, lecz zawsze jeszcze człowiek pewnej konwencji jest osią obserwacyi. Jednakowoż koncypowanie podług działania pewnych żywiołowych sił, tak umiłowane przez naturalizm, zdarza się i w naszej powieści (*Nafta Sewera*, *Bawelna Kosiakiewicza*), nie dając świetnych rezultatów. Grupowanie zjawisk żywotnych ulegnie pewnej zmianie szematu: nie wszystko będzie ciążyło ku wartościom idealnym i doniosłość czynników ślepych, automatycznych, sił przyrody, instynktów zostanie uwzględnioną częścią. Po dawnemu jednak naturalizm nasz najżywotniej, najsamorodniej objawi się tam, gdzie wynika z samego życia się pisarza z przyrodą lub z ludowości, gminności tematu — a więc u znanych już nam z nowelistyki Adolfa Dygasińskiego i Klemensa Junoszy, monografistów Polski ludowej i szaraczkowej, żydowskiej i małomiasteczkowej prowincyi.

Nie będziemy już tu szczegółowo powtarzali charakterystyki ich twórczości. Obaj są urodzonymi nowelistami i w powieści czują grunt pod nogami niepewny, tem chętniej posługują się koncepcją naturalistyczną, dającą pewne założenie całości. Dygasińskiego *Pan Jędrzej Piszczalski*, stojący na pograniczu tych lat (1890) może być słusznie uważany za typową powieść polskiej odmiany naturalizmu, w znaczeniu raczej obserwacyi przyrodnika artysty. Wszakże i tu jest pewne nieporozumienie kastowe w idealizacyi »rotmistrza« Piszczalskiego, a prawdy trzeba szukać raczej w postaciach drugoplanowych jak Świętosz, Kłopotowicz, jak również nie w ogólnych rysach charakterystyki bohatera, lecz w przebiegu drobnych burd, domowych awantur i t. p. odruchów »temperamentu«, buńczucznie zdegenerowanego potomka innych czasów. Z powieści Junoszy wymienić należy przedewszystkiem *Pająków* i *Syzyfa* — dwie niezwykle poważne powieści z kategorii najgłębiej, najmądrzej zrozumianych »dokumentów«. Typy Gancpomadera, Luftermanów, Chapergeldów, jak również szare bohaterstwo życiowe Syzyfa — należy do najlepszych kart tej literatury, łączącej się z właściwym naturalizmem raczej metodą pracy i nieublaganą trzeźwością wejżenia.

Do tych trzech powieści polskiego naturalizmu *sui generis* — jakże przekształconego w rogatych, osobliwych duszach autora *Beldonka* i autora *Łaciara*! — dołączyć trzeba monografię upadłego typu szlachcica p. t. *Wysadzony z siodła* Antoniego Sygietyńskiego.

Sygietyński — i słusznie — jest uważany u nas za przedstawiciela najbardziej świadomego tej metody pracy artystycznej, którą najlepiej określa pojęcie romansu »doświadczalnego« (*Le roman experimental* Zoli). Zarazem dewizą takiej pracy jest Maupassantowskie »*La verité, rien que la verité et toute la verité*«. Otóż artysta chcący dać w istocie »całą prawdę«, choćby tylko obserwacyjną, w utworze — musi z konieczności pole obserwacyi ograniczyć — inaczej nigdyby nie mógł owej »całej prawdy« wyczerpać. Musi obrócić sobie okaz do opisu, musi poddać ten okaz pewnemu metodycznemu traktowaniu psychologicznemu i stworzyć wreszcie w ten sposób rodzaj monografii. Widzimy, że nazwa romansu experimentalnego najściślej stosuje

się do tej metody. Sygietyński dał na początku tych lat cały szereg monografii o romansie naturalistów francuskich — świetnych i wyczerpujących na owe czasy, które tylko dzięki naszemu niedbalstwu nie wyszły w oddzielnej książce (Ateneum 1882—4). Napisał potem wzorową monografię powieściową rybaka Orange'a i jego środowiska p. t. *Na skałach Catrados* (1884), gdzie nasze rzemiennym dyszlem wlokące się gawędziarstwo mogło się uczyć uczciwej roboty kompozytorskiej i wreszcie na końcu tych lat, opuściwszy Francję i teren francuski, rozpoczął szereg polskich obserwacji powieścią p. t. *Wysadzony z siodła* (*Głos* 1891). Jest to może najbezlitośniej przeprowadzona analiza szlagona-brukowca w naszej literaturze. Załogowski, upadły szlachcic Sygietyńskiego z założenia już jest lichym gatunkiem człowieka. Ale podczas gdy takich samych przodków jego utrzymywała na pewnym poziomie pozorów człowieczeństwa wieś — tu miasto odrazu obnaża beznadziejną słabość charakteru, bezmyślność i jałowość duszy. Z koncepcji tyle ulubionej naszej literaturze butnego, o pocziwem koniecznie sercu szlachcica — pozostają tylko — sumiaste wąsy szlacheckie, a pod nimi, jak na strachu, lachman, wiejący za wszelkim wiatrem. Bezlitośnie również wycinowana sferka innych brukowców ówczesnej Warszawy: reportera Hebalskiego, literata Kulirowskiego, mecenasa Cieżyńskiego. Pismo artystyczne Sygietyńskiego wzorowe w kompozycji i sumiennosci, zbawienne tą właśnie jednostronnością założenia, z której mu nieraz czyniono zarzut, a która tak do dziś potrzebną jest dla zdyscyplinowania wybujałości, w gruncie zaś nierządu naszych talentów — jego światły i pełen czci stosunek do języka uderzają w tych czasach, kiedy literatura polska po starym stoi »talentami«, mało dbając o ich kulturę.

Co do znaczenia Sygietyńskiego, bezwątpienia większego, niż to jego szczupła twórczość beletrystyczna wyrazić mogła, wrócimy do tego tematu na właściwszem miejscu.

Tu zwracamy uwagę raz jeszcze na tę grupę *sui generis* »naturalistów« polskich. Kogo uderzy nazbyt luźny niekiedy związek pomiędzy koryfeuszami belletrystyki tego pokolenia a powieściopisarzami młodej Polski — tu w tej grupie powieści znajdzie przejście wątle lecz organiczne wyraźnie zacho-

wane. Jak oni kapitalnie znają upadający, podupadły i upadły typ współczesnego »szlagona« — jak śledzą jego odmiany od konopiastych ekonomskich głów do nieboraka orzącego piórem w stolicy. Niezmiernie to zresztą powszechna i stanowczo do dziś za mało przestudyowana, mimo wielu prób, odmiana współczesnego Polaka, ten szlachcic-dziedzic *in partibus infidelium*, szlachcic bez ziemi, pan Twardowski tramwajowy, szlachcic-kolejarz, aferzysta, szlachcic-mieszczanin, urzędnik, oficjalista, wkońcu brukowiec pospolity małych i wielkich miast. *Szyzyf, Piszczalski, Pająki, Beldonek, Wysadzony z siodła* — nadewszystko zaś nowele Junoszy i Dygasińskiego — ta wielka poezya szaraczkowych poetów, ich »naturalizm« szlachecko przyrodniczy, a raczej artyzm ich jakiś *avant la lettre*, dziwnie uoczy tem, że taki domorosły, samodziślowy, ich żywot pełen bojuwania, który tylko z żywotem i sztuką pewnej grupy rosyjskich »beletrystów-narodników« porównać mogę — oto łącznik niestargany między starszą a młodą Polską.

Wędrowni to nauczyciele — sami samoukowie — skuteczniej wpływający może od nazbyt świadomie pięknych i wykończonych mistrzów. W każdym razie tędy droga do noweli Reymonta i do jego pierwszych powieści; po części też do pierwszych utworów Żeromskiego — droga — grobelka, jak to oni lubili. Czasy, rzeczy i ludzie przejściowi — oto ich teren kruchy pozornie, ale jakże odczuty w resztkach zadawnionych nałogów i instynktów, w milknącym głosie rasy lub przyrody!..

Do całkiem też samorodnych i nawskroś oryginalnych postaci naszej literatury należy wzmiankowany już w noweli Wincenty Kosiakiewicz. Należy on również do tej przejściowej grupy pisarzy, która zadzierzgnęła przejście między dawną a młodą Polską. Obserwator bezwzględnie samodzielny i doskonały znawca prowincyi, sfer społecznych średnich i niższych kolejarzy, rzemieślników — tkwił sam za młodu w tem laboratorium przyszłych sił społecznych. W szeregu powieści jak *Janek* (1888), *Przy budowie kolei* (1891), a dalej *Gąsiorkowski* (1892), *Rodzina Łatkowskich* — wydobyl te typy i stosunki z flamandzką rzetelnością szczegółów. Niektóre z tych powieści — zwłaszcza *Janek* i *Gąsiorkowski* — należą do pierwszorzędných studyów z natury i są wzorowo zbudowanemi powieściami

z rodzaju monografii opisowych. Uzupełniają one galerię typów szlacheckich, o których wyżej, typami rzemieślnika i mieszczucha.

Nowelle i wymienione dwie powieści Kosiakiewicza należą również do owych dokumentów polskiego naturalizmu *avant la lettre*. Kontynuatorem tego rodzaju wogóle, a szczególnie monografistą średniej Warszawy — zwłaszcza w tych sferach, w których wytwarza się pseudo-stołeczny charakter »Syreniego grodu«, będzie w następnych latach zdolny i dobry obserwator, lecz bardziej warszawiak niż artysta, Alfred Konar. Mniej szczęśliwym będzie w powieści programowej, która z Zolą stała się rodzajem epepei naturalizmu, odtwarzając potęgę żywiołów nowoczesnych Giełdy, Fabryki, Handlu i t. p. Kosiakiewicz napisze w tym kierunku rzecz p. t. *Bawełna* (1894), mającą obrazować Łódź, nie zdobędzie się jednak na nowym terenie na rzecz wartością, dorównującą dawnym.

Podobne bardzo pod tym względem losy dzieli z nim Sewer — niezrównany znawca *plein-air'u* wiejskiego i realista z bożej łaski tam, gdzie maluje »w słońcu«, t. j. z instynktu, z umiłowania i z życia się z przedmiotem. W pracy gabinetowej osiągnie również tylko szematyczne podobieństwo z powieścią na tezę naturalistów, gdy pokusi się o objęcie większej całości społecznej (*Nafta* 1894 — na tle pierwszych zapasów Szczepanowskiego o przemysł polski). W kilku innych powieściach jak w *Zyźmie* (1884), *Przybłędy* (1882), *Walka o byt* (1812), *Biedronie* (1892), *U progu sztuki* (1892), *Ponad siły*, a zwłaszcza w przepięknej monografii powieściowej p. t. *Matka* (1898) — zostawił Sewer spory zasób spostrzeżeń i dokumentów do współczesnych przemian galicyjskiego społeczeństwa. Wiecznie młody entuzjazm Sewera i błyski jasnych spojrzeń, rozsiane obficie w tych powieściach, czynią z nich zawsze coś więcej niż drugorzędne utwory literackie. Radością tego pisarza była i pozostała do końca echowa jakaś własność duszy, na wszelki głos młody odpowiadającej życzliwie, pogodnie. Spotkamy się też z nim raz jeszcze w samym zamęcie polskiego modernizmu, gdzie znowu będzie się czuł z najmłodszymi jak rówieśnik i towarzyszy. Prawdziwie — szczególnie polski to rodzaj temperamentów — te organizacje powstańcze, czujące podziemne drżenie nowych prądów, jak poszukiwacze źródeł.

Kręte i jakby po grudzie idące dzieje polskiego naturalizmu nie byłyby zupełne, gdybyśmy już w tych latach nie wymienili jeszcze kilku pisarzy, bądź na schyłku kariery galwanizujących swój słaby talent efekciarstwem naturalistycznym, bądź na początku jej, z naturalizmu biorących z niego rozpęd. Przypomnimy więc Walerego Przyborowskiego, który w *Przeglądzie tygodniowym* najwcześniej (i najnieudolniej) przeszczepiał naturalizm do zdawkowej powieści historycznej i obyczajowej (*Bicz koralii*, *Oblężenie Warszawy* 1879 i inne) — dalej Maryę Szeligę (Horwat, Czarnowska), która w tych właśnie latach ogłasza szereg powieści o podkładzie śmielszego erotyzmu (*Na przebój*, *Nataniella*, *Dwór i dworek*).

Najbardziej organicznie rodzajem talentu z naturalizmem związany pisarz — to bezwątpienia Gabryela Zapolska. Całkowita jej działalność, bogata w nieoczekiwane rozkwity siły i talentu, nie należy do tych lat. Ale właśnie w zdecydowanym opowiedzeniu się przy naturalizmie — i to podług najklasyczniejszych wzorów — Zapolska tu daje utwór najcharakterystyczniejszy — tyleż z doktryny i wzorów co z temperamentu i obserwacji poczęty. Utwór ten to *Kaśka Karyatyda* (1887), powieść o służącej-symbolu, o takiej, która »wystawała przed bramą i była pyskate« — studium zawzięte i zawzięte szlachetnie na wytropienie z życia współczesnego takiej pospolitości, takich brudów, wobec których żywot Kaśki był jeszcze żywotem męczennicy. Trzebaż przypominać, że zarówno ta Kaśka, jak dziewczyna z noweli *Pod prawem* Konopnickiej — to swojskie inkarnacje nieszczęsnej *Germinii Lacerteux* Goncourtów (1865). Nie rychło Marychno po śmierci wędrować — dlatego też, dla trudu, jaki ten rodzaj francuskiego naturalizmu napotykał w metempsychozie literackiej w Polsce — tak długie lata dzielą wzór od naśladowań. Po *Kaśce* nastąpiło niebawem *Przedpiekle* (1889), studium obyczajowo-erotycznych mętów w sferze pensjonarskich podlotków, rozpoczynające długi szereg jaskrawych powieści. Lecz o ile *Kaśka Karyatyda* interesuje nas tu ze stanowiska metody artystycznej, wprowadzanej właśnie do polskiej powieści, o tyle tamte posłużą nam już jako »dokument« w latach następnych.

W tej samej kategorii dokumentów społecznych znajdzie się

epigon maupassantowskiego naturalizmu, Zygmunt Niedźwiedzki i kilku innych spóźnionych a należących do lat następnych.

Raz jeszcze więc zaznaczamy: naturalizm polski nigdy nie był powszechnym od czoła naszej belletrystyki idącym ruchem — był raczej ruchawką w jej dalszych szeregach, odrazu zabarwiony cechami partyzantki, pewną okolicznościową i przypadkową barwą. Najskuteczniej zaś i najtrwalej objawiał się w pewnym rozszerzeniu terenu obserwacji i w tendencji do podniesienia świadomości artystycznej w kompozycji utworów. Nie szkoła to więc odrębna w literaturze naszej ani jej zwrot powszechny, lecz cząstkowy i odrębny epizod.

82. Wszystko, cośmy przeżyli w wymienionych w tym rozdziale powieściach — a przeżyliśmy w nich jeden z głębszych pokładów duszy nowoczesnej — jest właściwie historią zaledwie kilku lat! To niech będzie miarą wezbrania sił żywnych w tamtej chwili — wezbrania zresztą, które tu jest jak gdyby drugą młodością całego pokolenia starszych pisarzy, a które zasili niebawem tak potężnie — nowe pokolenie młodych — to, któremu dziś już historycznie przysługuje miano Młodej Polski.

Przyjrzyjmy się dobrze tym kilku pisarzom w dobie drugiej młodości całego pokolenia — zapamiętajmy ich. Płomień głębszych uczuć ogrzewa ich piersi, głowa ich jaśnieje już w aureoli wielkich idei, ich środki artystyczne stoją częstokroć na najwyższym poziomie. Wszakże mimo czci dla niektórych, niekiedy wprost synowskiego przywiązania, mimo uznania dla innych i mimo zależności od kilku choćby w języku lub znajomości społeczeństwa — młoda Polska wyraźnie się od nich, oddzieli, zapagnie stworzyć nowy, osobny świat. Dla czego? Co stanowi tak głęboką różnicę? Wszakże nie owa śmieszna licytacja talentów ani galwanizowanie różnych starych neoprądów, jak chce płytką filozofia *ad usum profani*, wyrabiana przez gladyatorów tejże młodej Polski? — Oto najgłębszą różnicą pomiędzy tem a następującem pokoleniem będzie stosunek do zbiorowości. Nad tymi zbiorowość ciąży jeszcze, mimo wszelkich osobistych czy artystycznych emancypacji —

w całej mocy: w postaci koncepcji narodu, solidarności społecznej, wreszcie idealizowaniu ludu. Przedmiotem ich jest zawsze człowiek tej lub innej konwencji społecznej; w samej zaś tej konwencji pewne pierwiastki pozostają zawsze nietknięte jakoby owe rzekomo nierozkładalne pierwiastki dawnych tablic chemicznych — na imię im naród, dobro społeczne, polskość tradycyjna — zabarwieniem ich zawsze mimo wszystko — dawną zaprawą gminowładczej kultury szlacheckiej. Młoda Polska zaś do szału, może do błędu posunie poszukiwania za człowiekiem samym w sobie — bodaj raczej człowiekiem-zwierzęciem, lecz nie człowiekiem-cząstką społeczności. Zapagnie wydobyć absolut myśli i uczuć ludzkich — bodaj żywiołowych sił — byle tylko nic na wiarę nie brać od »społeczeństw« jakkolwiek mu na imię — naród, kasta, nawet — ludzkość. I w tej różnicy między człowiekiem-konwencją, gdzie jednak zawsze jest coś ze społeczeństwa, wziętego na wiarę, a człowiekiem-absolutem, rozebrany z wszelkich strojów, nawet ogólnoludzkich w dawnym znaczeniu humanizmu — tkwi najgłębsza różnica odmłodzonej a Młodej Polski. Nie tu miejsce zastanawiać się, czy ta ostatnia znalazła to, czego szukała ani na jakie nieoczekiwane manowce zapędziła się w swej reakcji. Lecz stwierdzić trzeba, że różnica to w istocie olbrzymia — już w łonie samej Młodej Polski żłobiąca później głębokie brózdki odmian — różnica niezawodna, bo w sztuce zawsze nie to, co się znalazło, lecz to, czego się szuka, nadaje ostateczny stygmat przemianom.

Zestawiwszy nazwiska wymienione poprzednio (73—80) i dodawszy do nich małe drugie tyle nazwisk, stanowiących dziennikarską multiplikację właściwej literatury — otrzymamy w przybliżeniu obraz warsztatu powieściowego tych lat. Gdybyśmy mierzyli zjawiska literackie miarą statystyki i regulaminu państwowego musielibyśmy już nazwać to nie warsztatem, lecz fabryką. Podobno i pewne cechy produkcji, nie tylko jej organizacja, usprawiedliwiłyby dla wielu utworów nazwę fabrykatów. Nie o wszystkich też będziemy tu mówili.

W tym trzecim lat dziesiątku wszyscy, literalnie wszyscy wybitniejsi współpracownicy okresu są obecni nie tylko wpływem, lecz osobą. Niektórzy z nich opuszczają nas tu właśnie

bądź nazbyt młodo (Lam 1886), bądź dobiegłszy późnej starości (Kraszewski). Wtedy sama śmierć ich staje się współczynnikiem wpływu! Wychodzą ich pisma zbiorowe i pośmiertne, krytyka roztrząsa ich znaczenie i nieraz przymglona za życia postać zbliża się i nabiera rysów po śmierci. Ruch jest wielki, podnieta niezwykła, skoro starzy jak Kaczkowski na schyłku lat stają w pierwszych szeregach ponownie. W Galicyi obok Lama, który daje jeszcze przed śmiercią *Dziwne karyery* (1880) i starszych wytrwale piszących jak Bałucki, zanotować tu trzeba Józefa Rogosza. Postać to zapaśnika, temperament nawskroś bojowy, polemiczny, człowiek z nieustającym sejmikiem w duszy, stąd do głosu przychodzą w nim raz te, raz owe władze. Kolejno poeta, kierownik literacki, powieściopisarz, statysta, a zawsze pod każdą z tych przemian rasowy dziennikarz-publicysta — Rogosz przy ogromnym nakładzie dobrej woli i żywotności nie pozostawił ani dzieła dającego jego całkowitą miarę, ani ustalonej o talencie swym opinii. Po *Chorobach Galicyi*, będących ciągiem felietonów o różnych społecznych przywarach, dał szereg powieści, z których najciekawsza może *Marzyciele* na tle niedawnych ruchów galicyjskich. Przez jakiś czas sięgał wziętością poza Galicyę, drukując n. p. *Motory życia w Przeglądzie Tygodniowym*. Jednakowoż zarówno temperament dziennikarski jak szczególne wżycie się w stosunki galicyjskie powrócą go znowu na ten teren specjalny. Równocześnie więc z powieściopisarstwem (*Złamane serca, Kalejdoskop, Grabarze, Karyerowicz*) zajmie się palącą sprawą stosunków polsko-żydowskich, ale już jako dziennikarz. Stąd najtrwalszem jego dziełem pozostanie dziennik *Głos Narodu*, przez lata jego redagowania zupełny typ pisma dla średnich warstw kształcącej się demokracji średnio-mieszczańskiej i średnio-szlacheckiej.

W Warszawie podobnym temperamentem, pisarzem na bieżącej wodzie doraźnych stosunków, był w latach tych Michał Wołowski. — Liczne przedsięwzięcia wydawniczoliterackie, obrachowane na szerszy ogół, praca dziennikarstwa, kierownictwo sceny, feljetony krytyczne, encyklopedia (*Humoru!*), przekłady *Nędzników* lub *Zbrodni i kary* — wszystko to nie wyczerpuje żywotności takich temperamentów. Coś w nich jest bezwzględnie lepszego w porywie, w garnięciu się ku żywotnym

prądom społeczeństwa — coś je ściąga ółwiem na poziom niemal brukowy, gdy zapragną wznieść się. Z zamiaru więc raczej zanotować tu trzeba szereg powieści Wołowskiego, jak *Cyganiatko* (1882), *Był Żydem* (1884), *Ostatni piorun* (1887), *Dzieci Warszawy* (1889). Może najwięcej obiecującym przedstawicielem tego typu natur ruchliwych nad siły był Wołody Skiba (Wł. Sabowski), powieściopisarz z dawnych czasów, trochę ex-farys, wreszcie wyrobnik dziennikarski, jak oni wszyscy. Ostatnia jego powieść p. t. *Nad poziomem* (1887) jest rodzajem testamentu uczuciowego i stoi wyżej od wszystkich poprzednich.

Zabarwienie ideowe, ów rozpęd do »wielkich idei«, który poznaliśmy w najpiękniejszych zjawiskach literackich tej doby — udziela się nawet tej kategorii powieści, które za dawnych dobrych czasów nie miały innej pretensyi, jak zabawić łaskawych czytelników i dać godziwą rozrywkę prenumeratorom a uznanie i honorarium autorowi. Ale trudno: czas sprzyja wielkim zamiarom, poziom ogólny wymagań artystycznych i kulturalnych wzrasta: dawne gawędziarstwo powieściowe nie wystarcza i sam nawet poczciwy Amilkar Kosiński pokusiłby się teraz o jakąś »całość« (wyręczy go w tem niebawem Gąsiorowski Waclaw), zaś nawet Tripplin postarałby się nadać swym »awanturom« pewien blichtr artyzmu (Rodziewiczówna).

Stąd ogromna zamiana w sferze literatury dla wszystkich, w sferze tych nawet powieści i nowel, które wyraźnie z zamiaru autorów przeznaczone są dla nie tylko szerokiej, ale wprost »przeciętnej« publiczności, przeciętnych gustów, słowem tej, która fejteton *Kuryerków* uważa za arenę turnieju »literackiego« i tam właśnie chce i zdobywa laury poczytności. (Tak oto inserat wspiera literaturę!) Liczny bardzo szereg autorów zabawia w tych czasach Warszawę, pisząc nowelki i powiastki i możnaby o tem napisać całą literaturę na użytek... Milusińskich. Prawdziwym twórcą tego rodzaju, nie mówiąc o doskonałem poparciu dziennikarzy brukowych, reporterów karnawałowych, gabinetowych poetów i figlarnych swojskich sylfów, zachwyconych na wieki formułą niedościgłej literatury bulwarowej — »Figaro-ci, Figaro-la« — jest bez wątpienia Maryan Gawalewicz. Co w poetach doby czystego pozytywizmu, obierających sobie za środowisko wielkowiejską Warszawę

maskował bodaj cień jakiejś poezji (62), to w produkcji Gawalewicza odsłoniło się w całej nagości. Talent jego znalazł rychło, po kilku wstępnych dywagacjach ideowych na temat pracy i postępu, niemylną drogę kuryerkowego powodzenia. I Gawalewicz stał się niemal sprawcą rodzaju literackiego w stylu ówczesnej Warszawki, gdzie Milusińscy, Żonkosie, Żonki, Muszki, Bziczki, Kokoszki, Trusie, no i wreszcie Mimi stanowią światek salonikowy, gdzie herbatki tańczące i prozowane, wachlarzyki japońskie... Ach ona, więc ona jest niewyczerpanym tematem tych nowelek, bluetek, »guziczków«, »filiżanek« — dlaczego? — »bo ona ma dołeczek na bródce — tu« odpowiada kuplet operetkowy. Niech nam ta odpowiedź wystarczy. Ale, jak się rzekło wyżej, czas sprzyjał wielkim ideom. I Gawalewicz, nie chcąc pozostać w tyle, przeszedł na drogę dłuższej powieści. Skrzywdzilibyśmy autora, odmawiając mu w tej ewolucji umiejętnej i cierpliwej pracy z fejtenu na fejtenu. Szereg jego powieści znany z licznych odcinków pism warszawskich — *Gasnące dusze* (1887), *Filistry* (1888), *Ćma* (1892), *Mechesy* (1894), *Warszawa* i wiele innych — to bez wątpienia pewien dokument chwili. Plotkarstwo warszawskie, arystokratyczne męty, sprawa przez wszystkich poruszana stosunku społeczeństwa do inteligencji żydowskiej — oto ich tło. Ale tak długoletnia lekkość pióra nie pozwoliła już nigdy autorowi zagłębić się po pod powierzchnię tych zjawisk i typów i w literaturze tych czasów jest on jak ów pływak korkowy przy wędce, który tylko położeniem swem na wodzie zdradza, co się dzieje w głębi, sam jej nigdy nie zaznawszy. Z temperamentu należy i Gawalewicz do licznych w tych czasach rodzaju (Wolowski, Rogosz i inni), którym czysta literatura nie wystarcza. Pracował więc jako dyrektor teatrów, objeżdżał polskie kolonie w Rosyi, wygłaszał odczyty, redagował pisma.

Jeżeli na Gawalewiczu najdokładniej możemy zbadać ów związek między literaturą a rubryką »z miasta« (czytaj z Bulwarów) figurującą w pismach stołecznych, to znowu dwie inne autorki również w tych latach zdobywające laur konkursowy i uznanie łaskawej publiczności, dają nam poznać fejtenuowy egzotyzm powieści do wszystkiego. Mówię o Maryi Rodziewiczównie i Estei. Pierwsza jest twórcą Marka Czertwana

(*Dewajtis* 1887), druga uroczej Ninetki (*Kartki z życia kobiety* 1888). Obie te powieści zostały nagrodzone na konkursie *Kuryera warszawskiego*, co można uważać za mistyczne zaślubiny Marka i Ninetki, którym los pobłogosławił licznem fejtenuowym potomstwem. Rodziewiczówna napisała szereg powieści jak *Straszny dziadunio*, *Hrywda*, *Szary proch*, *Kwiat lotosu*, *Błękitni* i wiele, wiele innych. Esteja dała życie licznym kuzynkom Ninetki w *Mei*, *Moim testamencie*, *Fudze Bacha*, *Za oceanem* i wielu innych. Pewna anemiczność cechuje bohaterki (arystokratyczne) Estei, pewne przekrwienie bohaterów Rodziewiczówny. O takich właśnie snią pierwsze w klasztorach dortuarach. Tło, na których rozwija się akcja tych utworów, jest zawsze mniej lub więcej egzotyczne. U Rodziewiczówny jest to raczej egzotyzm żywiołów: burze, powodzie, orkany, pożary, krwawe zatargi — u Estei egzotyzm otoczenia, podług sezonów Baedekera od Ostendy do Kairu. A wśród tej tkaniny wypadków ten sam zawsze deseń: flirtu u Estei, drogi do ołtarza u Rodziewiczówny.

Obie autorki obdarzone szczęśliwą dla fejtenuo płodnością wydały do obecnej chwili nie mniej jak 50 powieści, których wątek niczem się zasadniczo nie różni od pierwszych. Ostatnie są reminiscencją pierwszych, jak pierwsze były reminiscencją innej kategorii literatury. Był czas, kiedy wierzono, że doktor medycyny może uzdrowić ludzkość, a inżynier — zbudować dla niej raj według najlepszego systemu. Rodziewiczówna pozostała przy tej wierze, uważała tylko za potrzebne bohaterów swoich pozytywnych wyposażyć cechami... fantastyczności. W ten sposób powstały powieści, jakoby nieprawdopodobny dalszy ciąg poruszające tematy z pierwszego okresu twórczości Orzeszkowej. A gdy taki bohater po urojonych trudach dobija nareszcie do całkiem pozytywnej fortunki i żony, smażającej konfitury — to czyż nie szlusznie go powitać okrzykiem Bartoszewicza — *Ave Caesar, Confituri te salutant!*...

O powieściach Estei nie znając ich, wydał dawno sąd esteta francuski, gdy mówił o romansie tego typu. »W tych marionetkach zostało niewiele cech ludzkich — stąd odtwarzanie ich może być tylko cieniem cienia. Romans światowy — to puste świecidelko udające sztukę. Bo chociaż artysta ma prawo zajmować się każdym przedmiotem, to jednak istnieją przedmioty

blahe i czeze, a w takim razie chcemy, by przedmiot nie zapanował nad twórcą, by ten rozumiał całą jego nicość».

Więc samiec-szlachcic (mężkość!) i samiczka-arystokratka (kobiecość!) w apoteozie egzotycznych wypadków lub sceneryi — Flirt na obu półkulach jako miłość, awanturnictwo jako idea — a pod tem wszystkim odwieczna sprawa doboru i niedoboru płciowego jako właściwy motor życia bohaterów i twórczości autorów — oto treść tych powieści. Znowu dokument — mimowolny — chwili. Zatrzymujemy się tu nieco dłużej, bo zjawisko to nad wyraz charakterystyczne. Jak cudacznie moment odradzających się wielkich porywów i podniesienia się poziomu artystycznego kładzie swe piętno nawet na tej kategorii powieści fejsletonowej! Wyraźnie naradza się i u nas ta lektura dla sfer próżniaczych, która już za granicą poczyna tworzyć kolejowe biblioteki, a oto przychodzi odrazu ze zręczną fakturą mimi i artyzmu, i pod pseudonimami ideowości. Postąpiliśmy — jeszcze chwila, a będą mogły ukazać się wydawnictwa na podobieństwo angielskich *dread fully paper* oraz francuskiej *Bibliothèque amoureuse*.

Potrzeby czytelnictwa wzrastają — powieść mnoży się i wyraźnie przestaje być zjawiskiem tylko literackim. Z dziennikarstwa w znacznym stopniu poczęta w dziennikarstwo, w rubrykę »Rozmaitości«, się obraca. Obok Gawalewicza, Wołowskiego, Rodziewiczówny, Estey — twórców rodzaju występują szeregi szybkopisarzy fejsletonowych ku zaspokojeniu potrzeb średniego czytelnictwa pracujących. Jest to specjalizacya, zba wienna zresztą dla literatury. Co cesarskie — cesarzowi, co boskie — oddane będzie niebawem Bogu. Dla tłumów pedagogia i propaganda, lektura i fejsleton — dla niewielu — poezya. Zobaczymy, jak różniczkuje się proza powieściowa: gdy tu z jednej strony zrównała się w kroku z dziennikarstwem, gdy przedtem stawała się artykułem wstępnym, kiedy indziej — dogoni wielką, jedyną poezyę. Tymczasem zanotujmy, że obok wymienionych wyżej dostarczają lektury szerszej publiczności K. Rojan, H. Rzewuski, A. Krzyżanowski, W. hr. Łoś i wielu, wielu innych.

»Pomimo licznych pracowników i pracowni produkcyi krajowa powieści nie wystarcza nawet w połowie potrzebom

społeczeństwa, tak dalece, że większą część belletrystycznego pokarmu tak samo jak w wielu dziedzinach przemysłu transportujemy z zagranicy. Wartoby nad tem dobrze się zastanowić, bo jeśli przeważną część myśli, najwięcej wśród ogółu rozchodzących się, zawdzięczać będziemy cudzoziemcom, to co się stanie z naszą samodzielnością!« Tak biada historyk tych czasów (Chmielowski). My jednak skorzystawszy z przesłanki, wysnujemy z niej tutaj zupełnie inny wniosek. Czyż może tu, w tej dziedzinie *Placówki*, *Trylogii*, *Chama*, w czasie autorstwa Dygasińskiego i Junoszy, w momencie rozkwitu noweli polskiej i kiełkowania coraz to nowych talentów z rdzenia polskości wyrastających — zachodzić taka obawa? Dziś *post factum* wiemy, że była płonna. Dziesięciolecie to jest początkiem najwyższego wzniesienia twórczości narodowej, jakie znamy w literaturze od czasów romantyzmu. Natomiast — liczne w istocie przekłady z literatury obcych — coraz bliższe docierania do tegoczesnych przemian Zachodu świadczą tu o czem innem. O wzmożonej żywotności naszej mówią, o tem, że epokę stać będzie coraz bogaciej i na pojęcie własnych tematów, i na przerabianie wątków obcych. Czyż naprawdę ciągle »obcych« — czyż nie ogólnoludzkich lub po prostu — ludzkich, a więc jakże blizkich i koniecznych? Naddciągają takie lata, kiedy się znowu powtórzy ów cud widziany w porze romantyzmu: najwyższy wzlot myśli narodowej w tematach nawskroś ludzkich — idea powszechna wyrażona przez talenty nawskroś rodzime. Powieść oryginalna i tlómaczona jest tymczasem — po noweli — pełna cyklów i trylogii — pełna coraz to większych zamiarów i szersze obejmująca widnokręgi — terenem tych fermentów.

Obozowisko warszawskiej młodzieży w dziewiątym dziesiątku lat zna gwar biwnakowy i rytm przyspieszony, którym »długie nocne rodaków rozmowy« wyposaża przyspieszone tętno serca. Powszechna powinność młodzieży tych czasów — konspiracja (68) — musi odbić się w słowie. Drżenie przedporodowe głębi społecznej ma swoją muzykę, która cudownie nastraja instrument ludzki — poetę. I ta wprost konieczność społeczna — śpiew — podlegać musi prawnie takiej ewolucyi, o ile z najwyższych swych tonów sama nie obwieszcza praw nowych.

Z takiego stanu rzeczy narodzić się musiała wiara, pewność, że poezya to tylko zespół pieśni z głębokim nurtem życia narodowego teraz jak i dawniej:

Wy dajcie ton, co tętnem jest stulecia —
Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam! —

woła lat tych przedbojowych wyrazicielka Marya Konopnicka.

Tak od pierwszego akordu staje przed nami jej twórczość wyraźna związkiem z tradycją, przodownicza w szeregu współczesnych, przynosząca po staremu ofiarę przed ołtarz niewygasłego kultu zbiorowości. Całkowita działalność Konopnickiej, której dotykaliśmy już poprzednio (75) należy do najpłodniejszych w tej dobie i obok Orzeszkowej stanie na świadectwo wysokiego powołania Polki. Wyraźniej można w niej oznaczyć trzy doby dojrzewania: pierwszą, obejmującą zwłaszcza trzy pierwsze serye poezyi (1881, 1883, 1887), w której Konopnicka jest chorążym Polski ludowej w obozowisku warszawskim; drugą, obejmującą przepiękny cykl nowel (*Cztery nowelle* 1888, *Moi znajomi* 1890, *Na drodze* 1893, *Nowelle* 1897 i t. d.) oraz czwartą seryę poezyi (1896), w której poetka przechodzi, po górnej i chmurnej młodości pieśniarskiej czas ciężkich doświadczeń, przeżywając niejako szczegółowo owo życie ludu, życie maluczkich, które objęła przedtem z lotu pieśni; trzecią wreszcie — rozciągającą się do chwili obecnej a obejmującą szereg studyów literackich entuzyastycznych, natchnionych (o Mickiewiczu, Zaleskim *Trzy studia* 1903) oraz nowe pieśni od 4-ej seryi (1896), coraz bogatsze kulturą poetycką (*Italia* 1902, *Nowe pieśni* 1905), coraz szerszy widnokrąg w kompozycyi obejmujące

ROZDZIAŁ XV.

Poezja i dramat.

83. Epigonizm poezyi z lat 1860—70, jej zależność od publicystyki z lat 1870—80, a wybijający się ponad zjawiska te ton współdzwięczny z duszą nowoczesną Faleńskiego, Gomulickiego, nadewszystko zaś idealisty bez złudzeń Asnyka — nie wyczerpywał, jak to już wiemy, twórczych pierwiastków epoki. Z tem większą siłą przejawiały się one w innych dziedzinach literatury lub wprost życia samego, gdy ów chaotyczny stan dusz lub niepełna ich miara nie pozwalała, nie sprzyjała na wyraz poezyi w jej najwłaściwszej dziedzinie.

Staraliśmy się kilkakrotnie wykazać, jak wymykając się wszelkim klasyfikacyom, nurt wielkiej poezyi, więc twórcza, kształtująca energia myśli, dążąca do wytworzenia sobie kształtu w słowie, toruje sobie drogę tam po przez dziedziny poszukiwań historycznych, ówdzie przez zjawiska odrodzonej prozy powieściowej, stwarzając raz natchnione rekonstrukcje przeszłości, to znów odmianę pobratymczą rymów — nowelle, to wreszcie wyrażając się w podniesieniu poetyckiej i artystycznej stopy w cyklach i trylogiach współczesnej powieści. Przyrasta, wznosi się skala eurytmii twórczej — coraz taneczniej dźwięczy sama proza, coraz harmonijniej zataczają się kręgi jej kompozycyi, nim wreszcie ruch ten ogarnie dziedzinę samej poezyi. Wzbiera również entuzyazm i klarują się indywidualności w starciu życiowym, nim się wypowiedzą w słowie.

(*Pan Balzer w Brazylii* 1902). Okresy te, jakoby kręgi przeobrażeń, po których stąpa duch poety, rozszerzają się współmiernie z rozwojem poezji nowoczesnej. Ton bojowy i ludowość pierwszych pieśni — ustępuje w przeobrażeniu następnym jakby poddaniu się żywiołowi życia, stając się pielgrzymką duszy nowoczesnej po ciernistych rozłogach rzeczywistości. W fazie ostatniej, przy opanowaniu wszystkich środków wirtuozostwa poetyckiego — olbrzymieją zamiary poetki, dojrzewa jej rozumienie i entuzjazm i zjawia się bardziej osobiste pragnienie — jedynego dzieła. Rozkoszą i dumą jest dla nas bezwątpienia ten całkowity obraz »stawania się« poety. Późniejsze lata, tak rozrzutnie bogate w talenty poetyckie, upojone takim wezbraniem sił twórczych, nazbyt bujną przyniosą treść własną, by mózgi objąć wdzięczną pamięcią przemiany lat poprzednich. Wreszcie i nie wszystkie zamiary poetki spełnią się w tej skali, w jakiej były zamierzone. Pomimo uznania dla nieporównanych niekiedy opisów i obrazów, dla świetnej galerii typów ludowych, dla szerokiego tonu strofy w *Panu Balzerze*, nie podzielię i ja entuzjazmu niektórych pisarzy (Brücknera) dla tego poematu, bynajmniej nie uważając go za ową chłopską epopeję, o której ongi w *Głosie* marzyła autorka, lecz za doskonałą acz przeciążoną powieść poetycką. Niepodobna mi jej swady w istocie niezwyklej wziąć za potężny nurt epopei, jak najgłębszego kanału nie można wziąć za rodzime koryto wielkiej rzeki. W całej zaś późniejszej działalności Konopnickiej, obok ogromnych zalet indywidualnych i niepowszedniej miary techniki słowa — niepodobna nie widzieć pewnej szczęśliwie opanowanej i nagiętej do celów poezji zdolności retorycznej raczej, niż twórczej; jak w samej wreszcie budowie jej dzieł i ostatnich przemian — zasadniczego odchylenia się od tragizmu żywej myśli współczesnej w sferę tej przejrziałej pewności siebie, której się zdaje, że wie wszystko to, co umie. Wreszcie więc i Konopnicka, choć umysł i talent dużej miary, nie wyraziła więcej, niż wyrazić mogła. Wyraziła zaś całkowicie treść lat, w których urosła — lat bojowych ludowości polskiej; treść środowiska, które wyśpiewała — owego obozu warszawskiego — a ponad to dała piękny przykład rwania się całej duszy współczesnej

snej ku dalszym, przeczuwanym przeobrażeniom, ku bezkresom myśli i piękna.

Konopnicka najistotniejszą cząstką talentu i całym swym wpływem jest tak zrosnięta z ówczesną Warszawą, jak Orzeszkowa z pojęciem kresów polskich. Jeżeli Asnyk wyraził w duszy ówczesnej najczystsze formy rezygnacji, opartej na cofnięciu się w dziedzinę estetyki myśli i dał wyraz pełnej zadumy równowadze — to Konopnicka wzięła w siebie wszystkie bojowe zarzewia momentu, stała się żywą jego pobudką. Ten stan ducha wyraża się przedewszystkiem w ostrym odczuciu społecznych i losowych sprzeczności: piwnicznej izby z rozsolneczną kopułą świata, nocy pełnej mroków i cierpień — ze świetnością firmamentu, przepychu zimnej świątyni, z nędzą u progów jej konającą, doli chłopskiej a doli jasnego pana — aż do śmierci, aż do powrotu króla i chłopca z wojny do domu. Wszystko co urąga »wolnemu najmicie« szyderstwem tej darowanej mu swobody głodu i cierpienia, wszystko co skarży się na rozdźwiękach biednej chłopskiej doli, co wyrodnieje w lochach wielkomijskich i nie doczeka nigdy uzdrowienia — wszystko to wzięła w siebie poetka — jak całe pokolenie. I jak to całe pokolenie poczuła się pociągniętą nietylko siłą moralną, lecz i żywiołową siłą ludu, i rodzimością, i jak ona zapragnęła z tych umiłowanych a skrzywdzonych pierwiastków — stworzyć moc tryumfującą przyszłości. Z tej samej antytezy wychodząc — mogła się była rozwinąć twórczość nawskróś filozoficzna, wszechludzka — w szeregu wiecznych pytańników wydzierająca się poza kres narodu i epoki; lecz gorące tchnienie chwili, duch młodzięczy pokolenia, drżący bunt tłumionym gruntem Warszawy pokierowały inaczej! Nadewszystko zaś inaczej chciała moc kształtująca prądu ludowego. Ze wsi polskiej przybywając do Warszawy, pełna wspomnień o wiejskich cichych drogach, o wiejskich rankach i wieczorach, pełna echa wiejskiej piosenki — znalazła poetka w stolicy dalszy ciąg tych doświadczeń: odnaleziony przez pionierów ślad ów drogi do ludu, po którym ongi w zaraniu romantyzmu biegł radosny geniusz poezji. I trzy pierwsze seryje jej utworów — te, które dla historii literatury polskiej nie przestaną być dokumentem nie osobistego lecz ogólnego jej znaczenia — to jeden ciąg

hymnu, gdzie mieszczą się kolejno dwie strofy: ludowa i bojowa. To słycać odgłosy z łąk i pól, granie fujarki i widać pierzchające barwy swojskiego krajobrazu — to w niepoliczonych »czemu« i w żarliwych westchnieniach słycać ową wzbierającą w całym pokoleniu odpowiedź — o krzywdzie i o walce z nią. Dość tych tonów, by nastroić drżące zespołem ze społecznością struny poezji polskiej. Warszawa zaś — ta Warszawa, która poza obrębem ogródkowych powabów i weltsmerców gabinetowych — ma swój nieprzeparty urok wdzięku i temperamentu — słyca takiej poezji, otwierając przed nią na oścież wszystkie studenckie czwartaki. Ten ton ich — nieco retoryczny — przypadnie do serca chciwej przemówień na zgromadzeniach młodzieży. Coś z *Ody do młodości* ma jednak czwartak warszawski: chce w siebie wierzyć i wiarę tę wzmocnić miłowaniem i nienawiścią. Pieśń przejdzie z czwartaków, śladem studenta i jego narzeczonej, do salonów. Z nią przebiega półbawiący się i pół-konspirujący tłum inteligencji dreszcz czegoś zakazanego. A wszystko to, jak tajny znak masoński, zrozumiały dla sprzysiężonych, powtórzą potem pisma — pomimo cenzury. Bo rzecz ciekawa: i ta poetka nie będzie czuła zbożnej konieczności wypowiedzenia się z bezwzględną swobodą. Jeszcze widać nie czas na taki bunt. Tymczasem wypowiada się i ona — cenzuralnie, reszta — w wielokropku. Wielokropek jest masońskim znakiem i sprawia ten cud, że Ujejski może być... cenzuralnym nawet za czasów komitetu Jankulia i C-ie... Wiele z Ujejskiego, przełożonego na język cenzuralny, mają poezye Konopnickiej. Raz jeszcze tu zachęcamy do studium o wpływie cenzury na styl literatury naszej (fejletonu i poezji) oraz na sposób sam symbolicznego i pełnego porozumień konicypowania tej doby. Mając wytworny wiersz Asnyka za wzór formy i żarliwą strefę Ujejskiego za ton treści — Konopnicka stanęła na pierwszym, pamiętnym, szczeblu swych przemian, wyposażywszy jedno i drugie tchnieniem ówczesnej młodej Warszawy, retorycznej nieco i wielokropkowej, oraz muzycznym i plastycznym znawstwem ludu. Odtąd poezye jej stały się ulubioną strawą warszawskiej inteligencji. A język ich w budowie i słownictwie jest uszlachetnioną formą języka potocznego tych czasów — od miłych uchu zwrotów ludowych do terminów

»wolnego najmity«, od romantycznego nałogu do biżuteryi niebiańskiej, do cenzuralnych wielokropków i retorycznych pytańników.

Podczas gdy Konopnicka staje się wyrazem młodzieży warszawskiej i nagromadzającej się w społeczeństwie energii czynu, zapału do walki, przeczuć o przyszłych przeobrażeniach, wreszcie panujących upodobań ludowych — inny poeta snuje dalszy ciąg poezji refleksyjnej, pełnej zadumy, dążącej do równowagi pięknej formy i ludzkich motywów.

Wiktor Gomulicki bardziej niż ktokolwiek inny może być uważany za poetycki wyraz uczuć i potrzeb ówczesnej inteligencji. Podobnie jak Asnyk jest niedostępny bezpośrednio uczuć — gdyż każde w pierw załamanie w pryzmacie refleksji. Jak Asnyk ma szczególny dar tonu niezmiernie prostego, pozbawionego patosu, czystego jak myśl. Niemal z poziomu zwyczajnej mowy potocznej zaczyna każdy swój wiersz, by dojść w nim bez użycia efektów do tonów najwznioślejszych: »To było na podwórzu żydowskiego domu w letni wieczór« zaczyna się jeden z najpiękniejszych utworów tej doby *El Mole Rachnim* Gomulickiego. »Mieszkałem wówczas na Kanonii« zaczyna się drugi. I pierwszy podnosi nas na wyżynę biblijnego patosu, stając się pieśnią wiecznej tułaczki Izraela, drugi wytacza się jak łza młodzięcej tęsknoty.

I miejsce bywa szpetne i ludzie zwyczajni — można własnymi słowami autora scharakteryzować tematy jego poezji i nowel, o których mówiliśmy wyżej. Lecz poezya za każdym razem i miejsce to przekształca na swoją świątynię, i ludzi tych podwyższa o miarę człowieczeństwa. Odczytanie w klasykach — owo cudne z nimi zżycie się, rozzuchwalające do prostoty w patosie, do myśli wyraźnej — bije z tych poezji. Biję z nich również długoletni nałóg samotności, myśliciela z książkami wiodącego długie poufne rozmowy, w tłumie zachowującego milczenie. Nałóg samotników o ludzkim sercu do przeżywania w jednym momencie współczucia całych ludzkich egzystencji. Prócz tego jest w nich ton szczególny wielkomiejskiego pielgrzyma, rozkochanego w murach i pamiątkach swojej stolicy, znajdującego nawskróś wszystkie jej cienie i szmery, światła i wrzenia. Tą znów stroną Gomulicki, jak nikt z polskich poetów,

zbliża się do Francuzów rozkochanych w Paryżu, znających dzieje każdego kamienia, każde drgnięcie tłumu ulicznego.

Gomulicki tak ukochał i rozumiał Warszawę i nie tylko starszą, którą odtworzył w przepięknych sztychach poetyckich (*Pod okrętem, Na Kanonii* i inne), lecz i tę współczesną, pełną błędu i mętu, ale i waru krwi i porywów, »gdzie z każdego głazu dramat ludzki huczy: oto jestem«. (*Ślepy, Nazbyt lubił, Zrozumiała, Rodzina*). *Stare miasto* lub żartobliwa *Pieśń o Gdańsku* — *El Mole Rachnim* lub *Pod ciosem*, flamandzka rodzajowa barwność a ogromny na śmiertelnej głębi ważący się patos — oto skala liryki Gomulickiego.

Czem dla Asnyka próby dramatyczne, tem dla Gomulickiego są nowelle oraz szkice fejetonowe, które obficie rozrzuca po pismach. Tu wyładowuje poeta nadmiar energii, to wszystko, co się nie skryształizowało w poezję, co jest jej warunkiem, materiałem. Stąd i wielka nierówność tych rzeczy raz jak doskonale szkice o *Starej Warszawie* bardzo cennych, to znowu zgola przygodnych, jak wiele *Korespondencyi* i t. p.

84. Fala odradzających wpływów uderza daleko poza rdzenną dziedziną polskości, budząc dawne dzielnice do nowego życia.

Kresy litewskie i Ukraina dostarczają w tej dobie licznych pracowników na wszystkich polach, jak to już wspominaliśmy z powodu Promyka. Prąd demokratyczny elektryzuje i porywa młodzież, stanowiąc zarazem potężny środek przeciwko wynaradawianiu się. Część młodzieży, z temperamentu idąca drogą krańcowych ewolucyi społecznych, nieprzyjazna Polsce szlacheckiej, zbyt oderwana od metropolii, by sama mogła oddziaływać na szybszą przemianę społeczeństwa, poczęła ulegać wpływowi rosyjskiemu, porywającemu, jak wiemy, w tej dobie młodzież w wir rewolucyjnych fermentów. Otóż ta właśnie część młodzieży, grupującej się przy uniwersytetach w Petersburgu, Moskwie, Kijowie została niejako na nowo odzyskana dzięki Polsce ludowej: w niej bowiem znalazła żywioł, którego szukała wśród obcych.

Żywotność kresów była niejednokrotnie przedmiotem rozpraw w tych czasach (*Głos, Kraj, Prawda, Ateneum*).

Ogólną linię tego zjawiska wytknął był już Br. Chlebowski w cennej rozprawie p. t. *Zadanie hist. lit. polskiej wobec warunków i czynników jej dziejowego rozwoju* (1885), podnosząc w niej wpływy etno- i geograficzne, różnice terytoryalne, jako czynnik rozwoju literatury.

Zasilanie się ludźmi z kresów było zjawiskiem od dawnych czasów Rzeczypospolitej znanem, w okresie rozkwitu uniwersytetu wileńskiego i kamienieckiego liceum doszło do zenitu.

Teraz, po kilkunastu latach zastoju, znowu gęsto napływają kresowcy do pracy nad kulturą polską. Wymienione pisma wyliczyły ich całe szeregi: Al. Jelski, N. Cybulski, St. Witkiewicz, Ad. Mahrburg, Orzeszkowa, Zapolska, K. Pruszyński (Promyk), M. Dubiecki, Wł. Spasowicz, Al. Walicki, Bartels, Siemiradzcy, Wł. Wysocki, J. Wierzbicki, J. Niesłuchowski, Godlewscy, Maryan i Kazimierz Zdziechowscy, Józef i Ksawery Potoccy, B. Adamowicz, Lubecki, Mirski, M. Brzeski, Godlewski, A. M-ski, Al. Mańkowski, Józefat Nowiński, Weyssenhof, E. Paszkowski, Rawita-Gawroński.

Z poetów kresowych na Litwie w owym czasie wyróżnił się Józef Wierzbicki — rozpoczynający niemal od razu z tonu realistycznego poematem *Hanka* (1888). W dwa lata potem wyszła *Zosia* i *Księga pamiątek* — od roku zaś 1894 wychodzą zbiory jego poezyi. W *Hance* jesteśmy bliżsi (dla realizmu wsi ukraińskiej) Szewczenki *Katarzyny* niż *Maryi* Malczewskiego, podobno jednak najbliżsi wpływu realistycznej polskiej noweli z świetniejszej doby Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa. Motywy te same tu ludowe transponowane na ton pieśni — ten sam bolesny zatarg i te same postaci, tylko w barwie rusińskiej: arendarz Szłoma, ekonom Śnieżko, pijaczyna Hryc, pisarz gminny — pan dziedzic. Romantycznie jednak pojmuje swe zadanie poeta, mimo realizmu wioskowego, gdyż nie żywot wioski Wygody, lecz dzieje miłości Hanki wysuwa na plan pierwszy, chcąc ją wyśpiewać we wszystkich tonach. Z liryk Wierzbickiego da się wybrać garść ładnych i odczuwanych motywów, zwłaszcza z tonu życia rodzinnego. Ciekawym wreszcie jest cykl pieśni staro-słowiańskich na temat »Płacz słowiańska ziemio cała — niech powieje tobą żal — to nie Pienna tak wezbrała, to prą Niemcy nakształt fal«. Prastare

dzieje walki Germanów ze Słowianami, zalewy i zabory dzie-
dzin połabskich i naddunajskich są treścią tych ballad i rapso-
dów, uderzających niekiedy w ton bohaterski.

Obok Wierzbickiego w Mińsku również pisał zbyt wcze-
śnie zmarły poeta Jan Niesłuchowski, który np. w swych
bezpretensjonalnych *Akwarelkach myśliwskich* dawał urocze obrazy
bytu i przyrody Białej Rusi. Obok tej kresowej pracy dla pol-
skości spotykamy się tam z pewnymi próbami wskrzeszenia
białoruszczyzny. Pisują więc (po Syrokomli) gwarą białoruską
Legatowski (bajkopisarz) i Bartels — na białoruski zostaje na-
wet przelożona — Marsylianka przez młodego entuzjastę Engla.

Wśród kresowych poetów Ukrainy zabłysnął, jak echo
dawnych głosów od stepu, czysty pieśniarski talent Włodzi-
mierza Wysockiego. Na krótko jednak, bo tylko przez
jedno dziesięciolecie, brzmiały przerwane znowuż przez wczesną
śmierć pieśni młodego poety. *Wszyscy za jednego* (1882), *Laszka*
(1883), *Zaklęta łąka* i *Nowe Dziady*, *Las* (1885), *Oksana* (1891),
Satyry i Bajki (1894) — oto plon Wysockiego w tym krótkim
czasie. Od humoreski szlacheckiej do rzewnych pogłosów *Ma-
ryi* — przebiega poeta znajome tony ukraińskie, zdobywając się
niekiedy na dramatyczne napięcie (*Nowe Dziady*), niekiedy rzu-
cając prześliczne opisowe fragmenty przyrody »Nad brzegami
Horynia, Słucza, Teterewa«. Wdzięk i świeżość biją z tej poezji,
zawartej w płynnych strofach tej znajomej a od dumki wywo-
dzącej się formy naszej ukraińskiej poezji. Jest to bezwątpienia
późny pogłos romantyzmu, ale transponowany na własny o peł-
nym dźwięku instrument, a w talencie niosący zapowiedź dal-
szego rozwoju.

Ogół witał te echa kresowe z wielką sympatją: były one
po latach przerwy i zastoju pożądaną wieścią przebudzenia.

Prastary Ślązak na drugim krańcu Rzeczypospolitej jawi
w tej chwili taki sam obraz pospolitego ruszenia na tle ludo-
wego prądu. W jednym ustępie z *Góry Chełmskiej* Ks. Bączka
mamy prawdziwy rejestr tych co ustami i piórem budzili Pol-
skę na Ślązku: co »lud kształcili, bo mówili do serca«. Więc
idą tu dawni działacze z przed roku 63 pospołu z nowymi:
Bogdani, Włodarski — wśród nich książę kardynał (Ledóchow-
ski) — Gelich, Połomski, Stanik, Ficek — brat pomiędzy braty —

Szafranek, Lompa, Damroth, Szulczyk, Świątek, Jan Studziński,
Wolczyk, Dembończyk, Błana, Wątróbka, Krahl, Kania, Poni-
kowski, Nerlich, Sarnes, Lubecki, Kirchniawy, Tarnowski, Kor-
pak, Bienek, Ligoń, ... »rejestr kończy się Miarką; jego czystej
prozie język zdrowie zawdzięcza — on chorobę — kozie«.

Nie trzeba zaś zapominać o wdzięcznym tych imion wskrze-
sicieliu Norbencie Bontzk'u raczej Bączku, który wraz z Cze-
sławem Lubieńskim najwięcej zdziałał dla oczyszczenia języka
pisanego z przeważających germanizmów. Taka historia ko-
ściółka Miechowskiego, gawęda poetycka pierwszego, takie wier-
sze liryczne drugiego — to było źródło mowy polskiej, gdy
obok zatruwał do reszty wasserpolonizmem superintendent Haase,
wydając rzeźnię »po polsku« takie np. utwory: »Ten gang na
żelazny młotek z tego to Schillera uberzecował Fr. Haase...«

Utwory poetyckie Bączka i Lubieńskiego, pełne miejsc-
owego obyczaju, zwrotów mowy, opisów czasów szkolnych, kraj-
obrazów ślązkich i t. p. są w znaczeniu poetyckiem śladem
gawędziarstwa i liryki Pola lub Syrokomli — dla nas dziś są
cennym dokumentem i pamiątką.

85. Tło literatury dramatycznej z tego lat dziesiątka stanowią
znane już nam a cieszące się stałem kasowem i prasowem po-
wodem sztuki mieszczańskie. Tryumwirat sceniczny Bałucki,
Zalewski, Lubowski panuje wyraźniej niż kiedykolwiek — prze-
kłady francuskie ukazują się gęsto. Zresztą Zalewski, jak wiemy
już, w tem właśnie dziesięcioleciu dochodzi najwyższej biegłości
sceniczej, a poruszając w swych sztukach zaogniającą się co-
raz bardziej kwestyę plutokracji i stosunku do żydów, tem sa-
mem zapewnia im niesłabnące zainteresowanie publiczności.
Kiedy zaś po *Górą nasi*, *Friebe*, *Nasi zięciovie*, *Małżeństwo Apfel*
(1883—1887) — uważajmy, że to w istocie najlepsze rzeczy
mieszczańskiego repertuaru — kiedy po nich zakończy to dzie-
sięciolecie pieprzną farsą *Oj mężczyźni, mężczyźni* — któż się zdoła
pochwalić większym odeń sukcesem scenicznym?

Obok tryumwiratu sztuki mieszczańskiej, któryśmy poznali
dawniej (59.) — wybija się tu nowe nazwisko — nieomal rzec
można nowy talent — Zygmunt Przybylskiego. Pisarz

ten miał tę zaletę, że nigdy nie sięgał ponad własne siły. Dlatego zapewne komedia jego wpadająca w rytm farsy *Wicek i Wacek* (1888), która należała do najpopularniejszych przez długi szereg lat, ma przynajmniej wartość doskonałej obserwacji. *Państwo Wackowie* słabsze już znacznie powtórzenie poprzedniej. *Dwór we Władkowicach* — znowu niewyszukany ale pełen ruchu scenicznego obrazek.

Malarz-humorysta dworzków i typików (nie dworów i typów) szlacheckich, drobiazgów na amatorską skalę, niekiedy nie pozbawionych wdzięku (*Bzy kwitną*), Przybyłski jest jednym z typów przejściowych między szlachecką a mieszczańską kulturą, autor teatralny i teatroman w jednej osobie, coś z lekko-myślnego wieśniaka i brukowego nowiniarza naraz. Pisał jeszcze długo, już bez powodzenia, wystawiając raczej dawne sztuki lub żyjąc przy teatrze, jako dyrektor, reżyser, tłumacz.

Na kwitnącej scenie ogródkowej w stylu melodramatycznym pisuje Paweł Kościński (wspomniany już jako Paul de Coś autor-humorysta), dając *Tajemnice Warszawy*, *Zły duch*, *Dzieci Starego miasta*, *Bobo* i t. p. — farsy i melodramaty. *Poezycy* (1897) jego w wydaniu pośmiertnym przeszły bez wrażenia. Wogóle cała jego praca była nawskróś wytworem Warszawy brukowej, obracając się między teatrykiem ogródkowym i piśmem humorystycznym.

Jednakowoż na tle scenicznego powodzenia dramatów i komedii mieszczańskich występują pewne próby — przeważnie słabe i sporadyczne — innych kierunków. O dramacie w ścisłym rozumieniu historycznym nie będziemy już tu wspominali, odsyłając do jego charakterystyki w poprzednich rozdziałach (55) — natomiast rozwój sceny polskiej, świetność trup krakowskiej i warszawskiej pociągają wyraźnie pewne temperamenty raczej poetyckie i powieściopisarskie do próbowania sił na tym terenie. Przyczynia się również do tego czynnik inny: ferment ideowy o coraz gorętszej temperaturze. Uderza jednak fakt, który niech będzie miarą konserwatywności sceny, że nie mamy prawie nic do zanotowania w tym dziesięcioleciu ludowości — z ludowych motywów na scenie.

Przy końcu dziesięciolecia pojawiają się melodramaty ludowe, niższe jednak od dawnych *Ancyca*; *Sewer* da kilka prze-

róbek swych wiejskich powieści — poza tem nic. Najwybitniejsi bowiem pisarze tej grupy, jeśli nawet nie byli pozbawieni zmysłu scenicznego, jak Dygasiński, Orzeszkowa, Junosza i inni — stali nazbyt daleko od ruchu czy ruchawki scenicznej tych lat. Zmianę — a jeszcze bardzo nieznaczną w tym względzie — przynieść miało dopiero dziesięciolecie następane.

Próżnobyśmy więc, poza tryumfującą nawet wśród wyżej sięgających inteligencją (*Piękna Świętochowskiego*) sztuką mieszczańską, szukali w tej dobie jakiegoś jednolitego, wyraźnego, tonu: znajdziemy tylko partyzankę, co najwyżej pod ogólnym hasłem wyższej nieco miary poetyckiej, wyższego poziomu literackiego.

Temi właśnie zaletami — nie wystarczającymi dla dramatu — odznaczają się sztuki, które zdobyły sobie konkursową sławę w tych czasach lub przez chwilę zwróciły uwagę ogółu. Do takich należy utwór premiowany A. Mańkowskiego p. t. *Minowski* — komedia nagrodzona w r. 1886. Jest to rodzaj *Tartuffe'a*, naszych stosunków, naszkicowanego rysami śmiałymi, i dającego może więcej charakterystyki karykaturalnej, niż wątku scenicznego,

Ten sam właśnie konkurs odznaczył był inną jeszcze pracę, o szerokim rozgłosie dziennikarskim, *Alberta wójta krakowskiego* St. Kozłowskiego — rzecz napisaną dobrym wierszem i zapowiadającą jeśli nie talent z Bożej łaski, to jednego z oddanych scenie pracowników.

Jednakowoż najwyższym rozgłosem wśród ogółu cieszyły się inne dwie sztuki z tegoż konkursu — mianowicie *Larik* J. Gądomskiego oraz *Lena* W. Karczewskiego (M. Jasińczyka).

Cztery te sztuki dość trafnie malują usposobienie chwili: *Minowski* — to satyryczna komedia na tle stosunków współczesnych; *Wójt Albert* — to dalszy ciąg dramatu historycznego; *Lena* — próba dramatu psychologicznego z wprowadzeniem efektów nieco teatralnych (obłąkanie), lecz tchnąca pewną naiwną siłą uczucia; *Larik* wreszcie — to dramat poetycki, używający prastarych stosunków celtyckich dla przemyczonej w symbolach treści konspiratorskiej, czy jak się wówczas mówiło: niecenzuralnej. Nie odmawiając dramatowi temu pewnych zalet opracowania literackiego, kto wie czy nie w tej właśnie »nie-

«cenzuralności» motywu szukać należy jego uznania wśród poczynającej żyć konspiracją młodzieży?

Jak bardzo mało te konkursowe i literackie sukcesy miały związku z istotnym rozwojem dramatu i losami sceny — dowodem fakt, że wszystko to były autorstwa niemal przypadkowe, okolicznościowe. Mańkowski dał jeszcze słabszego znacznie *Dziwaka* (1887) — zamilkł dla sceny na długo; Gadomski i Jasieńczyk, złożyłwszy tę daninę modnej formie, pierwszy mimo powodzenia literackiego, drugi mimo sukcesu na scenie — wcale już do dramatu nie wrócili. Jeden tylko Kozłowski z pośród autorów konkursowych utrzymał się na stanowisku dramaturga sceny warszawskiej, lecz druga już sztuka (*Esterka* 1887) zawiodła nadzieje — następne zaś ukazujące się w dość rzadkich początkowo odstępach (*Turniej, Taborcy, Dyana, Reduta* i t. d.) mimo niewątpliwego opracowania mają raczej znaczenie repertuarowe i to głównie dla Warszawy. Ostatnie jego utwory, malujące schyłek wieku XVIII w Polsce wystawą raczej i aparatem scenicznym robią pewne wrażenie — poziomem jednak poetyckim ani napięciem dramatycznym nie sięgają ponad dawniejszą od nich próbę Komorowskiego *Błądną gwiazdę* (napisaną w 1875, drukowaną w 1882).

Rzecz znamienita: gdzie tylko twórczość nasza dramatyczna zdobywa się w tych czasach na ton poetycki głębszy, na większe napięcie ideowe — tam napewno niemal bądź sama nie odpowie warunkom niezbędnej sceniczności, bądź wreszcie scena nie upomni się o taki utwór. Tak było z twórczością Norwida, Faleńskiego — tak się powtórzy w kilku wypadkach bezskutecznego zawiązywania się prób dramatycznych u młodszych pisarzy. W tym właśnie momencie Wł. Okoński, który w *Niewinnych i Pięknej* jak wiemy dał utwory sceniczne, ale niedaleko odbiegające od panującej formy dramatu mieszczańskiego, gdy zdobywa się na *Aspazję*, na trylogię *Nieśmiertelnych dusz*, o tyle wyższe pod względem wątku ideowego i literackiej kultury — równocześnie oddala się od sceny, by z nią potem zerwać zupełnie. Podobnież młody pisarz, jeden z pierwszych żydów zdobywających sobie nazwisko w literaturze polskiej, Alfred Nossig wydaje w r. 1885 *Tragedyę myśli* w formie poematu dramatycznego, gdzie w pełnym swady i tempera-

mentu słowie odmalowuje dzieje Giordana Bruno, nie kusząc się zgola o wydobyte z poematu żywej formy scenicznej. Dopiero w roku następnym wystąpi z *Królem Syonu* (granym w 1887), lecz znowu zapowiedzianej w utworze tym siły patetycznej nie rozwinie już potem nigdy w formę dramatu. Twórca wreszcie *Czerwonego sztandaru* B. Czerwiński wystąpi raz jeden z utworem dramatycznym (*Niewolnik* 1882), lecz czy to zrażony zakazem cenzury austriackiej, czy nie czując w sobie powołania scenicznego, znowuż tę formę na zawsze porzuci, mimo uznanego przez współczesnych błysku talentu. Wreszcie i Marya Konopnicka, uniesiona wezbraniem liryki swojej, pokusi się o sceny dramatyczne (*Z przeszłości Hypatya, Wezajasz, Galileusz* 1881) — niekiedy uderzy w motyw dramatyczny w wierszu lub nowelli żywcem wołający o własną formę, lecz wysiłku dalszego nie robi. Mniemam więc, iż przypomnieniem *Braci Lerche* A. Asnyka — najlepszej może jego komedii obyczajowej — oraz prób innego poety K. Glińskiego, jak *Anna Firlejówna* 1887, *Almanzor* 1891, z kategorii dramatów książkowych, zakończyć możemy bez skrupułu ten krótki przegląd dziesięciolecia scenicznego.

Wyraźnie widzimy jedno: oto obok panującej formy scenicznej dramatu mieszczańskiego — kiełkują inne kierunki, zapowiada się wyższy poziom literacki sztuki dramatycznej. Lecz narazie — to tylko dreszcze przedporodowe dla innych czasów, świadczące o kształtowaniu się koncepcji dramatycznych na wyższą skalę, lecz w sprawie ich scenicznej realizacji nie dające nic stanowczego.

Dodać tu należy kilku pisarzy patryotycznych. W literaturze polskiej nawskróś narodowej przymiotnik ten oznacza raczej »niecenzuralność« z domieszką jaskrawych efektów z powstania i t. p. Do tych należy przedewszystkiem Aureli Urbański, autor dramatów: *Pod kolumną Zygmunta* (1880), *Dramat jednej nocy* (1881), *Na poddaszu, Szumi Marica* (1886), *Watażka* (1888) i inne. Pisarz to efektów krańcowych zarówno z powstań polskich jak z walki o niepodległość na Bałkanach zaczerpniętych. Dramaty jego miały jedynie znaczenie sceniczne, nie dorastając zresztą nigdy miary takiego *Kościuszki pod Raclawicami*, choć pretensją poetycką mierzące wyżej. Do tegoż

rodzaju należy popularniejsza bodaj od wymienionych sztuka popularno-patriotyczna p. t. *Gwiazda Syberyi* hr. L. Starzeńskiego. Aur. Urbański był także dobrym tłumaczem Heinego (Atta Troll, Romanzero). Poezye jego wyszły u Brockhousa 1881. Prócz tego zbiór wierszy retorycznie-opisowych o r. 1863 p. t. *Miatież*. Jedynym usprawiedliwieniem zresztą tych poezyi był udział rzeczywisty poety w powstaniu — jedyny to też ich ton szczery i wzruszający.

86. Dla uzupełnienia obrazu prac literackich dziesięciolecia musimy jeszcze zanotować obfity plon przekładów. Wspominaliśmy już o nich w rozdziale o powieści, że stanowiły niemal drugie tyle bardzo znacznej produkcji oryginalnej. Cieszą się względami publiczności zwłaszcza Francuzi: Balzac, Flaubert, Zola, Daudet, Maupassant, Coppée i inni. Z rosyjskich autorów ukazują się przekłady Dostojewskiego, Tolstoja, Turgeniewa. W dziedzinie literatury scenicznej ruchliwa reżyserya Warszawy i Krakowa wprowadza przekłady wszystkich wybitniejszych nowości francuskich i niemieckich.

Ale nadewszystko wzrasta zasób przekładów z literatury wszechludzkiej. Homera tłumaczy Popiel (1884), Szmurło (1887), Mleczo; Sofoklesa, Eschyla — Kaszewski (1887—8); Eurypidesa — Węclewski (1882); Arystofanesa — Wiślicki (1882); w 1887 wychodzi przekład Poetyki Arystotelesa; Dantego przekłada Stanisławski (1887), Petrarę — Faleński (1882), Kaldeona — Porębowicz (1887), dający również Antologię prowansalską (1887); Lope da Vega — Święcicki (1887); Goethego — Jezierski (1881), Paszkowski (1882), Jenike; Byrona przekłada Porębowicz (znakomity przekład Don Żuana 1885), Baworowski (1883), Morawski, Floryan; Schillera — Zipper (1884), Musseta — Londyński, Baudelaire'a *Kwiaty grzechu* — Adam M-ski i Lange. Pojawiają się pierwsze przekłady Ibsena (*Nora* 1882) — starogermańskie motywy opracowuje German (*Nibelungi* 1881). Ukazują się Carlyle, Heise, — Heinego tłumaczy Konopnicka, Michniewicz, Czesław i inni; Konopnicka i Miriam przekładają poetów czeskich. Z europejską krytyką literacką i artystyczną zaznajamia nas Taine, w doskonałym przekładzie Sygietyń-

skiego i Świętochowskiego; do Warszawy zjeżdża Brandes na wykłady francuskie o literaturze skandynawskiej, poprzedzone przykładem jego *Głównych prądów literatury XIX w.* (5 tomów, 1882—84).

Wychodzą również, jak to już wspominaliśmy, przekłady dzieł Spencera (przy *Głosie*), Spinoza, Draper i t. p. Znakiem zaś szczególnym tego dziesięciolecia są przekłady legalne i nielegalne literatury socjalistycznej: Marxa, Lassale'a, Engels'a, Schöfflego i t. p. Nawet w belletrystyce jednym z największych sukcesów jest powieść Bellamy'ego, wydana przez *Głos* p. t. *W roku 2000-ym*, która rozchodzi się w ciągu paru miesięcy w 5-ciu tysiącach egzemplarzy (1888).

Nie wspomina tu o wydawnictwach różnych instytucyi naukowych, stowarzyszeń jak Akademia, Kasa Mianowskiego, gdyż one wyszły już z okresu prób i działalność swą rozwijają coraz wszechstronnie.

ROZDZIAŁ XVI.

Wzajemność życia i literatury; krytyka.

87. Sfera historyka literatury graniczy ustawicznie ze sferą socjologa. Co chwila na powierzchni pojawia się jakiś ferment, jakiś wątek twórczy, którego korzenie tkwią w ciemnym, kłębiącym się podłożu życia społecznego. Lub znowu inny wątek dotąd obecny wyraźnie w literaturze gubi się i rozpręga w niej, podczas gdy całą swą pomnożoną przez dzieło tworzenia mocą wszczepia się jako nowy czynnik w zjawiska społeczne. Trzeba bądź co bądź, nie wychodząc z własnego zakresu badań, te momenty wskazać i nie dać się złudzić pozorom, bo niekiedy apogeum znaczenia społecznego jakiegoś prądu literatury zbiega się niemal co do chwili z jego wygaśnięciem jako czynnika twórczego lub odwrotnie. Doba, którą tu mamy przed oczyma, obfituje w takie właśnie objawy przemiany sił. Prądy i kierunki jak owe rzeki na gruncie chłonnym, to znikają nagle, by tworzyć nieznane nam podziemne koryta przyszłych źródeł, to wydobywają się na powierzchnię z podłoża fermentów społecznych, by przez chwilę w tęczowym blasku sztuki ujawnić to, co drga życiem w czeluściach kształtującego się zbiorowiska. Ożywa w pieśni co zamiera w życiu, to znowu proroczo tryska jakiś kształt zjawiony jeszcze tylko w wyobraźni — ten sam może, który po latach wielu stanowić będzie powszedni bieg życia. Tylko te rzadkie chwile, gdy życie i sztuka zarówno dotkną nieśmiertelnych podstaw bytu i tworzenia, dają arcydzieła. Reszta kłębi się i przemija, przemija

i przekształca z jednej postaci siły w drugą. Każdy czuje, że tu tkwi szkopuł, o który rozbija się i teoretyk socjologii, i teoretyk literatury, gdy nie umie oprzeć się pokusie wyrznięcia poza kres własnej dziedziny i przemierzenia jej wartościami — wartości sąsiednich ale niewspółmiernych.

Silę i mnogość fermentów nurtujących w głębi społeczeństwa, szukających sobie dróg mierzyć możemy przedewszystkiem obfitością wybitnych postaci, idących w pojedynkę, nie dających się ściśle połączyć z żadną grupą. Nigdy ich tyle w Polsce nie było od czasów romantyzmu, co w całej drugiej połowie ostatniego pięćdziesięciolecia. Jest to typowe zjawisko epok przejścia — ludzie wyraźnie przejściowi, dusze wędrownie, szukające ściślej ojczyzny, tkwiące na raz w kilku dziedzinach, jakby w mocowaniu się instynktów starych i nowych — ludzie odrodzenia.

Role się rozdwiają: coraz częściej nie ci, którzy wyrazili najlepiej prąd pewien w literaturze są inicjatorami jego w życiu i myśli społeczeństwa. To co właściwie pozostaje po za nawiasem literatury t. j. nie krystalizuje się w utwory, lecz nie mniej jest ich podłożem, w chwilach takich i w takich osobach nieraz przeważa twórczość ujawnioną.

Istnieją nieznani poza obrębem jednego pokolenia prawodawcy smaku, tonu myślowego; istnieją postaci skupiające dookoła siebie całą jakąś sferę, nietwórcze w znaczeniu osobistej realizacji poetyckiej w literaturze, a jakże twórcze w znaczeniu zapładniania innych, wpływów na otoczenie! W pierwszym rozdziale każdej z trzech ksiąg zbliżaliśmy się do takich postaci stanowiących rękojmię wzajemności między życiem a literaturą, nigdzie jednak nie mogąc wdawać się w tej książce w ich wyczerpujące wyliczenie lub charakterystykę.

Grupa krakowska, ściślej stańczycy, posiadała tego rodzaju jednostek nie mało: niekiedy nieusprawiedliwiona twórczością literacką czyjaś opinia (Kozmian) — taką właśnie rolę da się wyjaśnić. Niekiedy jakiś mąż stanu, polityk, grupując koło siebie zdolnych literatów, jest ich natchnieniem i żyje w ich twórczości, choć sam nic nie napisał.

Nie mało również tego rodzaju postaci w okresie warszaw-

skiego pozytywizmu. Tak np. znaczenia Ochorowicza bynajmniej nie wyczujesz w jego szczupłej naówczas działalności naukowej tem mniej literackiej (Mohort Julian), lecz w takim właśnie żywym wpływie na ówczesnych. Mielśmy sposobność podkreślić znaczenie takich postaci i w grupie demokratycznej (66—70), gdzie wpływ Popławskiego, Potockiego — a dalej Więckowskiego Hłaski, Brzezińskiego, Hirszfelda tak nieznaczne ma równoważniki w sferze literatury właściwej.

Lecz okres tego ostatniego dziesięciolecia obfituje szczególnie w zjawiska tej wzajemności życia i literatury i obok ludzi zrosniętych bądź co bądź w grupę demokratyczną jawi całe szeregi osobistości wybitnych, idących luzem — owych »dzikich« na sejmie narodowym posłów — lub wreszcie grupy i skojarzenia chwilowe, a ważne w rozwoju życia twórczego.

Wzrasta coraz bardziej bogactwo czynników życia społecznego — pojawiają się osobliwe skojarzenia czynników poprzednio rozerwanych i sobie przeciwnych. Ludzie rozmaitych pokoleń, jak to już podkreślaliśmy w powieści (77) przeżywają powtórna młodość lub dojrzewają pod wpływem nowych czynników.

Prawdziwie — literatura, jako wyraz kształtujących duszę ludzką potęg, jako organ poezji — jest biblią narodów. Jak biblia też za każdym razem zawiera społeczeństwo żyjące przepisy wiary i higieny, techniki życiowej i estetyki, filozofii i obserwacji przyrody. Lecz w miarę usamodzielniania się tych umiejętności coraz to jakiś ich zakres ukonstytuowuje się w dziedzinę autonomiczną i wymyka się z pod kontroli historyka literatury. Gdy przeczucie staje się pewnością, marzenie — faktem dokonany, natchnienie — metodą pracy — wówczas dziedzina taka przestaje zależeć bezpośrednio od poezji i na nią bezpośrednio wpływać, lecz przechodzi w zakres spraw nauki. Historia, nauki społeczne i przyrodnicze, zagadnienia sztuki po kolei zdobywają sobie w Polsce w tym właśnie okresie takie stanowisko samodzielne, wylamując się poza obręb właściwej literatury. Czy znaczy to że traci na tem wzajemność, wymiana wpływów pomiędzy kształtującą twórczą władzą poezji, a bogactwem całokształtu duchowego życia człowieka? Bynajmniej! Komunikacje istnieją dalej — Biblia

po dawnemu jest księgą ksiąg: tylko że zadzierzguje węzły coraz to nowych zrozumień i znowu w swych natchnieniach przeczuciach i porywach, jak w pąku tuli przyszłe metody, realizacje i wiedze.

88. W ten sposób z pośród starszych zespolił się z młodem pokoleniem i wpływ swój rozszerzy na następne dziesięciolecie sędziwy Zygmunt Miłkowski, gdy wystąpi z *Rzeczą o obronie czynnej i samopomocy narodowej*. A ferment walki, który wyraża się w powstaniu nowych organizacji demokratyczno-narodowych (1884), wyrażony i w tej pamiętnej broszurce stanie się współczynnikiem wielu objawów literackich, dając im szczęśliwą formułę chwili.

Limanowski Bolesław, niestrudzony przez pół wieku szermierz wszystkich kielkujących w Polsce przemian społecznych — od pozytywizmu z czasów, gdy miał cechy nowości aż do ruchu demokratycznego wogóle i socjalizmu — zawsze na podkładzie narodowym — w szczególności. Od pierwszych broszur w sprawie robotniczej (około 1879 r.) aż do dużych dzieł z *Historji ruchu społecznego XVIII i XIX w.* (1888—1894) i do ostatnio opracowanej monografii (*Stanisław Worcell*, 1910) jest Limanowski czy to w kraju w Galicyi, czy na emigracyi w Paryżu nieprzejednanym, konsekwentnym apostołem obowiązku społecznego, jednym z cichych lecz wytrwałych, jak kropla wody, pracowników idei naprawy Rzeczypospolitej i społecznego odrodzenia Polski. Niemasz bodaj nikogo w szeregu tylu już pokoleń Polski współczesnej, ktoby nie zawdzięczał mu w tym zakresie bodaj uprzywilejowania materiałów, uporządkowania informacji. Wszyscy zaś zawdzięczamy nieskazitelny przykład prawości obywatelskiej i duchowej od kolebki niemal do mogiły towarzyszący cichą zasługą wszelkiej polskiej pracy.

Jakże szeroko sięgnął wpływ i znaczenie innego działacza, który zapragnie sprzęgnąć w całość tradycje Wielopolskiego, wskazania stańczyków i pozytywizmu, ba, nie gardząc doświadczeniami demokracji — człowieka już w pochodzeniu niosącego dwoistość stanowiska.

Spasowicz Włodzimierz — autor po rosyjsku

napisanej historii literatury polskiej (1865), która miała trzy wydania w polskim przekładzie G. Bema (1880—1891) — *Esseista*, krytyk i doskonały polemista — prócz literatury powyżej nazwanej napisał cenne rozprawy o Syrokomli, Polu, Matuszewiczu itp. zwłaszcza zaś charakterystykę Al. Wielopolskiego. Wszystkie te studia, nie wyłączając literatury, mają charakter polityczny, niektóre z nich (o Polu) wkraczają w granice pamfletu. Jako założyciel *Ateneum* (1876), zwłaszcza zaś petersburskiego *Kraju* (1882), który w duchu jego i pod względem technicznym świetnie prowadził Erazm Piltz — wywierał ogromny wpływ na kształtowanie się ugodowego programu w Królestwie i na Litwie. Był bezwątpienia najświetniejszym przedstawicielem petersburskiej odmiany naszych statystów — w analizie i krytyce poszczególnych słabości lub wad narodowej poezji i charakteru, bystry i głęboki spostrzegacz. Lecz oportunizm jego, podobnie jak przedtem oportunizm Wielopolskiego, jego mistrza, jak potem oportunizm całej grupy od *Słowa* do *Kraju* miał cechy fantastyczności. Najszkodliwsza i najniedorzeczniejsza z utopii jest utopia oportunistów tam, gdzie nie ma on realnych warunków istnienia. Tych zaś nie miał i nie ma dotąd w zaborze rosyjskim, z czem twórcy kierunku nie umieli się nigdy liczyć, zaślepieni fałszywą analogią do stosunków konstytucyjnej i z musu słowiańskiej Austrii.

Spasowicz jest doskonałym przykładem zadzierżgania się owych wielorakich węzłów wzajemności pomiędzy różnymi dziedzinami życia i twórczości. A jak daleki — nie można powiedzieć zwyrodniały, bo to z innego rodzaju postać — wpływ Krańskiego w tym anti-romantyku! Jaki błąd w owej »mądrości politycznej« (stosunek do Rosji) tych, którym tak o tę mądrość chodziło, a którzy od Wielopolskiego do Spasowicza wpadali po kolei w te grube błędy, choć się ich ustrzegł poeta, wiedziony nieomylnym instynktem, nie poddający nigdy w poniewierkę dla mądrości dnia dzisiejszego ni duszy, ni serca!

Na przeciwległym krańcu wynurzają się znów inne postaci tych lat, których wpływ na młodzież, więc przyszłe — już niedalekie — fazy twórczości był olbrzymi: rewolucyoniści. Założyciel proletariatu Waryński był znowu jedną z tych postaci, których urok i znaczenie sięgały znacznie dalej niż program —

owa »literatura« proklamacyi na razie to stwierdzić mogła. Ci wszyscy, którzy postawili »sprawę narodową na terenie sprawiedliwości ogólnoludzkiej« — dalszy to ciąg nieodzownych »podporządkowań« — a więc współpracownicy Waryńskiego: Kunicki, Dębski, Bardowski, Płoski, Mendelsohn, Rechniewski — bezpośredni ich uczniowie i towarzysze jak Krusiński, Złotnicki, Przewoński, Daszyński (Feliks), Barański i tylu innych — to znowu tyleż ognisk bezimiennych lub jakże słabo zrealizowanych przez siebie w literaturze (przeważnie w prasie), a jakże znaczących przez wpływy na innych!

Do tej również grupy wyrazieli bezpośrednich życia polskiego należy zaliczyć Józefa Tokarzewicza (Hodi) — umysł czujny i zwiastowniczy, zapalający się w zaraniu każdego prądu do jego wartości i obwieszczający je, jak kur nadedniem obwieszcza pianiem brzask światła. Tak na emigracji jeszcze był Tokarzewicz zwolennikiem pozytywizmu, w piśmie *Przyszłość* (1866) zaznajamiając myśl polską z Comte'em, Millem, Littre. Po kolei potem w *Gminie*, *Listach polskich*, w *Niepodległości* (do 1870) jeden z pierwszych dawał wyraz budzącym się do czynnego oporu siłom społeczeństwa, rozwijając idee federacji słowiańskiej, braterstwa ludów, ustroju gminowładczego itp. Później znowu od filozofii i nauk społecznych przerzucił się do estetyki i był znawcą i zwolennikiem młodej literatury francuskiej. Mnóstwo przekładów i szkiców fejetonowych, o świetnych błyskach umysłu i stylu rozrzucił po pismach jak *Kłosa*, *Kraj*, *Ateneum*, *Przegląd Tygodniowy*, *Prawda* itd.

Pawlikowski Mieczysław od najwcześniejszych lat wróg zdecydowany wstecznicstwa (*Kraj* krakowski od 1869) — z Tadeuszem Romanowiczem i Asnykiem założyciel organu stronnictwa liberalnego *Nowej Reformy* (1881) — polihistor, belletrysta (*Testament Napoleona* 1879, *W grudniowe dni*, *Drugi Tom* 1895, *Baczmaha* 1898) — umysł ruchliwy i wszechstronny, urodzony partyzant literacki i publicystyczny i w tym charakterze współpracownik wszystkich w ciągu lat 30 pism postępowych Galicyi. Z licznych jego fejetonów i szkiców część tylko ukazała się w druku (*Płotki i prawdy* 1872, *Ultramontanie i Moderanci* 1872, *Literatura jezuitcka w Krakowie* 1873 — z estetyki *Z wystawy Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie* 1884). Uzu-

pełniał pracę publicystyczną i literacką światłym dyletantyzmem, udziałem obywatelskim w pracach kulturalnych, protektorstwem sztuki i literatury.

Bartoszewicz Kazimierz podobnie jak poprzedni pisarz, zawzięty wróg wstecznictwa, zwalczający je krytyką (najświetniejszy rozbiór Koźmiana *Rzeczy o roku 1863*), satyrą (w licznych często przez siebie zakładanych pismach ulotnych), działalnością wreszcie wieloletnią w Krakowie w sferach miejskich, literackich. W tych ostatnich niejednokrotnie starał się pobudzić ruch umysłowy, wydając np. *Przegląd literacki* (1897) itp. Dla ruchliwego umysłu i fejetonistycznej sprawności pióra wzywany niejednokrotnie do nowopowstających pism (w Warszawie np.) szermierz. Z typu umysłów encyklopedycznych, rzutkich, bezlitośnie jasnowidzących i z niemalą odwagą obywatelską, z przekonania — demokrata, z upodobań szperacz literacki, krytyk, satyryk na podkładzie historycznym. Przyczynił się również немало do ożywienia życia umysłowego w kraju wielokrotnie podejmowanymi wydawnictwami przedruków arcydzieł polskich, przekładów itp.

Baudouin de Courtenay znakomity badacz filologii porównawczej — duch niespokojny — coś z prastarych krzyżowców Baldwinów — coś z niepohamowania normandzkich wikingów mający. Szermierz w tysiącu spraw spornych, poczynając od zagadnień filologii porównawczej do obyczajowości szlacheckiej lub zagadnień etyczno literackich (rozbior *Popiołów* Żeromskiego) głos zabierający. Jak owi błędni rycerze na polach walk lubi pojawiać się z nagłą na polu zapasów literackich i paradoksalną a świetną, zbrojną w olbrzymią erudycję i sprawność umysłową dyalektykę rzucać na szalę sumień. Zjawiał się zawsze po stronie poglądów młodych, wojujących, z natury umysłu i temperamentu należąc do pionierów. (Od czasów heroicznych *Przeglądu tygodniowego* do krakowskiego *Życia*). Obszerną i wielojęzyczną działalność (wiele prac ważnych dla literatury polskiej po rosyjsku) tego niepospolitego umysłu powinniśmy dawno mieć w zbiorowym wydaniu pism.

Do takich niespokojnych duchów wibrujących często boleśnie na nowe prądy myśli, rzucających się z wielkim impetem w polemiki i starcia, by z niemniejszym potem zniechę-

ceniem milczeć przez długie lata, należał znakomity geograf Wacław Nałkowski, zapalony demokrat, jak jego wielki kolega Reclus, nowator społeczny. Zwłaszcza upamiętnił się jako współpracownik broszury p. t. *Forpocztły* (1896), wydanej do spółki z N. Hirszbandem (Jellentą) i M. Komornicką. — Gumpłowicz Ludwik — ongi szermierz postępu w Galicyi (redaktor *Kraju*) wraz z całą grupą przeciwstawiającą się stańczykom — potem wieloletni profesor (w Gracu) — autor *Systemu socjologii* (po polsku 1888), który ideą walki plemiennej silnie wszczepił się w ówczesne młode pokolenie walki łaknące.

Do kategorii zakładników ideowych zaliczyć trzeba i kilku działaczy galicyjskich, jak powołany uprzednio Wysłouch, jak niezmiernie charakterystyczna a na tyłu drogach galicyjskiego życia obecna postać ks. Stojałowskiego. Najszerzej z Galicyi wpływem sięgnął w tamtych latach i później Stanisław Szczepanowski, autor sławnego oskarżenia stosunków galicyjskich p. t. *Nędza Galicyi* (1888). Umysł lotny, nieskazitelny charakter, fenomenalna energia tego człowieka nazbyt są znane w dziejach tych ostatnich lat, byśmy tu się kusili o jego charakterystykę. Podnosimy tylko jeden punkt w tej bogatej pracy — punkt owej wzajemności myśli twórczej a życiowej w tym człowieku wprost namacalny.

Szczepanowski skupiał dokoła siebie starych i młodych, działaczy i poetów, promieniejąc gorącą duszą jak ogniskiem energii, myśli i czynu, pociągając urokiem polskości tak nigdy nic z tromtadracką pospolitością nie mającej wspólnego. A jakże słabym wyrazem tych cennych wartości — w stanie lotnym obecnych w obcowaniu i przemówieniach, w kierunku samym każdego czynu lub pomysłu — będą jego artykuły i utwory, należące już formalnie do właściwej literatury!

Wartka fala życia porywa co najgorętsze — niekiedy świetne i niezapomniane — dusze i unosi je ku owym nieopatrzoną potrzebom, na roztopy i rozłogi polskiego życia, za bierając nieraz w ten sposób bezcenny materiał ludzki, a zostawiając w spuściźnie przyszłym pokoleniom — ideę...

A obok tych nazwisk połowicznie, ułamkowo bodaj wyrażonych tak czy inaczej w rodzimej twórczości, jeśli nie w utworach, to we wpływach, ileż jeszczebyśmy przytoczyć mogli tych,

którzy z ogromem sił i talentów nierozkwitłych młodzieńczych przedwcześnie usuwali się od życia lub na wygnanie, zostawiając po sobie tylko — wspomnienia. Z obozowiska warszawskiej młodzieży, z kilku ładnych tradycy krakowskiej czytelnicy akademickiej i jej młodziutkich przewodników możnaby wy dobyć nie jedną postać, z której potem w literaturze zostawał jeno — typ powieściowy lub nastrój jednego fragmentu. Czasami taki pionier wypływa potem w akcji politycznej (Daszyński), w stosunkach jakiejś grupy literackiej (Janikowski) rzadko realizując po latach wielu młodzieńcze twórcze ukochania, zdobywa się na uwienczenie dawnych improwizacji dojrzałem dziełem o nieprzemijającej wartości literackiej (J. G. Pawlikowski).

Te luźne uwagi, nawiązane do przemian literackich w tym właśnie momencie, gdy i życie i literatura wchodzą w najbogatsze i niepoliczonemi węzłami skojarzone ze sobą lata, notujemy tu nie tylko dla ścisłości historyograficznej, lecz i jako dokument rozmaitości, wielostronności typów polskiego życia. Dokument ten będzie nam niezbędnym dla tem głębszego zrozumienia istoty przemian twórczych, których terenem stanie się zaraz w dziesięcioleciu następnem — powieść.

89. Jakkolwiek cały ten rozdział poświęcony właściwie myśli krytycznej t. j. rozmaitym ujmowaniom wpływu literatury w życiu i odwrotnie, rozmaitym próbom poddawania jej zjawisk ocenie z rozmaitych życiowych stanowisk, musimy jeszcze słów parę na zakończenie poświęcić losom krytyki wogóle w okresie nas zajmującym, o ile w znaczeniu pewnych kierowniczych idei nie mówiliśmy już o niej na właściwych dla każdego dziesięciolecia miejscach. Niezbyt zresztą wiele mamy w tej materii do powiedzenia, gdyż właściwa krytyka nie stanowiła nigdy zbyt silnej strony umysłowości polskiej; umysłów zaś twórczo-krytycznych okres ten posiadał niewiele i to po największej części odciąganych od pracy systematycznej przez tysiączne potrzeby społeczeństwa. Odsyłając więc ciekawych do podziwu godnej w umiejętności stwarzania »szkół« i »metod« książki o krytyce polskiej specjalisty (Feld-

mana) zadowolimy się tu wskazaniem ogólnej linii rozwoju warunków raczej niż samej myśli krytycznej. Nie przeoczamy zresztą jej rozwoju w latach tego schyłku stulecia. Nie zdaje się nam jednak, ażeby wśród innych objawów żywotności naszej literatury ten był szczególnie znamienity lub znaczący. To co obejmujemy zazwyczaj wspólnem mianem »krytyki« bywa najczęściej i nie tylko u nas stosowaniem do sztuki lub literatury wszelkich możliwych kryteriów z życia i nauki przeniesionych na jej teren — najrzadziej zaś bywa roztrząsaniem własnych praw sztuki na jej własnym gruncie. Nic w tem dziwnego: literatura czy sztuka jak każda inna dziedzina lub bardziej niż każda inna są śpichlerzem materyałów, z których dla swych celów po kolei czerpać musi psycholog czy socyolog, historyk, statysta, działacz społeczny, prawodawca, filozof. Każdy zaś z nich szukać będzie tego, co dla jego dziedziny i dla jego stanowiska jest rzeczą najważniejszą. Stąd niezmierna rozmaitość t. z. krytyków, którzy w tym wypadku są — często nieświadomionymi — wysłańcami swoich dziedzin *in partibus infidelium*. U nas zaś może częściej niż gdzie indziej na terenie takiej rzekomej krytyki spotykają nie tylko tacy ludzie o wyraźnem bądź co bądź zadaniu, lecz jeszcze i ci liczni, którzy właściwie nie wiedzą dobrze, co z sobą robić, jakiemu Bogu się pokłonić — i wetują to sobie na cierpliwej skórze autorów. Czyż nie jest niemal powszechnym redakcyjnym zwyczajem do takich, którzy nie mogą fachowo uprawiać polityki, pisać artykułów wstępnych lub zajmować się reporterką, zwracać znajome słowa zachęty: »Niech pan pisze o książkach.« W ten sposób teren krytyki staje się nie tylko rozstajem wszystkich nauk, ale i miejscem schadzki wszystkich nieuków, szukających łatwej i mało odpowiedzialnej pracy. Krytyk jest w prasie naszej czemś co zaledwie przewyższa recenzenta ogródkowego a nie dosięga już miary nawet — »naszego teatralnego sprawozdawcy«.

Jednakowoż odrzuciwszy taki balast krytyków niżej krytyki, żywiących się często krwawą krzywdą twórców przy naszych pismach — i to co pozostaje i używa już z pozorami słuszności tego tytułu, jest, jak poprzednio zaznaczyłem, najczęściej ingerencyą innych dziedzin w dziedzinę literatury, nie

zaś jej autoanalizą w ścisłym znaczeniu. Z natury naszych stosunków łatwo się domyślać, że najczęstszym typem jest inżyneryca publicystyczna. Spory o tendencje książki, mierzenie utworu miarą prawomyślności etycznej, religijnej, społecznej, narodowej, partyjnej — oto najogólniejszy temat naszej krytyki zwanej literacką. Słaba znajomość historii literatury rodzimej oraz literatury obcych tem łacniej taki stan rzeczy utwierdza i w czytelniku i w piszącym. Dlatego to nawet wzięwszy za nawias plagę recenzentów gazeciarskich — »metody« swe świstkowe przemycających nawet w grube tomy — odsunawszy dalej krytyków - publicystów, wreszcie odłączywszy niezbyt liczną grupę krytyków - bibliografów i przyczynkarzy historii literatury — bardzo nieliczną tylko garstkę osób uznamy za krytyków literackich t. j. glossatorów twórczości, których tematem są typy twórców i utworów oraz wzajemna zależność ich w sztuce lub literaturze.

Jednym z najdonioślejszych epizodów tej doby fermentów była trzyletnia działalność *Wędrowca* (1884—1887) nabytego przez Artura Gruszeckiego, który zgrupował koło pisma kilku najdzielniejszych i najświetlejszych pisarzy. Grupa ta nie miała tej co późniejszy *Głos* jedności programowej na gruncie społecznym, nie miała może nawet tak zespolonego i zaostzonego instynktu w odczuwaniu wszystkiego, co przynosiło społeczeństwu zapowiedź odrodzenia. Lecz składała się przedewszystkiem z umysłów wskroś krytycznych i krytyki przedewszystkiem pragnęła. Składała się z sił łaknących pracy kulturalnej w literaturze, literaturę miłujących; z ludzi przystępujących do sztuki i literatury z dojrzałością sądu, świadomością celu. Dość tu wymienić dwu stanowiących niby oś podwójną tej grupy: Witkiewicza i Sygietyńskiego. Nie było teższych szermierzy nad tych dwóch w tępieniu zaściankowości, stęchlizny, frazesu i wyrostkowatości w polskiej myśli i kulturze. Pod tym samym kątem męskiego, odważnego krytycyzmu naginała się w *Wędrowcu* i praca innych, może z temperamentu bardziej twórczych pisarzy, jak Dygasiński, J. K. Potocki. Werwa polemiczna *Wędrowca*, sąd światły jego krytyk, zażyłość z kulturą zachodnią — a nade wszystko ów świadomy i poważny, może nie rozentuzymowany, ale za to jakże dojrzały zapal dla sztuki, — dla

samej sztuki bez względu na taką czy inną doktrynę jej użyteczności społecznej — były to dla ówczesnej Warszawy zwła szcza czynniki zbawienne. *Wędrowiec* z tych czasów jest szermierzem o równym dla odnowienia się atmosfery literackiej znaczeniu co późniejszy *Głos*, a podobno więcej zdziałał czynnie dla zeuropeizowania warszawskich stosunków, niż późniejsze *Życie*, zawsze cokolwiek mdle i chwiejne, niewprawne i niewyrobocone, a zupełnie już pozbawione owej sprawności bojowej tak nieocenionej w momentach przejścia. Pominawszy ściśle kulturalne wpływy trzyletniej działalności *Wędrowca* (świetne ilustracje pod kierunkiem Witkiewicza, znakomity dobór i poziom przekładów Sygietyńskiego, J. K. Potockiego i innych) — zwrócić tu trzeba przedewszystkiem uwagę na dwa jego wpływy nieprzemijające. Pierwszym było ściślejsze po raz pierwszy u nas zespolenie spraw literatury ze sprawami sztuki w ogólności. Sygietyński, przyjaciel Gierymskiego i Chełmońskiego, rozkochany w nowych prądach malarstwa francuskiego, a świeżo przybywający po długoletnim pobycie z Paryża, był tu pierwszym szermierzem nowej sztuki. A zabierał głos w jej sprawach z całym rozpędem urodzonego polemisty; z bezwzględnością umysłu nieznającego kompromisów, wprost z nieznaną w tonie ówczesnych warszawskich rozpraw o sztuce zapamiętałością i werwą. Witkiewicz niebawem zluźował go w tej pracy, rozpoczynając jak wiemy w *Wędrowcu* swoją wieloletnią robotę oświecania ogółu w tej dziedzinie. Losy zaś młodej plastyki polskiej i przewietrzenie poglądów z tej dziedziny miały wielką doniosłość dla ustalenia się wogóle kryteriów sądu artystycznego, jak dotąd zbywanego symbolicznością, filozofią, względami i względzikami społecznymi.

Drugim zaś wpływem *Wędrowca*, nieodzownie wiążącym się ze stanowiskiem i talentem jego grupy — było powszechne podniesienie stopy krytycznej i kulturalnej prasy warszawskiej. Dwaj młodzi szermierze niebawem zdobyli sobie najpoczytniejsze jej trybuny.

Rozpowiły się wreszcie niemowlęce nasze zamiłowania estetyczne pod ich wpływem — począł też utrwałać się zbawienny zwyczaj nazywania rzeczy po imieniu. Sędziwość, obywatelskie dobre chęci, rozgłos reklamy i ogólniki przynajmniej

nie zawsze teraz stanowiły o wartości utworu, a o tej zmianie w atmosferze wielkiego miasta mogą tylko sądzić ci, którzy ją przeżyli. Ta sama bowiem inteligencja, nawet dość wysoko ukształcona w odczuwaniu poziomu rzeczy literackich lub naukowych — była u nas wówczas niemal analfabetką w sądzie estetycznym wogóle, w zakresie malarstwa, rzeźby, architektury, zdobnictwa, muzyki w szczególności. Nic zaś z tych wiadomości, nawet jeśli ktoś je miał przypadkiem, nie wiązało się w żywą całość z życiem polskim. I ogólniki o Rafaelu czy Michale Aniele, szczere zachwyty nad Słowackim — pływały jak skwarki po wodzie zdawkowości sądu o stosunkach własnych, nie przeskadzając w ubóstwianiu oleodruków, mierzeniu wartości dzieł sztuki na ramy lub treść ich i uleganiu najbanalniejszym mienotom, byle otrąbionym za mistrzów ze szpalt brukowych pism.

Na długie lata zaniósł się od tego czasu, rozpoczęta w *Wędrowcu* praca, podnoszenia poziomu krytycznego, walki z ogólnikami, nadewszystko zaś — wprowadzania wartości estetycznych w dziedzinę naszego własnego życia. Sygietyński stał się postrachem przejezdnych blagierów koncertowych, tropił z zawziętością miernotę i płytkość w sztuce czy literaturze, staczał bohaterskie boje o poziom estetyczny naszych instytucji — wystaw, sceny — zwłaszcza opery. Witkiewicz zaś po długoletnim okresie szermierki o podstawy sądu estetycznego o istotę wrażeń artystycznych, znalazł wreszcie i na całą Polskę rozslawił właściwy teren i pracę dla swej bujnej i kipiącej życia natury.

Ta sama epoka, która stworzyła na amerykańską miarę piekło fabryczne Łódź — odkryła i objęła w posiadanie górne i chmurne Tatry. Jak gdyby w organicznej, żywiołowej poezji górskich szczytów dawała sobie rekompensatę za maszynową bezduszną uszczęśliwiającego nas właśnie swym rozwojem wielkiego przemysłu. Co tracił byt całej Polski mieszczańskej nieuchronnie nie tylko po miastach ale i na wsi — to bodaj sezonowo, bodaj na jeden moment w ciągu roku miał odzyskiwać choćby oczyma młodzieży spieszącej tłumnie w górską krainę. Zakopane stało się nie tylko »letnią stolicą« i miejscem schadzki ludzi z całej Polski, co uderzyło niezwykłością nawet cudzoziemców — ale stało się na szereg lat organem obcowania

z przyrodą, z żywiołem — jakby płucami pracującymi dla wszystkich na zaczerpnięcie szerszego oddechu, górniejszej atmosfery. Nie mogły się utrwalić tradycje odkrywcy Tatr Dra Chałubińskiego, bo przez jeden tylko moment żyć można dziełwictwem odkrytego piękna. Ale Zakopane zdobyte w samą porę w pełni entuzjazmu dla rodzimych i ludowych tegoż pierwiastków na długie lata dało oparcie dla jego pionierów. Na krócej lub dłużej osiadali tu niemal wszyscy artyści i pisarze nasi, dla pracy samotnej, dla uroku gór i górali. Jeżeli jednak Chałubińskiemu przypada zaszczyt odkrycia Tatr, to słusznie z nazwiskiem Stanisława Witkiewicza wiąże się wszystko, co inteligencja polska w tych latach dzięki Zakopanemu posiadała.

Witkiewicz, jak wiemy, należy do tych osobliwych a nieocenionych ludzi, którzy stają jako współpracownicy swojej epoki nie w żadnym z jej szeregów, ale na uboczu, swoim poczem, jak ongi rycerze przy wojskach zaciężnych. Za nic nie podobna wtłoczyć takiej indywidualności wskroś samodzielnej, osobnej w żaden szablon tej czy innej doktryny. Ani ludowość, ani demokratyzm, ani czysta sztuka, ani naturalizm nie wyczerpują jego wartości: on je raczej wspiera i cechuje sobą, przez wszystkie przechodząc na coraz wyższe stanowiska i w dążeniu tem wiecznie za sobą porywając innych. W tem właśnie istota takiej duszy, że wiecznie podnurtowuje i obala sztuczne rozgraniczenia, jedno tylko pełniąc przykazanie — rycerskie przykazanie walki o swoją wiarę. W grupie *Wędrowca* (1884—87) w Warszawie był Witkiewicz wraz z Sygietyńskim pionierem męskiej świadomej pracy dla sztuki. Że to się zbiegło z momentem, kiedy sztuka polska (plastyka) naradzając się do własnego życia, potrzebowała przedewszystkiem obrony przed szablonem, tendencyjnością, kuratelą wszelkich nie-artystycznych obcych jej własnym zadaniom czynników — Witkiewicz w lot to zrozumiał i stał się szermierzem tych potrzeb. Polemiki jego o własne prawo sztuki z *Wędrowca* i *Kuryera Warszawskiego* były strumieniem żywej wody na zżartą w śniedzi frazesów, tendencyi, poćwiartowaną na kanony, drętwiącą w formułkach atmosferę artystyczną Warszawy. Zebrane potem

w książkę, żywiły całą młodzież polską w momencie jej zbliżania się do sztuki.

W poziomie chwili leżał *plain-air* malarski: Witkiewicz był jego szermierzem, jako wartości artystycznej najidealniej w danej dobie odpowiadającej potrzebom żywotności sztuki. Ten *plain-air* zresztą w istocie był niemal symboliczny! Chodziło wogóle o wyjście na szeroki świat, na słońce, na własne przeżycie wrażeniem wszystkiego co dreptało w miejscu, w ciasnych korytarzykach komunału.

Ten *plain-air* malarski znakomicie łączył się z metodą pracy ówczesnej powieści europejskiej, rozszerzającej i wydobywającej z hasła naturalizmu stokroć więcej, niż zapowiadała jego doktryna — odpowiadał również garnięciu się inteligencji do ludu, jako żywiołu, do przyrody, jako rodzimości, do samodzielnej wreszcie swobodnej, na własnym ugorze pracy. Tych wszystkich dążeń Witkiewicz był świadomym rzecznikiem, krytykę malarską mając jedynie za znakomity punkt wyjścia dla całokształtu takich zapasów. Własne prawo malarstwa — a przez nie sztuki i twórczości wogóle — a przez te znów zdobywanie własnego prawa życia pod całym widnokretem polskiej przyrody, polskiego bytu — taką była rozszerzająca się skala tej szermierki.

Kiedy więc znalazł się Witkiewicz w Tatrach i tam dosłownie wyczuł granit pod tym światem walk i marzeń o własne prawo piękna w polskim życiu — pierwszy zrozumiał, jaką twierdzą będą te góry dla każdego pioniera i jakie czyste źródła siły biją z tych opok. Odtąd Tatry posiadały pierwszego człowieka, który wyraził całą ich poezję. Nie miejsce tu na analizę teorii »Zakopiańskiego stylu«, bo to należy do sztuki, ani na spis bodaj naszych »taterników« w sztuce i poezji, bo to należy do monografii Zakopanego. Ale i szereg ich długi, i etapy rozpraw nad stylem zakopiańskim — jednego i drugiego początek w Witkiewicz — stworzyły, że tak powiem, ostrze bojowe polskich przemian i walk o własne prawo piękna w życiu polskim. Mniemam, że jeśli kto, to Witkiewicz, w sprawie przebudzenia polskiego życia do sztuki odegrał rolę podobną jak Ruskin w Anglii. On zmobilizował, nawiązał do żywych piękności nasze pragnienia nazbyt nieokreślone i chwiejne — marzeniom rzucił

ów granit pod stopy i uczył łamać się o żywe piękno właśnie jak Tatry uczą wędrowca zdobywać szczyty. Warszawskie polemiki o piękno, epizod *Wędrowca*, utwory własne jak *Na przelęczy*, zbieranie legend góralskich, kult dla Sabały i wytwarzanie całem życiem jednej pięknej legendy tatrzańskiej, meandry takie jak *Kwiatki św. Franciszka* wyłożone mową góralską — wszystko to rozsnuwa się w pełną barwy i polotu, żywotną i płodną działalność na tej rubieży lat, gdzie pożegnaliśmy się bodaj na zawsze z hegemonią zdawkowości symboliczno-społecznej nad twórczem prawem sztuki. Witkiewicz w ten sposób staje się nam jedną z niezbędnych zgłosek polskiego odrodzenia, jako rycerz żywego piękna i jego własnych praw na polskim horyzoncie. Tu z nim, znowu jesteśmy na tropie związku między dawnymi i młodeymi laty — znowu chwytamy gorące tętno przemiany polskiego życia. W latach poprzedzających okres twórczy poezji i sztuki polskiej, na całym schyłku stulecia — nie masz żywotniejszej postaci polskiego odnowienia w sztuce. Nie *Życie* Miriama, lecz *Wędrowiec* Witkiewicza jest punktem zwrotu w pojęciach i przygotowuje już nie formułkę lecz ów niezbędny do szerszego oddechu *plain-air* życia w sztuce.

90. Śmiało twierdzić możemy, że ten ostatni lat dziesiątek z tego właśnie tytułu stanowi datę w rozwoju naszego krytycyzmu. Powstaje tu bowiem — bodaj po raz pierwszy od czasów Mochnackiego — ów zbawienny prąd krytyki twórczej, wyrażony przedewszystkiem w Witkiewicz, bez którego nie masz zupełnego zrozumienia sztuki w społeczności. Nie akademickie rozprawy o pięknie, jego kanonach i systematyce, lecz twórcze szczepienie jego pierwiastków wśród sprzeczności samego życia na gruncie rodzimym — zatem współpraca krytyka z resztą artystów i poetów jest wykładnikiem tego prądu. Że zaś najwybitniejszy jego przedstawiciel ten, który ośmielił za sobą i innych do zajęcia takiego stanowiska zajmuje miejsce środkujące między sztuką plastyczną (malarstwo, zdobnictwo) a samem życiem polskim (sprawa Zakopanego i styl ludowy), nie zaś w dziedzinie czystej literatury — jest to znamienne dla momentu.

Z jednej strony wiąże się to z tem, cośmy mówili już parokrotnie o wzajemności plastyki a literatury, jak tu więc o wpływie rozwoju malarstwa na rozwój poglądów literackich; z drugiej zaś — jest wynikiem tego, że krytyka nasza bardziej może niż którakolwiek gałąź literatury była służebnicą różnych postaci utylitaryzmu społecznego, maskując tę służbę (często niewolę) różnego rodzaju metodami i żonglerstwem terminologii. Podobnie również jak poezya okresów przejściowych nie miała tu ani dość kompetencyi ani dość talentów, by nawet z tego stanowiska utylitarnego wydobywać wartości dla literatury samej, dla twórczości. Dlatego to potrzebny był taki nowatorski rozmach duszy tak żywotnej i organicznie przepojonej rozumieniem żywego piękna jak Witkiewicz, by raz wreszcie tę krytykę-służebnicę zepchnąć ze stanowiska martwego i poprowadzić ją do własnych zadań.

Obok Witkiewicza i Sygietyńskiego, obok znakomitych nieraz aczkolwiek dorywczych studyów i wskazań I. K. Potockiego, J. L. Popławskiego — występuje lub dochodzi do dojrzałości szereg krytyków i esseistów, którzy jeśli nie zdobyli się byli na większe dzieła lub syntezę, jeśli nie zrównali się krokiem z bogatą tych lat twórczością — to byli bądź co bądź chwilami jej komentarzem, współdziałali z nią i wnosili ferment krytyczny w umysłowość naszą nie zbyt pochopną do tej sprawy. Lata uprzednie widziały schyłek działalności Tyszyńskiego, widziały konstrukcyjną na ścisłej wiedzy opartą pracę Małeckiego lub Estreichera, znały wreszcie wykwiłtny i kulturalny esseizm Siemińskiego. — Schyłek wieku nie może pochwalić się takimi wyrazicielami, lecz po okresie ubóstwa sądów literackich pozytywizmu daje wyraz wielkiemu ożywieniu. W Galicyi uczniowie Klaczki, Małeckiego, Siemińskiego wytwarzają wymianę myśli krytycznych w fejetonach pism lub na katedrach. Roman Pilat we Lwowie, Stanisław Tarnowski w Krakowie, obok nich Tretiak, Windakiewicz, Mazanowski, Biegeleisen, młodszy jak Bruchnański, Hahn, Gubryniewicz, Pini pełnią bądź w fejetonie pism, bądź na katedrach uniwersyteckich służbę straży i tak lub inaczej sygnalizują nowe prądy, komentują przeobrażenia literackie. Dorobek ich fachowy w zakresie właściwej historii literatury, filologii,

metody itp. nie należy do zakresu pracy niniejszej; co zaś do właściwej krytyki, to żaden z nich nie stworzył ani nie wyraził jednej z tych wielkich idei kierowniczych, które krytyka mogą uczynić współpracownikiem, współtwórcą epoki (Mochnański, Witkiewicz). Lecz na ogół poziom tej pracy, sprawność krytyczna w notowaniu zjawisk literackich, kultura i kultura literatury — zyskały tu wiele w porównaniu z pozytywizmem.

Wśród krytyków warszawskich trzeba również stwierdzić przedewszystkiem nieobecność umysłów syntetycznych, kierowniczych. Wszakże *Historya literatury* Spasowicza napisana nie dla nas i przestarzała w dacie (1865) jest jeszcze ciągle najpoczytniejszą i nieomal jedyną »syntezą« (na tle pamfletu politycznego) literacką tych lat! Nie stworzył również kierunku krytycznego Piotr Chmielowski, niestrudzony bio- i bibliograf literatury, porządkujący sumiennie jej materyał archiwista. Jego umysł prawy i sumienny nie potrafił ani przewidzieć ani objąć w jakąś całość sprawy twórczej za jego właśnie życia przechodzącej w Polsce tak znamienne koleje. Próżno się też podaje za kontynuatora Taine'a: jest nim tylko formalnie, nie umiając podolać ani filozoficznej, ani artystycznej doniosłości wyznawanej przez siebie metody. Również nie wyrazi się w zakresie krytycznym najświetniejszy może umysł tej doby Bronisław Chlebowski — jeden z niewielu, których zapewne stać było na własną syntezę (302), gdyż zwróci się niebawem do prac erudycyjnych lub wreszcie do długoletniego kierownictwa *Słownika geograficznego*.

Jednak i tu poziom krytyczny podnosi się wyraźnie i mnoży się zastęp czujnych i pragnących służyć sztuce i literaturze umysłów. Obok powołanych wyżej pracują w pismach Ignacy Matuszewski, umysł o dużej kulturze filozoficznej, nie recenzent przygodny, lecz miłośnik literatury i znawca jej, dający swe sądy umiarkowane i życzliwe twórcom na podkładzie szerokiego czytania w literaturach europejskich; wnosi ton ideowy i nowatorski Cezary Jellenta (Napoleon Hirsband) wyświeclając kryteria etyczne w życiu i twórczości lub upominając się o wszechludzkość w twórczości; Ignacy Chrzanowski w atmosferze warszawskiego zdziwienia i oderwania się od tradycyi i metody historycznej jest typem sumien-

nego badacza literackiego na gruncie historycznym. Inni wreszcie jak Antoni Bem, Władysław Bogusławski, Walery Gostomski, Ferdynand Hösick, Stanisław Krzemiński, Kazimierz Zalewski uprawiają krytykę filologiczną, anegdotyczną, porównawczą — przerzucając się od prac pół-naukowych do publicystyki i sprawozdań teatralnych.

Nie mniej znaczny wpływ na współczesnych wywierał Dyonizy Henkiel, redaktor i krytyk *Gazety polskiej* potem wraz z Bogusławskim długoletni kierownik *Biblioteki warszawskiej*. Krytyki jego odznaczające się ogromną werwą ważyły niemało w losach autorów, o czym zaświadczyć mogą pisarze tacy jak Sienkiewicz, Weyssenhoff, Reymont. Wpływ Henkiela mniejszy w piśmie (ocena Szeligi) był raczej osobisty, oparty na nieustającym przez lat kilkanaście obcowaniu wybitnego umysłu krytycznego z umysłami twórczymi.

91. Krytyka jednak, mimo najlepszych chęci jednych a niezwykłej wartości kilku jak Witkiewicz lub Sygietyński — nie wystarczała potrzebom twórczym chwili. Poeci sami coraz częściej zabierają głos w szkicach dorywczych, podnosząc poziom artystycznego wtajemniczenia się w dzieła, nie wysoki na ogół wśród naszych zoilów. Wszakże już tego rodzaju umysły, jak Witkiewicz nawskróś artystyczne są miarą tej potrzeby coraz pilniejszej podniesienia się miary artystycznej krytyki. A dalej cały szereg poetów, nie spodziewając się już od krytyki oficjalnej zrozumienia i informacji, zacznie tę pracę wykonywać. Nie mówię już tu o pracy tłumaczyw poetycznych: zapominamy zazwyczaj, że przekład jest rodzajem krytyki przez przykład, że wybór przekładów jest już czynnością pedagogiczną i krytyczną. Otóż przekłady Porębowicza, Langego, Konopnickiej, Kasprowicza, Miriama, M-skiego i wielu innych — wyprzedzały u nas znacznie informacje krytyczne i były same warunkiem przyśpieszenia ich leniwego tętna. Ciż sami zaś dawali i pracę rozumowaną czy to jak Konopnicka, dając barwne i świetne charakterystyki polskich romantyków, czy jak Lange i Miriam, komentując własne przekłady i wprowadzając czytelnika polskiego w świat poezji zachodu, czy

wreszcie jak tenże Miriam (jako Zagiell w *Świecie*) podnosząc zagadnienia ogólne krytyki i estetyki — zagadnienia mało niepokojące ogół recenzentów naszych.

Ten komentarz samych twórców i poetów coraz częściej pojawiający się obok naszej krytyki »fachowej« — jest wymownym dowodem, że mimo wszystko nie wystarczała ona potrzebom odradzającej się literatury. Zarazem świadczy o charakterystycznym wzniesieniu się fali twórczej, któremu zawsze towarzyszy takie zabieranie głosów samych poetów. Lata następne przyniosą najcenniejsze dokumenty takiej żywej syntezy krytycznej w szkicach Przybyszewskiego i w działalności *Chimery*.

1860—1890.

ROZDZIAŁ XVII.

Uwagi ogólne.

92. Im bardziej posuwamy się w chronologiczne następstwo trzydziestolecia objętego w tym tomie, tem wyraźniej staje przed nami jeden zasadniczy pewnik. Oto wszystko, co tu stanowi ciąg i kolej prac licznych po sobie występujących grup pokoleniowych — składa się właściwie na jeden obraz współtwórczości ich przy końcu okresu. Zwolna mocą samego współlistnienia to, co ujmowaliśmy w czasie — staje niejako przed nami w przestrzeni naszego życia duchowego. I spostrzegamy, że różnorodne pierwiastki życia i twórczości, jak różnobarwne pasma przędzy po kolei wprowadzane na warsztat — wiążą się oto w jedną tkaninę i wtedy dopiero występuje przed naszymi oczyma wyraźny rysunek jej wątków, stanowiących treść i formę twórczości zbiorowej wielu naraz pokoleń, we wspólnem obcowaniu ducha ustanawiających literaturę współczesną.

Poznawaliśmy również po kilkakroć w biegu tych lat zmieniające się kierunki twórcze pojedynczych autorów — pod wpływem ożywczego działania nowych prądów. Jakgdyby fale nadbiegające z głębin przyspieszały zbyt leniwy bieg prądów poprzednich. Ale te »prądy« i te »fale« — to znowu ludzie — to kolejno po sobie idące pokolenia. Nie owe matuzalemowe pokolenie Biblii, lecz nowoczesne pokolenia t. j. grupy rówieśników co 10—15 lat odnawiające się nowym dopływem młodzieży w młodzieńczej wrażliwości to tym to innym

wplywom bardziej podatnej. Wplywy zaś owe — widzieliśmy to — zawsze były odbiciem odpowiednich przemian Zachodu przełamujących się pod specyficznym kątem polskiego losu.

Sprawa następstwa i kolejnego występowania takich pokoleniowych grup rówieśnych — jest punktem wyjścia wszelkiej literackiej obserwacji. Każda z nich bowiem jest żywym organem twórczości załamującym się pod właściwym sobie kątem zarówno co do treści jak i co do formy, zarówno co do przetwarzania wątków życiowych jak i snucia tych a nie innych tradycji literackich; zarówno wreszcie w stosunku swym do wplywów rodzimych jak i w przeróbce takiej a nie innej wplywów obcych. Uważny czytelnik odnajdzie w każdym momencie trzydziestolecia zestawienia obserwacji, obejmujące powyżej wskazane punkty widzenia: stanowią one tło właściwej charakterystyki poszczególnych utworów. Tutaj zaś zadaniem naszym jest przypomnienie kolei grup pokoleniowych, stanowiących współpracownictwo trzydziestolecia. Przedewszystkiem rozpadają się one jakby na dwa obozowiska: przeżytków z dawnych epok, tych, którzy treść swoją wyrazili przed okresem nas zajmującym — oraz tych, które występują dopiero w tym okresie.

Grupa pierwsza liczy wśród swych przedstawicieli jeszcze rówieśników pokolenia wielkich romantyków (6), którzy jak Bielowski, Supiński, Siemiński, Tyszyński, Kraszewski — biorą jednak bardzo czynny udział w życiu twórczym — niekiedy do schyłku wieku podlegając nawet przekształceniom pod wplywem nowych pokoleń (Kraszewski). Na ogół dają oni wyraz dojrzałej pracy kulturalnej, są żywym i żywotnym związkiem między dawnymi a nowymi laty.

Młodszą od nich grupę stanowią ludzie z pokolenia współczesnego epigonom romantyzmu jak Kalinka, Szajnocha, Małecki, Milkowski, Miarka, Spasowicz, Zacharyasiewicz, Kaczkowski, Estreicher, Klaczko, Nehring, Bliziński. Z tego pokolenia są również poeci jak Norwid, Ujejski, Faleński, Sowiński. Wystarczy tych nazwisk, by zrozumieć, jak ogromną rolę całe to pokolenie odegrało w rzeczach literatury po 60 roku — przechodząc przemiany wraz z młodymi, zapewne, lecz przedewszystkiem dając tym młodym punkt wyjścia we własnej pracy: tak histo-

rycy jak Szajnocha, Kalinka stworzeniem atmosfery badań historycznych (10), tak uczeni poszczególni — Małecki — przygotowując kult nowych form poezji przez wyjaśnienie Słowackiego, tak inni jak Nehring, Estreicher, pozyskując materiał historyczno-literacki, jeszcze inni jak Miarka, Milkowski, Kaczkowski, dając inicjatywę uruchomienia demokracji, jeszcze inni jak Klaczko, przygotowując zespół naszej twórczości literackiej z plastyczną (11).

Co zaś do poetów, to wiemy jak daleko sięgnął ich wplyw, gdy niekiedy utwory ich jak Norwida, staną się kanonem wiary Młodej Polski.

I dopiero tutaj występuje drugi obóz współpracowników epoki — ci, którzy działalność swoją rozwijają jedynie lub przeważnie w trzydziestoleciu bieżącym.

Rozpadają się oni znowuż na trzy kolejno po sobie idące grupy pokoleniowe, a gdy każda z nich wyrazi treść własną — wszystkie łącznie z żywymi jeszcze poprzednikami — stworzą razem Rzeczpospolitą literacką polską na schyłku wieku w pełni współzawodnictw lub współdziałań dającą tło dalszym naszym przemianom.

Nie możemy tu wdawać się w najkrótszą nawet charakterystykę trzech grup ostatnich — szkoły krakowskiej i stańczyków, pozytywistów i organiczników oraz demokratów i ludowców, gdyż to już stanowi właściwą treść całej książki. Natomiast raz jeszcze zwrócimy uwagę, że wszystkie te grupy pokoleniowe w znaczeniu społecznym stanowią razem ową międzywarstwę specyficzną polską t. z. inteligencji, będącej jakoby tygłem przemian, gdzie przekształcają się jedne (szlachetczyzna), kształtując inne (mieszczanstwo) lub wreszcie *in effigie* tymczasem występują inne warstwy (lud). Razem zaś inteligencja owa jest jakby ekspozyturą, sejmem nieustającym zrastającego się w nowoczesną całość pozakastową narodu. Faktem zasadniczym istnienia tej inteligencji w okresie zajmującego nas trzydziestolecia jest — w przeciwstawieniu do dawnych emigracji — jej obecność w kraju — a stąd wrastanie jej w grunt stosunków realnych, praca dokoła realizacji własnych i dawniej sformułowanych ideałów. Nadaje to jak wiemy (35) szczególny charakter jej pracom, nazbyt często

dający pochop do posądzeń o odstępstwo lub przerwanie się tradycji tam, gdzie jest tylko cząstkowa i ułomna z konieczności, lecz jedynie możliwa jej realizacja.

Zwracaliśmy wreszcie parokrotnie uwagę na fakt, że przebieg twórczy tych lat jest poniekąd dyalogiem między dwoma ogniskami: Krakowem a Warszawą. Pierwsze lata okresu, jak wiemy, nosiły wyraźne piętno Krakowa we wszystkim co zarówno błędem lub zaletami stanowiło najżywotniejszy charakter doby — od ósmego lat dziesiątka do głosu przychodzi Warszawa i jej to cechy wielokrotnie odbite w atmosferze zmysłowej, wątku powieści, literaturze scenicznej, poezji nawet przeważają. Warszawa dokonywa nawet odkryć i podbojów (Zakopane) — wywierając w ten sposób dalej niżby się zdawało sięgający wpływ swego środowiska. Na schyłku wieku — w latach następnych — stan ten rzeczy jeszcze się wzmoże, nim warunki rozwoju wysuną znowu Kraków na plan pierwszy.

Z kolei przypomnijmy dalsze obserwacje z toku tej pracy. Organem tak współpracujących pokoleń jest literatura t. j. każdorazowe jedyne ujęcie psychologii swych twórców — utwory. Poddawaliśmy więc kolejno obserwacji zmiany i przemiany twórcze, metoda zaś polegająca na obserwacji przemian form literackich musi zawsze doprowadzić do wykrycia form panujących, form-typów dla danego okresu. Ukażą się zawsze wyraźnie te formy, w których twórczość lat pewnych upodobała sobie najbardziej w nich właśnie nie w innych żłobiąc ślad swój najwyraźniej, najgłębiej, najwszechstronniej. Wtedy formy takie stają się dla nas punktem wyjścia w dalszem poznawaniu odpowiadającej im odmiany człowieka, jak ten lub ów gatunek muszli prowadzi nas niezawodnie do odpowiadającego jej gatunku małża.

Mówiąc o formach »panujących« pamiętamy za każdym razem o ogromnej różnicy, jaka zachodzi między twórczością a spożyciem literackiem danego okresu, między lekturą a literaturą.

I znowu odsyłamy czytelnika do paragrafów całej książki dla kolei tych form-typów i tego, co z sobą przynosiły. Jak pokolenie szukające zorganizowanej siły w dziejach narodu stwarza historyczny kierunek prac i jak to się odbija

na różnych przemianach powieści, szkicu historycznego, poezji wreszcie. Jak inne, doszukując się takiej samej potęgi wśród życia współczesnego, opiera się o naukę i technikę i jak znowu wpływa to na rozwój literatury popularnej, fejetonu, polemiki — jak tendencja i dydaktyzm opanowują powieść i poezję — jak wreszcie już z obserwacji pod tym kątem wynika rozwój dramatu i beletrystyki mieszczańskiej. Zarazem było rzeczą wyraźną, że w każdym z tych obrotów literatura polska powtarzała na swoim gruncie zjawiska z poprzedniej doby Zachodu, nie umiając, jak wiemy, nie mogąc objąć całej ich treści i zaszczerpić wszystkich ich konsekwencji we własnej twórczości (metoda naturalizmu u nas a na Zachodzie).

Wzmagająca się żywotność znajduje wyraz swój w prądzie demokratycznym i tu jak wiemy występuje organiczny czynnik odrodzenia form twórczych (lud), który w połączeniu z wzbierającym wpływem innego (sztuki) daje rozkwit nowej formy (nowelli), charakterystyczny dla tego momentu. Wiemy również jak pod wpływem tego nowego czynnika oraz coraz większego bogactwa czynników współpracujących — a znowuż w ścisłym związku z Zachodem (rozwój idei demokratycznej i sztuki narodowej wszędzie) olbrzymieją i przekształcają się ulubione i panujące formy (powieść), zawiązując się w coraz to potężniejsze artystyczne i ideowe całości (cykle, trylogie).

Odsunąwszy teraz na stronę wszystkie drugo- i trzeciorzędne konsekwencje z takiego a nie innego współpracownictwa pokoleń wyrażonego w takich a nie innych formach panujących twórczości — postarajmy się sobie zdać sprawę, jakim jest ogólny najbardziej powszechny i zasadniczy charakter tej literatury, a zarazem w jakim on stoi stosunku do naszych własnych tradycji literackich oraz jaki ton wnosi w literaturze wszechświatowej?

93. Charakteryzując literaturę Polski historycznej wybitny historyk (Kubala) uznał niegdyś publicystykę za »najbogatszy dział naszego piśmiennictwa«.

Czy zwięzłe to określenie — słuszne dla wieku XVII-go i całej Polski historycznej — nie jest i dzisiaj kluczem do charakteru naszej literatury?

Przywilej — tak zasadniczy w Rzeczypospolitej literackiej, że na nim stoi jakoby *magna charta* jej rządu wewnętrznego — przywilej normowania się i mierzenia obrotom własnych spraw, spraw formy utworów i typu twórców, nie zaś temi czy innemi konjunkturami społecznymi — przywilej ten dopiero zdobywamy, nie mogąc ciągle jeszcze wyjść ze stadyów zależności w prostą wymianę wpływów. Tutaj w dobie najżywo-tniej okazanej wzajemności zjawisk społecznych a literackich mowy jeszcze o tem być nie może, by zjawiska polskiej literatury mierzyć świadomym lub bezwiednym stosunkiem twórców do metod pracy artystycznej, form twórczości, typów ujmowania świata wewnętrznego lub zewnętrznego. Rozumiejąc, że miary te są jedynie właściwemi w tej dziedzinie — staraliśmy się za każdym razem wprowadzać je w tok analizy zjawisk. I za każdym razem przekonywaliśmy się, że nie one decydowały o układzie tychże i przebiegu. Formuła wzajemności literatury i życia pochyła się jeszcze zawsze w kierunku podporządkowania się pierwszej drugiemu. Biegunem bowiem, ku któremu stale się obraca wszelka inicjatywa twórcza u nas, jak igła ku północy, jest zawsze kult zbiorowości. Zmienia się dyalektyka zjawiska — istota pozostaje bez zmiany.

Lecz jeżeli miarą i normą zjawisk literackich są ich własne w prawach twórczości objawione rytmy i formy, to czyż stosując tę metodę do literatury polskiej nie objęlibyśmy i tak całkowitego jej obrazu? Bezwątpienia staraliśmy się też czynić w ten sposób, poszukując w każdym okresie panujących form i typów twórczości, a w nich następnie badając zmiany i przyczyny zmian.

Lecz literatura, jak wiemy, należy do gałęzi wiedzy o człowieku — i człowiek to jest ostateczną osią tych zmian. Dlatego to jego każdorazowy stan ducha, odbity w grupach pokoleniowych, wyrażony w dziełach, musi stanowić punkt wyjścia tak dobrze badań literackich, jak wszystkich innych z dziedziny zjawisk humanitarnych.

Otóż stan ten — skryształizowany w kult zbiorowości

świadomy i bezwiedny — był, jak dotąd, siłą główną, zagadnienia zaś artystyczne siłami dodatkowemi w literaturze polskiej. Skala talentów epoki poromantycznej tłumaczy nam to jak wiemy w pewnej mierze; sprawa zaś stawania się narodu nowoczesnem społeczeństwem — w zupełności. Dlatego to nie wykroczyliśmy nigdy przeciwko surowej metodzie tej pracy, choć nie podzieliłiśmy jej, jak pozornie wypadało, na naturalizm, realizm, weryzm, modernizm i t. p. Gdybyśmy bowiem to uczynili — odjęlibyśmy z literatury polskiej jej duszę wśród innych literatur nasze stanowisko od romantyzmu określającą. Odjęlibyśmy od polskiego pisarza — ideę polskiego człowieka — i obraz takiej literatury byłby się wypełnił zgiełkiem sali licytacyjnej nowych, nowszych i najnowszych prądów tandety artystycznej.

Czy kult zbiorowości wogóle, narodu zaś jako tejże najbliższego nam wyrazu, za sprawą literatury polskiej postąpił, rozwinął się w porównaniu z literaturą całego Zachodu? — Odpowiedź na to pytanie damy nie tutaj — tu jednak zaznaczymy, że kult ten, jako spuścizna Romantyzmu był podstawą świadomości twórczej trzech po sobie następujących od roku 1863 do 1890 mniej więcej ugrupowań, trzech literackich pokoleń Polski. Był niepodzielnym dorobkiem tej literatury tak nawskroś publicystycznej w każdym przejawie, jak żadna inna. Grupa krakowska, historyczna, i z nią związany poczet pierwszych »stańczyków«; grupa ideologów pracy organicznej i z niej wyprowadzający się pozytywiści; grupa wreszcie podporządkowująca interesy wszystkich warstw ludowi ludowców, promieniejąca najszerzej u schyłku wieku z Warszawy na cały kraj — trzy dogmatyczne ujęcia kultu zbiorowości miały jak widzieliśmy za podwalinę swej pracy twórczej. A choć niekiedy pióropusz talentu strzela ponad to stanowisko — wszystko jednak, co się działo, działo się pod jego znakiem. Gdyby zliczyć wszystkie wiersze, sztuki, powieści, w których osią jest myśl o służbie narodowej a przeciwstawić je innym wyrastającym ze stanowiska oderwanego, to po pierwszej stronie zostałoby wszystko to, co obejmuje właściwa literatura, po drugiej chyba szczupła garstka ciekawostek literackich.

Zamykając ten tom na wskazaniu kultu zbiorowości

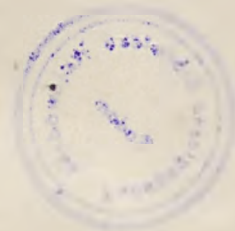
jako osi właściwej wszystkich przemian długiego szeregu lat — przypomnijmy, raz jeszcze, jak zagadnienie to pojmował glosator romantyzmu, współtwórca wielkiej poezji, Mochnecki. Jakaż to jest dla niego oś duchowa człowieka współczesnego »Co jest — jak się wyraża — wielka jestestwa naszego tajemnica? Cóż go dotąd zaszczyca po tylu wiekach obłędnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? — Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, które je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu jednostki, egoizmu, samolubstwa — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku — w tej harmonii, w tej cudotwórczej tonice całego świata!...«

I tak postawione w polskim losie zagadnienie podporządkowania jednostki zbiorowości nie przestawało być ciągle kluczem do zrozumienia naszych przemian.

Tylko że w tem sformułowaniu, gdzie »tęsknica na duszy« i boleść po stracie »nieskazitelnego mienia« tryskają z duszy pokolenia potężnego natchnieniem, energią, talentem — jednostka jest — może być w istocie — punktem odbicia, bo rzeczą zdobytą przez pokolenie, a zaś owa harmonia całości, cudowna tonika jedności — punktem dążenia, ku któremu bogata życiem jednostka steruje ubogą w życie swą społeczność.

Jakże inaczej ta sama formuła brzmieć będzie wśród jednostek czujących boleśnie uszczuplenie własnej życiowej dziedziny, a łaknących jej rozszerzenia i pogłębienia, gdy jednostki takie znajdują się wreszcie wśród zbiorowiska coraz bardziej zasobnego w siłę społeczną, coraz wyraźniej stojącego w przededniu swego zbiorowego tryumfu! Wtedy owa »tęsknica na duszy« raczej wskaże im ów drugi biegun wyładowań, każe im jak po złote runo płynąć po inne równie nieskazitelne i równie utracone mienie — po owo bogactwo życia osobistego, po ową pełnię własnego ja — więc odbijając będą od brzegu zbiorowości i społecznego utilitaryzmu, jak tamci od »egoizmu i samolubstwa«, i płynąć będą ku osobistej, własnej zaniedbanej tonice jak tamci płynęli ku tonice zbiorowej wszech rzeczy.

A tymczasem zobaczymy w księdze czwartej, jak wysoko wzbiera w duszy nowoczesnej przyływ kultu zbiorowości w tym samym właśnie momencie, gdy poezja z głębin niepoznawalnego dobywa podwaliny kultu jednostki, jakby na przestrogę dla małodusznych, że to są tylko zawsze dwa bieguny tej samej osi istnienia ludzkiego — choć widome razem w tych tylko rzadkich momentach, gdy geniusz twórczy daje poezji nie ułamkowe, lecz całkowite objawienie jej przeznaczeń.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Do Czytelnika	1
Księga I. (1860—1870)	3—114
Rozdział I. Uwagi wstępne	5
» II. Historia jako kształtujący czynnik czasu	21
» III. Powieść i prasa wyrazem potrzeb zbiorowych	45
» IV. Poezja	74
» V. Uwagi ogólne	107
Księga II. (1870—1880)	115—215
Rozdział VI. Prąd naukowy na Zachodzie a u nas	117
» VII. Polemika	130
» VIII. Powieść, fejleton, scena odbiciem prądu panującego	143
» IX. Literatura dramatyczna	168
» X. Poezja	195
» XI. Uwagi ogólne	210
Księga III. (1880—1890)	217—332
Rozdział XII. Kształtujące czynniki prądu demokratycznego	219
» XIII. Nowella	238
» XIV. Powieść	261
» XV. Poezja i dramat	296
» XVI. Wzajemność życia i literatury; krytyka	312
1860—1890. Rozdział XVII. Uwagi ogólne	335—343



30-

15

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 41956



BGZs 41956

